

Amanda Prowse

Zła kobieta



Amanda Prose

Zła kobieta

Z angielskiego przełożyła

Katarzyna Roslan



„Pozbieram wszystkie, nawet najmniejsze odłamki,
na które rozłupałeś mi życie i które leżą pochowane
w szufladach, pod dywanem i za poduszkami, i odbuduję się.
Osiągnę wszystko, co myślałam, że mogłabym w życiu osiągnąć.
Będę ścigać marzenia, które snułam, dopóki mnie nie złamałeś”.

Rozdział 1

Dziesięć lat wcześniej

Kathryn Brooker patrzyła, jak z męża uchodzi życie. Była przekonana, że widzi czarnego ducha, który niczym wąż opuszcza jego ciało, by spiralnym ruchem przeniknąć podłogę. Oparła się o krzesło i wzięła głęboki wdech. Spodziewała się euforii, a przynajmniej ulgi. Nie przewidziała, że ogarnie ją otępienie. Wyobraziła sobie śpiące za ścianą dzieci. Zamknęła oczy i w myślach życzyła im głębokiego, spokojnego snu. Wiedziała, że odtąd nieprędko go zazną. Jak zwykle najpierw pomyślała o dzieciach.

Gdyby nie rozciągnięte w poprzek łóżka złane krwią ciało, pokój wydawałby się niemal pusty. Panowała w nim całkowita cisza i optymalna temperatura.

Kathryn poczuła cięń rozczarowania. Sądziła, że będzie jej towarzyszyć więcej emocji.

Przebrała się w dzinsy, bluzę i spokojnie stanęła przy łóżku, na którym leżały blade zwłoki męża. W pełnym skupieniu, po raz pierwszy w życiu zadzwoniła pod numer alarmowy. Wykonując czynność, którą – odkąd pamiętała – w nieskończoność ćwiczyła w wyobraźni, czuła się jak przeniesiona do innej rzeczywistości. Choć w zasadzie, gdy w myślach wybierała ten numer, sprawa zawsze dotyczyła jakiegoś drobnego wypadku lub pożaru pustego budynku w sąsiedztwie. Nigdy aż takiego dramatu.

– Numer alarmowy, z kim łączyć?

– O, dzień dobry, tak, nie jestem pewna, z kim właściwie.

– Nie jest pani pewna?

– Chyba z policją lub z pogotowiem, zresztą może i z tym, i z tym. Przepraszam, nie wiem..

– W jakiej sprawie pani dzwoni?

– A, tak, oczywiście. Właśnie zamordowałam męża.

– Przepraszam, co pani zrobiła? Źle panią słyszę.

– Wiem, wiem, przepraszam. Spróbuję mówić głośniej. Sygnał zanika, nawet przy miejscowych rozmowach. Pewnie dlatego, że jestem w sypialni, tu jest zły zasięg. Mój syn uważa, że to przez wysokie drzewa, przycięliśmy je rok temu, ale chyba nic nie pomogło. I jeszcze są zakłócenia od komputerów z budynku obok – zawsze miałam zamiar to gdzieś zgłosić, nieważne. Tak więc, jak mówiłam, właśnie zamordowałam męża.



Kathryn przymknęła oczy, by odwrócić swoją uwagę od lekko brzęczącej pod sufitem, od czasu do czasu mrugającej świetlówki. Trzeba ją będzie wymienić. Na razie tylko rozprasza, ale niewiele trzeba, by zaczęła irytować.

– Zrobiłaś to?

Pochylony nad stołem Roland Gearing całym ciężarem muskularnego ciała opierał się na rozczapierzonych na kształt piramid palcach dłoni. Zniżył głos o oktawę. Wiedział, że musi o to zapytać, a jednocześnie obawiał się odpowiedzi, którą usłyszy.

– Czy to zrobiłam?

– Tak, Kathryn, czy to zrobiłaś?

Nie spuszczał z niej oczu. Miał nadzieję, że zdoła wzbudzić jej zaufanie i w rezultacie uzyskać szczerą odpowiedź. Sporo wiedział na temat kłamstwa i wierzył w swój instynkt. Lata doświadczeń nauczyły go uważnie obserwować przesłuchiwanym.

– Normalnie nie zadawałbym tego pytania zaraz na początku śledztwa, ale ze względu na naszą starą znajomość – również z Markiem – uważam to za swoją powinność. W porządku?

– Tak, tak, oczywiście. Rozumiem.

Uśmiechnęła się przelotnie. Palcem wskazującym i kciukiem założyła sobie włosy najpierw za lewe, a potem za prawe ucho.

Jej opanowanie wytrącało go z równowagi. Nie przejawiała cienia strachu czy hysterii, które

zwykle towarzyszyły tego typu rozmowom. Kobiety w podobnej sytuacji wariowały z przerażenia, wściekłości lub obawy przed niesprawiedliwym traktowaniem. Kathryn natomiast zachowywała całkowity spokój.

Przypomniała sobie szkliste oczy męża. Jego palce ślizgające się niezdarnie po szyi, kiedy próbował zerwać z niej nieistniejącą pętlę, blokującą dopływ powietrza. Zmarszczyła nos – wciąż, choć już bardzo słabo, czuła żelazisty zapach sączącej się krwi Marka. Był z jednej strony odrażający, ale z drugiej sprawiał jej dziwną przyjemność. Prawie czuła go w gardle. Gdy Mark umierał, w żaden sposób nie próbowała ulżyć mu w cierpieniu. Z jej ust nie padło ani jedno słowo pocieszenia. Przeciwnie – uśmiechała się, jakby sądziła, że Mark da sobie radę, bo przecież to ciągle ten sam silny, sprawny mężczyzna, który rąbie drewno, maluje ściany i podnosi na nią rękę.

Może nawet nuciła sobie coś pod nosem? Zupełnie jakby nie trwała w zawieszaniu, zdecydowana patrzeć na śmierć, która dla niej oznaczać będzie jedno – koniec ohydneho rozdziału jej życia. Kiedy się wreszcie odezwała, w jej głosie brzmiało lekceważenie.

– Nie spiesz się. Mam czas, nigdzie się nie wybieram, przede mną całe życie. Obietnica to obietnica.

Pod nonszalanckim pragmatyzmem skrywała serce przepełnione uczuciem ulgi.

– Nie zostało mi dużo czasu.

Jego głos przeszedł w nikiący szept. Ostatnie wypowiedziane słowa zagubiły się wśród chrapliwego, urywanego oddechu.

– Zbyt powolna i bolesna. Zapłacisz.

Zanim skończył, już wymazała te słowa z głowy. Nikomu ich nie powtórzy, nie będzie ich przywoływać ani pamiętać.

– Och, Mark. Ja już zapłaciłam.

Pochylając się nisko nad twarzą męża, czuła jego cuchnący oddech. Do ostatniej chwili dzieliła z nim minuty, podczas których życie zwlekało z odejściem. Kathryn zadumała się nad siłą, z jaką ludzkie zwierzęta czepiają się teraźniejszości. Mimo że w oczywisty sposób próżna, siła ta była zdumiewająca, a nawet fascynująca.

– Tak. Tak, Rolandzie, ja to zrobiłam. Nikt inny.

W jej wyznaniu zabrzmiał cień dumy, jakby komentowała swoje osiągnięcie. Roland uznał to za niepokojące. Potrząsnął głową. Choć widział i słyszał jej wyznanie, wciąż nie mógł w nie uwierzyć. Spojrzał na siedzącą przed nim schludną kobietę w średnim wieku. Miała piękną twarz. Ta sama kobieta częstowała go kanapkami z wyłożonego ozdobną serwetką półmiska, podawała mu świeżo zaparzoną kawę i domowe ciasto. Te fakty po prostu sobie przeczyły. Była żoną Marka Brookera – mężczyzny, którego lubił i podziwiał. Mężczyzny, któremu zaufał w sprawach edukacji swej jedynej córki.

Roland powoli wypuścił powietrze i poskrobał się palcem w brodę. Zarost był właśnie w najbardziej irytującym stadium. Jego wrażliwa skóra źle znosiła pobyt w gorącej sali przesłuchań, zwłaszcza w połączeniu z nerwową atmosferą. Zapragnął iść do domu i wziąć prysznic. A jeszcze bardziej zapragnął cofnąć czas i nie odebrać telefonu, który o trzeciej nad ranem zakłócił odpoczynek jego rodziny, a zarazem stał na miazgę harmonię lokalnej społeczności.

Kathryn wyczuła jego podenerwowanie. Wiedziała, że Roland należy do ludzi, którzy lubią się wypaść. Wyobraziła sobie, jak spędził poprzedni wieczór. Po godzinnym treningu na siłowni, służącym zachowaniu płaskiego brzucha, wrócił do domu, gdzie zjadł rybę z warzywami na parze i popił schłodzonym białym winem. Ani jej, ani jemu nigdy nie przyszłoby do głowy, w jaki sposób zakończy się ten szabas. Nie przypuszczali, że o jakiejś nieludzkiej porze będą oboje siedzieć za stołem na posterunku policji w Finchbury i zastanawiać się, co się, do diabła, w ogóle stało.

– Na pewno chcesz ze mną rozmawiać? – zapytał.

Jego szyta na miarę marynarka rozchyliła się, odsłaniając ciemnoróżową podszewkę. Pomyślała, że kumple z pracy na bank się z niego podśmiewają. Znała jednak Rolanda i jego dbałość o wygląd na tyle dobrze, by wiedzieć, że absolutnie nic sobie z tego nie robi. W przeciwieństwie do innych facetów w jego wieku, nigdy nie widziano go w tanim lub wygniecionym ubraniu. Kathryn przypomniała sobie jego rozmowę z Markiem, kiedy to ubolewał nad utratą munduru – nieuniknioną konsekwencją awansu na stanowisko nadinspektora. Zawsze uwielbiał polerować guziki, pastować buty i strzepywać z wełnianej mundurowej kurtki pyłki kurzu. Teraz przejechał dłonią po mięśniach brzucha. Najwyraźniej świadomość własnego ciała pod świeżą, białą koszulą sprawiała mu przyjemność.

– Tak.

– Jesteś pewna, że nie byłoby ci łatwiej rozmawiać z kimś obcym?

Zauważyła w jego oczach nadzieję.

– Nie, Rolandzie, naprawdę nie. Dziękuję, że pytasz, ale nie ma innej osoby, z którą rozmawiałabym chętniej. Doceniam, że przyjechałeś tu o tej porze, że się nie wypałeś. Naprawdę.

Było tak, jakby wciąż nie zdawała sobie sprawy z przebiegu zdarzeń. Jakby zaprosiła go na obiad, a nie wyrwała z łóżka w środku nocy informacją o morderstwie – w jego rewirze pierwszym od osiemnastu lat. Mówiła pewnym głosem, bez wahania, nie zdradzając cienia zdenerwowania. Ręce trzymała równo złożone na podolku. Wyglądała, jakby siedziała w poczekalni u lekarza.

Roland pracował w policji od dwudziestu lat. Widywał już różne rzeczy – makabryczne, niesprawiedliwe i zabawne. Ale coś takiego? To nie miało żadnego sensu. Szokowało, dziwiło i wstrząsało do głębi.

– Biorąc pod uwagę twoją sytuację, uważam, że jesteś nadzwyczaj spokojna.

Zastanawiał się, czy jest w szoku.

– Ciekawe, że to zauważyłaś, bo właśnie tak się czuję. Czuję wielki spokój.

– Co mnie bardzo martwi.

– Och, Rolandzie, niepotrzebnie. Dla mnie to przyjemna odmiana. Niemal zapomniałam, jak to jest – odczuwać spokój! Właściwie to od czasów dzieciństwa nie pamiętam, żebym go odczuwała. Dzieciństwo! Jaki to był szczęśliwy czas w moim życiu! Bez zmartwień, trosk, zewsząd otoczona miłością. Miałam cudowne dzieciństwo, cudowne życie. Nie zawsze byłam taka jak teraz...

– Jaka?

– No, wiesz... Strachliwa, nerwowa, na siłę opanowana. Miałam jasną wizję życia. Nigdy się nie irytowałam, nie unosiłam gniewem. Sądziłam, że jestem zdolna zbawić świat, wytyczyć nowe szlaki. Planowałam tyle osiągnąć... Rodzice zawsze mi powtarzali, że oprócz własnej wyobraźni nic mnie nie ogranicza. Wierzyłam im. Teraz oboje nie żyją, a ja za dużo o nich nie myślę.

– Dlaczego?

Oddechnęła głęboko.

– Prawdę mówiąc, zawsze wierzyłam, że zmarli w jakiś sposób nad nami czuwają, a czasem nawet nas chronią. Gdyby rodzice po śmierci rzeczywiście sprawowali nade mną pieczę, niewymownie wstydziłabym się wszystkiego, czego musieli być świadkami. To, kim się stałam, i dla mnie, i dla nich, byłoby nieznośnym upokorzeniem. A z drugiej strony, jeśli mogli mnie chronić tam z góry, czemu tego nie robili? Straciłam rachubę, ile razy błagałam o pomoc, ile razy się o nią modliłam. Wszystko bez skutku. Dlatego staram się tym nie przejmować. To zbyt zagmatwane. A ja nie potrzebowałam więcej zamętu w życiu.

– Jeśli rzeczywiście to zrobiłaś, Kathryn, to automatycznie nasuwa się pytanie, dlaczego?

Dlaczego to zrobiłaś?

Kathryn, z nieśmiałym uśmiechem osoby zastanawiającej się, od czego zacząć, powoli formułowała odpowiedź.

– To nic trudnego. Zrobiłam to, żeby móc bez strachu opowiedzieć swoją historię.

– Swoją historię? – Roland był zdezorientowany.

– Tak, Rolandzie. Czulałam, że muszę opowiedzieć ją dzieciom, naszej rodzinie, znajomym, a nawet całemu miasteczku. Bez strachu.

– Bez strachu przed czym?

Choć słuchał jej już od dłuższej chwili, nie był ani trochę bliższy zrozumienia całej sytuacji.

Z jej ust wyrwał się krótki śmiech. Równocześnie po policzku popłynęła niechciana łza.

– Och, nawet nie wiem, od czego zacząć! Bez strachu przed bólem, przed śmiercią, a przede wszystkim przed tym, że zniknę gdzieś w sobie i już mnie nie będzie. Rozumiesz? Sama nie wiem, dokąd zabrnęłam. Nie wiem, gdzie jest osoba, którą kiedyś byłam. To tak, jakbym stała się nikim. Jakbym żyła poza światem, będąc jednocześnie jego częścią. Moje życie zatraciło wszelkie

konsekwencje, jakby to, co się ze mną działo, nie miało żadnego znaczenia. Stałam się niewidzialna. Mówiłam coś, ale nikt mnie nie słyszał. A dziś zdarzyło się coś, co mnie zmieniło. Nie było to nic wielkiego, wznosłego czy nawet godnego zapamiętania, ale coś się dziś wydarzyło. I zdałam sobie sprawę, że mam dosyć. Zrozumiałam, że nadszedł czas. Mój czas.

Po chwili namysłu nad jej słowami postanowił na razie nie pytać, czym było to „coś”, co ją odmieniło.

– Musisz uważać, co mówisz, Kathryn. Chcę, abyś bardzo, bardzo dobrze zastanawiała się nad tym, co mówisz i do kogo mówisz. Od tej pory twoje słowa i czyny mogą mieć dramatyczny wpływ na przebieg zdarzeń. Każda, nawet najdrobniejsza informacja, jaka padnie z twoich ust, zostanie nagrana i wzięta pod uwagę. Od tego zależy twoja przyszłość.

Znowu krótki śmiech.

– O mój Boże, Rolandzie. Moja przyszłość? To kolejna zabawna kwestia. Prawda jest taka, że odtąd nie muszę już się nad niczym specjalnie zastanawiać. Już to sobie przemyślałam. Miałam na to całe lata.

Roland zamilkł na chwilę, by rozważyć różne opcje. Szukał najlepszej drogi postępowania. Nagle szeroko otworzył oczy. Przed żoną dyrektora szkoły otwierała się jedna szansa.

– Kathryn, wydaje mi się, że powinien zobaczyć cię lekarz. Dla twojego dobra.

– A, tak! Masz na myśli psychiatrę? Dobrze. Przekona się, że świetnie reaguję na sugestie, zgadzam się z twierdzeniami i prawidłowo wykonuję polecenia. Szczerze mówiąc, nie widzę już między nimi różnicy. Muszę cię jednak ostrzec. Po wnikliwej obserwacji i diagnozie zobaczysz przed sobą długi, zawily i drogi raport, z którego dowiesz się, że jestem w stu procentach normalna, rozumna i w pełni władz umysłowych. Prawda jest taka, że czynu dokonałam ja sama, doskonale świadoma tego, co robię i jakie czekają mnie konsekwencje. Ale dobrze, zgoda, jeśli to ci ułatwi sprawę, niech moje słowa potwierdzi specjalista. Taki, co ma gabinet ze szpanerskim fotelem obrotowym i dyplomem w złotej ramce.

– Na Boga, Kathryn, tu nie chodzi o to, co mi ułatwi sprawę! Mogę tylko przypuszczać, że doznałaś załamania nerwowego i działałaś w wyniku pomieszania zmysłów, nie wiem, czy trwałego, czy nie.

Zaśmiała się.

– Trwałego czy nie? Podoba mi się to. Rolandzie, mówię prawdę i twierdzę, że jestem przy zdrowych zmysłach. Mogę ci coś wyznać?

Modlił się w myślach, by w tym, co za chwilę usłyszy, znalazło się jakieś racjonalne uzasadnienie, choćby trywialny fakt, cokolwiek.

– Tak, tak, słucham.

– Przez ostatnich dwadzieścia lat często zdarzały się chwile, w których łatwo było postradać

zmysły. Chwile, gdy czułam się tak przygnębiona i smutna, że zastanawiałam się, czy nie pozwolić sobie na depresję i nie wycofać się z życia. Ale nie poddałam się tej myśli – bez względu na to, jak bardzo była kusząca – z dwóch powodów. Jeden – nazywa się Dominic, a drugi – Lydia. To dla nich za wszelką cenę nie chciałam zwariować. Dla nich się trzymałam. Bo po co byłaby im stuknięta matka? Choć nie mogę powiedzieć, że było łatwo. Stoczyłam prawdziwą bitwę. Dzień w dzień oglądałam w lustrze zrozpaczoną twarz i zastanawiałam się, ile jeszcze zdołam znieść? Jak długo zdołam udawać? Okazało się, że całkiem długo!

Zaśmiała się krótkim, nienaturalnym śmiechem.

Roland patrzył na nią, przekonany, że mimo swych zapewnień naprawdę postradała zmysły.

– Kathryn, muszę przyznać, że jako znajomy – nie jako nadinspektor, ale właśnie jako znajomy poważnie się o ciebie martwię.

Przerwał mu jej śmiech. Westchnęła. Lekko kiwając się w tył i w przód, wyciągnęła z rękawa swetra kawałek mokrego już papierowego ręcznika i wytarła twarz.

– Przepraszam. Nie powinnam się śmiać, wiem. Reaguję trochę emocjonalnie. Ale ostatnie dwie doby były dla mnie trudne.

Żadne z nich nie sprostowało rażącego niedopowiedzenia.

– Śmieję się dlatego, że przez ostatnich dwadzieścia lat pragnęłam, aby ktoś się o mnie zatroszczył i pomógł mi. Ale teraz – po raz pierwszy od czasu, kiedy wyszłam za mąż – nie potrzebuję już niczyjej troski, bo nareszcie jestem bezpieczna.

Położyła dłonie płasko na stole, jakby chciała czerpać siłę z jego solidnego blatu i nóg, podkreślić fakt, że teraz już sama da sobie radę.

Roland wstał i zaczął przechadzać się po niewielkiej sali przesłuchań. Ręce oparł na biodrach, łokcie sterczały mu na boki pod kątem prostym. Powoli tracił cierpliwość. Poziom jego frustracji rósł wprost proporcjonalnie do braku postępów w przesłuchaniu. Miał wrażenie, że mogą tak rozmawiać godzinami. Nie chciał tracić tyle czasu.

– Dobrze, Kathryn, będę z tobą szczerzy. Jestem w bardzo trudnej sytuacji. Nie mam tu na myśli sytuacji zawodowej, a psychologiczną. Mam kłopoty ze zrozumieniem tego, co się z tobą dzieje. Znałem ciebie i Marka od... zaraz... Prawie dziesięciu lat?

Kathryn przypomniała sobie dzień, w którym jego córka przekroczyła próg Mountbriers Academy. Sophie miała wtedy osiem lat, małą, skórzaną torebkę, przerażenie w oczach, piegi i mysie warkoczyki. Dziś była pewną siebie nastolatką, która przyciągała spojrzenia nie tylko jej syna, ale też każdego chłopaka z sąsiedztwa. Kathryn skinęła głową. Prawie dziesięć lat.

– I przez cały ten czas ty i Mark byliście wzorową, oddaną parą. Wyraża się... wyrażał się o tobie zawsze bardzo dobrze, Kathryn. Możesz więc zrozumieć, dlaczego to wszystko wydaje się...?

Roland wznosił spojrzenie do nieba, uspokoił się i spróbował pójść innym tropem.

– Boże, Kathryn, nie wiem jak wyrazić to grzecznie i uprzejmie, więc powiem prosto z mostu. Mark jest... był... bardzo szanowanym i lubianym członkiem naszej społeczności. Na Boga, był dyrektorem szkoły! Niedawno dostał ważne odznaczenie państwowe, wszyscy darzyli go szacunkiem. A ty oczekujesz, że ja... nie, że wszyscy uwierzą, że przez ostatnich dwadzieścia lat za kamienną ścianą i szerokimi oknami swego domu wiodłaś nieszczęśliwe życie? Podczas gdy my widzieliśmy silną, szczęśliwą rodzinę, oddaną sobie nawzajem parę małżeńską? Nie rozumiesz, że ludzie będą mieli problem, żeby to kupić?

Uśmiechnęła się z wahaniem i zaczęła mówić, ostrożnie dobierając słowa.

– Wiem, że wielu ludzi nigdy nie zobaczy tego, czego nie chce widzieć, Rolandzie. Wiem o tym. Ale trzeba też wiedzieć, że niektórzy potrafią doskonale oszukiwać. Mark do nich należał. I ja, w pewnym sensie. On był potworem i udawał, że nim nie jest, a ja – ofiarą, która próbowała to ukryć. Jestem winna postawionych mi zarzutów.

– Kathryn, staraj się nie używać tego określenia.

Nie wiedziała, czy potraktować to jako żart.

– Dobrze. Chodzi o to, że tak naprawdę wszystko mi jedno, co ludzie myślą lub co im się wydaje, że wiedzą. Ja znam prawdę, a pewnego dnia poznają ją moje dzieci. Tylko to się dla mnie liczy. Roland, nie ulega wątpliwości, że jestem winna. Jestem też gotowa odbyć karę. Musisz wiedzieć, że każda kara będzie dla mnie lżejsza niż to, czego zaznałam jako żona Marka. Absolutnie każda. Nie boję się kary. Już nie.

Roland usiadł po przeciwległej stronie prostokątnego stołu. Wyciągnął nogi, a następnie skrzyżował je w kostkach, założył ręce za głowę i westchnął. Jego myśli poszybowały w stronę wspomnień, gdy siadywał za stołem w przytulnej, rodzinnej kuchni Brookerów, a Kathryn w kwiecistym fartuchu nalewała mu herbaty z czajniczka w kropki. Zawsze po niedzielnej mszy Marka otaczał tłum wielbicieli, z którymi przekomarzał się i omawiał wyniki ostatnich rozgrywek w krykieta. W tle słychać było cichy szum radia Classic FM i pobrzękiwanie porcelany.

Nic tu nie trzymało się kupy. Roland był w pełnej gotowości do słuchania, czujny i zaangażowany. Słuchanie pełniło kluczową rolę, ponieważ chciał usłyszeć. Co więcej, chciał zrozumieć.

Przesunął ręką po twarzy, podrapał się po głowie i przyglądał przedziałek.

– Kathryn, pracuję w tym zawodzie od lat i wiem, że takie rzeczy się zdarzają. Czasem impulsywne, złe rzeczy, wypadki.

– Chyba wiem, do czego zmierzasz, Rolandzie – przerwała mu Kathryn – ale muszę cię ubiec. To nie był wypadek. Nie, nie uknułam tego, nie zaplanowałam, nic z tych rzeczy, ale powtarzam, to nie był wypadek. Celowo pchnęłam Marka nożem, który trzymałam w ręku, i chciałam go zabić. Kiedy teraz o tym myślę, wiem, że w głębi duszy chciałam to zrobić od dawna. Więc w pewnym sensie było

to działanie impulsywne, jak powiedziałaś, ale nie wypadek.

Roland potrząsnął głową. Zdecydowanie pogarszała sprawę.

– Powiem ci, co by mi bardzo pomogło. Jakies przykłady.

– Przykłady?

– Tak. Coś w rodzaju stop-klatki. Zarysuj sytuację, żebym mógł zrozumieć. Opowiedz dokładnie, jak było. Wyjaśnij, co takiego robił, że było ci aż tak źle. W prostych słowach oświeć mnie, przez co przechodziłaś. Mówisz o strachu i udęce, ale chęć konkretów. Powiedz, dlaczego aż tak się bałaś.

Powiedz, co takiego robił, że posunęłaś się do ostateczności.

Roland porzucił przyjazny ton. Brzmiał teraz jak prawdziwy glina.

– Chcesz kadr z życia? Stop-klatkę?

– Tak.

– Niech pomyślę. Stop-klatka, coś typowego...

Przerwała.

– Nie wiem, od czego mam zacząć, ile ci powiedzieć.

– Powiedz mi cokolwiek, Kathryn. Cokolwiek innego niż „mój mąż był potworem”, bo to jest trochę za ogólne i za dramatyczne. Coś namacalnego, coś, co mi pomoże zrozumieć, jakies szczegóły, które potem będę mógł przedstawić innym.

– W porządku. Jednak zanim zacznę, chciałabym żebyś wiedział, że nie będę ani umniejszała, ani wyolbrzymiała faktów. To, co już usłyszałaś i to, co usłyszysz, będzie całą prawdą i tylko prawdą – tak to się mówi, czyż nie?

Roland skinął głową.

– Tak, mniej więcej tak, Kathryn. Zacznij, kiedy będziesz gotowa.

Kathryn głośno zacerpnęła powietrza. Kciukiem przekreśliła obrączkę wokół palca. Dotąd nie przyszło jej do głowy, by ją zdjąć, ale teraz postanowiła, że zrobi to, gdy tylko zostanie sama.

Wypchnęła złoty krążek trochę ku górze i rzuciła krótkie spojrzenie na wgłębienie, które metal wyłobził w jej skórze. Ciekawe, ile czasu minie, zanim ślad zniknie. To będzie znaczący krok ku jej emancypacji.

– No więc, Mark był bardzo wybredny, wręcz obsesyjny. Nie wolno mi było nosić dzinsów ani w ogóle spodni, tylko spódnice. Dzień miałam dokładnie rozplanowany – każda minuta była na coś przeznaczona. W bardzo niewielu sprawach mogłam sama podejmować decyzje i bardzo mało czasu miałam do swojej dyspozycji. Ode mnie zależało wprawdzie, którądy pojedę do sklepu czy jaka jarzyna będzie do obiadu, ale na tym, w zasadzie, koniec. Jak i gdzie przechowywałam zakupy, o której podawałam do stołu – to wszystko mi narzucał. Codziennie miałam zlecane konkretne obowiązki, czasem bezsensowne lub stale się powtarzające, a zaplanowane tak, żeby mnie zmęczyć i złamać...

Roland uszczyptał się w powieki, chwytając je kciukiem i palcem wskazującym. W głowie słyszał już te słowa na sali rozpraw. „Zabiłam swojego męża, bo był trochę humorzasty, wołał widzieć mnie w spódnicy, i musiałam wykonywać obowiązki domowe”. Jezu, jeśli to są jej argumenty, to większość kobiet w tym kraju ma powód, żeby zamordować swych mężów. Oby Kathryn miała w zanadrzu coś poważniejszego.

– Na koniec każdego dnia sziłmy razem na górę. Od pokoju dzieci dzieliła mnie tylko cienka, gipsowa ścianka. Klęczałam przy łóżku, a Mark przyznawał mi punkty w zależności od tego, do jakiego stopnia źle, jego zdaniem, wypełniałam obowiązki dnia. Naliczał dodatkowe, jeśli czymś go rozłościłam lub zirykowałam.

Nareszcie przyciągnęła uwagę Rolanda.

– Punkty te przyznawane były w skali od jednego do dziesięciu, a od tego, ile zdobyłam – dziesięć to najgorszy wynik – zależały konsekwencje.

Po policzku Kathryn popłynęły łzy, spadały wprost na kawałek zwiniętego w kulkę papierowego ręcznika. Oddech uwiązał jej w gardle. Mocno przeżywała swoje słowa nie tylko ze względu na wstyd, ale i na samo wspomnienie minionych wydarzeń.

– Punkty?

Roland potrząsnął głową. Kathryn nie wiedziała, czy to z litości, czy z niedowierzania.

– Tak. A potem mnie krzywdził.

Ostatnie zdanie wyszeptala. Musiał wyteńczyć uwagę, by je dosłyszeć.

– Od jak dawna to robił, Kathryn?

Odkaślięła, wzięła się w garść i mówiła dalej już całkiem innym, pogodnym głosem – jakby próbowała sama siebie oszukać, że wszystko jest w porządku.

– Cóż. Kiedy sięgam pamięcią wstecz, odkrywam, że znęcał się nade mną od samego początku naszej znajomości. Najpierw były to drobniaki – krytykował mój sposób ubierania się, fryzurę, nie lubił żadnego z moich znajomych. Nie zgodził się, żebym pracowała – jestem nauczycielką angielskiego. Wielka szkoda. Zniszczył lub wyrzucił wszystko, co miałam, zanim go poznałam. Sprawdzał, z kim rozmawiam przez telefon, i tak dalej. Powoli oddalałam się od rodziny. Wszystkie jego działania w stosunku do mnie koncentrowały się na tym, by mnie zdestabilizować, sprawić, bym stała się całkowicie zależna od niego. Chciał odciąć wszelkie inne więzy i zniszczyć moje poczucie własnej wartości. Dlatego gdy zaczął znęcać się nade mną na poważnie, już byłam ofiarą, i nie miałam wokół siebie żadnych bliskich. Nie umiałam samodzielnie podjąć decyzji – tak bardzo czułam się zdezorientowana. Nie potrafiłam odezwać się własnym głosem. Przynajmniej tak mi się wydawało.

– A to, co nazwałaś „znęcaniem się na poważnie” – jak długo trwało?

– Niech sobie przypomnę... Od czasu, kiedy byłam w ciąży z Dominikiem.

– On ma teraz szesnaście lat?

– Tak, choć to wydaje się niemożliwe! Szesnaście lat... Jak szybko ten czas leci, prawda? Ty musisz mieć to samo uczucie w związku z Sophie. Czasem wydaje mi się, że jednego dnia ganiałam po całym domu za tłustym bobasem, a następnego miałam już w domu nieprzewyciężoną siłę życiową zwaną „nastolatkiem”. Oj, przepraszam, Rolandzie, chyba trochę odeszłam od tematu, prawda?

Patrzyła na twarz Rolanda i rozumiała jego konsternację. Wiedziała, że to, co usłyszał, nie było przyjemne. Mało tego – wydawało się niedorzeczne, w końcu rozmawiali o Marku Brookerze, dyrektorze szkoły! Zdawała sobie sprawę, że Roland, podobnie jak inni rodzice, ma go przed oczami w jednych okolicznościach – wymieniającego mocny uścisk dłoni i rzucającego dowcipne uwagi. Wszyscy jak jeden mąż będą zszokowani. A co na to powie jego osobista asystentka, Judith? Kathryn uśmiechnęła się na myśl o jej reakcji. W duszy nawet słyszała jej słowa: „Mark nie wyglądał na złego człowieka. Przeciwnie, był taki uroczy...”

Kathryn miała nadzieję, że z czasem, kiedy już odsłoni wszystkie fakty, ludzie zaczną sobie zadawać podstawowe pytanie. Przecież gdyby jej życie układało się tak idealnie, jak sądził Roland i cała reszta, to po co by to robiła? Po co miałyby zmyślać całą tę koszmarną historię, a potem oddawać się w ręce wymiaru sprawiedliwości? Musiałaby być wariatką. Kathryn miała zamiar udowodnić, że kim jak kim, ale wariatką nie jest.

Roland wziął głęboki oddech i przygotował się do powtórzenia swych pytań.

Rozdział 2

Siedem lat wcześniej

W więzieniu dla kobiet w Marlham nigdy nie panowała cisza. Słychać było albo monotony szum z telewizora, z przewagą odgłosów oglupiających oper mydlanych, albo obłądne wrzaski, albo wybuchy śmiechu, albo bluzgi, których najwyraźniej nie dawało się wypowiedzieć przyciszonym głosem. Kate – bo pod takim imieniem była tu znana – nauczyła się już, że najbardziej nikczemne słowa, wypowiedziane cicho, powoli i z bliskiej odległości, dotykają znacznie mocniej, bo zmuszają do wysłuchania i dogłębnego zrozumienia treści. Krzyki były dobre dla amatorów.

W nocy sytuacja nie przedstawiała się lepiej, z cel dochodziły nieuniknione szlochły młodych i niewtajemniczonych. Kate pękało wtedy serce. Wydawało jej się, że każda z płaczących ma twarz jej córki Lydii. Rwała się, by pocieszyć je dobrym słowem, krzepiącym uściskiem. Nocne jęki i płacze przerywały rytmiczne uderzenia butami i szczotkami do włosów o metalowe ramy łóżek. Zdesperowane, pełne złości ręce wystukiwały nimi zaszyfrowane alfabetem Morse'a zdania: „Wypuście mnie, chcę do domu” czy „Proszę, pozwólcie mi stąd wyjść”.

Tuż po północy niezycliwe strażniczki i zmęczone współwięźniarki zaczynały warczeć:

– Spokój tam, zamknij się i zgaś pieprzone światło!

Kiedy więźniarki zapadały wreszcie w sen, a strażniczki chowały się w swojej kanciapie, ożywał sam budynek. Wyły i jęczały wiktoriańskie rury, w kaloryferach coś trzeszczało i strzelało, brzęczały

żarówka, a w oknach – między ramą a szybą – świstał wiatr.

Nieustający szum i hałas stanowiły dla Kate jedno z najtrudniejszych wyzwań więziennego życia. Nie spodziewała się tego. Była przygotowana na utratę wolności i nudę, a tymczasem życie najbardziej uprzykrzały jej drobnostki. Frustrację i tęsknotę za wolnością pogłębiały te małe wyrzeczenia. Co rano cierpiała, wciskając stopy w przesuszone, wręcz sztywne skarpetki. A fakt, że nie może zaparzyć sobie prawdziwej herbaty, doprowadzał ją niemal do depresji. Napój, który dostawała z posiłkiem trzy razy dziennie – chłodny i z dodatkiem mleka – był całkowitym zaprzeczeniem tego, co uważała za dobrą herbatę. Mimo trzech lat spędzonych w więzieniu, wciąż nie mogła się do niego przyzwyczaić. Nie oznaczało to jednak, że tęskniła za swoją kuchnią w Mountbriers – o, nie. Co to, to nie.



Na początku trudno jej się było przystosować do więziennych zasad, rozkładu zajęć i żargonu dziwnego środowiska. Większości rzeczy nauczyła się poprzez obserwację. Nasładowała reakcję współwięźniarek na dzwonki i okrzyki, których na razie sama nie była w stanie rozszyfrować.

Zauważyła, że nowe więźniarki dzielą się na dwie grupy. Pierwsza to buntowniczkki wobec systemu, który niesprawiedliwie wyrwał je z normalnego życia. Te przy każdej okazji protestowały – zarówno słowem, jak i czynem. Do drugiej grupy należały takie jak ona. Ich spokojne zachowanie wskazywało, że więzienie stanowi dla nich raczej schronienie przed zewnętrznym światem.

W pierwszych tygodniach pozbawienia wolności Kate musiała sobie przypominać, gdzie i dlaczego się znajduje. Jej stan ducha dobrze ilustrowały słowa, które kiedyś od kogoś usłyszała – obłąkana, na jakiś czas lub na zawsze. Jednocześnie w ciągu paru godzin została wdową i zabójczynią. Oddzielono ją od dzieci, a Mark nie żył.

Dzieci mieszkaly u jej siostry w Hallton w Północnym Yorkshire. O rozmaitych porach dnia i nocy Kate ogarniał niepokój, czy aby na pewno mają się dobrze. Czy wspominała kiedykolwiek Francesce, że Dominic jest uczulony na orzechy? A jeśli je zje, to czy będzie miał przy sobie preparat odczulający? Przez długi czas gnębił ją strach przed tym, co może się stać. Nie była w stanie skupić się na niczym innym. Gdyby miała dar logicznego myślenia, wpadłaby na to, że jej syn to już nastolatek i sam potrafi powiedzieć ciotce o alergii. Nie miała jednak takiego daru. Jej umysł na wszelkie sposoby próbował poradzić sobie z niewyobraźną sytuacją, jaką była rozłąka

z dziećmi.

Kiedy sen nie przychodził, zadreżdżała się wciąż tymi samymi pytaniami. Czy żałuje? Czy nie byłoby jednak lepiej siedzieć cicho, nie wkładać ręki do fartucha, zostawić nóż w kieszeni? Żyć dalej tak samo, tak jak wcześniej? Przynajmniej codziennie widziałyby dzieci. Otwierała wtedy jeden z listów od siostry i rozkoszowała się jej słowami.

Francesca zaczynała zawsze od „Hej, Katie”. Nagłówek ten nawiązywał do czasów, kiedy obie były młode i bardzo ze sobą związane, zanim jeszcze uroczą, beztronską dziewczynę zdążył naznaczyć swym piętnem Mark Brooker. W rzeczywistości oznaczał on znacznie więcej niż tylko wspomnienie przeszłości. Podkreślał mianowicie, że dziewczyna, która później wyszła za Marka Brookera, była wtedy wolnym człowiekiem, a nie przerażoną marionetką. Pisząc „Hej, Katie”, Francesca wybaczała siostrze jej chłodne, usztywnione zachowanie przez lata. Mogła to zrobić dopiero teraz, bo dopiero teraz rozumiała jego powody. To tak, jakby mówiła: „Wszystko wybaczone, masz całkowicie czyste konto”.

Kate wciąż od nowa czytała te same, urywane wiadomości o dzieciach. Wciąż odczuwała ogromną wdzięczność wobec siostry, która w obliczu ekstremalnej sytuacji po prostu zabrała je w bezpieczne miejsce, czyli zrobiła dokładnie to, czego Kate się po niej spodziewała. Równie poruszające jak informacje o dzieciach były fragmenty o codzienności, które przypadkiem zaplątały się w korespondencję („Muszę lecieć, zapiekanka się przypala”). Pozwalały Kate wyobrazić sobie rozgadaną rodzinę za stołem, pałaszującą popisowe danie Franceski – zapiekankę pasterską. No i sprawy dużo ważniejsze, na przykład to, że Lydia „dostała się na wydział plastyczny, na kurs dla początkujących”, a Dominic „pomaga Luke’owi i jego ojcu projektować wnętrza hotelowego kompleksu handlowego, nad którym właśnie pracują, ni mniej, ni więcej! Podobno świetnie mu idzie”.

Po przeczytaniu najświeższych wieści od Franceski Kate bez cienia wahania potrafiła odpowiedzieć sobie na dręczące ją pytania. Nie, nie byłoby lepiej, gdyby siedziała cicho i zostawiła wtedy nóż w kieszeni. Mark na pewno kiedyś by ją zabił, co do tego nie miała wątpliwości.

Dopiero po trzech latach w więzieniu Kate stwierdziła, że powoli powraca jej pewność siebie i poczucie własnej wartości. W czasie trwania małżeństwa prawie nie zauważała ich braku, ale teraz zaczynała czuć, że jest coś warta, że ma do powiedzenia coś istotnego. A przynajmniej bez poczucia winy mogła odpowiedzieć „nie”. Odmówić pójścia na herbatę czy wyrazić sprzeciw wobec agresywnego żądania seksualnego. Zrozumiała w końcu, że ma prawo się nie zgodzić.

Wiedziała jednak, że dawne doświadczenia są na zawsze wpisane w każdą komórkę jej ciała. Czowała, że będzie holować dawny obraz siebie jak zbędny balast. Gdyby tylko dano jej wybór, po stokroć wolałaby przeżyć to wszystko bardziej emocjonalnie. Wówczas po oczyszczającym wybuchu historii nadszedłby nieunikniony żal. W jej przypadku stało się inaczej. Wlokła za sobą stłumione

nieszczęście, które nie znalazłszy ujścia, wpłynie zapewne na resztę jej życia. Zrezygnowana, pogodziła się z tym. Strach przed Markiem minął. Miejsce męża zajął duch, który pojawiał się za jej plecami w lustrze w łazience lub niespodziewanie przytulał do niej w nocy pod kołdrą. Takie wywołujące chwilowy szok wspomnienia były o niebo lepsze niż potworny strach, w jakim trwała przedtem.

Natomiast utrata kontaktu z dziećmi ciążyła jej na sercu wręcz niemiłosiernie. Ból związany z ich nieobecnością był ostry i gwałtowny. Utrudniał oddychanie i prawie uniemożliwiał jedzenie. Jej sny nawiedzały wspomnienia. Regularnie budziła się z płaczem, zagubiona w zatrzymanych obrazach z przeszłości: doleczku w pulchnym paluszkach Lydii, niebieskiej, włóczkowej rękawiczce Dominica, zgubionej na ogrodowej ścieżce. Koncentrację na jakimkolwiek zajęciu uniemożliwiała głęboka, dojmująca tęsknota za dziećmi. Wręcz fizyczny, wycieńczający głód, który zdawał się nigdy nie słabnąć. Towarzyszył jej w każdej sekundzie każdego dnia, przy każdej czynności. Mimo to, niczym spragniony wędrowiec błądzący po pustyni w poszukiwaniu wody, nie potrafiła sobie z nim poradzić. Na końcu języka wciąż czekały słowa wyjaśnienia i przeprosin, ale ponieważ żadne z dzieci nie chciało ich słuchać, wydawały się nie mieć sensu. Frustracja z tego powodu często doprowadzała ją do łez. Choć starała się to wyjaśnić, strażniczki nie pojmowały czy nie chciały pojąć, że cierpi nie tyle z powodu samego pobytu w więzieniu, ile z niewyobrażalnego pragnienia, by spędzić choć trochę czasu z dziećmi. Godzinę, dwie, wyjaśnić im, pocieszyć je. Czy ktoś nie mógłby ich zmusić do odwiedzin? Błagam...

Tuż pod powiekami, tak blisko, że wystarczy mrugnąć, by stało się rzeczywistością, kryło się wspomnienie karmienia piersią. Każde z nich było takie małe, takie cudowne i takie podziwiane. Pamiętała, jak wodziły paluszkami po białej, napiętej skórze piersi, przez którą prześwitywały niebieskie żyłki, krętymi drogami zmierzające w stronę różanych usteczek. Pamiętała, jak powoli, ociężałe opadały ich powieki, kiedy już najedzone, zapadały w drzemkę. Tęsknota objawiała się silnymi skurczami brzucha, podobnymi jak te przy karmieniu. Gdyby tylko mogła wrócić do tamtych dni i zdobyć się na odwagę...

Miarowy stukot kłapek o linoleum przypomniał jej, że to czas roznoszenia listów. Niechlujna dziewczyna, która rozwoziła pocztę, zatrzymała wózek i przekartkowała plik brązowych kopert. Kate zawsze wyczuwała, kiedy dostanie list. Uśmiechnęła się na myśl o siostrze bazgrzącej szybko przy małym biurku pomiędzy łyżkami kawy a ścieraniem blatu. Kochana Francesca.

Dziewczyna cisnęła list na łóżko Kate przez szeroko otwarte drzwi celi. Ponieważ do niej samej nikt nigdy nie napisał, nie miała pojęcia, ile radości może sprawić taka mała koperta, jak bardzo zmienić tok myśli.

– Dziękuję – powiedziała szczerze Kate.

Dziewczyna niemal niedostrzegalnie skinęła głową. Nie na podziękowaniach jej zależało, ale na

tych paru pensach, które czasem wpadały jej za fatygę.

Kate, niczym koneser kosztujący dobre wino czy dojrzały ser, nauczyła się nie spieszyć. Zawsze odwlekała moment otwierania listu. Najpierw obracała kopertę w dłoniach, ważyła ją, przyglądała się stempłowi, analizowała charakter pisma. Dyskretnie zakrywała kciukiem swój numer więzienny, wypisany czarnym tuszem w lewym górnym rogu koperty. Uparcie ignorowała fakt, że cieniutki paseczek kleju został wcześniej podważony, koperta rozerwana, a treść listu zatwierdzona czerwoną ukośną pieczęcią „ocenzurowano”. Sekundę lub dwie trwało, zanim odrzuciła od siebie myśl, że jakiś więzienny urzędnik już nasycił się wiadomościami przeznaczonymi tylko i wyłącznie dla niej. Udawała, że znajduje się w zupełnie innym miejscu, zwyczajnie otrzymuje wiadomości i cieszy się z kontaktu z resztą świata.

Przez chwilę obracała brązową kopertę w palcach, po czym położyła ją sobie płasko na dłoni. Serce podskoczyło jej z radości. Tym razem adres nie został wypisany długopisem siostry i jej zamasztysem, pełnym zawijasów charakterem, ale precyzyjnym, drobnym maczkiem, wyraźnie wskazującym na rękę córki.

– Och! To od córki!

Kate nie wiedziała, do kogo woła. Okrzyk mimowolnie wyrwał się z gardła, rozluźnionego nagłą radością.

– To świetnie, kochana – odpowiedział czyjś obojętny głos z sąsiedniej celi.

To dopiero drugi list od Lydii w ciągu trzech lat. Cieniutki arkusik poprzedniego Kate doprowadziła niemal do stanu pełnego zużycia. Ten nowy cenny talizman dostarczy jej tematów do niekończących się rozmyślań. Każde słowo natychmiast pociągnie za sobą wspomnienie. Tekst i jego znaczenie to jeszcze nie wszystko. Sam fakt, że oto trzyma w ręku ten sam kawałek papieru, na którym spoczywała dłoń córki, i wodzi palcem za nakreślonymi przez nią literami, łączył ją z dzieckiem o wiele żywiej niż samo wspomnienie. Niewysłowioną przyjemność sprawiało wdychanie ledwie wyczuwalnego zapachu pozostawionego na papierze przez lekki dotyk nadgarstka córki. Tamtego dnia Kate czytała dwustronicowy list co najmniej dwadzieścia razy, natomiast w przyszłości jego lektura stała się obowiązkowym, codziennym rytuałem.

Boże, Mamo,

to już prawie trzy lata, trudno uwierzyć. Francesca jest ciągle tak samo stuknięta, ale kochana i bardzo mi Ciebie przypomina. Widzę w niej wiele Twoich cech i na odurót. Chyba wcześniej nie spędzałam z nią wystarczająco dużo czasu, by w ogóle zurócić na to uwagę. Ma taki sam głos jak ty i na początku robiło mi się smutno, kiedy do mnie dzwoniła albo wołała mnie na obiad. Teraz już się przyzwyczaiłam i czasem wyobrażam sobie, że to ty wołasz mnie z dołu na herbatę. Robi mi się wtedy miło.

Kate przerwała lekturę, by otrzeć łzy, które przysłoniły jej widok. Przed oczami stanęły jej niezliczone chwile, kiedy z kuchni wołała: „Dzieci, kolacja!”, a potem słyszała, jak zbiegają, śmiejąc się albo kłócąc. Och, jak tęskniła za nakładaniem im porcji na talerze, słuchaniem, jak marudzą, patrzeniem, jak grzebią w jedzeniu widelcem, za wycieraniem tego, co rozlały na obrusie i upominaniem, by nie rysowały butami drewnianej podłogi.

Na studiach jest świetnie! Mam mnóstwo nauki, ale kiedy zadają nam nowe prace, myślę zausze, że to super! Nie jęczę, jak inni, dla których to po prostu następna katarga. To chyba znaczy, że studia podobają mi się bardziej niż im. Podobno jestem całkiem dobra – szczególnie moje obrazy, z czego bardzo się cieszę.

Wiem, że długo nie pisałam. Często zaczynam list, ale nie mogę go skończyć. Mam nadzieję, że ten skończę. Jeśli nie, to niedługo znów spróbuję. Ciężko mi pisać, mamo, naprawdę. Nie wiem, jak do ciebie pisać, jeśli wiesz, o co mi chodzi.

– Wiem, kochanie, wiem, że ci ciężko, ale nie przestawaj, Lydi. Dla mnie to takie ważne. – Kate nie zdawała sobie sprawy, że powiedziała to na głos.

– Co tam, gości masz? – wrzasnął ktoś z przeciwnej strony korytarza. Kate nie odpowiedziała. Zwróciła się wprost do córki.

Długo trwało, zanim sobie usuiadomiłam, że to, co się stało, stało się naprawdę, że to nie był zły sen. Bardzo długo tak mi się wydawało. Chodziłam na terapię w Yorku i pomogło mi. (Chociaż nie przypuszczałam. Dominic nie chce iść, ale uważam, że powinien). Dzięki terapii rozumiałam, że tata był moim tatą niezależnie od tego, co zrobił, a czego nie zrobił. Tęsknię za nim i żałuję, że go nie ma, bo był moim tatą, a zanim do tego uszystkiego doszło, był świetnym tatą. Byłam dumna, że mój tata jest dyrektorem szkoły. Czułam się dzięki niemu wyróżniona. Pamiętam tylko, że przy nim czułam się zausze szczęśliwa. Nigdy inaczej. Ciebie też mi żal, mamo. Byłaś dla mnie „szumem w tle” – zausze byłaś, zausze czymś zajęta. Teraz w moim świecie panuje cisza, bo cię straciłam. Straciłam was oboje.

– Nie, to nieprawda, kochanie. Wciąż tu jestem! – powiedziała Kate chrapliwym szeptem. Struny głosowe napięły jej się z przejęciem.

Czasem gadamy o tym z Dominikiem – nie cały czas, jak mogłabyś się spodziewać, ale czasem. Tak jakbyśmy mieli wspólny sekret. Mówimy o tym zausze szeptem. Jeśli uda się pogodzić terminy, to spróbujemy do ciebie przyjechać w ferie.

*Tęsknię i całuję cię jak zausze
Lyds*

Kate przycisnęła list do serca, tuląc do piersi słowa córki. Wiedziała, że Lydia ma rację – ojciec na zawsze pozostanie ojcem, niezależnie od tego, co zrobił lub czego nie zrobił. Nigdy w życiu nie miała zamiaru wywierać presji na swoje wspaniałe dzieci. Zawsze je chroniła i będzie to robić dalej.

Zwłaszcza jedno zdanie zapadło jej w pamięć: „spróbujemy do ciebie przyjechać w ferie”. Już na samą myśl, że być może zobaczy dzieci, zakręciło jej się w głowie. Mięśnie brzucha od razu napięły się w oczekiwaniu. W każdym miesiącu miała prawo do dwóch sześćdziesięciminutowych wizyt. W czasie całego pobytu odbyła dopiero dwie – jedną z wyznaczonym przez sąd kapelanem, a drugą z Francescą, która przyjechała z drugiego końca kraju, żeby spędzić godzinę w wymuszonej, napiętej atmosferze sali odwiedzin. Kate przekonała ją, że lepiej wykorzysta czas, zostając w domu, w Hallton, z Lydią i Dominikiem. Godzinne spotkanie upłynęło niepostrzeżenie. Niezręcznie ścisnęły się za ręce i przez lzy wyszeptaly dziwaczne, niestosowne słowa pożegnania. Wszystko razem było okropne.

Minęły cztery tygodnie, potem sześć, osiem. Kate przestała je odliczać. Nie przyjechali.

Pogodziła się z tym, że wraz z upływem czasu malało prawdopodobieństwo, iż dzieci w ogóle ją odwiedzają. Z każdym kolejnym dniem ciemna przepaść, którą Lydia i Dominic musieliby przekroczyć, stawała się coraz szersza i groźniejsza. Mogła liczyć na odwiedzin tylko jednej osoby – swojej najbliższej przyjaciółki Natashy. Jej pierwszej wizyty nie zapomni nigdy. Od paru tygodni była już w więzieniu, gdy pewnego dnia usłyszała zbliżający się do jej celi charakterystyczny pisk gumowych podeszew butów strażniczki.

– Kate, masz gościa.

– Co?

Chociaż usłyszała doskonale, słowa te wprawiły ją w takie zdumienie, że poprosiła o powtórzenie. Strażniczka otworzyła drzwi celi. Kate natychmiast poczuła podenerwowanie. Tak rzadko ktoś ją odwiedzał, że zapomniła już, jak to jest. Na ułamek sekundy ogarnęło ją zniecierpliwienie z powodu przerwanej lektury. Paulo Coelho będzie musiał poczekać. Serce waliło jej w piersi, a w ustach zrobiło się zupełnie sucho.

Lydia, Dominic albo oboje. Kto wreszcie postanowił przyjechać? Och, błagam, oby to byli oni, obydwójce, modliła się w myślach. Ręce trzęsły jej się w kieszeniach bluzy. Pokonując długi korytarz, poprawiała palcami grzywkę, jakby sądziła, że stan jej fryzury będzie miał dla gości jakieś znaczenie.

Sala odwiedzin była funkcjonalna i surowa, mniejsza, niż sobie wyobrażała. W trzech rzędach stały po cztery w każdym jednakowe kwadratowe stoły i plastikowe krzesła – takie same, jak w Mountbriers. Z każdego rogu mrugały światełka kamer bezpieczeństwa. Na podłodze leżało wyfroterowane na wysoki połysk linoleum. Ależ na tym się można poślizgnąć – pomyślała Kate, zaglądając przez szybę w drzwiach na chwilę przed wejściem do sali.

W środku siedzieli odwiedzający, a wraz z nimi kilka współwięźniarek, które poznała wcześniej. Widok tych kobiet w towarzystwie bliskich i znajomych był dla Kate fascynujący. Wulgarna, bezczelna blondynka imieniem Moll ścisnęła w rękę czyjeś zdjęcie i płakała. Nie taka znów z niej twardzielka – przemknęło przez myśl Kate.

Sąsiadka Kate, Jojo, miała na sobie podkoszulek w pełni eksponujący pokłute mięśnie narkomanki. Zgarbiona, siedziała na krześle naprzeciwko wystrojonej w perły i błyszczący zegarek kobiety – z całą pewnością swojej matki. Ta wyduła usta i co chwila rzucała niespokojne spojrzenia na ścienny zegar, emanując dezaprobatą i rozczarowaniem.

Kate przebiegła wzrokiem po pozostałych stolikach. Gdzie jesteście, gdzie jesteście?

Kiedy wreszcie natrafiła na znajomą twarz, oczy jej się zaświeciły. To Natasha – nauczycielka plastyki z Mountbriers, jedyna przyjaciółka Kate. By ukryć rozczarowanie, uśmiechnęła się szeroko. Czyli jednak nie dzieci. Przynajmniej nie dziś.

Natasha siedziała, podziwiając swoje paznokcie, po czym poprawiła bransoletkę, by jak najlepiej wyeksponować wzór, w jaki układały się paciorki. Przyglądała mu się z niemal takim zapamiętaniem, jakby w piękny słoneczny dzień czekała na faceta w kawiarni Costa Coffee, a nie na koleżankę w więzieniu. Wydawało się, że przed chwilą wyszła z kawiarnianego ogródka w St. Tropez. Miała piękną, złocistą opaleniznę. Srebro-diaamentowe klamry przytrzymywały niesforne włosy sięgające do ramion. Szczupły tułów opinał podkoszulek, pod którym nie było widać biustonosza, a z krzesła spływała na podłogę kolorowa patchworkowa spódnica. Kate wiedziała, że przyjaciółce nawet przez myśl nie przeszło, by udawać smutną czy przygnębioną.

Kate usiadła naprzeciwko, nie bardzo wiedząc, jak zacząć rozmowę. Natasha nie dała jednak po sobie poznać, że nie widziały się od wielu miesięcy.

– Dobra, więc gdy miałam dwanaście lat, ukradłam butelkę Panda Pop. Na tym się skończyło moje złodziejstwo, bo nie odważyłam się powtórzyć tego wyczynu. Za każdym razem, kiedy pod wieczór ktoś do nas przychodził, myślałam, że to policja, po mnie! Właziłam pod kołdrę i siedziałam tam, dopóki ten ktoś sobie nie poszedł.

Kate potrząsnęła głową, starając się złapać wątek.

– To był jednorazowy wyczyn. Okazało się, że kradzież mnie nie bawi. A, i raz po kryjomu zajrzałam do twojego notesu, leżał na stole w kuchni, w Mountbriers. Przeczytałam listę spraw do załatwienia, wszystkie były dosyć zwyczajne. I widziałam, że narysowałaś kwiatek, niezbyt ci wyszedł, jakbyś go ujęła nie z tej perspektywy. I pamiętam, że pomyślałam: Boże, mam nadzieję, że ten kwiatek ma oznaczać coś ekscytującego, bo nie wyobrażam sobie, żeby życie było aż tak nudne! No i jeszcze, uwaga, uwaga, zadurzyłam się tak troszkę w Cattermole’u, tym kapelanie szkolnym. Liczyłam na mały romans w stylu *Ptaków ciemnych krzewów*. Myślałam, że będzie rozdarty między powołaniem a pożądaniem.

Natasha uniosła wypielęgnowaną brew i rzuciła Kate figlarny uśmiech.

– No dobrze, Kate, wyspowiadałam się przed tobą. Nie zdradziłam wcześniej swych grzeszków nigdy i nikomu, choć może powinnam była. Przecież wiedziałam, że mnie nie potępisz, że mnie lubisz i że zawsze mi pomożesz, żeby nie wiem, co. Teraz twoja kolej!

Kate śmiała się, dopóki w oczach nie zebrały jej się łzy.

– Och, Tash, nigdy nikomu nie powiedziałam. Nie mogłam.

– Kochana, tak tylko się z tobą droczę. Mamy mnóstwo czasu.

– Chyba masz rację. Nienawidziłam udawać – przed wszystkimi, ale zwłaszcza przed tobą. No i doszłam do punktu, od którego dalej już nie mogłam.

– Wiesz co, stara? Wiedziałam, że coś u was nie gra. Pod wieloma względami był swinią, nie facetem, ale nie miałam pojęcia, że aż tak cierpiałś. Podejrzywałam, że trochę utrudnia ci życie, ale kiedy dowiedziałam się szczegółów... – Natasha przerwała i zebrała myśli. – Kate, jesteś niezwykłą osobą. Silniejszą niż ktokolwiek, kogo znam. Dźwigałaś taki ciężar, żeby ukryć to przed dziećmi. Naprawdę cię podziwiam.

– Nie czułam się silna. Wręcz przeciwnie. Nawet teraz.

– To jasne. Większość ludzi w takich okolicznościach nie byłaby w stanie funkcjonować, a co dopiero robić dobrą minę do złej gry i udawać przed resztą świata, że wszystko gra. Mówię szczerze, jesteś niesamowita.

Kate uśmiechnęła się. Nie była przyzwyczajona do rozmów o własnych uczuciach. Nie umiała też przyjmować komplementów.

– Jak sobie radzisz? – Na twarzy Natashy malowała się troska.

– Ja?... – Jak sobie radziła? Trudno ująć to w słowa. – W porządku. Mam tu spokój, lubię to. Mogę czytać. Ale oczywiście... tęsknię. Dostałam od Lyd dwa listy, ale od Dominica nie. Napisała, że może... Myślałam, że to może... – Czy Kate zapiekły, z nosa zaczęło jej cieknąć, a usta brzydko się zacisnęły.

– Widziałam ich.

Słowa przyjaciółki jednocześnie bolały i koły.

– Och! Naprawdę, Tash?

Miała tyle pytań! Wszystkie spiętrzyły się w wielką kulę zawistnej żółci, która urosła jej w gardle. To moje dzieci, moje! Dlaczego ty je widziałaś, nie ja?

– Jak można się było spodziewać, są na przemian wściekle i zdezorientowane, ale świetnie dają sobie radę. Lydia wyraża myśli i emocje poprzez sztukę. Jest bardzo zdeterminowana, skupiona na celu, ma twoją siłę. Dominic żyje w zupełnie innym świecie, ale on zawsze taki był.

Obie kobiety wróciły myślami do minionych dni w Mountbriers.

– To się zmieni, Kate. Twoja siostra robi świetną robotę. Dzięki niej jesteś obecna w ich życiu –

codziennie po trochu. A to coś skomentuje, a to wspomni o waszym dzieciństwie, i tak dalej.

Dobrze było to słyszeć.

– Dziękuję.

Słowo to prześlizgnęło się przez umazane cieknącą z nosa wydzieliną wargi. Serce pękało jej z tęsknoty. *Moje dzieci, moje dzieciaczki...*



Kate przywołała uśmiech na twarz i weszła do sali lekcyjnej. Po osiemnastu miesiącach nienagannego sprawowania w więzieniu zaproponowano jej zorganizowanie i poprowadzenie zajęć z literatury angielskiej dla współwięźniarek. W końcu absolwentki anglistyki, w dodatku takie, które miały chęć pracować, nieczęsto tu trafiały.

Współwięźniarki pochodziły przeważnie z zupełnie innych kręgów społecznych niż Kate. Ponad osiemdziesiąt procent stanowiły narkomanki, które siedziały za przestępstwa popełnione dla zdobycia środków na narkotyki. Najczęściej chętnie o sobie opowiadały. Mimo sporego przedziału wiekowego – miały od osiemnastu do sześćdziesięciu lat – ich historie niewiele się od siebie różniły. Wszystkie mówiły o nieustępliwych, trzymających w żelaznym uścisku kleszczach nałogu i o tym, że zdobycie kolejnej dawki stanowiło dla nich sprawę życia i śmierci. Dla narkotyku gotowe były zaprzedać wszystko, także siebie. Nie wahały się absolutnie przed niczym. Większość z nich tak często trafiała za kratki, że ich sytuacja przypominała przechodzenie przez obrotowe drzwi; po jednej stronie znajdowała się heroina czy kokaina, a po drugiej cela. Wydawało się, że więzienie daje im chwilę wytchnienia, pozwala odzyskać jasność widzenia i złożyć obietnice, których, jak wiedziały, i tak nie dotrzymają.

Kate szczególnie żałowała tych młodszych – większość z nich z góry skazana była na przegraną. Wiedziała, że gdyby choć w niewielkim stopniu nimi pokierować i potraktować je z większą życzliwością, mogłyby – jak jej własne dzieci – być teraz na studiach lub projektować hotele zamiast siedzieć w więzieniu. Tymczasem one przez dwanaście godzin dziennie oglądały ogłupiające programy w telewizji lub zajmowały się dokuczaniem współwięźniarkom, od których przecież niczym się nie różniły.

Po pierwszych poprowadzonych zajęciach Kate miała poczucie sukcesu. Choć gdy dwadzieścia lat wcześniej zdobywała uprawnienia pedagoga, nie sądziła, że przyjdzie jej pracować w takim środowisku. Co z tego, jeśli dzięki temu wreszcie była nauczycielką, stała się kimś. Jej zajęcia

szybko zyskały popularność i zebrały komplet słuchaczek. Dlatego za każdym razem wchodziła do sali z entuzjazmem.

– Witajcie, dziewczyny, Hamlet wzywał! Otwórzcie, proszę, książki tam, gdzie skończyliśmy tydzień temu. Na fragmencie, gdzie Ofelia zaczyna tracić rozum. Możemy zaczynać?

Wszystkie „kursantki” były spragnione wiedzy, która stanowiła ucieczkę od rzeczywistości. Kate rozumiała ich potrzeby aż za dobrze.

– Co sądzicie o Ofelii? Według was naprawdę straciła rozum? Czy może chodzi tu o coś innego?

– Myślę, że zwariowała, tak. Przecież musiała znosić tego dupka Hamleta!

Słyszając to zwięzłe podsumowanie, klasa zarechotała.

Kate też się zaśmiała. W tej klasie nie istniało pojęcie dobrej czy złej odpowiedzi. Liczyła się trzeźwa opinia.

– Podobna mi się to, co powiedziałaś, Kelly. Oczywiście, masz rację. Wydaje się, że Ofelia jest na łasce mężczyzn, którzy pojawiają się w jej życiu. Jest ofiarą. Sam Hamlet wykorzystuje ją do zemsty. Myślę, że powodem cierpienia Ofelii jest sposób, w jaki mężczyźni w tej sztuce postrzegają kobiety. Życiem Ofelii kierują ojciec i brat. Sądzicie, że powodem jej szaleństwa jest poczucie winy wynikające z tego, że Hamlet prawdopodobnie postradał zmysły, a ojciec został zamordowany?

Kate przerwała i rozejrzała się po sali. Z rozłożonymi dłońmi skierowanymi wnętrzem do góry oczekiwała odpowiedzi.

Z krzesła wychyliła się Jojo.

– Nie chce mi się wierzyć, że nawet w przeszłości, za czasów Hamleta, kobiety były traktowane jak gówno. W takim razie przez setki lat nic się nie zmieniło. – Potrząsnęła głową.

Kelly nie miała zamiaru się z nią zgodzić.

– Mów za siebie, Jojo. Ja sobie nigdy nie pozwałam na złe traktowanie. Jak ty pozwalasz, to znaczy, że jesteś słaba. Jak facet mnie źle traktuje, odchodzę. Zawsze. Ofelia powinna była zrobić tak samo.

Kate przyzwyczaiła się już do ciągłych przeskoków między tekstem literackim a realiami życia i z powrotem. Nie spodziewała się jednak tak zajadłej, owocnej dyskusji. Była pod wrażeniem.

– Zawsze, Kelly? – podchwyciła. – A jeśli pojawiają się okoliczności, które nie pozwalają odejść? Jakież inne powody?

– Na przykład? Nie ma rzeczy, która by mnie zmusiła, żebym została z jakimś pieprzonym dupkiem, po prostu nie ma!

– Dobrze. Przede wszystkim spróbujmy trochę zapanować nad językiem, choć sam Szekspir uwielbiał przeklinać! Wydaje mi się, że mówimy o dwóch różnych sprawach. Ofelia znalazła się, po pierwsze, w pułapce czasów, w których żyła, po drugie – w pułapce okoliczności swojego życia. Ty twierdzisz, że w dzisiejszym świecie nie jesteśmy zmuszane, by znosić złe traktowanie. Tak?

– Tak. – Kelly skinęła głową. Właśnie to miała na myśli.

– A ja cię pytam, co by było, gdybyś miała powody, żeby zostać. Niezależnie od tego, co na ich temat sądziłby inni. Mogłyby to być powody, które sama sobie narzuciłaś, na przykład poczucie winy lub obowiązku. Albo względy praktyczne, na przykład nie miałabyś dokąd pójść, groziłaby ci bieda, brak dachu nad głową...

Dziewczyny patrzyły na nią w milczeniu. Kate uświadomiła sobie, że wiele z nich, o ile nie wszystkie, doświadczyły i biedy, i braku dachu nad głową. Zaakceptowały te okoliczności, a nawet się ich spodziewały. Poprzeczka ustawiona była naprawdę nisko. Postanowiła więc zmienić taktykę.

– A gdybyś miała dzieci? Gdybyś musiała zostać, żeby się nimi opiekować? – Wyobraziła sobie Dominica i Lydię w wieku siedmiu i ośmiu lat. Przypomniała sobie, jak kładła ich do snu, całowała w czoło, gasiła światło.

– Musiałabym być nienormalna, żeby mieć dzieci z jakimś dupkiem! – wykrzyknęła nieprzekonana Kelly.

Wtrąciła się Jojo. Patrzyła prosto na Kelly.

– Ja miałam dzieci właśnie z takim dupkiem. Problem w tym, że najpierw wydawał się w porządku, zrobił mnie, a potem okazał się złym człowiekiem, draniem, oszustem, totalnym chamem. – Jojo instynktownie objęła tułów rękami, jakby sama siebie chciała osłonić czy przytulić.

Kate uśmiechnęła się do niej. Miały ze sobą więcej wspólnego, niż dziewczynie mogłoby się wydawać. Przyszło jej do głowy, że być może właśnie znalazła bratnią duszę.

– I co, zostałaś z nim dla dzieci?

– Nie. Dla prochów. Dzieci poszły do domu dziecka w niecały rok po tym, jak się do mnie wprowadził. Już ich nie widuję.

Choć Jojo wyrzuciła z siebie te słowa z odwagą, Kate dostrzegła, że na samo wspomnienie o dzieciach oczy zaczęły jej błyszczeć, a twarz okrył rumieniec. Zauważyła, że kobieta odruchowo położyła rękę na lewej piersi, którą wykarmiła dzieci. Gest ten niewątpliwie dowodził, że w innych okolicznościach Jojo mogłaby być znacznie lepszą matką.

Kate zerknęła do otwartej książki:

– „(...) Słabości, imię twe kobieta^[1] (...)”. Usiadła na krześle przed klasą, świadoma skierowanych na nią spojrzeń. Serce pękało jej na samą myśl o zmarnowanych istnieniach tych dziewczyn. Przyszło jej do głowy, że to wszystko nie ma sensu. Czy coś się zmieni, jeśli poznają Szekspira? Czy przywróci to Jojo dzieci, a Kelly równowagę psychiczną? Oczywiście, że nie. A może tu chodzi głównie o jej głupią, egoistyczną potrzebę samorealizacji?

Kate wiedziała, że nie może tak tego zostawić. Z trudem przełknęła ślinę i zamknęła książkę. Kiedy się odezwała, jej głos brzmiał bardzo łagodnie.

– Czasem łatwo nam trzeźwo osądzać innych albo mówić, jak by się samemu postąpiło na ich

miejscu. Myślę jednak, że wszystkie mamy ze sobą coś wspólnego. Wiem, jak trudno podjąć właściwą decyzję, gdy jest się zmęczoną, zastraszoną czy otumanioną prochami. Ofelię oceniamy tak samo, jak ludzie oceniają nas. Ale przecież ci ludzie prawdopodobnie nigdy nie znajdują się na naszym miejscu. Wiem, że kiedy czuję się zagubiona, przygnębiona i zmęczona, nie jestem w stanie nawet spokojnie zrobić sobie herbaty, a co dopiero mówić o podjęciu słusznej, życiowej decyzji. Chodzi mi o to, że życie nie zawsze jest lekkie i łatwe. Ale komu jak komu, wam nie muszę tego tłumaczyć.

Tu i ówdzie rozległ się stłumiony śmiech, ale ogólnie panowała cisza. Każda z kobiet zastanawiała się nad niewłaściwymi decyzjami, które podjęła i które zaprowadziły ją tu, do tej oświetlonej jarzeniówkami sali lekcyjnej więzienia dla kobiet w Marlham.

Nagle metalowa noga krzesła zazgrzytała o podłogę. Wszyscy odwrócili głowy. Janeece siedząca w ostatnim rzędzie, jak zwykle uważnie słuchała i zapalczywie notowała. Niedługo po przybyciu do więzienia Kate wyciągnęła do niej rękę, a Janeece, która nigdy od nikogo nie doświadczyła wsparcia, uczepiła się jej i już nie chciała puścić.

Wstała powoli, obciążając szary za duży T-shirt, który nosiła, by zamaskować obfity brzuch. Następnie zebrała się na odwagę i zwróciła do klasy.

– Myślę, że czasami łatwiej jest odejść. A żeby zostać, trzeba mieć odwagę. O wiele trudniej niż odejść, jest zostać w złych, strasznych warunkach. Moja mama odeszła, jak tylko zrobiło się ciężko. Odchodziła i wracała, odchodziła i wracała, aż wreszcie odeszła na dobre. Miałam wtedy sześć lat. Zanim zniknęła, sytuacja już była do dupy, ale potem zrobiło się jeszcze gorzej. Musiałaby zdobyć się na wielką odwagę i włożyć dużo wysiłku, żeby zostać i doprowadzić cały ten bajzel do porządku. Ofelia mówi: „Wiemy, czym jesteśmy, ale nie wiemy, co się z nami stanie”^[2]. Myślę, że to znaczy, że jeśli spróbujemy, możemy podjąć właściwą decyzję i zostać tym, kim zechcemy. To zależy od nas.

Kate rozpromieniła się. Jeżeli udało jej się sprawić, by Janeece odezwała się publicznie, do tego cytując Szekspira, to może jednak praca nauczycielki nie była tylko spełnianiem jej własnych egoistycznych potrzeb?

Od pierwszego spotkania z Janeece, prawie półtora roku wcześniej, wiele się między nimi zdarzyło. Poznały się w miesiąc po tym, jak Kate trafiła do więzienia. Cieszyła się, że pierwsze tygodnie minęły bez większych przygód. Udało jej się wypracować swoistą rutynę. Mimo całonocnych hałasów, nieźle też sypiała.

Tego popołudnia, jak prawie co dzień, siedziała przy dużym stole we wspólnej świetlicy na parterze. Większość więźniarek zgromadziła się wokół telewizora. Inne grały w bilard lub robiły na drutach. Ona, jak zwykle, tkwiła z nosem w książce. Tym razem było to *Pod drzewem, pod zielonym* Thomasa Hardy’ego. Włosy miała ostrzyżone na pazia. Lata samodzielnego podcinania i dbałości o schludną fryzurę na pewno teraz zaprezentują. Nagle poczuła dżgniecie w plecach. Odwróciła się

przestraszona i znalazła twarz w twarz z potężną nastolatką rasy mieszanej, o twarzy pokrytej trądzikiem.

– W czym mogę ci pomóc?

Przez zaciśnięte usta dziewczyna wycedziła szybko wrogie słowa:

– Ee, spadaj z mojego miejsca!

– Ach, tak, a z kim rozmawiam?

Doświadczenie nauczyło Kate ukrywać strach i zachowywać spokój w sytuacjach zagrożenia.

Wiedziała, że lepiej wtedy nie prowokować. Mimo to serce waliło jej w piersi. Czyżby właśnie nadeszła pierwsza nieprzyjemna konfrontacja? Uśmiechnęła się do dziewczyny jak do sześciolatka, który samotnie szwenda się po supermarkecie.

– Janeece.

– W takim razie miło mi cię poznać. Jestem Kate.

Wyciągnęła rękę.

Dziewczyna niechętnie rozwinęła pięść i wysunęła dłoń. Kate potrząsnęła nią, a Janeece, nieprzyzwyczajona do kontaktu fizycznego, szybko wyrwała się z uścisku.

– Po pierwsze, Janeece, wydaje mi się, że to miejsce należy do wszystkich, a po drugie, dlaczego zwracasz się do mnie na „ty”, skoro się jeszcze nie znamy? Powinnaś chyba powiedzieć „niech pani spada z mojego miejsca”, słyszysz różnicę?

Oniemiała dziewczyna patrzyła na kobietę w średnim wieku, która z wyglądu przypominała nauczycielkę, a ze sposobu mówienia – Mary Poppins. Kiwnęła głową.

Kate ciągnęła:

– Właśnie zamierzam zabrać się do lektury *Pod drzewem, pod zielonym* Thomasa Hardy’ego.

Czytałaś?

Janeece pokręciła głową.

– Nie. Nie czytam książek.

– Ach, to wielka szkoda, Janeece. Tracisz przez to kontakt z milionem innych światów, które mogłabyś odwiedzić. A ponieważ twój własny świat ogranicza się do tych ponurych czterech ścian, nie byłoby to takie głupie. Dlaczego nie czytasz książek?

Dziewczyna gapiła się na nią bez słowa, po czym zła i zawstydzona przygryzła dolną wargę.

W uszach Kate brzmiała prawdopodobna odpowiedź, choć Janeece nie wypowiedziała ani słowa.

„Bo nie potrafię. Nie czytam książek, bo nie umiem dobrze czytać, nie rozumiem wszystkich słów...”.

– Może chciałabyś, żebym ci poczytała?

Kate pokazała jej okładkę.

– Co?

Janece odchyliła do tyłu głowę. Czy ta kobieta oszalała? Czy ona wygląda na dziecko, któremu trzeba czytać bajki?

– Pytałam, czy chcesz, żebym ci poczytała. To piękna historia. Na pewno ci się spodoba. Ale, Janece, ostrzegam cię. Jeśli zakochasz się w Hardym, to koniec. Potem będziemy musiały czytać *Z dala od zgiełku*, a potem *Tesę*, mrowane.

Janece w milczeniu okrążyła stół i usiadła naprzeciwko Kate.

– Ile zamierzasz przeczytać?

Może posłucha, chociaż przez chwilę.

– Och, Janece, oczywiście całą. Od początku do końca, słowo po słowie, calutką! Nie stronę tu, stronę tam, ale całą. A jeśli mi się spodoba, wrócę do początku i zacznę od nowa!

– Ale wtedy będziesz już wiedziała, co się stanie.

Janece potrząsnęła głową, jakby to Kate nie pojmowała idei czytania książek.

– Co z tego. I tak czytałam ją już mnóstwo razy. Ale w czytaniu to jest właśnie najpiękniejsze.

Książka nigdy nie jest taka sama, kiedy czytasz ją od nowa. Za każdym razem pewne rzeczy wyobrażam sobie trochę inaczej, uczę się czegoś nowego, a zakończenie zawsze mnie zaskakuje. To tak, jakbyś zmierzała do tego samego celu, ale za każdym razem inną drogą. Dzięki temu w podróży czujesz i widzisz inne rzeczy, a kiedy okazuje się, że już jesteś na miejscu, nie do końca rozumiesz, jak się tam znalazłaś. Tak więc, Janece, chciałabyś wyruszyć ze mną w tę podróż?

Dziewczyna zastanowiła się.

– Dobra. Ale większość ludzi tutaj się ze mną nie zadaje, bo jestem niebezpieczna.

– Cóż, ja o tym nie wiem i nie jestem większością ludzi. Myślę, że wszyscy możemy być niebezpieczni, jeśli się nas sprowokuje. Usiadłaś wygodnie?

– Za co siedzisz?

– Janece, zaczynamy wreszcie czytać czy nie?

– Tak, ale chcę wiedzieć, za co siedzisz. Chcę wiedzieć, z kim mam do czynienia.

– Nie rozumiem, czemu to takie ważne, ale jeśli nalegasz, to ci powiem. Siedzę za morderstwo.

Zadźgałam męża bardzo ostrym nożem i patrzyłam, jak wykrwawia się na śmierć. Po prostu siedziałam i patrzyłam na niego, dopóki nie wycharczał z siebie ostatniego oddechu. Próbowal prosić o pomoc, nawet błagał, ale nie słuchałam i nie pomogłam mu.

Kate próbowała skupić na sobie uwagę Janece.

– Dlaczego to zrobiłaś?

Dziewczyna słuchała uważnie. Bingo!

Kate nachyliła się nad stołem i wyszeptwała konspiracyjnie:

– Bo nie był dla mnie zbyt miły, Janece.

Janece nie miała nic do dodania.

Kate zaczęła:

„Dla mieszkańców lasu niemal każdy gatunek drzew ma swój własny głos, zarówno jak swą własną osobowość. Gdy wiatr powieje, łkanie i jęki świerków stają się tak samo wyraźne jak ich chwiejba; ostrokrzew gwizdże mocując się sam z sobą; jesion świszczy wstrząsany drzeniem; buk szemrze, kiedy jego płaskie gałązki podnoszą się i opadają. A zima zmienia jedynie pieśń tych drzew, co tracą liście, nie niweczając jej odrębności”^[3].



Za każdym razem, kiedy Kate myślała o dniu, w którym wtajemniczyła Janeece w świat książek, ogarniała ją duma. Tak. Była w więzieniu. Skóra powoli szarzała jej od braku świeżego powietrza i dobrych, świeżych warzyw, ale w gruncie rzeczy nie miało to większego znaczenia. Liczyła się każda najdrobniejsza zmiana, jaką mogła wnieść w cudze życie.

Drzwi do jej celi były szeroko otwarte. Nagle zdała sobie sprawę z czyjejś obecności. To potężna postać Janeece przesłaniała całe światło wejścia. Dziewczyna trzymała w ręku jakąś kartkę.

– Coś się stało, kochana?

Rzadko się zdarzało, aby odwiedzała Kate w celi. Najczęściej spotykały się w świetlicy lub w sali lekcyjnej. Twarz Janeece ukryta była w cieniu, więc Kate nie widziała dobrze jej miny.

– Udało się, Kate. Do jasnej cholery, udało mi się!

Łzy zablokowały nos i gardło Janeece, która od lat nie płakała. W dzieciństwie nauczyła się, że płacz jest daremny. Ten płacz był jednak inny. To był płacz z radości.

Kate poderwała się na równe nogi. Natychmiast domyśliła się, o czym mówi Janeece.

– Och, kochana! No i? Jak ci poszło?

Janeece kipiała podnieceniem.

– Dostałam sześć z angielskiego, pięć z francuskiego i cztery z matematyki. Kate, udało mi się!

Nie mogę w to uwierzyć, ale to prawda!

Kate ruszyła naprzód i otoczyła dziewczynę ramionami, jak dalece było to możliwe, tuląc do siebie jej potężną postać. Powiedziała jej we włosy:

– Jestem z ciebie taka dumna, Janeece! Naprawdę!

– Było trudno, ale co z tego. Zamierzam się starać najlepiej, jak potrafię, nawet jeśli będzie

trudno.

– To, co wartościowe zawsze przychodzi nam z trudem, kochana, ale zobaczysz, kiedy stąd wyjdiesz, będzie cię czekać wspaniała przyszłość. Tak jak mówiłaś – jeśli człowiek się stara, może zostać tym, kim tylko zechce. Teraz wszystko zależy od ciebie. Długie godziny pracy zaprocentują, Janeece, na pewno. Na razie dokonałaś najtrudniejszego – uwierzyłaś w siebie. Popatrz, jak bardzo się zmieniłaś, jak daleko zaszłaś. Reszta to nic w porównaniu z tym, co już osiągnęłaś. I nie będziesz sama. Ja będę z tobą.

– Kate, to wszystko dzięki tobie. To ty zmieniłaś moje życie, to wszystko twoja zasługa. Nie miałam nic, a teraz mam coś. Pójdę na studia, zostanę kimś, a wszystko dzięki tobie.

Wyszeptała to prosto w ramię nauczycielki. Nikt prócz Kate nie słyszał jej słów, ale ona słyszała je głośno i wyraźnie.

[1] Przeł. Józef Paszkowski.

[2] Ibidem.

[3] Przeł. Ewa Kołaczkowska.

Rozdział 3

Dziesięć lat wcześniej

Dzień dobry, pani Brooker.

– Dzień dobry, pani Bedmaker^[4].

Chłopcy odezwali się jednocześnie. Tylko wprawne ucho wychwyciłoby różnicę między obydwoma pozdrowieniami. Obaj uśmiechnęli się do niej z za modnych długich grzywek. Kathryn wołała, gdy regulamin szkoły jasno nakazywał chłopcom ścinać włosy powyżej uszu i kołnierza. Uważała, że dzięki temu łatwiej byłoby im później podporządkować się zasadom obowiązującym w pracy, ale ponieważ sporo wiedziała o nastolatkach, nie wypowiadała swojego zdania na głos.

Uczniowie spieszyli w sobie tylko znanym kierunku. Idąc, z impetem zderzali się ramionami, by zepchnąć drugiego ze ścieżki. Zabawa ta wprawiała ich w doskonały humor. Gdyby któremuś udało się przewrócić koleżkę, miałby wielką uciechę. Całości dopełniały trzymane w rękach niechlujnie wyglądające książki z pozadzieranymi rogami, wystające ze spodni koszule, niedbale przekrzywione krawaty i podwinięte rękawy szkolnych swetrów. Kathryn nie potrzebowała więcej, by wiedzieć, co myślą na jej temat.

Gdyby to Mark lub któryś z innych surowych nauczycieli stał zamiast niej przed domem, natychmiast upchnęliby koszule w spodniach, poprawili krawaty i wyprostowali plecy. Nie dla niej przeznaczone były jednak takie uprzejmości.

Uśmiechnęła się do nich. Dwóch chłopaków – słodziaków. Chodzili do Mountbriers od małego. Kathryn patrzyła, jak zmieniają się w pełnych życia, radości i pomysłów na przyszłość nastolatków. W jednej chwili przepłynęło przez nią mnóstwo emocji: z jednej strony cieszyła się, że postrzegają ją jako „niegroźną” i czują w jej obecności swobodnie, z drugiej smuciła, że przezywają ją „panią Bedmaker”. Sądziła pewnie, że nie jest na tyle bystra, by dosłyszeć złośliwość. Ale słyszała. Zawsze.

Wyjęła z ust klamerkę do bielizny w kształcie laleczki i uśmiechnęła się. Nie chciała nosić w sobie urazy.

– Dzień dobry, chłopaki! Piękny dzisiaj dzień. Idźcie na lekcje?

Skinęli głowami.

– Jaką macie pierwszą lekcję? Coś ciekawego?

– Literaturę klasyczną, niestety. Potworna nuda – odparł za obu Luca.

Żadne z nich nie usłyszało miękkich stąpnięć Marka po kamyczkach. On tymczasem podstępnie podszedł do sznura na bieliznę, przy którym zajęta była żona.

– Nuda, panie Petronatti? Czy dobrze słyszałem, że określiłeś tym słowem piękny i pożyteczny przedmiot, jakim jest literatura klasyczna?

– Nie, proszę pana! To znaczy, tak, proszę pana! To nuda, ale nie, kiedy pan wykłada! – Luca uciekał na bezpieczne wody za pomocą pochlebstwa.

– Naprawdę się cieszę, że to słyszę, Luca. Czy dobrze mi się zdaje, że obaj właśnie kierujecie się z powrotem do internatu, żeby się porządnie ubrać? Nie jestem pewien, czy pan Middy będzie zadowolony, kiedy się dowie, że chłopcy z Peters House dostali karną pracę za niewłaściwy strój! Jestem za to przekonany, że nie pozwoliliby wam iść do szkoły w takim stanie! Jak wy to zrobiliście? Założę się, że zaczekaliście, aż sprawdzi obecność, po czym prosto po śniadaniu wymknęliście się tylnymi drzwiami?

Chłopcy zachichotali w dłonie, którymi przysłonili twarze. Zrobili dokładnie tak, jak mówił.

– Tak właśnie przypuszczałem – zażartował Mark.

Uczniowie bez słowa zrobili w tył zwrot na ścieżce i wyprostowani, z wysoko uniesionymi głowami, oddalili się w stronę internatu.

– Oglądaliście wczoraj mecz, chłopcy? – krzyknął za nimi dyrektor.

Nie zatrzymując się, odwrócili głowy.

– Tak, proszę pana. Był koszmarny. Ale nam dokopali!

– Prawda! Najlepszy dowód, że możemy złożyć wam skórę, nawet jeśli nie mamy modnych, włoskich butów!

– Mielicie szczęście, proszę pana, to wszystko!

Chłopcy zaśmiali się jeszcze głośniejszym i przyspieszyli kroku. Uwielbiali go. Jak wszystkie dzieciaki, zresztą.

Mark minął żonę i podszedł do podwyższonej nieco względem trawnika rabaty róż otaczającej ich prywatny ogród od tyłu. Oparłszy ręce na biodrach, obserwował roztaczający się przed nim widok. Dom stanowił odrębne skrzydło licealnego kompleksu. Roztaczał się przed nim duży, starannie przystrzyżony trawnik z widokiem na boiska sportowe. Niektóre budynki szkolne pochodziły z czasów gotyku, ale większość była z epoki georgiańskiej. Część administracyjna natomiast kojarzyła się Kathryn z gigantycznym domkiem dla lalek – miała cztery duże, symetrycznie rozmieszczone okna i panelowe drzwi wejściowe z kołatką w kształcie głowy lwa. Czasem przychodziło jej do głowy, by zdjąć frontową ścianę i powkładać do środka laleczki. Sale lekcyjne znajdowały się na obrzeżach dwóch czworokątnych dziedzińców. Całości dopełniała piękna kaplica z początku dziewiętnastego wieku.

Mountbriers Academy należała do okazałych, typowo angielskich placówek edukacyjnych, które nadają się do fotografowania w każdej chwili, o każdej porze roku, z każdej strony i pod każdym kątem. Charakter i historia szkoły były znacznie bardziej imponujące, niż wskazywałyby na to codzienny rwetes. Z wiarygodnych powodów placówka cieszyła się opinią instytucji elitarniej i wyjątkowej. Uznawano ją za ośrodek doskonale kształcący w wielu dziedzinach – od nauk ścisłych po sztuki piękne. Do jej absolwentów należeli wysocy rangą wojskowi, premierzy, znani naukowcy i lekarze. Dumny status ucznia tej placówki zobowiązywał. Wiązał się z konkretnymi wymogami.

Swetry szkolne, stroje sportowe, torby, samochody, a nawet szkolne kosze na śmieci zdobił wyszukany złoty emblemat ze skrzydłami orła w tle i łacińskim napisem: *Veritas Liberabit Vos* – Prawda was wyzwoli. Wszystkie dokumenty szkolne opatrzone były identyczną pieczęcią. Szkoła wykorzystywała każdą okazję, by eksponować elitarny symbol wyróżniający jej uczniów. W Finchbury i okolicach był on natychmiast rozpoznawalny jako świadectwo uprzywilejowanej pozycji, dostępnej tylko nielicznym. Uiszczający spore czesne rodzice nie mieli oczywiście nic przeciwko temu. Był to jeden z elementów dokładnie zaplanowanej kampanii PR, gwarantującej nieprzerwany dopływ środków finansowych.

Dawno minęły czasy, gdy do tej szkoły można było się dostać dzięki rekomendacji dawnego absolwenta, a jednocześnie doskonałemu wynikowi arcytrudnego egzaminu wstępnego. Czasy, kiedy tytułowane głowy niespokojnie przemierzały wzdłuż i w szerz wyłożony boazerią hol w oczekiwaniu na pracownika szkoły z kremową, opatrzoną pieczęcią kopertą, której zawartość miała wygładzić przed ich synami życiowe ścieżki albo je pogmatwać.

Teraz wszystko wyglądało inaczej. Jeśli tylko twoi rodzice dysponowali odpowiednio zasobnym kontem, mogłeś szaleć po boisku w koszulce do rugby, która normalnie kosztowałaby czternaście funtów, ale po naszym dumnym emblematu Mountbriers dostępna była za prawie czterdzieści.

Dla starych absolwentów Mountbriers jeszcze bardziej szokujące było to, że szkoła przyjmowała teraz w swe progi dziewczęta. Po korytarzach, obwieszonych starymi, dostojnymi portretami, i po

ścieżkach między porośniętymi bluszczem historycznymi murami kręciło się więc potomstwo nowobogackich, pragnących za wszelką cenę podnieść swój status społeczny. Były też dzieci oligarchów, nastawione na zdobycie wszelkich możliwych nagród, oraz trustafarianie, których Wielce Szanowni rodzice, walcząc z chłodem i wilgocią swych rozsypujących się, ale majestatycznych wiejskich rezydencji, musieli ubierać się w dodatkowe swetry. Uczniowie ci nie zdawali sobie sprawy, jakie mają szczęście.



Mark nucił pod nosem fragment ulubionej uwertury – *Romeo i Julii* Czajkowskiego – jedyny zresztą, jaki znał. Zrobił krok do przodu, wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki nożyczki do paznokci i uciął główkę róży w pełnym rozkwicie. Była to jedna z najbardziej ulubionych odmian Kathryn – lekko zarumieniona, różowa *Change of Heart*.

Kathryn przygryzła wargi i pochyliła się nieco. Trik ten wypracowała dawno temu – pomagał jej pohamować słowa sprzeciwu, które często miała na końcu języka. Tak było łatwiej. Skrzywiła się w milczeniu. Obliczyła, że róża na krzaku wyglądałaby pięknie jeszcze przez tydzień lub może nawet dziesięć dni przy założeniu, że nie będzie silnego wiatru, który otrząsnąłby jej delikatne płatki. A tak – w ciągu godziny zmarnieje. Mark wetknął sobie kwiat do butonierki i lekko uniośł marynarkę, by go powąchać. Zadowolony z efektu, schylił się jeszcze raz i uciął drugą różę. Odwrócił się do żony i wyciągnął w jej stronę rękę z podarunkiem.

– *Amor vitae meae* – powiedział niskim, aktorskim głosem.

Miłość mojego życia. Kathryn, nie podnosząc wzroku, wzięła kwiatek między kciuk i palec środkowy. Mark palcem wskazującym podniósł jej brodę do góry, zmuszając, by spojrzała mu w oczy.

– Tak lepiej, moja żono. Teraz dobrze widzę twoją piękną twarz. I co powiesz na ten podarunek? – ponaglił ją.

– Dziękuję – wyszeptała.

Pochylił się i pocałował ją w czubek głowy.

– O Boże, dwa gołąbki znów gruchają!

Ich piętnastoletnia córka, ugięta pod ciężarem pełnego książek plecaka, udała, że ma torsje. Chude nogi w czarnych rajstopach wydawały się zwisać jak u szmacianej lalki. W długich, ciemnych włosach miała pełno supłów i rozmaitych ozdóbek. Cóż, nie należało tego komentować. Takie teraz

obowiązywały trendy.

Kathryn z przymrużeniem oka śledziła, jak bardzo dzieciaki przesuwają granicę „dopuszczalnego stroju szkolnego”. Dla niewprawnego oka, niedostrzegającego podwinętego rękawa, inaczej zawiązanego krawatu czy nieprzepisowych rajstop, wszyscy uczniowie wyglądali identycznie. Ani niestaranny strój, ani zgarbiona sylwetka, ani nawet przekleństwa w ich ustach nie były w stanie nadszarpnąć wizerunku. Uprzywilejowana pozycja i duże pieniądze były dla nich tak charakterystyczne jak ślad, który statek zostawia po sobie na wodzie.

Kathryn zignorowała komentarz córki.

– Będziesz dziś w domu na kolacji, Lydia, czy masz kółko plastyczne?

– Nie wiem. Dam ci znać.

– Dobrze, kochanie. To pa. Miłego dnia. I proszę cię, zjedz obiad w szkole.

– Idę z tobą, Lyds. Zaczekaj, tylko wezmę teczkę.

Mark cieszył się, że może chwilę pobyc z swoją małą córeczką. Przy jego napiętym rozkładzie zajęć liczyła się każda minuta spędzona sam na sam z którymś z dzieci.

– Nie, błagam, tato. Umówiłam się już z Phoebe. To obciach wejść z tobą do szkoły.

– Obciach? W życiu czegoś takiego nie słyszałem. – Udawał urażonego. – Przecież jestem najatrakcyjniejszym tatusiem, jakiego świat widział. I bardzo na czasie! – Roześmiał się, widząc grymas na jej twarzy.

– Och, błagam, przestań! Gdybyś taki był, to przede wszystkim byś tak nie gadał. Oboje jesteście żenujący. Najpierw publicznie całujesz się z mamą, a potem chcesz być moim kumplem? To załamujące. Czemu człowiek nie może mieć normalnych rodziców? Och, jak bym chciała chociaż przez chwilę mieć nudną mamę i nudnego tatę, jak wszyscy. Nie takich drętwsów jak wy!

Matka przerwała jej.

– Trudno to chyba nazwać całowaniem się, Lydia.

Nikt jej nie dosłyszał.

Głowy dyrektora i jego córki zniknęły za rogiem. Echo ich rozbawionej, ożywionej dyskusji, przerywanej piskami, wróciło do Kathryn. Najwyraźniej świetnie się bawili. Znow wciągnęła wargi i mocno je przygryzła.

Została w ogrodzie sam na sam z czekającymi ją obowiązkami. Zastanawiała się, jak to jest: mieć jakieś miejsce – na przykład biuro, sklep czy szkołę – do którego co rano idzie się pracować, a jeśli się nie przyjdzie, ludzie natychmiast to zauważą.

Wiedząc, że w rękę wciąż trzyma kwiat róży, zacisnęła dłoń tak mocno, że sok z płatków pociekł jej po nadgarstku. Przez parę sekund napawała się jego oszalałym zapachem. Na skutek miazdzącego uścisku róża natychmiast oklapła. Kate podeszła do rabaty, gdzie wciąż dumnie wznosiły głowy siostry i kuzynki zerwanego kwiatu, podniosła garstkę ziemi i zakopała go.

Uwolnwszy ręce, wytarła je o fartuch i przystąpiła do dalszego rozwieszania prania. Przypięła jeden róg prześcieradła, napiągnęła drugi i również przymocowała go do sznura drewnianą klamerką w kształcie lalczki.

Klamerki te miała od zawsze. Możliwe, że nawet od dzieciństwa. Nie pamiętała, kiedy stały się jej własnością, ale wiedziała, że pochodziły ze spizarki jej mamy. Przed oczami Kathryn stało metalowe pudełko, w którym były przechowywane. Na pokrywie widniały namalowane wyprostowane, maszerujące ołowiane żołnierzyki. Jej mama dostała pudełko z klamerkami od swojej matki.

Przez lata kupiła i wyrzuciła wiele zestawów kolorowych, plastikowych klamerok z małymi sprężynkami, które często psuły się przed końcem swego użytecznego życia. Te stare – długie, drewniane, z bulwiastymi główkami i precyzyjnie, ręcznie wyciętymi szczelinami, przeżyły je wszystkie. W swoim czasie przekaże je Lydii. Uśmiechnęła się na samą myśl o córce wywracającej oczami na wieść o tym, że odziedziczyła po matce starodawne klamerki do bielizny. Kiedy Lydia była mała, raz okazała zainteresowanie nimi. Wybrała sobie jedną, a następnie dużym, grubym, czarnym flamastrem namalowała jej oczy i uśmiechniętą buzię. Kathryn nadała klamerce imię Peggy^[5]. Teraz na jej widok co dzień mimowolnie się uśmiechała. Może Lydia zmieni nastawienie, kiedy dorośnie. Kto wie. Kate pomyślała, że przecież sama dziś myśli zupełnie inaczej niż wtedy, gdy była w wieku córki.

Kathryn pamiętała, że zaraz po ślubie świadomość, iż należy do trzeciego pokolenia użytkującego te klamerki, napawała ją wielką otuchą. Często zastanawiała się, jakie części garderoby przytrzymywały na sznurku dawniej. Ubrania, w których trzy kolejne pokolenia jej rodziny spały, pracowały i kochały. Wodziła palcem po klamerkach, ciekawa, czy dotykały koszuli roboczej dziadka, czy może jedwabnej halki mamy.

Nie miała pojęcia, czy dla jej mamy i babci sznur prania stanowił taką samą radość, jak dla niej. Ogromną przyjemność czerpała z samego oczekiwania na to, by zdjąć naręczą bielizny i wdychać bijący od niej świeży zapach słońca i wiatru. Równiutkie składanie i wygładzanie dawało satysfakcję z dobrze wykonanego zadania. Pranie i prasowanie ubrań było namacalnym dowodem, że rodzina żyje i funkcjonuje w harmonii.

Przyjemność z robienia prania skończyła się jednak z dnia na dzień siedemnaście lat i pięć miesięcy temu, w dniu ślubu. Dziś w tym codziennym rytuale nie widziała już żadnej radości. W ogóle, poza dwójką dzieci, w jej życiu pozostało bardzo niewiele radości. Niestety.

Kathryn wiedziała, że przezywają ją „pani Bedmaker”. Zdawała sobie z tego sprawę od dłuższego czasu. Słyszała to przewisko, mrużane przez przytknięte do ust dłonie, widziała nabazgrane kredą lub długopisem na rozmaitych powierzchniach, choćby pod biurkiem i na wewnętrznej stronie drzwi do toalety w świetlicy młodszych klas. Co śmielsze dzieci przezywały ją tak dzień w dzień z nadzieją,

że nie usłyszysz i nie skomentuje. Oczywiście nigdy nie „słyszała” i nie komentowała, przyzwalając w ten sposób, by robiły tak dalej. Nie przeszkadzało jej to za bardzo. Miała większe zmartwienia na głowie. Dużo większe.

W lepsze dni była nawet w stanie uśmiechnąć się pod nosem, słysząc krążące po szkole plotki, że jest maniaczką seksualną, która noc w noc urządza dzikie, szalone orgie. W przeciwnym razie po co na okrągło pralaby bieliznę pościelową? Szturchnięcie łokciem, puszczone oczko, jedno, drugie... Oj, niegrzeczna ta pani Brooker, a ten Brooker to dopiero ma farta. To pewnie dlatego ona zawsze wygląda na słabą, wycieńzoną, a on promienieje szczęściem i samozadowoleniem?

Czasem przyglądała się swemu odbiciu w lustrze. Patrzyła na własne chude ciało, nerwowy wyraz twarzy, bladą skórę, ciemne kręgi pod oczami, palce wiolonczelistki o kwadratowych, krótko przyciętych paznokciach, i na równo przyszczyżone na pazia włosy. Wkładając oliwkowy, rozpinany sweterek na lnianą sukienkę, myślała sobie: Proszę, oto ja, prawdziwy kociak, seksbomba.

Kathryn niechętnie opuściła nagrzone wczesnoporanym słońcem podwórko i wróciła do kuchni. Zaczęła sprzątać po śniadaniu, porządkując duży, do czysta wyszorowany, sosnowy stół, który zajmował większą część kuchni.

Umazany dżemem talerzyk i pusty kubek po kawie stanowiły jedyne dowody na to, że jej syn Dominic wciąż mieszka pod ich georgiańskim dachem. Rzadko go widywała, dlatego z przyjemnością patrzyła na te drobne ślady jego obecności. Nawet jeśli nie miała okazji go zobaczyć, cieszyła się, że jest w pobliżu. Ostatnio udawał niechętnego lokatora, który przy każdej okazji zażywa samotności we własnym pokoju. Podejrzewała, że w rzeczywistości wykrada się w zacisze innego pokoju, mieszczącego się w internacie dla dziewcząt. Była prawie pewna, że należy on do Emily Grant – ostatniego obiektu jego westchnień. Ani komentowanie, ani wtrącanie się nie miały jednak najmniejszego sensu – to na pewno kolejna blond ślicznotka, identyczna jak ta sprzed kilku tygodni. Ostatnio tak to mniej więcej działało.

Kathryn nie pojmowała wielu aspektów życia syna – nie tylko dotyczących sfery uczuciowej. Nie znaczy to, że odnosiła się do nich z dezaprobatą. Przeciwnie, cieszyła się. Była szczęśliwa, że jej dzieci żyją intensywnie i radośnie, w sposób zabawny i ekscytujący, że rysują się przed nimi nieskończone możliwości. Potrzebowała przekonania, że tak właśnie jest i że cały świat tylko czeka, by czerpali z niego garściami. W innym wypadku jaki to wszystko miałyby sens?

Rodzina Brookerów mieszkała w tym domu od siedmiu lat. Przeprowadzili się do niego we wrześnie, gdy Mark awansował z opiekuna roku na dyrektora. To było jego wielkie osiągnięcie – nigdy dotąd nie mianowano na to stanowisko nikogo tak młodego. Dla Kathryn i jej rodziny oznaczało to szczęśliwe, dostatnie życie. Coś w tym musiało być. W przeciwnym razie wszyscy, łącznie z jej siostrą Francescą, nie powtarzaliby tego na okrągło. Kathryn wyczuła nawet w głosie siostry delikatną nutę zazdrości. A jeśli już Francesca była zazdrosna, to na pewno nie bez powodu.

Zdawała sobie sprawę, że w oczach świata jest szczęściarą i wiecie satysfakcjonujące życie w pięknym, dwustuletnim domu, ma idealną rodzinę, a droga przed nią jest usłana różami. Wiele kobiet zazdrościło jej uprzywilejowanej sytuacji, dobrobytu i codzienności pełnej uroku. Nie wspominając o tym, że udało jej się usidlić przystojnego Marka Brookera. Cóż, wtedy naprawdę wysoko ustawiła poprzeczkę. Wszystko to bawiło Kathryn, bo wiedziała, że gdyby któraś z tych kobiet choć na dwadzieścia cztery godziny znalazła się na jej miejscu, pełnym głosem domagałaby się natychmiastowego wypuszczenia na wolność. Do żywego ciała zdzierałaby paznokcie i kolana, wspinając się po kamiennym murze, lub gołymi, zakrwawionymi rękami ryłaby tunel pod fundamentami, szukając drogi ucieczki. Próbowalaby wszelkich sposobów, by tylko wydostać się z tej pełnej uroku codzienności. Nic by jej nie powstrzymało.

Jeśli chodzi o mieszkanie w domu należącym do szkoły i przyłączonym do budynku szkolnego, to Kathryn nigdy nie czuła się tam jak u siebie. Było to zresztą w pełni uzasadnione – nie była przecież u siebie. Przez większość czasu czuła się bardziej jak kurator czy kustosz tego domu niż jego gospodyni. Dokładała wszelkich starań, by dbać o osmalony piec kuchenny, oryginalne sznury do okien i parkiety, jakby w przyszłości miała zostać rozliczona z nienagannego stanu tej szacownej siedziby. Oczywiście osądziłaby ją historia – gdyby nie zaszło inne, znaczące i nieco szokujące zdarzenie, przy którym takie sprawy, jak czystość szyb i gładkie przesuwanie się sznurów do okien, straciły na znaczeniu.

Kiedy się wprowadzili, dzieci były jeszcze małe. Trochę to trwało, zanim przyzwyczyły się do nowych warunków. Lydia nie mogła już po kąpieli biegać po całym domu na golaska, bo zdarzało się, że uczniowie i nauczyciele wpadali do Marka bez zapowiedzi. Dominic zaś musiał, chcąc nie chcąc, pożegnać się ze swoimi ukochanymi kurczakami o imionach Nugget i Burger. Nie sposób przecież było co chwila gonić za nimi po boisku do krykieta. Raz wystarczył. Przypadek ten wywołał duże zniecierpliwienie występującej gościnnie drużyny z Millfield, która po dziś dzień jest przekonana, że była to z góry ukartowana taktyka, mająca na celu odwrócenie ich uwagi.

Dzieciaki były dziś nastolatkami. Lydia miała piętnaście lat, a Dominic szesnaście. Fakt, że masz ojca dyrektora oznacza, że albo bardzo cię lubią, albo wręcz przeciwnie – i to z zupełnie niewłaściwych powodów. Dzieci Brookerów były jednak w dobrej sytuacji. Naukę w Mountbriers rozpoczęły kilka lat wcześniej, zanim ojciec zaczął piastować to stanowisko. Lydia i Dominic mieli więc ugruntowaną pozycję, a koledzy nie tylko ich akceptowali, ale, co więcej, darzyli sporymi względami. Oboje odziedziczyli po matce smukłą budowę ciała, a po ojcu atrakcyjne rysy z ostro zarysowanymi kośćmi policzkowymi. Byli radośni, pełni energii i, niezależnie od statusu rodziców, bardzo lubiani przez rówieśników.

Mark, rzecz jasna, w takim środowisku po prostu rozkwitał. Był w swoim żywiole, nieustannie gotów do akcji i pełen żywiołowej energii. Bez trudu nawiązywał bezpośrednie kontakty

z dziećmiakami – gadał z nimi przy każdej okazji. Roztaczał wokół siebie aurę życzliwości i dobrego humoru, dzięki czemu od razu polubili go także nauczyciele. Zaskarbił sobie względy rodziców – wymieniał krzepkie uściski dłoni z bogatymi tatusiami i zawsze dysponował czasem, by omówić konieczne szczegóły ze starannie uczesаныmi mamusiami o nieskazitelnych figurach. Sprawował całkowitą kontrolę nad wszystkim, co zostało mu powierzone. Był po prostu szczęśliwy.

Kathryn natomiast po przeprowadzce do „dużego domu” odczuła gwałtowny spadek, a później całkowity zanik swobody. Dawniej, gdy Mark pracował w poprzedniej szkole i mieszkali w wynajętym domu w Finchbury, całe dni spędzała przynajmniej poza zasięgiem jego obsesyjnego wzroku. Dopóki mąż był w pracy, nikt jej nie obserwował, niczyje oczy nie sprawdzały, jak pracuje, w co jest ubrana, co mówi i co je, z kim siedzi, z kim rozmawia, kiedy wyszła, a kiedy wróciła. Życie w obecnym domu państwa Brookerów wyglądało zgoła inaczej. Lista rzeczy zakazanych, dozwolonych i oczekiwanych była długa i zmienna. Kathryn egzystowała więc w warunkach nieustannej, badawczej kontroli. Rozmyślając o swojej sytuacji, używała właśnie tego słowa: „egzystować”. Słowo „żyć” zakładałoby, że ma jakieś życie, a ona go nie miała. Kathryn w ogóle nie miała życia.

Kiedy zeszkrobywała z talerzy reszki jedzenia, by po chwili wstawić je wraz z resztą naczyń do zmywarki, przeniosła się myślami dziewiętnaście lat wstecz. Był czerwiec, czwartkowy poranek. Miała wtedy dwadzieścia jeden lat, a jej siostra Francesca dziewiętnaście. Obie mieszkały jeszcze z rodzicami. W zagraconym, ciasnym bliźniaku zajmowały sąsiadujące ze sobą pokoje.

Kathryn po cichu weszła do pokoju Franceski i delikatnie potrząsnęła ramieniem siostry, szczerze przykrytym kocem. Nie chciała jej budzić, ale wiedziała, że jeśli nie podzieli się z kimś swoją nowiną, za chwilę eksploduje.

– Francesca, śpisz?

– Mmmmm... Idź sobie – mruknęła siostra.

– Obudź się! Mam ci coś do powiedzenia.

Mimo że Francesca jeszcze drzemała, po jej tonie poznała, że wszelki opór będzie daremny.

Wyciągnęła rękę i włączyła lampkę w nocnym stoliku.

– Na miłość boską, Kathryn, mam nadzieję, że twoje wieści są tego warte – mruknęła, trąc oczy. Następnie wlepiła wzrok w zarumienioną, podekscytowaną twarz siostry.

– No, mów już!

Wprawdzie natrętne przynaglenia Franceski odarły tę chwilę z uroku, ale nie zraziło to Kathryn.

– Zgadnij.

– Co?

– Francesca, to ty masz zgadywać! No, zgadnij!

– Na Boga, Katie, nie denerwuj mnie! Nie jesteśmy już dziećmi, do jasnej cholery, i jest trzecia

nad ranem! Za trzy godziny wstaję do pracy. Więc albo mi powiesz, czemu mnie budzisz o tej porze, albo idź sobie i daj mi spać!

– Dobra, już dobra. Nie uwierzysz. Mark poprosił mnie o rękę!

Kathryn złożyła ręce jak do modlitwy i milczała, czekając na wrażenie, jakie wywrze na siostrze jej nowina. Francesca wymacała okulary, po czym wetknęła je na czubek nosa. Pochyliła się nieco do przodu, jakby miała nadzieję, że lepsza ostrość widzenia pomoże jej zebrać myśli.

– Poprosił cię o rękę?

– Tak. Możesz uwierzyć?

Francesca przez chwilę milczała.

– Szczerze mówiąc, nie. Myślałam, że mi powiesz, że go w końcu przeleciałaś.

– O Boże, Fran, jesteś po prostu obrzydliwa. Czy to nie wspaniale?

– Szczerze? Nie wiem.

– Co masz na myśli mówiąc, że nie wiesz?

– No... Katie, słuchaj. Kocham cię, ale trochę przypominasz mi kogoś z *Famous Five*^[6]. Jesteś kompletnie nieświadoma, że dokoła ciebie rozciąga się wielki, groźny świat. Zawsze musiałam cię chronić, choć jestem młodsza. Właściwie to wszyscy musieliśmy.

– Naprawdę? – To nic nowego, że Francesca uważała ją za kompletną idiotkę, ale nie wiedziała, że rodzice sądzą tak samo.

– No, w sumie tak. A ten Mark... Świetnie, że jesteś z nim taka szczęśliwa, ale to twój pierwszy prawdziwy chłopak, znasz go nie dłużej niż pięć minut, a w dodatku jeszcze z nim nie... no, wiesz. Seks jest strasznie ważny!

– O, na Boga, w prawdziwym związku musi chodzić o coś więcej niż tylko o seks!

– Tak sądzisz? OK, nie patrz tak na mnie, przecież żartuję. Jestem szczęśliwa, jeśli ty jesteś szczęśliwa, ale uważam, że nie powinnaś się tak spieszyć.

– Fran, chodzimy ze sobą już trzy i pół miesiąca. Ja go kocham, a on mnie.

Kathryn wołała nie poruszać tematu szalonych pocałunków i agresywnych pieszczot, po których czuła się podniecona i ożywiona – bardziej niż kiedykolwiek. Wiedziała, że to dobrze wróży ich przyszłemu życiu miłosnemu.

– Ble. Daj mi wiadro, będę rzygać!

Kathryn stuknęła siostrę w ramię.

– Siostrzyczko, szczerze cieszę się z twojego szczęścia, ale w Marku jest coś, czego nie rozumiem...

– Co konkretnie masz na myśli? – przerwała jej Kathryn piskliwym głosem. Była bliska łez.

Francesca postanowiła się wycofać.

– Eee, no, nie wiem. Może chodzi o to, że go jeszcze zbyt dobrze nie poznałam. A może to on się

przy nas usztywnia, bo wciąż jesteśmy dla niego nowi.

Na te słowa twarz Kathryn znowu wyjaśniała. Tak, na pewno o to chodzi.

– Katie, powiem ci, co myślę. Czemu nie mogłabyś pobyt dłużej w narzeczeństwie, lepiej go poznać, zobaczyć, jak wam jest razem, spróbować seksu. W najgorszym razie okaże się, że to kłapa i do widzenia, a w najlepszym, że znalazłaś miłość swojego życia!

– Nie muszę czekać, nie muszę być dłużej w narzeczeństwie. Mark to miłość mojego życia. Jest cudowny i czuje to samo, co ja. My to po prostu wiemy.

– A skąd „po prostu wiecie”? Pamiętasz, jak kiedyś najbardziej na świecie kochałaś ziemniaki w mundurkach, a potem odkryłaś makarony? I stwierdziłaś, że wolisz makarony niż ziemniaki? Może z Markiem jest tak samo?

– O Boże, z nim nie jest jak z ziemniakami! Nie umiem ci tego wytłumaczyć, ale my naprawdę jesteśmy pewni. Mark mówi, że nie ma na co czekać, skoro znaleźliśmy już to, czego i tak szukalibyśmy w przyszłości. Po co tracić czas, jeśli w końcu i tak okazałoby się, że mieliśmy rację!

– No cóż, skoro tak stawiasz sprawę...

– Ej, wiem, że się ze mnie nabijasz, Fran, ale wszystko mi jedno. Dziś jest mi wszystko jedno.

– Katie, cieszę się, że jesteś szczęśliwa. Ale czy nie mogłabyś na razie zdecydować się na mały romans i zobaczyć, jak będzie? Tak na wszelki wypadek?

– Mark mówi, żeby kuć żelazo, póki gorące.

– „Mark mówi”, „Mark mówi”... Niech mnie diabli, Katie... Powinnaś być ostrożna.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Dlaczego mam być ostrożna?

Nie udało jej się ukryć irytacji. Była zakochana od niedawna i każde, najdelikatniejsze nawet słowo krytyki dotyczące obiektu jej uczuć traktowała jak cios w serce.

– Bo jesteś silną, mądrą dziewczyną i nie chcesz, żebyś straciła choćby cząstkę siebie. Nigdy.

Żaden facet nie jest tego wart.

W latach, które potem nadeszły, Kathryn niejednokrotnie powtarzała sobie to zdanie w myśli. Powinna była wtedy wziąć sobie do serca słowa siostry, bo mimo jej młodego wieku, okazały się nad wyraz roztropne, a nawet prorocze. Żałowała, że je zlekceważyła.

Po cichu powtarzała sobie jej słowa także i teraz. Przyglądała się ręcznie malowanemu kubkowi, który trzymała w ręku. „Nie chcesz, żebyś straciła choćby cząstkę siebie, nigdy”. Co dzisiaj odpowiedziałaby siostrze? Wyobraziła sobie, że próbuje ubrać myśli w słowa. Tak rzadko się widywały. A kiedy wreszcie udało im się spotkać, pierwsza godzina upływała na sztywnej rozmowie. Musiały się na nowo uczyć, jak zachowywać się w swoim towarzystwie. Ich spotkania nie przypominały pogaduszek z koleżanką czy znajomą. Relacji z siostrą nie dało się z niczym porównać.

Nie liczyły się ani osobiste osiągnięcia żadnej z nich, ani upływ czasu. Kathryn trudno było grać rolę spełnionej, dorosłej kobiety. Nie potrafiła oszukiwać. Zbyt wiele je łączyło, Francesca знаła ją

na wylot. Miały tyle cudownych wspólnych wspomnień, które chciało się przywołać wciąż od nowa i za każdym razem tak samo umierać ze śmiechu. Ulubiona historia Kathryn dotyczyła pewnej wakacyjnej nocy w Kornwalii, kiedy miały sześć i osiem lat i spały na waleta w zardzewiałej przyczepie kempingowej. Na noc najadły się tyle czekolady, że Kathryn zwymiotowała przez okno. Ponieważ okazało się, że okno było zamknięte, rodzice przez cały następny dzień za pomocą węża ogrodowego usiłowali doprowadzić do porządku welurowe wnętrze wynajętego lokum.

Dreńta atmosfera w czasie tych spotkań wynikała częściowo stąd, że Mark ani na sekundę nie zostawiał ich samych. Wydawało się, że przysłuchuje się każdemu słowu, przez co nie mogły prowadzić swobodnej rozmowy. Kierował ją zawsze na odpowiednie – według siebie oczywiście – tory, a po wyjściu Franceski zdradzał oznaki zaniepokojenia. Nie były one oczywiste dla osób trzecich, ale Kathryn natychmiast je dostrzegała – mówił wtedy nieco szybciej niż zwykle, śmiał się głośnie. Niepotrzebnie się przejmował. I tak nie byłaby w stanie nikomu się zwierzyć. Nigdy by nie powiedziała.

To było za trudne. Bo co niby miałyby wyznać siostrze? „Miałas rację, Fran, powinnam była cię posłuchać, bo straciłam nie tylko częstkę siebie – straciłam całą siebie. Żałuję, że cię nie posłuchałam. Bo nie posłuchałam, prawda?”

Jakże łatwo było osądzać własne decyzje po fakcie, kiedy wszystko było już jasne. Nic trudnego, spojrzeć na młodą dziewczynę, która tych wyborów dokonała, i na osobę, którą stała się teraz, wytknąć błędy i analizować, czy nie można było postąpić inaczej. „Oczywiście, że powinnam była posłuchać siostry! Ale czułam wtedy inaczej, byłam oszołomiona, zaślepiona, przekonana o własnej racji. A co mogę powiedzieć z dzisiejszej z perspektywy? Tak, Kathryn, zdecydowanie nie miałaś racji. Za bardzo pochłaniało cię odpieranie fali szalejących hormonów i zauroczenia”.

Kathryn zacisnęła powieki i starała się wymazać z pamięci ostatnią rozmowę telefoniczną z siostrą. Mimo że upłynęły już trzy tygodnie, wspomnienie tych słów wciąż ciążyło jej na sumieniu. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek uda jej się zrekompensować wyrządzoną siostrze krzywdę.

– Kathryn. – Usłyszała głos męża.

Obięła ziemniaki na kolację, ale na jego wezwanie instynktownie wstała z krzesła – jak żołnierz wyćwiczony w stawianiu na baczność w obecności przełożonego. Po tylu latach odruch stał się automatyczny.

– Twoja siostra dzwoni.

Mark posłał jej krótki uśmiezek, który w ciągu paru sekund pojawił się i zniknął. Uśmiezek ten wskazywał na niezadowolenie z telefonu Franceski, co więcej – irytację, że święte minuty, spędzane jak co dzień w gabinecie, zostały przerwane, bo Mark musiał odebrać telefon i pofatygować się, żeby ją zawołać.

Skinęła głową i podeszła do aparatu zamontowanego na ścianie nad zmywarką.

– Halo?

Czekała na kliknięcie świadczące o tym, że Mark odłożył drugą słuchawkę. Ponieważ nie nastąpiło, zrozumiała, że Mark kontroluje rozmowę i wysłucha jej do samego końca – jak zwykle. Choć nie kontaktowała się z Francescą od niemal dwóch miesięcy, Kathryn wiedziała, że musi uważać na słowa. Przez to rozmowa znowu stanie się usztywniona i krępująca, Francesca wyczuje to i zarzuci jej wyniosłość. Kathryn poczuła się jak w potrzasku. Była na skraju płaczu.

W przeszłości z ust siostry padały już oskarżenia, że Kathryn zadziera nosa. Słuchała ich jak otępiała. Nie była w stanie wyjaśnić, że choć zawsze ma tyle do powiedzenia, z wielu przyczyn nie może tego zrobić. Pierwszą i najważniejszą jest to, że ich rozmowa nigdy nie ma poufnego charakteru. Mark słucha i, co gorsza, osądza.

– Och Kate, musiałam do ciebie zadzwonić. – Głos siostry natychmiast przeszedł w szloch.

– Francesca, uspokój się, proszę. Uspokój się. Nie płacz. Powiedz, co się stało?

Kathryn słyszała w słuchawce odgłos padającego deszczu i szum kół na mokrym asfalcie.

Wyobraziła sobie Francescę z kierownicą, z ramionami okrytymi rozpiętym swetrem, mknącą przez chłodne North Yorkshire.

Oczekwała, aż Francesca głośno wydmucha nos.

– Kate, stało się coś okropnego!

– Co takiego? Coś z Lukiem? – Kathryn, jak zawsze, najpierw myślała o dzieciach. Najgorzej, jeśli to coś z dziećmi.

Rozpoznawała u siostry symptomy poczucia winy, charakterystyczne dla matek, które za mocno popychają synów do sukcesu. Zawsze trochę za bardzo naciskała na Luke'a, by pilniej uczył się do egzaminów czy zaliczał prace dodatkowe, żeby podwyższyć ocenę. Opłacanie co kwartał czesnego było dla ich rodziny wielkim wysiłkiem. W imię nauki syna w dobrej szkole poświęcali wakacje za granicą, nowe dywany, a czasem nawet wizyty u fryzjera.

Kathryn doceniała poświęcenie siostry, ale wiedziała, że ta oczekuje od syna czegoś w zamian. Dobrych stopni, miejsca na jednej z czołowych uczelni, a przynajmniej idealnego akcentu i odpowiednio mocnego uścisku ręki liczącego się w pewnych kręgach. Luke nie przysparzał jej rozczarowań. Był pilny i pracowity. Uroczy chłopak.

Niesprawiedliwością byłoby opisać Francescę jako osobę zazdrosną, ale Kathryn doskonale zdawała sobie sprawę z własnego statusu. Była żoną dyrektora jednej z najbardziej elitarnych szkół prywatnych w kraju. Kiedy rozmawiały – chociażby ogólnie – o sprawach szkolnych, bardzo ważne było, by Francesca czuła się traktowana w równy sposób, i podtrzymywała w niej przekonanie, że Luke'owi niczego nie brakuje, nawet w porównaniu z kuzynami.

Kathryn zaśmiała się w duchu na myśl o tym, jaką rodzina ma wizję jej cudownego życia w subsydiowanym budynku, obok kochającego męża i idealnych dzieci. Gdyby tylko wiedzieli...

– Nie... Dzięki Bogu, nie o to chodzi, nikomu nic się nie stało, ale za to firma nam padła. Tak bardzo się staraliśmy, Katie, przez jakiś czas radziliśmy sobie jakoś z bankiem i dostawcami, ale w końcu wszystko runęło. Tak mi przykro ze względu na Luke'a. Myśleliśmy z Gerrym, że zapewnimy mu dobrą przyszłość, a tu wszystko na nic. Wszystko stracone.

Francesca przerwała, by przełknąć łzy.

– Wszystkie pieniądze, co do pensa, utopiliśmy w tej nowej firmie budowlanej. Myśleliśmy, że z czasem Luke pójdzie w ślady ojca, mieliśmy nadzieję, że to go ustawi na całe życie, ale ten deweloper okazał się szarlatanem, Kate, całkowitym oszustem. Wciąż nie mogę w to uwierzyć! Mogliśmy nawet stracić dom..

– Och, Fran! To okropne. Wiem, jak bardzo się cieszyliście...

Kathryn wiedziała, że część spadku po rodzicach, która przypadła siostrze, została w całości przeznaczona na rozkręcenie firmy Gerry'ego. Tata Kathryn i Franceski przez całe życie ciężko pracował. Poza nielicznymi wyjazdami nad morze do Abersoch, co było jego jedynym wytchnieniem, pracował i oszczędzał, oszczędzał i pracował, a wszystko po to, by w końcu stać się właścicielem czteropokojowego bliźniaka w Croydon, który to bliźniak właśnie przepadł.

Co teraz powiedzieć? – zastanawiała się Kathryn. Chciałaby zawołać szczerze: „Och, jak mi przykro, kochana siostrzyczko, to takie okropne. Przyjedźcie wszyscy do nas na parę dni, to się wami zajmę. Usiądziemy razem przy herbacie i coś wymyślimy. Nic nie jest takie straszne, jak się na początku wydaje. Oczywiście nie zdołam odwrócić tego, co się stało, ale chociaż na chwilę się od tego oderwiecie. Luke spędzi trochę czasu z Dominikiem i Lydią, a my posiedzimy do późna przy winie i pogadamy. Wszystko będzie dobrze, kochana. Przecież masz starszą siostrę i zawsze możesz na nią liczyć...”. Zamiast tego, usłyszała głośnie westchnienie Marka, tracącego cierpliwość przy drugiej słuchawce w gabinecie, oraz swój monotony i automatyczny głos:

– Cóż. Jeśli będziesz czegoś potrzebować, to mów. Razem z Markiem zrobimy oczywiście wszystko, co się da, żeby wam pomóc.

Wspomniała o Marku, by zaskarbić sobie jego łaski. Miała nadzieję, że mąż doceni jej lojalność. W słuchawce zapanowała cisza. Oczami wyobraźni widziała Francescę, z niedowierzaniem odtwarzającą w głowie jej słowa.

Próbowała zapełnić pustkę pierwszym tematem, jaki przyszedł jej do głowy.

– A jak pogoda w Yorku?

Słowa te były banalne, ale pełne żalu. Po policzku ściekła jej mała łza. Pragnęła, by młodsza siostra usłyszała jej niewypowiedziany, bezgłosny żal.

Francesca nie kryła zdumienia i rozczarowania.

– Pytasz o pogodę? Kathryn, czy do ciebie w ogóle dotarło, co ja powiedziałam? My wszystko straciliśmy! Wszystko! A ty chcesz rozmawiać o przeklętej pogodzie?

– Ja... ja...

Łzy Kathryn zgęstniały i zaczęły spływać szybciej. Za wszelką cenę starała się znaleźć właściwe słowa, które zadowolilyby wszystkich. Słowa, które pocieszyłyby ukochaną siostrę w potrzebie, a jednocześnie nie wywołały gniewu męża. Niestety, takie słowa nie istniały.

– Wiesz co, Kate, zapomnij, że dzwoniłam i zapomnij, co mówiłam. Z całą pewnością jakoś sobie poradzimy. Siedz w swoim georgiańskim pałacu i popijaj poranną kawkę z widokiem na boisko do krykieta, a my poradzimy sobie sami!

– Francesca, ja... – Próbowwała przerwać siostrze.

– Nie zwracaj sobie głowy. Skończyłam z tobą. I tak żadna z nas nie poczuje różnicy, bo od lat jestem dla ciebie nikim. Ty chyba po prostu już się nie zadajesz z ludźmi z moich kręgów. Wiesz co, Katie? Nigdy nie sądziłam, że przyjdzie mi coś takiego powiedzieć. Wydaje ci się, że jesteś taka strasznie ważna, prawda? Może i twoje życie jest idyllą, ale wiesz? Nie lubię tej osoby, którą się stałaś..

Zdanie to zawibrowało w powietrzu i Francesca odłożyła słuchawkę. Jedno małe naciśnięcie guziczka i już jej nie było. Po prostu.

Kathryn ze słuchawką w obu dłoniach zwiesiła głowę. Szepnęła przez łyzy, choć i tak nikt jej nie słyszał:

– Ja też nie, kochana. Ja też nie.

Mark wszedł do kuchni i położył jej rękę na ramieniu, informując ostrzegawczo o swej obecności. Wyprostowała się i przełknęła łyzy.

– Kathryn, wszystko w porządku? Ta twoja siostra znowu cię zdenerwowała, tak?

Wpatrywała się w jego twarz, która nie zdradzała najmniejszych nawet oznak, że był świadkiem całej rozmowy. Potrząsnęła głową.

– Nie, Mark.

– Cieszę się, że to słyszę. Jesteśmy bardzo zajęci, spoczywa na nas duża odpowiedzialność i nie chcę, żebyś zamartwiała się sprawami, które nas bezpośrednio nie dotyczą.

Zabrzmiało to prawie jak polecenie. Nachylił się i pocałował ją długo, mocno, obejmując jednocześnie w pasie i mocno przyciskając do siebie. Płacz zaburzył jej naturalny rytm oddychania, więc kiedy Mark ją całował, nie miała innego wyjścia, jak tylko wstrzymać oddech. Zakręciło jej się w głowie i bała się, że może zasłabnąć. Pocałunek wydawał się nie mieć końca.

W końcu ją puścił.

– Powiem ci coś, kochanie. Może pójdziesz na górę i doprowadzisz się do porządku, a potem nastawisz wodę i napijemy się herbaty?

Znów skinęła głową, wiedząc, że jego sugestia jest w rzeczywistości ścisłym rozkazem. Powoli wspięła się na schody. Próbowwała powstrzymać potok łez. Usiadła przy toalecie i odtworzyła sobie

w myśli słowa siostry: „Może i twoje życie jest idyllą, ale wiesz? Nie lubię tej osoby, którą się stałaś...”. O tak, pomyślała. Moje życie jest prawdziwą idyllą.



– To tylko ja-a!

Głos Judith przerwał rozpamiętywanie strasznej rozmowy sprzed trzech tygodni. Asystentka Marka zawsze informowała o swoim przybyciu w ten sposób. Zawsze też wchodziła przez tylne drzwi prosto do kuchni, co bardzo irytowało Kathryn. Była to jednak tylko jedna z tysiąca rzeczy, które ją w tej kobiecie drażniły. Szczerze mówiąc, w porównaniu z poważniejszymi przewinieniami Judith, to zaledwie drobne wykroczenie. Za główne i najważniejsze Kathryn uważała fakt, że asystentka nigdy nie zwracała się do niego inaczej niż „panie dyrektorze”, zupełnie jakby należał do osób, którym okazuje się bezwzględna cześć, równą papieżowi czy Madonnie. Gdyby tylko wiedziała, co to za człowiek.

Judith miała grubo powyżej czterdziestki, była niezamężna i bardzo tęga. Nie wykazywała przy tym absolutnie żadnego zażenowania, charakterystycznego dla osób jej postury. Nie starała się jej zatuszować czy choćby złagodzić wrażenia strojem, ubierając się na przykład na czarno, w rzeczy długie, luźne i nałożone warstwami. O, nie. Judith z lubością przywdziewała koszulki na ramiączkach i szorty khaki. Z nieukrywaną satysfakcją przyjmowała pełne niedowierzania spojrzenia uczniów i nauczycieli. Interpretowała je jako oznakę zainteresowania, nie odrazy.

– Dzień dobry, Kathryn! Jaki piękny dzień!

Kathryn skinęła głową, ale nie odezwała się. Tylko na moment podniosła wzrok znad zlewu. Nie chciała zaczynać rozmowy z Judith, gadać z nią o niczym. Nie miała na to ochoty ani siły. Doszła do prawidłowego wniosku, że im mniej powie, tym szybciej rozmowa się skończy.

– Pan dyrektor prosił, żebym wstąpiła ci przypomnieć, że dziś wieczorem jest spotkanie grona pedagogicznego, *dans la cuisine!* Trzeba przygotować to co zawsze, czyli dipy, chipsy, wino i tak dalej, dla pana Middy oczywiście wszystko bezglutenowe – nie chcemy, by ponownie wydarzyła się akcja w stylu opuchnięty język i biegunka, która miesiąc temu omal nie zniweczyła targów pracy dla maturzystów. Dopiero co zdołaliśmy wymienić wykładzinę w świetlicy. Zresztą, nieważne.

Pomyślałam, że lepiej będzie, jak ci przypomnę. W porządku?

– Oczywiście, w porządku.

Na nic innego Kathryn nie mogła się zdobyć. Nie podobało jej się, jak traktowała ją Judith.

W jej oczach była po prostu członkiem świty Jaśnie Pana Dyrektora. Czowała się przez to nie jak jego żona, ale zatrudniona do prowadzenia mu domu gospodyni. Już jej to nie złościło. Wręcz przeciwnie, była wdzięczna za wszelkie dodatkowe zajęcia. Lepiej było mieć dni wypełnione obowiązkami, nawet byle jakimi, niż za dużo czasu na myślenie.

– Pan dyrektor jest dziś od rana w świetnym humorze. Wszyscy komplementują jego kwiat w butonierce. Nie wiem, co mu dałaś na śniadanie, ale jutro koniecznie podaj to samo. O ileż łatwiejsze mam życie, kiedy nie zachowuje się jak burkliwy niedźwiedź!

I co powinna odpowiedzieć? „Wszyscy mamy łatwiejsze życie, Judith. Nawet nie masz pojęcia, jak okropnie mi z tym burkliwym niedźwiedziem. A teraz daj mi już spokój, bezmyślna kobieto, idź sobie, bo nie masz pojęcia, jak wygląda moje życie. Nie masz pojęcia, jak ja żyję”.

Zamiast tego uśmiechnęła się.

– Tak jest, Judith.

Nie do końca wiedziała, na co się zgadza. Była jednak przekonana, że zadowoli tym sekretarce męża, która otrzyma jasny i wyraźny komunikat, że jej wiadomość została odebrana.

W gorszych chwilach przychodziły jej do głowy gorzkie myśli. Krążyły wokół faktu, że jest powszechnie nielubiana i że w chory sposób podlizuje się Markowi. Potem pojawiała się kolejna: „Jak w ogóle możesz tak myśleć, będąc w tej koszarnej sytuacji?”. I wpełzała następna: „Muszę być naprawdę tak tępa, jak twierdzi Mark, skoro dałam się wpędzić w takie bagno. Jestem jak mała owad złapany przez mucholówkę. Na ironię losu, im bardziej się szamoczę, tym bardziej pułapka się zaciska. Jestem w potrzasku”.

Kathryn marzyła o tym, by ktoś pokazał jej drogę ucieczki, wyzwolenia. Rozmyślała często o wolności w innym czasie i w innym miejscu. Rozważała tylko proste rozwiązania. Wszystko, co skomplikowane, przerastało jej możliwości i chęci. Lecz niezależnie od wysiłku, z jakim roztrząsała tę sytuację, żadne proste wyjście nie przychodziło jej do głowy. W każdym wypadku pozostałaby bez dachu nad głową i oddzielona od dzieci. Z bezdomnością może by sobie jakoś poradziła, ale żyć bez dzieci, nie móc ich chronić, gdyby... w razie... To nie mieściło jej się w głowie. Dzieci na zawsze pozostaną przedłużeniem bicia jej własnego serca, jej największym życiowym osiągnięciem. W ogóle nie brała pod uwagę opcji życia bez nich.

Babcia Kathryn była prosta jak struna, szczupła i przypominała wiedźmę. Sposób bycia i strój mocno osadzały ją w epoce wiktoriańskiej. Mimo trudnego startu i ciężkiej harówki w londyńskiej dzielnicy East End, rozciągała wokół siebie aurę dostojeństwa, przeczącą ubóstwu, w jakim została wychowana. Kathryn przypominała sobie chwilę, kiedy oznajmiła babci, że zamierza poślubić Marka Brookera. Wówczas reakcja babci rozśmieszyła ją. Dziś nie wydawała się już taka zabawna.

– Moja droga, dobrze się nad tym zastanów. Męża trzeba szukać poza obszarem własnego kodu pocztowego, to odwieczna prawda, ale nigdy poza własną klasą społeczną. Twój ojciec skończył

studia i dlatego ty jesteś kimś. Obawiam się, że sam fakt, iż młody Mark Brooker ma pomysły ponad swój stan, niczego nie załatwia. Uwierz mi – o wiele łatwiej radzić sobie z życiem, kiedy ma się tych samych znajomych i te same standardy odnośnie do zachowania przy stole.

W pewnym sensie śmieszyło ją, że takie mankamenty Marka, jak mylenie sztuczków, nazywanie obiadu podwieczorkiem i przedkładanie plastikowych ram okiennych nad drewniane, należały dziś do jej najmniejszych trosk.

Kathryn pomyślała o Natashy. Często o niej myślała. Już od samego myślenia znacznie poprawiał jej się nastrój. Natasha stanowiła jeden z niewielu cennych elementów jej życia. Od trzech lat uważała ją za swą bliską przyjaciółkę. Do tego jedyną. Kathryn nie miała wątpliwości, że nad głową Natashy zaczęły się ostatnio zbierać czarne chmury. Wiązała to, w pewnej mierze, z faktem, że Natasha odeszła ze szkoły i wyprowadziła się na drugi koniec kraju. Czuła się jak bohater kreskówek, który bezustannie znajduje się pod osobistą, przenośną chmurą burzową, mimo że wszyscy wokół skąpani są w blasku słońca.

Natasha pracowała teraz w szkole integracyjnej na przedmieściach Yorku. Prowadziła tam terapię poprzez sztukę dla dzieci niepełnosprawnych. Kathryn uważała, że pasuje to do niej znacznie bardziej niż tradycyjne, stricte akademickie zajęcia w Mountbriers. Mieszkała zaś w Alne, niecałą milę od Franceski. Coś jednak powstrzymywało Kathryn przed zapoznaniem ich ze sobą. Do pewnego stopnia przyczyną mogła być niechęć podzielenia się z kimkolwiek przyjaciółką. Wiedziała, że trudno będzie jej zaakceptować to, że świetnie się bez niej bawią. Z drugiej strony obawiała się podświadomie, że mogłyby któregoś dnia usiąść razem przy kawie czy kieliszku wina i zacząć gadać o jej życiu. Porównują swoje wrażenia i być może dojdą do wniosku, którego Kathryn za nic nie chciałaby usłyszeć.

Nigdy nie zapomni dnia, w którym w jej życiu pojawiła się Natasha. Odbywała się właśnie jakaś szkolna uroczystość. Wszyscy zgromadzili się, by wysłuchać przemówienia dyrektora oraz rozmaitych ważnych komunikatów. Uczniowie odbierali nagrody za osiągnięcia w muzyce i w konkursie poezji obcojęzycznej. W przypadku obu dyscyplin była to czwórka tych samych, wybitnie zdolnych i słynnych w całej szkole dzieci. Kathryn nie sądziła, by umiejętność prowadzenia rozmowy w języku mandaryńskim przy jednoczesnym zonglowaniu płonącymi pochodniami oraz układaniu w rekordowym czasie kostki Rubika zrekompensowała w pełni brak kolegów i koleżanek. Mark przemawiał bez końca. Do tego stopnia upajał się występem i brzmieniem własnego głosu, że po jakichś piętnastu minutach stracił zainteresowanie dzieci, a chwilę później większości nauczycieli. Sama Kathryn też już nie pamiętała tematu jego wystąpienia.

Kiedy grono pedagogiczne opuszczało budynek, przemieszczając się w stronę dziedzińca, Natasha najkrótszą drogą podeszła do stojącej samotnie Kathryn, która zastanawiała się, czy może już zniknąć, nie będąc posądzoną o złe maniery. W szkole tej rangi podobne sprawy miały duże

znaczenie. Należało zostać dostrzeżonym na wykonywaniu właściwej czynności, we właściwym momencie i we właściwy sposób. Wyczucie czasu było podstawą.

Kathryn patrzyła, jak kobieta celowo zmierza w jej stronę. Mentalnie przygotowana na pytania typu: „Przepraszam, gdzie jest blok C? O której jest przerwa? Którędy do toalety dla nauczycieli” nerwowo obciągnęła sweter. Tymczasem okazało się, że ich pierwsze spotkanie nie mogło być większą niespodzianką.

Kathryn widziała oceniające spojrzenia, odprowadzające Natashę, kiedy odłączyła się od tłumku uczniów i nauczycieli. Najwyraźniej była nieświadoma skierowanej na siebie uwagi. Nie zdawała sobie sprawy, że wzbudza zainteresowanie? Czy też było jej wszystko jedno, tego Kathryn nie wiedziała. Natasha miała na sobie długą, białą, zwiewną spódnicę i siemienne sandały na grubej, płaskiej podeszwie. Buty wyglądały tak, jakby wyprodukowano je w ramach recyklingu, a następnie pomalowano na różowo. Nie wiadomo, czy jaskrawozielony fragment garderoby, który narzuciła na ramiona, należało nazwać swetrem, bluzą czy narzutką – w każdym razie upięty był na ramieniu za pomocą ogromnego białego kwiatu. Krótkie, brązowe włosy udekorowała przynajmniej trzema klamrami, z których każdą zdołał błyszczący motyl. Tego rodzaju akcesoria widywało się raczej u dziewięciolatek, ale Natashy to nie przeszkadzało. Zobaczyła klamry z motylami, spodobały jej się, więc je kupiła i chętnie nosiła. Cała jej postać emanowała urodą i świeżością. Można było podejrzewać, że nie zapoznała się z wytycznymi, precyzującymi sposób ubierania się grona pedagogicznego w tego typu placówce, albo uznała za stosowne je zlekceważyć. Przy niej wszyscy i wszystko dokoła wydawało się szare i nudne. Później Kathryn odkryła, że Natasha wygląda tak niezależnie od okazji i pory roku. Ona po prostu rozświetlała ciemność.

– Dzień dobry, jestem Natasha Mortensen. Dziś jest mój pierwszy dzień w pracy. Będę uczyć plastyki i historii sztuki – odezwała się zwięźle, pewnym głosem.

– Ach, tak! Wiem, że miała pani przyjechać, no, nie konkretnie pani, ale nowy nauczyciel. Bardzo mi miło panią poznać. Jestem Kathryn. Witamy w Mountbriers.

Ucisnęły sobie ręce. To męskie powitanie wydało się obu trochę nieestosowne.

– Dziękuję. Może przejdziemy na ty? Zobaczyłam cię w auli i od razu zdecydowałam się podejść, żeby powiedzieć, że wybrałam cię z tłumu, bo jako jedyna wyglądasz na osobę, z którą mogłabym się zaprzyjaźnić. Wyróżniasz się na tle tych starych tetryków i wesołej zgrai. A ten kretyń pierwszy wody Mark Brooker! Co za beznadziejny dupek. On długo może tak gadać? O Boże, już myślałam, że nigdy nie skończy. Dzieciaki były oglupiałe, widać, że ledwo wytrzymały, ja sama dwa razy prawie się zdrzemnęłam! Już widzę, jak doskonale nam się będzie współpracować! Boże uchwaj od takich jak on!

Bezpośredni styl bycia Natashy zaskoczył Kathryn do tego stopnia, że zapomniała języka w gębie. Wyteżyła umysł, by sobie przypomnieć, co poprzedniego wieczoru Mark mówił o nowej

nauczycielce plastyki. „W pewnym sensie jestem w szachu – narzekał – Max Whittington mnie prosił, żeby dać jej szansę. Uważa, że jak na razie nie mamy mocniejszej kandydatki. Przypuszczam, że wpadła mu w oko. Chociaż działa mi na nerwy, nie mogę ryzykować, że Max wycofa się z planów sponsorowania remontu biblioteki. Jednak gdyby to ode mnie zależało, nie wpuściłbym jej nawet na teren szkoły. Widziałem już takie – to wywrotowa lesbijka, niebezpieczna”. Kathryn stwierdziła, że tu, w tym jednym punkcie, wyjątkowo się nie mylił. Choć Natasha w żadnym razie nie sprawiała wrażenia osoby niebezpiecznej.

Natasha mówiła dalej:

– Kathryn, nie bądź taka zdziwiona! Zawsze tak robię! Wybieram sobie ludzi na przyjaciół i czy mnie lubią, czy nie, muszą ze mną wytrzymywać, nic na to nie poradzę. Zawsze tak było, a powody, dla których wybieram sobie przyjaciół, są często kompletnie żłudne. Jeśli mi nie wierzysz, zapytaj Ellie Simpson albo Hannah Hartley. Wybrałam je sobie w podstawówce i są ze mną do dziś!

– Dlaczego je wybrałaś?

– Ellie ma najbardziej zdumiewający uśmiech na świecie i podzieliła się ze mną słodyczami. Teraz wiem, że dzieli się wszystkim i ze wszystkimi, jest chodzącą dobrocią. Hannah miała dołeczki w policzkach i śmiała się jak opętana, zresztą wciąż się tak śmieje.

– A mnie? – Kathryn była ciekawa.

– Przede wszystkim dlatego, że wyglądasz jak Mia Farrow, tylko lepiej. A poza tym jest w tobie coś tajemniczego, wyniosłego. Wystarczyło na ciebie popatrzeć w trakcie tej uroczystości. Widziałam, że myślisz o tej całej pompie dokładnie to samo, co ja. Jakbyś marzyła, żeby być zupełnie gdzie indziej.

Kathryn nic nie odpowiedziała. Przygryzła wargi i siłą woli powstrzymała się od wybuchu. Chciała krzyknąć, że Natasha ma całkowitą rację, że zawsze, absolutnie zawsze marzy o tym, by być gdzie indziej. Zaśmiała się wbrew sobie. Mia Farrow? Pamiętała ją tylko z lat sześćdziesiątych, cudowną i filigranową. Porównanie to bardzo jej schlebiało. Uznała je za komplement, którym zresztą było.

Natasha nie przerywała słowotoku.

– Więc czego uczysz, Kathryn? Jak długo tu pracujesz? Skracasz jakoś to „Kathryn”? Jest trochę za formalne, jak na osobę w twoim stylu...

– Kate – zaproponowała Kathryn. Nie wiedziała, na które pytanie odpowiedzieć najpierw, jaki styl ma na myśli Natasha i czy się z nią zgadza. Dziwne, że tak szybko przyszło jej do głowy imię, którego używała w młodości i które przywodziło na myśl osobę, jaką była dawniej.

– OK, Kate, już lepiej. Więc czego uczysz, Kate? – Nowa przyjaciółka już dwa razy użyła tego imienia, wypowiadając je na próbę, zapoznając się z nim.

Skrepowana Kathryn przysłoniła ręką usta. Ogarnęło ją dobrze znane uczucie – że nie ma prawa

tutaj być, że nie należy do grona pedagogicznego, że jest tylko obserwatorem.

– Och, ja nie uczę. Właściwie mam uprawnienia, by uczyć angielskiego, ale nigdy nie uczyłam. Jak by to powiedzieć? Życie zrewidowało moje plany, pojawiły się dzieci i tak dalej – zachichotała lekko. Wiedziała, że brzmi banalnie, nienawidziła tego. – Jestem panią Brooker, żoną tego kretyna pierwszej wody Marka Brookera.

Większość ludzi w takiej chwili wybuchnęłaby śmiechem, krzyknęłaby z przerażenia lub zamarła ze zgrozy, przepraszając i wyjaśniając, że to tylko głupi, nieprzemyślany żart. Jak się Kathryn dopiero miała przekonać, Natasha ani trochę nie przypominała większości ludzi. Położyła obie ręce na ramionach Kate i spojrzała jej w oczy.

– W takim razie ciężki twój los, dzieciaku.

To wystarczyło, by Kathryn uznała Natashę za wspaniałą osobę i ogromnie się ucieszyła, że będzie miała taką przyjaciółkę. Wkrótce też pojawiły się inne powody, dla których mogła być z tego zadowolona.



Reszta dnia upłynęła Kathryn na rozmaitych czynnościach, między innymi na myciu przeszlonych drzwi do ogrodu, odświeżaniu roślin w holu i gabinecie, robieniu zakupów i przygotowywaniu kanapek na wieczorne spotkanie nauczycieli, a w końcu na gotowaniu obiadu dla rodziny. Kiedy zrobiła to wszystko, zajęła się zbieraniem prania, a potem prasowaniem pościeli i układaniem jej równo w bieliźniarce. Tam pachnące świeżością poszewki miały grzecznie czekać na swoją kolej w grafiku. Według szacunków Kathryn kolej ta miała nadejść już w środę. W końcu, tuż przed wpół do piątej, usiadła przy toalecie, uczesała włosy, lekko spryskała się perfumami i nałożyła róż na blade policzki. Potem, zgodnie z instrukcją męża, by zawsze wyglądać „skromnie i kobieco”, przebrała się w bladoróżową, lnianą spódnicę i sweterek pod szyję.

Dzień w dzień po południu, choć w zależności od pory roku i rodzaju obowiązków, o różnych godzinach, Kathryn siadała przy swej białej toalecie z trzema lustrami i posłusznie „doprowadzała się do porządku”. W głowie samoistnie, z niepokojącą regularnością rozbrzmiewała jej piosenka z lat sześćdziesiątych. Przypominała natrętny dźwięk budzika, którego Kathryn nie potrafiła wyłączyć.

*Uczesz włosy, popraw szminkę
On zaraz stanie w drzewiach.
Nie, nie myśl, że
Z obrączką na palcu
Nie musisz już starać się.*

Uśmiechnęła się. Co dzień ćwiczyła uśmiech przed lustrem, bo w sposób naturalny nie potrafiła już tego robić. Dawno straciła ochotę.

Za każdym razem spodziewała się, że zobaczy w lustrze, jak jej twarz zsuwa się po kościach niczym miękkie zegary Dalego lub jajko sadzone, po czym skapuje w kałużę nieszczęścia. Z pewnym zdziwieniem, dzień po dniu, odkrywała, że mimo wszystko wciąż znajduje się na swoim miejscu, zakotwiczona tam, gdzie trzeba. Problemem był sam uśmiech. Potrafiła uśmiechać się od nosa w dół, ale oczy odmawiały współpracy. Niezależnie od tego, jak bardzo się starała, jej spojrzenie pozostawało nieobecne i pełne strachu. Będzie musiała starać się bardziej. To była odpowiedź, Kathryn: postaraj się trochę bardziej.

[4] Bedmaker (ang.) – pokojówka (przyp. tłum.).

[5] Peg (ang.) – klamerka (przyp. tłum.).

[6] *Famous Five* – cykl powieści dla dzieci autorstwa Edith Blyton (przyp. tłum.).

Rozdział 4

Pięć lat wcześniej

W kancelarii prawnej panowała zatęchła atmosfera. Pokój był zbiorowiskiem grubych, zakurzonych tomów akt i przedmiotów, które przypominały Kate starodawny sprzęt wędkarski. Drewniane uchwyty i tkanina, z której wykonano torbę na ryby, wyglądały na tak zużyte, że nie wytrzymałyby, zdaniem Kathryn, szamotania się nawet plotki. Pomalowany na kolor magnolii parapet stał się natomiast cementarzyskiem pajaków. Ich wysuszone zwłoki można było pomylić z rozsypanymi czarnymi porzeczkami. We wpadających przez okna snopach światła wirował kurz i małe cząstki włókien.

Kate czuła, jak przenoszone przez powietrze pyłki i drobinki kurzu laskoczą ją w gardło. Stariała się nie otwierać ust i odpierała pokusę, by poprosić o otwarczenie okna. Lepiej było nie wpuszczać do środka ciężkiego od spalin i kurzu powietrza z centrum Londynu. Poza tym odpowiadała jej panująca w kancelarii pana Barnesa cisza.

Kate wyszła z więzienia trzy dni i sześć godzin temu. Odsiedziała prawie pięć z ośmiu lat wyroku. Była teraz kobietą wolną, gotową stawić czoła światu. Jak dotąd najbardziej ucieszyło ją to, że w trzech sytuacjach stwierdziła u siebie całkowity spokój: w taksówce, która wiozła ją z więzienia, w łóżku w hotelu w Kensington, gdzie obecnie mieszkała, i tu, w niechlujnej kancelarii na Knightsbridge, przed obliczem człowieka, któremu Mark powierzył to, co miał najcenniejszego.

Swoje pieniądze.

Adwokat był starej daty – napuchnięty, o czerwonej twarzy, ubrany w tweedy, najprawdopodobniej dawny absolwent Mountbriers. Markowi bardzo schlebiała aprobata i przyjaźń tego typu ludzi. Wyobrażała sobie, jak pan Barnes przy obiedzie, między kęsami dziczyzny a łykami bordo, opowiada komuś jej historię. Zapewne w jego ustach była „nieobliczalną kobietą”, która „załatwiła” dyrektora szkoły cieszącą się ogromnym uznaniem.

Czy się tym przejmowała? Tylko o tyle, o ile tego typu plotki mogły dotrzeć do Yorkshire, do uszu Lydii i Dominica. Na nic innego nie zważała.

Pan Barnes wepchnął ciężkie okulary w złotych oprawkach na bulwiasty nos i zaczął przeglądać papiery, które trzymał w ręku. Czytał uważnie, jakby zawarte w nich informacje były dla niego nowością. Może i były, ale przede wszystkim chciał okazać swą wyższość. Nie obchodziło go, czy Kate ma czas, czy może za chwilę jest umówiona na inne spotkanie, lub czy atmosfera jego dusznego, nieprzyjaznego pokoju nie nadwyręża przypadkiem jej przed chwilą odzyskanego poczucia wolności. Z przyjemnością zaprosił ją do swego biura, po czym pozwolił, by w ciszy czekała na informacje dotyczące jej sytuacji finansowej, podczas gdy on wnikliwie przeglądał dokumenty. Bawiło ją, że została niemal zignorowana. Choć nie mógł tego wiedzieć, była całkiem zadowolona. Nie czuła niepokoju, niepewności czy nadmiernego podniecenia, jaki okazywali inni interesanci, którym przyszło siedzieć na tym samym krześle. Miała mnóstwo czasu.

Pan Barnes odłożył w końcu dokumenty drukiem w dół na pokryte skórą biurko i zdjął okulary.

– Ufam, że jest pani...

Kate czekała, aż skończy, ale nie zrobił tego.

– Tak, jestem.

– Dobrze.

Przez moment światło odbiło się od jego starych, pożółkłych zębów, które przywodziły na myśl kły morsa. I nawet do niego pasowały. Przyjęła tę nic nieznaczącą wymianę zdań cierpliwie, z uśmiechem.

– W takim razie dobrze, Kathryn.

– Kate.

– Słucham?

– Nie nazywam się już Kathryn Brooker. W zasadzie nigdy się tak nie nazywałam. To Mark mnie tak ochrzcił. W młodości używałam imienia Kate lub Katie. Mąż mówił do mnie Kathryn. Odebrał mi wszystko, nawet imię. Teraz więc wracam do Kate. Nazwisko panińskie – Gavier. Proszę nie mówić do mnie Kathryn Brooker.

Pan Barnes patrzył na siedzącą przed nim schludną kobietę. Zgodnie ze swym brzydkim przyzwyczajeniem naciągnął skórę szyi, wypychając dolną szczękę. Nie miał wątpliwości, że była

wariatką, a w dodatku zwolenniczką cholernego wyzwolenia kobiet. Za jego czasów kobieta przyjmowała nazwisko męża i była zadowolona, że może je nosić.

– Nieważne. Nie ma to większego znaczenia.

– Być może dla pana. – Nie miała zamiaru pozwolić, by uszło mu to płazem. – Ale dla mnie ma to olbrzymie znaczenie, więc proszę odtąd zwracać się do mnie „Kate”.

– Dobrze, rozumiałem. Możemy przejść dalej?

– Proszę bardzo. – Skinęła głową.

Pan Barnes wydobył okulary do czytania i przewrócił papiery tak, by leżały drukiem do góry.

Ten teatralny gest wywołał uśmiech Kate.

– Kate – powiedział przesadnie głośno, po czym przerwał. – Mark pozostawił pani znaczny majątek. Po pierwsze, chodzi o spore środki zgromadzone w ramach świetnie zarządzanego funduszu emerytalnego. Po drugie, mój klient był na tyle roztropany, by wykupić ubezpieczenie na życie. Po trzecie, miał parę inwestycji, które w pani imieniu spieniężyliśmy. Jest więc pani w wyjątkowo korzystnej sytuacji. W swojej dotychczasowej karierze jeszcze się z taką nie spotkałem. Pojawiło się wprawdzie parę kwestii spornych między mną a firmą ubezpieczeniową i nie kryję, że musiałem zasięgnąć porady kilku kolegów po fachu, ale teraz wygląda na to, że wszystko jest zgodne z prawem.

Skinęła głową. Mówił lekko oskarżycielskim tonem. Odpowiadając całkowicie szczerze, Kate musiałaby przyznać, że trochę dziwnie czuje się jako beneficjentka polisy na życie, które sama odebrała mężowi.

– Gdyby popełniła pani morderstwo, sprawy przedstawiałyby się inaczej, ale w takich okolicznościach jestem zobowiązany poinformować panią, że kwota wynosi...

Sposób, w jaki zaakcentował słowo „zobowiązany”, mówił sam za siebie.

Przesunął po biurku wierzchnią kartkę, podkładając pod nią jednocześnie dłoń, by lekko się podniosła. Na jego pękatych palcach widniały ślady lunchu, składającego się z pieczonego kurczaka, jak również niewidoczne dla oka pozostałości po krótkiej wizycie w toalecie. Nie miał w zwyczaju myć rąk ani po jedzeniu, ani po wyjściu z ubikacji.

Wzrok Kate natychmiast powędrował w stronę prawego górnego rogu strony, w którym wydrukowano cyfry. Ostateczna kwota wynosiła prawie milion funtów. Kate poczuła, jak żołądek zaciska jej się ze zdziwienia. Nie miała pojęcia, że Mark zdołał zgromadzić takie pieniądze. Zaszło jej w ustach na myśl o tym, co mogło to oznaczać dla Dominica i Lydii.

– Czy to się zgadza z pani oczekiwaniami, Kate? – zapytał. Znowu wymówił jej imię tak, jakby chciał je wypluć.

Skinęła głową i lekko wzruszyła ramionami. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. W więzieniu niewiele zastanawiała się nad finansami, a już taka suma nie przyszlaby jej do głowy nawet

w najśmielszych fantazjach. Nieważne, czy to był milion, czy miliard – żadne pieniądze nie zrekompensują życia z Markiem i rozłąki z ukochanymi dziećmi. Oddałyby wszystko co do pensa, byle tylko w dniu zakończenia wyroku zobaczyć je przed drzwiami więzienia.

Kate wstała, dając do zrozumienia, że uznaje spotkanie za zakończone.

– Ma pani jakieś plany co do tych pieniędzy? – zapytał pan Barnes ostrym tonem.

Uznała je za niegrzeczne i niepotrzebne. Nie miał z tym nic wspólnego. Już nie. Miała ochotę odpowiedzieć: „Tak – zamierzam postawić wszystko na wyścigach”. Ale nie zrobiła tego.

– Cóż, po pierwsze, wybieram się z dziećmi na wakacje. We trójkę poleżymy sobie gdzieś na słońcu. Już nie mogę się doczekać. Miło, że pan zapytał, panie Burns.

– Barnes.

– Nieważne. Nie ma to większego znaczenia – odparła przez ramię i wyszła, z ulgą opuszczając zatęchły pokój.



Kate leżała na hotelowym łóżku i gapiała się w sufit. Gdzieś poniżej, na ulicach Londynu, wyły silniki i trąbiły klaksony. Skrzyżowała nogi i oparła je pionowo o ścianę. Poruszyła palcami stóp w nowych, miękkich szarych skarpetkach. To jeden z małych luksusów, które dawały jej ogromną przyjemność. Na niewielkiej tacy obok materaca stała filizanka mocnego earl greya i leżały dwa cieniutkie ciasteczka migdałowe. Przesuwała palcami po przyjemnie wygiętej słuchawce telefonicznej. Cudownie było po prostu móc ją podnieść i zadzwonić, podejść do okna i je otworzyć, a także wyjść na dwór i zaczerpnąć świeżego powietrza.

– Hej tam, w Yorkshire, wszystko gotowe!

Kiedy jej siostra odebrała telefon, Kate nie była w stanie opanować podniecenia.

– O, Boże, Fran, nie mogę w to uwierzyć, naprawdę. Będzie po prostu cudownie, choć szczerze mówiąc, jest mi obojętne, gdzie się z nimi zobaczę, czy w Blackpool, Weston Super Mare czy gdziekolwiek indziej. O tyle lepiej, że będziemy na słońcu, ale tak naprawdę liczy się tylko to, żeby spokojnie porozmawiać. Nie wierzę, że w końcu ich zobaczę! Dosłownie nie wierzę! A wiesz, co będzie najlepsze? Spać z nimi pod jednym dachem i zobaczyć ich rano, zaspanych i rozczochranych. Czy ty wiesz, ile lat minęło, odkąd ich widziałam prosto po wstaniu z łóżka? Czuję się tak, jakby dzisiaj były święta, sylwester i wszystkie urodziny mojego życia.

– Kate.

– Powiedz im, że mam wszystkie kremy z filtrem i tak dalej, może nawet trochę przesadziłam. Lydi zawsze opalała się na brązowo, jak czekoladka, szczęściara, ale Dom, zanim się opali, przechodzi przez wszystkie odcienie czerwonego – jak homar. Kupiłam tyle kremów i balsamów, że chyba wystarczy nam do końca życia.

– Kate – powiedziała Francesca, tym razem bardziej stanowczym tonem.

– Wiem, wiem, że nudzę, ale Fran, nic nie mogę na to poradzić! Jestem taka podekscytowana! Podałam ci godzinę wylotu? Nie podałam, prawda? Oczywiście chcę się z nimi spotkać, zanim wylecimy. Chyba wezmę pokój w hotelu w Gatwick, żeby mogli przyjechać albo poprzedniego dnia wieczorem, albo bardzo, bardzo wcześnie rano, żebyśmy zdążyli się na nowo poznać, no wiesz, zanim wsiądziemy do samolotu.

– Kate. Oni. Nie. Jadą.

Francesca wymówiła każde słowo tak, jakby miała do czynienia z obcokrajowcem – głośniej niż zwykle i przesadnie akcentując.

– No dobra, w porządku. Tak myślałam. W takim razie spotkamy się na lotnisku, i może to nawet lepiej, jak się nad tym zastanowić. Może będzie im łatwiej w tłumie, wiele rzeczy odciągnie ich uwagę. Będziemy mogli po prostu ze sobą pobyc, a kiedy dolecimy na miejsce, łatwiej będzie rozmawiać. Trudno, jak wolą.

– Nie. Kate, posłuchaj mnie. Oni wcale nie jadą. Ani na lotnisko, ani na wakacje. Nie jadą nigdzie. Przykro mi, kochanie.

Kate pozwoliła nogom opaść ze ściany. Przestała gadać jak najęta. Leżała teraz na narzucie jak kulka, owinięta wokół słuchawki.

– Czy chodzi o podróż? – zapytała szeptem. – Bez problemu po nich przyjadę. Albo wysłę im pieniądze na bilet. Wszystko jedno.

– Nie o to chodzi, Katie, oni po prostu potrzebują więcej czasu.

– Więcej czasu? Jeszcze? Przecież mieli pięć lat! – jęknęła Kate przez wykrzywione słochem usta.

– Wiem, kochanie, wiem..

– Nie wiesz, Francesca! Nie możesz wiedzieć! Przepraszam, to nie twoja wina, ale błagam, błagam, przywieź ich do mnie. Błagam, Fran..

– Kochanie, próbowałam. Przysięgam ci, że próbowałam. Siedziałam z obydwojgiem i rozpatrywaliśmy różne opcje. Zlituj się nad nimi, Kate, oni po prostu nie są gotowi. Muszą się oswoić z tym, że wyszłaś z więzienia. A my musimy działać ostrożnie.

Będąc w więzieniu, Kate sama się oszukiwała i wymyślała powody, dla których dzieci jej nie odwiedzały. A to spory dystans dzielący Marlham od York, a to ich napięty grafik, a to obawa przed spotkaniem w murach więzienia. Teraz musiała jednak stanąć twarzą w twarz

z rzeczywistością. To, że jej nie odwiedzali, wynikało z ich własnej decyzji. Co gorsza, nawet teraz, kiedy mogli po prostu wsiąść do pociągu i za parę godzin być w Londynie, nie chcieli się z nią zobaczyć. Nie mogła dłużej ukrywać przed sobą gorzkiej prawdy.

– Proszę cię, Francesca, proszę!

– To nie moja decyzja, Kate. Wiem, że to dla ciebie straszne.

„Zbyt straszne, zbyt straszne. Jak ja sobie z tym poradzę?”

– Zobaczymy, co powiedzą, kiedy wrócisz. Nie płacz, kochana, wszystko będzie dobrze. Proszę, tylko nie płacz.

„Za każdym razem serce mi pęka. Za każdym razem”.



Myśl, że można by wyjechać na wakacje, przysłała Kate do głowy dopiero wtedy, kiedy wypłula ją prosto w twarz wścibskiemu prawnikowi. Sam pomysł był jednak niegłupi. Dawał jej i dzieciom szansę na to, by po długiej rozłące poznać się na nowo, w neutralnym otoczeniu. Kate nie brała nawet pod uwagę możliwości, że Lydia i Dominic w ogóle nie będą zainteresowani spotkaniem.

Kiedy się o tym dowiedziała, małe szczelina, jaką miała w sercu, trochę się poszerzyła.

Przez całą długą noc torturowała się wyobrażeniami o sobie i dzieciach, spacerujących boso po piasku i prowadzących szczere, otwarte rozmowy przy zachodzie słońca. Wizje te nie miały się jednak ziścić. Rano omiotła wzrokiem zaslaną zużytymi chusteczkami podłogę i podjęła decyzję. W takim razie jedzie sama.

Po raz pierwszy w życiu znalazła się w sytuacji bez żadnych zobowiązań. Nie miała domu, pracy, ani nawet czekającej na jej powrót rodziny. Równie dobrze mogła mieszkać w hotelu w Londynie, jak gdzieś za granicą. Tam przynajmniej spokojnie zbierze myśli i wygrzeje się w słońcu. St. Lucia. Już wymawiając tę nazwę, czuła powiew egzotyki.

Na Gatwick ogarnęło ją przerażenie. Zdawało się, że wszyscy oprócz niej w hali odlotów wiedzą, co i jak należy robić. Ostatnich osiemnaście lat spędziła w zupełnej izolacji od świata – najpierw pod całkowitą kontrolą Marka, a potem w więzieniu. Nie miała wprawy w przebywaniu wśród obcych. Zabawne. Przez pięć lat mieszkać pod jednym dachem z morderczyniami i dilerkami narkotyków, a teraz bać się rodziny, która rozłożyła się naprzeciwko z plecakami, kolorowanekami i mokrymi chusteczkami? A jeśli ktoś się do niej odezwie? Bóg jeden wie, czy będzie potrafiła zamienić dwa słowa z długonogą mamą popijającą kawę ze styropianowego kubeczka i od czasu do czasu

glaszczącą męża po muskularnym udzie.

Kate uważnie przyjrzała się twarzy kobiety, jej ustom i w ogóle zachowaniu. Wiedziała już, że pierwsze wrażenie często myli. Czy ta kobieta czegoś się bała? Czy była zbyt powściągliwa? Czy żyła pod presją? Kate musiała przyznać, że nie wyglądała na to. Nie bała się, nie zachowywała nadto powściągliwie i trudno byłoby uwierzyć, że jest przymuszana do czegokolwiek. Wręcz przeciwnie – najwyraźniej czuła się swobodnie, była odprężona i zadowolona. Szczęściara.

Kate smucił własny brak zaufania do ludzi. Wiedziała, że straciła pewność siebie w nawiązywaniu znajomości i prowadzeniu grzecznościowych rozmów. Może ta pewność powróci z czasem, z praktyką. Sporadycznie pozwalała sobie na fantazje, jak to by było wyjść za miłego człowieka i wieść mile życie. Dlaczego jej życie potoczyło się zupełnie inaczej?

Zagłębiła się w lekturze wierszy Dereka Walcotta, a jednocześnie starała się być niewidoczna dla otoczenia. Zaabsorbował ją jeden wers, wyjątkowo trafny i odnoszący się do jej sytuacji.

Powtarzała go, rozkoszując się zawartą w nim treścią:

Także ty pokochasz znowu – nieznajomego, który kiedyś był tobą.

Z rozmyślań wyrwały ją zgiełk i zamieszanie wywołane przez gromadę chłopców. Podzielili się na cztero-, pięcioosobowe grupki i rozeszli po najbliższej okolicy. Wyglądali na inteligentnych i dobrze ułożonych, ale mieli w sobie też dużo nonszalanckiej. Przypominali jej dzieciaki, które kiedyś znała – chłopców podobnych do Dominica. Nawet tak samo wyglądali – w spodniach od dresu i bluzach z kapturami, z długimi, wycieniowanymi grzywkami i skórzanymi torbami przerzuconymi przez ramię. Mogli mieć po dwanaście, czternaście lat. Zachowywali się uprzejmie, ale robili wrażenie uwięzionych w pancerzu dobrego wychowania, który powstrzymywał ich przed jakimś poważniejszym wybrykiem.

Ku rosnącej obawie Kate, skierowali się w stronę trzech wolnych siedzeń tuż obok. Rzucili na nie torby i ciasno słoczyli się wokół. Wydawali się nie dostrzegać kobiety z nosem w książce. Gadali o turnieju rugby, na który się właśnie wybierali, o godzinie odprawy i o tym, że jakiś George omal nie spóźnił się na autobus. Został za to obrzucony wieloma politycznie niepoprawnymi epitetami, choć Kate nie widziała związku między zepsutym budzikiem chłopca a jego seksualnością. Mówili z akcentem, który świadczył o przynależności do wyższych sfer. Wymowny był też fakt, jak swobodnie czuli się na ogromnym lotnisku bez rodziców, na progu wyprawy na drugi koniec świata.

Wszystko zdarzyło się w mgnieniu oka. Kate opuściła książkę, a jednocześnie jeden z chłopców stanął do niej tyłem, tak że przed oczami miała godło szkolne znajdujące się na plecach jego bluzy. Natychmiast oblał ją zimny pot, a nogi zaczęły drżeć w sposób niekontrolowany. Wciąż tak samo działał na nią widok złotego emblematu z rozpostartymi w tle skrzydłami orła i łacińskim motto: *Veritas Liberabit Vos*. Ten emblemat oznaczał Marka. Tortury. Więzienie. Utratę Lydii i Dominica.

Kate sięgnęła po torbę i gorączkowo zaczęła upychać w niej książkę i butelkę z wodą. Serce

kolatało jej w piersi, a wzrok stał się mętny. W pośpiechu upuściła książkę. Para młodych rąk natychmiast sięgnęła i podniosła ją.

Ciemnowłosy nastolatek podał jej książkę.

– Przepraszam, to chyba pani wypadło.

– Dz...dziękuję, tak, to moja.

– To zdobywca Nobla, tak? Dobre chociaż te wiersze?

Kate podniosła wzrok i spojrzała prosto w oczy Guida Petronatti. Ostatnim razem, kiedy go widziała, chłopak miał dziewięć lat. Był bystrym dzieckiem. Nie dziwiło jej, że natychmiast rozpoznał książkę noblisty.

Wzięła głęboki oddech i stwierdziła, że nie ma nic do ukrycia.

– Dopiero zaczęłam czytać, Guido, ale zapowiada się obiecująco. Wspaniała poezja. Wciąż dużo czytasz?

Kate przypomniała sobie małego mola książkowego w okularach, który najbardziej na świecie lubił zaszyć się w cichym kącie biblioteki z najnowszą książką o Harrym Potterze. To było wielki temu.

Skonsternowany chłopak uniósł brwi.

– Tak, lubię. Czy ja...? Skąd pani? O, cholera! Przepraszam, pani Brooker, nie chciałem przeklinać, tylko...

– Nic się nie stało, Guido. Rozumiem.

– Jejku, nie sądziłem, że panią jeszcze kiedyś zobaczę. Czy to znaczy, że...? Czy pani...? Cholera, przepraszam.

– Jak tam Luca?

Ze wszystkich sił starała się uspokoić chłopca, który stanąwszy oko w oko z okrytą złą sławą panią Bedmaker, był wyraźnie zmieszany. Kate zawsze bardzo lubiła starszego brata Guida, kolegę Dominica.

– Studiuje medycynę w King's College. Przepraszam, że to powiem, ale współczuję temu, kto będzie się u niego leczył. To czubek. Ale wiem, że często spotyka się w Londynie z Dominikiem. Tata kupił mu mieszkanie. Luca to farciarz.

– Och.

Kate oparła się o krzesło. Wspomnienie o synu odebrało jej dech w piersi. W Londynie. Czyli blisko niej. Dla Luki mógł jechać taki kawał, a dla niej nie. Była to świeża informacja, nowy obrazek, który jej skolatany umysł musiał przyswoić i pokolorować w ciągu najbliższych dni. Jej dorosły syn Dominic sam w Londynie z Luca, który zawsze miał zadatki na playboya. Uśmiechnęła się na myśl o nich razem. Była szczęśliwa. Poruszona tym, czego się dowiedziała, ale równocześnie szczęśliwa. „Dobrze, Dom, mój piękny synu”.

– Wszystko w porządku, pani Brooker? Mogę w czymś pomóc?

Kate nie była świadoma, że płacze i że wszyscy chłopcy się na nią gapią. Tak bardzo tęskniła za dziećmi, tak pragnęła, żeby przy niej byli. Ich bilety lotnicze na wszelki wypadek miała przy sobie. Gdyby w ostatniej chwili zmieniły zdanie...

– Przepraszam, Guido. Wszystko w porządku. Chodzi o to, że od dawna nie widziałam Dominica i Lydii i bardzo za nimi tęsknię.

Chłopak wbił wzrok w podłogę i szorował czubkiem adidasa wypolerowane na wysoki połysk linoleum.

– Potem nigdy nie było już jak dawniej, wie pani...

Niepewny, czy przypadkiem nie zachowuje się niestosownie, zmarszczył czoło, ale po chwili postanowił mówić dalej.

– Po tej nocy... kiedy pan Brooker... W Mountbriers zrobiło się trochę gorzej, tak bardziej surowo. Myślę, że to dlatego, że pani brakowało. Dla mnie zawsze była pani taką zapasową mamą, bo przecież moja mama była daleko. Ale jak się nad tym zastanowię, to kiedy jestem razem z mamą, wydaje mi się do niczego. Pani zawsze poprawiała mi włosy, zanim weszliśmy do kaplicy. Nikt inny tego nie robił. Nigdy. Nie każdemu na tym zależało, ale mnie nie było wszystko jedno, że miałem nieuczesane włosy, a sam nie potrafiłem się nimi zająć.

Łzy popłynęły Kate jeszcze bardziej.

– Chłopcy, chłopcy! Szybko, zbieramy się. Nikt nie chce tu zostać, prawda?

Młody wufista donośnym głosem wzywał podopiecznych. Dzięki Bogu, Kate go nie знаła, bo nie dałaby sobie rady przy kurtuazyjnej wymianie zdań. Grupa chłopaków natychmiast zaczęła się zbierać.

Kate patrzyła, jak Guido podchodzi do kolegów. Szepnęła:

– Dziękuję, Guido. Bardzo ci dziękuję.



Od ostatniej podróży Kate kula ziemiska wydawała się skurczyć. Jedną długą drzemkę, dwa posiłki i dwa filmy później wysiadła z samolotu w innym świecie.

Ostrożnie włożyła swój bagaż do stosownej przegródki w małym, czerwono-żółtym autobusie, który podskakiwał na wybojach szosy noszącej dumną nazwę Millennium Highway. Sama nazwa przywodziła na myśl wielopasmową autostradę z idealnie uregulowanym ruchem samochodów

mnących między neonowymi reklamami i mrugającymi światłami miasta. Kate wyobraziła sobie ruchomy chodnik z *Jetsonów*, tylko prawdziwy, na ziemi. Droga, którą jechała, była całkowitym przeciwieństwem wizji – miała gigantyczne dziury, niektóre wielkości wanny i zaśmiecona była najrozmaitszymi przedmiotami. W Anglii w najlepszym razie mogłaby figurować jako droga klasy B.

Kate spojrzała na porzuconą na poboczu brązową, welurową kanapę. Na jej wypchanych poduchach zwinęły się do snu trzy wychudzone psy. Jeden miał półprzymknięte oko, a noga zwisała mu z siedziska, jakby trwał w czujnym oczekiwaniu na pana domu, który niechybnie zjawi się i zgoni go na ziemię. Na samym środku zakrętu usadowiły się zbite w ciasne stadko kozy. Nie stanowiły przeszkody dla dziwnego, małego motocykla Suzuki, który minął je bez najmniejszego problemu, ale już dla sporego, kłocowatego autobusu tak. Wprawny kierowca, pogwizdując, próbował precyzyjnie manewrować między wolnym kawałkiem jezdni a zwierzętami. Zjechał prawymi kołami na zwirowe pobocze, tak że bus niebezpiecznie przechylił się w stronę nieogrodzonego urwiska. Kate odwróciła wzrok od niebezpieczeństwa i utkwiała go w przeciwległym oknie.

Ze zdziwieniem przyglądała się wielokolorowym budynkom, w większości zbudowanym na palach. Najwyraźniej był to jedyny sposób taniej i bezpiecznej budowy domów na stromych zboczach. Z daleka małe, czerwone, jaskrawoturkusowe czy różowe kwadraciki przypominały bajkowe domki z piernika i słodkiej pianki. Z bliska w oczy rzucała się huszcząca się farba na deskach, skrzynki na kwiaty w oknach i zabawne, siatkowe firanki, które wydymał wiatr. Całość robiła bardzo miłe wrażenie.

Na rachitycznych werandach leniwie toczyło się życie. Przesiadawali tam bezzębni staruszkowie o twarzach pooranych zmarszczkami, które były mapą ich niełatwego życia. Towarzyszyły im kobiety o mahoniowej skórze i włosach zakręconych na lokówki. Wzdłuż drogi rozsiane były tu i tam sklepiki sprzedające colę, ryż z groszkiem i lokalne piwo Piton. Mimo że wydawały się stać pośrodku pustkowia, kręciło się przy nich sporo ludzi. Psy i kurczaki szwendały się grupkami po poboczach. Kate przypomniała sobie kreskówkę *Chicken Licken*, a konkretnie odcinek, w którym bohaterowie wybrali się po zakupy. Przyjrzała się dokładniej, czy aby na pewno nie niosą małych koszyków, parasoli i czy żadne ze zwierząt nie ma na głowie chusteczki.

Upał był jak ciepły pled. Cudownie kołił ból stawów i rozluźniał napięte mięśnie. W brzuchu czuła rosnącą ekscytację i oczekiwanie na to, co może przynieść ta podróż. W gęstej dżungli przy drodze bananowce i palmy kokosowe walczyły o promienie słońca. Każdy zakręt odsłaniał kolejny zdumiewający widok gór i tropikalnych lasów. Było dokładnie tak, jak sobie wyobrażała. Kate poczuła, że ogarnia ją szczęście.



Podniecenie podróżą szybko minęło. Już w godzinę po tym, jak wsiadła do małego autobusu, Kate wkroczyła do ogromnej, wyłożonej marmurem recepcji hotelu Landings i natychmiast zapragnęła wrócić do domu. Tyle że nie miała domu.

Hotel był imponujący. Marmurowe kolumny i podłogi lśniły. Wysokie, łukowate drewniane sklepienie przypominało okręt. Panowała tu atmosfera dostojeństwa, przepychu i przyjemnego chłodu. Dla każdego z tych trzech powodów Kate czuła się tu zupełnie nie na miejscu. Kobiety, głównie Amerykanki, zajmujące sztywno wypchane kanapy w holu, nie sprawiały wrażenia, jakby czekały na coś konkretnego. Wszystkie miały przy sobie kogoś, kto automatycznie wykluczał Kate z ich grona. Mężczyznę.

Stanowiły niezwykle elegancką grupę. Ścisnęły w rękach torebki od Louisa Vuittona, a na przegubach ich dłoni i w uszach połyskiwały brylanty. Najwyraźniej kolektywnie uznały, że na tej zielonej wyspie nosi się wyłącznie półprzezroczyste stroje w odcieniach intensywnego różu, sandały na obcasach, głośno postukujących o kamienne posadzki, twarze zaś obowiązkowo smaruje się obficie podkładem. Niestety, Kate nie została uprzedzona o obowiązujących tu trendach. Wyglądziła rękami pogniecioną sukienkę w drobne kwiatki i poprawiła na ramieniu koszyk plażowy z rafii, kupiony w supermarkecie. Czuła się ubrana jak na szkolny piknik. Nie pasowała do karaibskiego szyku. Miejscowi mężczyźni w granatowych bermudach i nieskazitelnie białych koszulkach polo przechadzali się z rękami założonymi za plecy. Wystarczyło jedno skinienie któregoś z gości, by rzucili się nalewać drinki lub doradzać, do jakiej restauracji najlepiej wybrać się na kolację.

Kate szybko doszła do wniosku, że kamuflaż będzie najlepszym sposobem na przetrwanie. Nie miała ochoty beczynnie siedzieć przy barze lub wylegiwać się obok basenu i czekać, aż przysiądzie się do niej któraś z tych eleganckich kobiet. „Mam na imię Debbie. Jesteśmy z Nowego Jorku, z północnej części stanu. Mój mąż? Och, pracuje w bankowości. Tak, dwóch chłopów. Jeden w akademii wojskowej, chce być pilotem, a drugi robi właśnie dyplom z biznesu na Harvardzie. Pierwszy raz? Nie, szesnasty. Uwielbiamy te wyspy. A ty?”. „Jestem Kate. Z Wielkiej Brytanii. To moja pierwsza podróż. Normalnie jeżdżę do Padstow. Mąż nie żyje. Och, nie, proszę tak nie mówić, to ja go zabiłam. Właściwie to dopiero wyszłam z więzienia. Dzieci? Nie chcą mnie widzieć, bo zamordowałam ich ojca i tak dalej... Och, jakie piękne bikini!”.

Przewidywała, że tego typu rozmowa raczej nie skończy się wymianą adresów, a potem

świętecznych kartek. Zamiast nawiązywać znajomości, Kate szukała więc miejsc omijanych przez resztę turystów. Większość z nich wołała nie oddalać się od drinków z parasolkami i klimatyzowanych restauracji na odległość większą niż krótki spacer. Ona przeciwnie.

Pierwsze dwa dni spędziła na wyprawach nad brzeg oceanu i wałęsaniu się wzdłuż plaży. Potem wracała do zacisza swojego pokoju. Kładła się na łóżku i rozmyślała o otaczającym ją przepychu. Nocą kołysały ją do snu odgłosy dzikiej przyrody – popiskiwanie, świergoty i cykanie. Trzeciego dnia natrafiła na prawdziwe чудо. Odkryła Pigeon Island. Wyspa okazała się azylem, o jakim marzyła, oazą spokoju, nad którą górowały ukryte wśród dżungli ruiny dawnego brytyjskiego fortu.

Droga do fortu wiała się stromo w górę. Idąc nią, Kate podziwiała gatunki drzew, o których istnieniu nie miała nawet pojęcia. W ich egzotycznych nazwach pojawiały się niezwykle słowa, takie jak: ekstrawagancki czy język damy. Bez trudu dotarła do Signal Point. Choć wspinaczka nie była łatwa, po kilku dniach kompletnej beczynności wysiłek fizyczny wydawał się przyjemnością. Stała samotnie pod fragmentem zniszczonego muru w południowym upale. Obserwowała huśtające się na falach białe motorówki ciągnące narciarzy wodnych, którzy uderzali o błękitną taflę niczym maleńkie postaci z makiety dziecięcej kolejki. Dotknęła ręką nagrzanego granitowego kamienia. Usiadła w jego płaskim wygodnym zagłębieniu i pomyślała o tym, ile rąk dotykało go przez ostatnie dwieście lat, bo tyle właśnie upłynęło, odkąd go tu postaviono.

Jej myśli krążyły wokół nadludzkiego wysiłku, jakim z całą pewnością było wciąganie ogromnego odłamka skały z pokładu statku na szczyt stumetrowego na oko wypiętrzenia. Wyobraziła sobie muskularne, opalone ciała, śliskie od potu, uginające się pod ciężarem w ukropie palącego słońca. Może przy mozolnej pracy rozmyślali o pozostawionych za sobą portach, ukochanych osobach, lśniących od deszczu kocich łbach na uliczkach rodzinnych angielskich miasteczek? Ogarnął ją żal. Cały ich wysiłek poszedł na marne. Resztki wieży obserwacyjnej były już tylko miejscem odpoczynku strudzonych turystów.

Wydawało jej się wręcz nierealne, że zaledwie kilka tygodni wcześniej patrzyła jedynie na błyszczące bielą ściany, więzienne kraty i jaskrawoniebieskie wykładziny dywanowe, a po zapadnięciu zmroku wsłuchiwała się w charakterystyczny pisk, jaki gumowe podeszwy strażników wydawały w zetknięciu z podłogą. Trudno było dziś wyobrazić sobie więzienie Marlham i jego mieszkańców, dzień po dniu wykonujących te same, rutynowe czynności – teraz już bez niej. Podobne uczucia towarzyszyły jej w stosunku do Mountbriers tuż po „katastrofie”. Wydawało jej się niemożliwe, by mechanizm życia szkoły nadal działał na starych zasadach. Uznała, że czyjaś nagle nieobecność, podobnie jak gwałtowna zmiana okoliczności, niewiele różni się od rany – najpierw boli, ale z czasem się goi, zarastając nową skórą.

W drodze powrotnej z Signal Point Kate zatrzymała się w barze Jambe de Bois. Rachityczna drewniana knajpka znana była z ciekawych wystaw prac lokalnych artystów, pysznych chłodnych

drinków i najlepszej domowej kuchni, o jakiej można marzyć pod rozgwieżdżonym nocnym niebem. Kupiła sobie chłodne piwo Piton, po czym zeszła na niewielką plażę nieopodal pomostu. Dzień był idealny. Czuła, jak jej skóra pokrywa się delikatnym, ciepłym blaskiem opalenizny. Uczucie to nie miało sobie równych.

Oddychała długo i powoli, by oczyścić myśli i nacieszyć się nowo odkrytym spokojem. Mogła robić, co chciała. Pierwsza samotna podróż do obcego kraju przyniosła jej poczucie wyzwolenia. Dzięki niej Kate stała się żądna przygód, młoda i beztraska. Mogła sobie tylko wyobrazać, jak niesamowitą przygodą musiał być rok przerwy między maturą a studiami. W jej młodości niestety nie znalazło się na niego miejsce, czego zawsze żałowała.

Wzdłuż brzegu szła mała dziewczynka w koszulce i majtkach. Rozbryzgiwała wodę i przystawała, by pochłapać się w płytkich falach oblewających jej pulchne stópki. Włosy miała ściągnięte w ciasne wężelki, a każdy z nich wyrastał z kwadratowego pola na głowce. Ta dość wyszukana fryzura zaintrygowała Kate. Oceniała wiek dziewczynki na jakieś cztery lata. Mała była urocza. Grube, podwinięte do góry rzęsy ocieniały jej duże oczy osadzone w twarzyczce w kształcie serca. Uśmiechała się szeroko i zaraźliwie. Podbiegła do Kate i zatrzymała się tuż przed nią.

– Cześć.

Dziewczynka uśmiechnęła się, ale nic nie odpowiedziała. Wyciągnęła przed siebie małą piąstkę, w której ścisnęła jakiś mały przedmiot. Drugą ręką dała znak, żeby Kate zrobiła to samo. Kate wyciągnęła więc rękę i otworzyła dłoń pod pięścią dziewczynki – w samą porę, by złapać cenny podarunek. Była to mniej więcej dwucentymetrowa muszelka z koniuszkiem zawiniętym w idealny szpic, o blad różowym, połyskującym w słońcu wnętrzu. Po prostu idealna. Kate przypomniała sobie, jak kiedyś w Kornwalii znalazła podobną i wręczyła ją czteroletniej wtedy Lydii.

– Mamusiu, ona ma taki sam kolor, jak tęcza! – pisnęła córeczka.

– Tak, kochanie. To dlatego, że jest zaczarowana.

– Z czego jest zrobiona?

– Małe, różowe muszelki są zrobione z paznokci syrenek.

Kate wbiła palce stóp w piach i zacisnęła dłonie wokół chłodnej szklanki z piwem. Z pobliskiej plaży dochodziły odgłosy improwizowanego meczu i miarowe uderzenia piłeczki o rakiętę. Radosne okrzyki i beztraskie śmiechy dzieci przypominały jej pewien wyjazd, gdy Dominic i Lydia byli mali.

Wybrali się na długi weekend do Padstow. Obserwatorowi z zewnątrz ich pobyt musiał przypominać małą rodzinną idyllę. Młodzi rodzice z dziećmi wałęsali się po plaży, w kałużach między skałami łowili małe kraby do kolorowych dziecińczych wiader, pałaszowali rybę z frytkami na deptaku, a i pozostałe posiłki zjadali na świeżym powietrzu. Po zachodzie słońca, kiedy robiło się chłodniej, dzieci wykończone nadmorskimi przygodami padały w swoich łóżeczkach.

Lydia i Dominic całymi dniami bawili się na plaży. Zakopywali się w piachu albo kopali dół, by

potem bez końca biegać do morza i nabierać do waderek lodowatej wody, starając się go wypełnić. Nie zważali na to, że ich wysiłki były daremne, a woda natychmiast wsiąkała w grunt. Zająęcie to, choć nie dawało efektów, dostarczało im rozrywki na całe godziny. Małe stóпки tupwały w tę i z powrotem po twardym, mokrym piachu, zostawiając niewyraźne ślady, które po paru minutach znikwały, zalane kolejną falą.

Tylko przechodzień, który znalazł się wystarczająco blisko, mógłby dosłyszeć gorzki temat toczącej się na ich kraciastym kocu dysputy. Kiedy cała rodzina zebrała się, by zjeść kanapki, Mark postanowił rozpocząć ze swymi małymi dziećmi otwartą debatę.

– Dominicu, powiedz, kogo bardziej kochasz, mamę czy tatę?

Trzy pozostałe twarze odwróciły się do niego i obserwowały trud, z jakim podejmuje decyzję.

– I mamę, i tatę! – wykrzyknął po chwili. Na tę radosną deklarację Lydia aż klasnęła w ręczki.

Gdyby to było wszystko. Mark nie był jednak usatysfakcjonowany.

– Nie, Dominicu – powiedział, tym razem znacznie bardziej stanowczym tonem. – Nie możesz odpowiadać „i mamę, i tatę”, musisz jedno z nas kochać bardziej od drugiego. Musisz jedno z nas kochać najbardziej. Czy najbardziej kochasz tatę? Kochasz tatę bardziej niż mamę, prawda?

Dominic zmarszczył nos i zdezorientowany spoglądał raz na jedno, raz na drugie z rodziców. Mama siedziała ze wzrokiem wbitym w ziemię. Wydawało się, że nie bierze udziału w zabawie. Ułatwiło mu to decyzję. Mógł odpowiedzieć tak, jak życzył sobie tata.

– Ciebie, tatusiu. Ciebie najbardziej kocham.

Mark promieniał. Biło z niego zadowolenie. Dominic dostał w nagrodę mocny uścisk w ramionach taty.

– Tak jest, mój ty mądralo! Kochasz najbardziej tatusia, bo tatuś najbardziej kocha ciebie!

Wzmogło to czujność Lydii, która nawet w młodym wieku nie puszczала nic mimo uszu.

– A kto najbardziej kocha Lydię? – zapytała.

Mark przytulił ją i ucałował w twarz.

– Ja, Lyds. Twój tatuś. Kocham cię najbardziej na świecie!

– A kto najbardziej kocha mamusię? – Lydia nie zakończyła jeszcze prób analizy i zrozumienia sytuacji, w której się znalazła.

Mark spojrział jej prosto w oczy.

– Nikt nie może najbardziej kochać mamy, Lyds, bo mama jest żalną, chudą krową. Chce nam zepsuć całą zabawę. Swoją żalną twarzą i żalnym głosem chce sprawić, że wszyscy będziemy smutni. A my chcemy się cieszyć! A może chcemy być smutni, co?

– Nie! – Tę Lydia była pewna jak niczego innego. Wcale nie chcemy być smutni.

Kathryn oparła głowę na kolanach. Plakała bezgłośnie, by nie niepokoić dzieci.

Tęgo wieczoru, kiedy Dominic i Lydia spali już twardo w dziecięcym pokoiku, urządzonym

w marynistycznym stylu – z podłogą w kotwice i wydętymi wiatrem żaglami namalowanymi na ścianach, Kathryn nastawiła się na najgorsze. Postanowiła wejść na górę i rzucić wyzwanie losowi. Długo się wahała, zanim podjęła decyzję. Wyciągnęła rękę i dotknęła ramienia męża.

– Mark?

– Tak, Kathryn?

– Chciałam cię o coś poprosić.

– Proś śmiało!

Powiedział to tak ciepłym tonem, że przez moment zastanawiała się, czy owa ohydna wymiana zdań nie miała przypadkiem miejsca tylko w jej wyobraźni. Z Marka biło teraz takie zadowolenie, że gdyby ktoś podsłuchiwał ich rozmowę, uznałby ją za osobę nierozsądną. Ten formalny ton, ta nerwowość, to wahanie w głosie. Żalсна krowa.

– Chciałam cię poprosić, Mark.

– Tak? – Lekko skinął głową, zachęcając ją, by mówiła głośniej.

– Ja... chciałabym cię prosić, żebyś nie podburzał przeciw mnie dzieci.

Nie odpowiedział. Potraktowała jego milczenie jako przyzwolenie, wlało w jej serce odrobinę odwagi, wystarczająco dużo, by mówić dalej.

– I tak dużo znoszę, Mark. Wszystko mi jedno, co ze mną robisz, ale błagam cię, proszę, nie bądź dla mnie okropny przy dzieciach. Są dla mnie wszystkim i to niesprawiedliwe, zarówno wobec nich, jak i wobec mnie. Dzieci to wszystko, co mam i naprawdę tego nie znoś, nie potrafię.

Zbliżył się i bez ostrzeżenia mocno uderzył ją wierzchem dłoni w usta. To był pierwszy raz, kiedy naprawdę ją uderzył. Jej usta napęły się żelaznym w smaku płynem, który po chwili rozpoznała jako krew. Wargę, puchnąc na skutek uderzenia, wydawała się na zębach ogromna. Na nieskazitelnie czystą podłogę spadła okrągła, czerwona kropla.

Kathryn spadła z białych schodów z grubą liną zamiast poręczy i leżała teraz u ich podnóża. Mark pochylił się nad nią i z czułością pogładził ją po włosach, odgarniając zablakane pasma, które przyklepiły się do wciąż krwawiącej rozciętej wargi. Delikatnie potrząsnął głową, jakby chciał uspokoić niezdarne dziecko, które nie uważało i zrobiło sobie krzywdę.

– Bardzo się cieszę, że wszystko ci jedno, co z tobą robię. Mówiąc tak, napytałaś sobie biedy, moja panno.

Wyciągnął rękę i delikatnie pomógł jej wstać, po czym wąskim korytarzykiem zaprowadził ją do sypialni. Kathryn usiadła na brzegu łóżka i drżącymi palcami zaczęła rozpinąć koszulę. Była w szoku.

Mark zdjął skarpetki, po czym działając w sposób metodyczny i precyzyjny, wepchnął jedną z nich do jej ust. Zadławiła się. Próbowwała zapanować nad mimowolnym odruchem wymiotnym. Wiedziała, że jeśli zacznie wymiotować, najprawdopodobniej się udusi.

Rzucił ją na materac twarzą w dół i przez zaciśnięte zęby wyszeptał wprost do jej ucha:

– Jesteś bardzo, bardzo niedobrą dziewczynką, która zgromadziła aż jedenaście punktów karnych za przewinienia. Było ich tyle, że nawet ich wszystkich nie wymienię. Ale biorąc pod uwagę, że „wszystko ci jedno”, nie ma to dla ciebie żadnego znaczenia, prawda?

Powiedziawszy to, zaczął wymierzać karę. Po kilku sekundach okazało się, że nie musiał zadawać sobie trudu i kneblować żony. I tak nie pisnęłyby słowa, bo prawie natychmiast straciła przytomność.

Kiedy obudziła się nad ranem, w jej ustach nie było już skarpetki. Poczula wdzięczność. Wargi jej zupełnie spierzchły, a wysuszone gardło bolało. Wyciągnęła rękę po szklankę z wodą, która stała tuż obok przy łóżku.

– Chcesz pić, Kathryn?

Skinęła głową. Tak, chciała pić.

– Założę się, że chcesz. Ale nie. Nie dostaniesz pić, moja panno, dziś nie.

Próbowała przełknąć ślinę. Miała spuchnięty język, ślinę gęstą z pragnienia, gardło obolałe z braku dostępu powietrza, wargi opuchnięte i oblepione zaschniętą krwią. Przetoczyła się na bok i gorzko zapłakała w poduszkę. Próbowała nie myśleć o bólu ud. Nie chciała nawet widzieć, jak bardzo ją tym razem okaleczył.



Kate potrząsnęła głową, by wymazać z pamięci wspomnienie tamtego weekendu. Każde w miarę szczęśliwe wspomnienie lub wydarzenie związane z dziećmi natychmiast przysłał czarny cień poczynań męża. Zupełnie jakby była aktorką i grała w sztuce. Na scenie uczestniczyła w wielu radosnych i ekscytujących przygodach. Nie mogła jednak wiecznie być na scenie, a kiedy tylko wchodziła za kulisy, spadały na nią potworne przeżycia, których nie była w stanie uniknąć. Nie mogła zrobić nic więcej, jak tylko dzień po dniu z mozołem stawać przed widownią, przywoływać na twarz uśmiech i skrywać swe nieszczęścia, w głębi duszy zaś mieć nadzieję, że któryś z widzów dostrzeże je i przyjdzie jej z pomocą.

Kate spojrzała na stojące przed nią uśmiechnięte dziecko i przywołała wspomnienie swojej małej dziewczynki, która ukrywa drogocenny skarb – paznokieć syrenki – w kieszeni. Mrugnęła i przełknęła łzy, które pojawiły się nagle tuż pod powiekami.

– Dziękuję bardzo. To dla mnie?

Dziewczynka lekko skinęła głową.

– To z całą pewnością jeden z piękniejszych prezentów, jakie kiedykolwiek dostałam. Będzie moim skarbem!

– O, jesteś, Matildo!

Kate spojrzała w kierunku, z którego dochodził głos. Zbliżał się do nich mężczyzna. Był wysoki, szeroki w ramionach, a splecione w warkocz włosy spływały mu na szyję. Jego czarna skóra lśniła w słońcu, nie pozostawiając wątpliwości co do położenia każdego mięśnia. Był piękny. Szedł brzegiem. Woda omywała jego białe stopy i moczyła nogawki bojówek. Bez wątpienia życie na plaży nie było mu obce.

– Ach! Widzę, że już nawiązała znajomość!

Uśmiechnął się do Kate, odsłaniając przy tym olśniewająco białe, idealnie równe zęby. Kate wiedziała już, po kim Matilda odziedziczyła swój piękny uśmiech.

– Jest urocza.

– To prawda. – Oparł ręce na biodrach i skinął głową.

– No i dostałam prezent – skarb, ni mniej, ni więcej. – Kate otworzyła dłoń, pokazując muszelkę.

– Prawdziwy skarb! – wykrzyknął. W jego oczach zaświeciły figlarne iskierki.

– Zatrzymam ją na zawsze. Będzie mi przypominała to miejsce. – Kate mówiła szczerze.

– Dobrze. Z całą pewnością należy pani do osób, które potrafią rozpoznać prawdziwy skarb. Skąd pani jest?

– Z Wielkiej Brytanii. Przyjechałam na wakacje. Ucieklam na trzy tygodnie – zaśmiała się, w pełni świadoma, że jej chichot jest trochę sztuczny.

– Przed czym? – Spojrzał na nią szczerze.

– Och, sama nie wiem.

Kate przygryzła dolną wargę. Mimo najlepszych chęci, by kontrolować emocje, stwierdziła, że jest na krawędzi płaczu. Nie mogła odeprzeć bolesnego wspomnienia własnych dzieci na plaży.

Tęsknota za nimi przybrała postać fizycznego bólu. Teraz, gdy obca osoba zachowała się wobec niej miło, ból stał się jeszcze bardziej nieznośny.

– Przepraszam. Po prostu na widok pana z córeczką... Długo nie widziałam córki i syna. Takie drobne zdarzenia mi o nich przypominają.

Usiadł obok niej na piachu.

– Bardzo mi przykro to słyszeć. Matilda nie jest moją córką, ale rzeczywiście opiekuję się nią, podobnie jak dwudziestoma pięcioma innymi dziećmiakami.

Wyciągnął rękę.

– Prowadzę misję dla dzieci w Dennery. Jestem Simon.

Kate potrząsnęła jego dłonią.

– Bardzo miło mi. Kate Gavier, po prostu Kate.

Uspokoila się, jej oczy znów były suche.

– O la la! Dwudzieścia sześcioro dzieci? Toż to kawał roboty! To coś w rodzaju przedszkola?

Simon uśmiechnął się.

– Ciut więcej. Przedszkole całodobowe, trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku. To ich dom.

– Wszystkie są takie słodkie jak Matilda? – Kate była zafascynowana. Oczami wyobraźni ujrzała równe rzędy dziecięcych kołyszek i łóżeczek.

– No tak, kiedyś były! Ale teraz nie, są w różnym wieku. Czasem trafiają do nas jako noworodki, ale przeważnie jako trochę starsze dzieci, gdy rodzicom jest coraz trudniej. Sama wiesz, zdarzają się różne okoliczności. Trafiają też do nas nastolatki, którymi trzeba pokierować, dać im dach nad głową.

– Jestem pod wrażeniem.

Simon bez słowa skinął głową. Kate poczuła, że oblewa ją gorący rumieniec. Nagle zdała sobie sprawę, że mógł odebrać jej słowa jako wyraz uznania pod swoim adresem. Wciąż nie mogła oswoić się z faktem, że istnieją dobrzy, spokojni mężczyźni, tacy jak Simon – z sercem otwartym na drugiego człowieka – wszystko jedno, czy będzie to dziecko w potrzebie, czy obca osoba na plaży. A równocześnie jest na świecie miejsce dla mężczyzn pokroju Marka.

– Nie umiem rozpoznać twojego akcentu. Skąd pochodzisz?

Simon zaśmiał się nisko i głęboko. Najwyraźniej nie pierwszy raz musiał odpowiadać na to pytanie.

– Cóż, jest z tym związana cała opowieść. Zdradzę ci wersję dwudziestosekundową. Siedzisz wygodnie?

Kate skinęła głową.

– Urodziłem się w południowym Londynie, a dokładnie w Battersea. Jestem dzieckiem z nieprawego łoża, rasy mieszanej, co w tamtych czasach nie wróżyło dobrze. Zaraz po urodzeniu zostałem oddany do adopcji i los się do mnie uśmiechnął! Adoptowało mnie małżeństwo z Kanady mieszkające wówczas w Wielkiej Brytanii. Potem, kiedy miałem osiem lat, przeprowadziliśmy się do Kanady, a po dwudziestce zapragnąłem wrócić na łono ojczyzny. Mój biologiczny ojciec pochodził z St. Lucii. Odtąd tu mieszkam.

– Niezła opowieść jak na dwadzieścia sekund! – Kate uśmiechnęła się i pomyślała, że jeśli chodzi o intrygę oraz akcję jej historia mogłaby z tą spokojnie konkurować. – Podobało mi się zwłaszcza wyrażenie „łono ojczyzny”. Ładnie powiedziane. Dobrze jest czuć swą przynależność.

– Tak, rzeczywiście ją czułem, choć kiedy tu przybyłem, zupełnie nie miałem pojęcia, po co to robię.

Jego powolny sposób mówienia i ciepły ton działały na Kate hipnotyzująco.

– Przyjechałeś ze względu na ojca?

Simon znów zaśmiał się głośno, z otwartymi ustami.

– Tak. Tak, Kate. Dokładnie dlatego wróciłem do domu. Ze względu na Ojca, ale nie w tym sensie, który z pewnością miałaś na myśli. Zostałem tu wezwany przez Boga. Możesz mówić do mnie Simon, ale na tej wyspie jestem znany przede wszystkim jako ojciec Dubois.

– O Jezu!

– Dokładnie. Amen.

– Nie, to znaczy, nigdy bym się nie domyśliła. Nie przypominasz księdza!

Jego swobodny śmiech złał się z szumem fal.

– No, tak. A jak powinienem wyglądać?

– Naprawdę nie wiem.

Kate wyobraziła sobie łysego, usztywnionego kapelana Mountbriera i starego, niedołężnego proboszcza z parafii jej młodości, roztaczającego wokół siebie woń formaliny. Pamiętała jego drżące palce zaciśnięte wokół uszka porcelanowej filiżanki i zebraną w kąciку ust ślinę. Każde słowo, czy to w homilii, czy w rozmowie, wygłaszał tak, jakby kierowało nim boskie natchnienie. Zdania: „Tak, pani Gavier, z przyjemnością wezmę jeszcze jedno ciastko” i „Ty jesteś Piotr, czyli Skala, i na tej skale zbuduję Kościół mój, a bramy piekielne go nie przemogą”^[7], wypowiadał identycznym tonem.

Kate zastanowiła się nad odpowiedzią:

– Może powinieneś być majestatyczny i zamyślony, a ty nosisz śliczne koraliki i chodzisz boso po plaży.

– Na tej wyspie zachowujemy się nieco inaczej.

– Właśnie widzę!

Matilda chwiejnym krokiem ruszyła w ich stronę, ale przewróciła się i klapnęła pupą w wodę. Jej temperatura była nieco niższa, niż można by sądzić po początkowych igraszkach dziewczynki z falami.

– Zbieramy się, trzeba położyć ją spać.

Simon, człowiek – góra, wziął małą dziewczynkę w ramiona.

– Wiesz co, Kate, chyba powinnaś nas odwiedzić. Weź taksówkę, poproś do Dennery i tam nas znajdziesz.

Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i odszedł, unosząc dziecko na ramieniu niczym piórko.

Kate nie wiedziała, czy złocisty blask, rozlewający się po jej ciele, był skutkiem połączenia słońca i piwa, czy czegoś zupełnie innego.



Po dwóch kolejnych dniach unikania rozmów przy basenie i prowadzenia nieustannej wewnętrznej debaty doszła do wniosku, że Simon zaprosił ją nie przez wymuszoną uprzejmość, ale szczerze. Był tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

Taksówka wspiniała się stromymi górskimi drogami, bez ostrzeżenia niknącymi w czeluściach ogromnych kraterów. Kate próbowała nie wyobrazić sobie koziółkowania pojazdu w dół, prosto na gigantyczne paprocie, które w takim wypadku nie stawiałyby żadnego oporu. Po obu stronach drogi ciągnęła się gęsta dżungla upstrzona jaskrawoniebieskimi i ognistoczerwonymi tropikalnymi roślinami. Ponieważ nie czuło się chłodnej bryzy od oceanu, panował tu jeszcze większy upał, a powietrze wydawało się cięższe. Właśnie takim widokom St. Lucia zawdzięczała swój egzotyczny charakter. Kate go uwielbiała.

Kierowca wysadził ją zgodnie z poleceniem w Dennery. Nie podała mu więcej szczegółów na wypadek, gdyby zmieniła zdanie w ostatniej chwili. Doszła do wniosku, że na tak małej wyspie wiadomości roznoszą się szybko, więc informacja o jej przyjeździe dotarłaby do ojca Dubois w ciągu paru godzin. O ile widziała, Dennery nie miało konkretnego centrum. Była to jednak dość rozległa miejscowość. Domy, farmy i sklepy o skośnych dachach ulokowane były wzdłuż małych uliczek przypominających dopływy krętej rzeki, czyli głównej drogi, przy której stała Kate.

Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że od celu może ją dzielić jeszcze daleka droga. Ruszyła przed siebie, rozglądając się na boki, lecz nie wiedziała dokładnie, czego szuka. Na przystanku autobusowym w kształcie piramidy o żółtych ścianach i jaskrawoniebieskim dachu zgromadził się tłumek oczekujących. Mniej więcej co godzinę nadciągała ulewa, a autobus – w zależności od napotkanych na drodze przeszkód, nastroju kierowcy i liczby znajomych, którzy zatrzymali go na krótką pogawędkę – mógł przyjechać zarówno za pięć, jak za czterdzieści pięć minut. Wiatry przystankowe były więc zawsze zapełnione.

– Przepraszam? – odezwała się Kate, nie kierując pytania do nikogo konkretnego. – Szukam ojca Dubois, Simona, i misji dla dzieci. Czy dobrze idę?

Dwie kobiety – jedna w żółtej, kwicistej chustce na głowie, a druga z ogromnym fioletowym, plastikowym koszem na pranie – przerwały rozmowę.

– Czego pani chce od ojca? Znacie się?

Mrugnęły do siebie i wybuchnęły śmiechem.

Kate również się zaśmiała. Najwyraźniej nie była odosobniona w swym podziwieniu dla jego urody.

- Niezupełnie, raczej nie, ale zaprosił mnie i obawiam się, że chyba się zgubiłam.
- Nie zgubiła się pani, trzeba iść cały czas prosto, prosto, a potem znowu zapytać.
- Dobrze. Dziękuję.

Kate, ani trochę mądrzejsza, ruszyła pod górę.

Pokonywała coraz to nowe zakręty wijącej się drogi. Gałęzie gigantycznych paproci i liście bananowców zahaczały o jej głowę i ocierały się o nogi. Raz zajrzała w głąb dżungli. Na widok powykęcanych drzew i zwisających lian żołądek ścisnął jej się ze strachu. W każdym sękatym pniu widziała czyjaś twarz, a za nim cień dzikiego zwierzęcia. Postanowiła więc nie spuszczać wzroku z drogi. Skupiona na omijaniu dziur i pęknięć, pięła się coraz wyżej. Koszulka przylepiła jej się do pleców, a włosy spoconymi, płaskimi pasmami przylgnęły do głowy. Zaczynała się już zastanawiać, czy cała ta wyprawa ma sens, kiedy jej uwagę zwrócił niewielki biały drogowskaz z czarnym napisem, oddalony nieco od drogi. Napis głosił: Prospect Place ^[8], pod nim widniało wymalowane ręką dziecka uśmiechnięte słonko, a obok cytata: „Dzięki wierze rzeczy stają się możliwe, co nie znaczy, że stają się łatwe”, wypisany zdecydowanie przez osobę dorosłą. Kate znowu ogarnęły wątpliwości dotyczące tej wizyty.

Skreśliła w wąską, błotnistą drogę i po śladach opon doszła do polany. Rozciągał się z niej nieziemski widok. Po obu stronach doliny wznosiły się porośnięte dżunglą góry, a pomiędzy nimi w oddali połyskiwała lazurowa tafla oceanu. Krajobraz zapierał dech w piersiach.

Na polanie stał jednopiętrowy drewniany budynek pomalowany na jaskrawozielono. Farba wyblakła jednak na słońcu, a w niektórych miejscach, zwłaszcza nad futrynami okien i drzwi, całkowicie zesza. Wisiała teraz długimi pasmami, odsłaniając gołe drewno i szorstką fakturę desek.

Główną bryłę ze wszystkich stron otaczały przybudówki, nadające budynkowi nieregularny kształt. Gdyby spojrzeć na niego z lotu ptaka, mógłby przypominać nierówny pięciokąt. Już na pierwszy rzut oka widać było, że znajduje się w fatalnym stanie technicznym. Wydawał się pochyłać na prawo, w większości okien brakowało szyb, zamiast których w oknach zamocowano siatkę przeciwko owadom. Kate nie miała wprawdzie konkretnych oczekiwań, ale zakładała, że będzie to raczej solidny budynek z cegły przypominający szpital. To, co zobaczyła, miało zupełnie inny charakter. Dom był jasny, przyjazny i zupełnie pozbawiony dostojeństwa, jakiego się spodziewała.

– O, Kate! Jednak nas znalazłaś! – Simon wychylił się zza budynku i klasnął w dłonie.

– Ledwo, ledwo, miałam więcej szczęścia niż rozumu!

Wziął obie jej ręce między swoje.

– Witaj. Wybrałaś idealny moment, właśnie siadamy do lunchu. Zjesz z nami.

Kate uśmiechnęła się. Rzeczywiście, dobrze trafiła. Zauważyła, że jej wizyta zupełnie go nie zdziwiła, jakby się jej spodziewał, i to właśnie w tej chwili.

W głównym budynku znajdowały się ustawione w literę T stoły, przykryte ceratą w peonie,

a wokół nich stało ze trzydzieści krzeseł o metalowych nogach. Takie same, tyle że poustawiane w piramidy, można spotkać w niemal każdym angielskim ratuszu. Podobnych używają też harcerze, pozostawiając je potem bezładnie w pomieszczeniu, w którym odbywała się zbiórka.

Kiedy Kate stanęła w progu jadalni, szmer rozmów gwałtownie przycichł. Wszystkie krzesła zajęte były przez dzieci. Na pierwszy rzut oka mogły mieć od dwóch do czternastu lat. Dziewczynki nosiły warkoczki z kokardami, a chłopcy mieli na sobie wesołe koszule w żółto-pomarańczową kratkę.

– Uwaga wszyscy! To jest Kate. Przywitacie się?

Niektóre dzieci pomachały, inne uśmiechnęły się, a jeszcze inne – zawstydzone widokiem obcej kobiety w ich jadalni – chichotały, zasłaniając usta dłońmi.

– Dzień dobry, witajcie wszyscy. – Kate pomachała do nich.

– Uwaga na plecy!

Simon i Kate przesunęli się w prawo, by zrobić miejsce niskiemu, tęgiemu mężczyźnie w czapce kucharskiej, który przemknął obok z wielkimi półmiskami pełnymi kotletów z kurczaka. Jedzenie zręcznie porozstawiał na stołach.

– To Fabian, nasz kucharz, jak widać po nakryciu głowy. Jest też naszym kierowcą – wtedy wkłada czapkę szofera, a kiedy jest naszą złotą rączką...

Fabian, wracając do kuchni, skinął do niej głową.

– Ma jeszcze inną czapkę?

– Zgadłś!

– Uwaga jeszcze raz, idzie gorące jedzenie! – Tym razem Fabian obładowany był wielką michą ryżu i czegoś, co pachniało jak gorące bułeczki.

Dzieci siedziały cierpliwie, z rękami na podolku, i czekały. Kate przypomniała sobie codzienne bójki o pierwszeństwo w kolejce do tostów francuskich i bekonu w Mountbriers. Więksi chłopcy łokciami odpychali młodszych, a dziewczynki, niezależnie od wieku, jęczały, że nie ma jogurtu beztluszczowego i kategorycznie domagały się jagód. Trudno było porównać oba te obrazy.

– Kate, siadaj, proszę.

Simon odsunął krzesło znajdujące się między dwójką młodszych dzieci. Najwyraźniej uznały sąsiedztwo obcej osoby za bardzo zabawne, bo nie mogły powstrzymać się od śmiechu. Kate przywitała się z nimi uściskiem dłoni. Mały chłopiec po prawej wyciągnął rączkę i złapał kosmyk jej włosów między kciuk a palec środkowy, po czym rozchichotany osunął się na stół. Uśmiechnęła się. Nigdy nie przypuszczała, że jej żalodne myślenie mogą sprawić komuś radość.

Simon stanął pośrodku, wznosił dłonie do sufitu, zacisnął oczy i spuścił głowę. Jego donośny głos wypełnił całe pomieszczenie.

– Panie, dziękujemy Ci za dar pożywienia, który nam dziś zesłałeś...

Rozległo się kilka spontanicznych okrzyków typu „Chwała Panu!”. Simon jednak nie skończył.

– Dziękujemy Ci za wszelkie Twoje dary, w tym również za dar przebaczenia. Jesteśmy wdzięczni, że kiedy potrzebujemy schronienia, kiedy potrzebujemy ucieczki, znajdujemy je pod Twoimi skrzydłami.

W sali rozległo się gromkie „Amen” i dopiero wtedy rozpoczęła się walka o pierwszeństwo.

Kate zauważyła, że kiedy Simon otworzył oczy, patrzył prosto na nią. Poczula się trochę niezręcznie.

Lunch minął w hałaśliwej i dość bałaganiarskiej atmosferze. Kate nie była w stanie nadążyć za toczącymi się równocześnie rozmowami. Dzieci mówiły szybko i trudnym do zrozumienia żargonem, więc jej udział w dyskusji ograniczał się do kiwania głową i pełnych zrozumienia uśmiechów. Wielokrotnie spoglądała ukradkiem na Simona. Z fascynacją obserwowała jego zaangażowanie w dziecięce sprawy.

Kiedy dzieci się najadły, wyszły grać w krykieta, a Kate została skierowana do zmywania.

– Ach, więc tak się tutaj płaci za darmowe lunche?

– Zgadłaś! – roześmiał się Simon.

– Simonie, stworzyliście tu cudowną atmosferę. Spodziewałam się zobaczyć smutek, mnóstwo małych pokrzywdzonych dzieci, a tymczasem jest przeciwnie. Tutaj się czuje nadzieję.

– Masz całkowitą rację, bo tu jest nadzieja. Dlatego nasza misja nazywa się Prospect Place.

Większość ludzi sądzi, że chodzi o fenomenalny widok, jaki się stąd roztacza, ale najlepiej określa nas definicja słownikowa: „Możliwość, że coś wkrótce się wydarzy, szansa lub prawdopodobieństwo, że stanie się to w bliskiej przyszłości, zwłaszcza jeśli chodzi o wydarzenie pożądane”. Nasze dzieci, choć nie są jeszcze długo na tym świecie, doświadczyły już dosyć smutku i tutaj go nie zaznają. Każde z nich ma swoją historię, ale nie wszystkie są sierotami. Niektóre mają rodziców, nawet oboje i to nawet tu, na wyspie, tyle że rodzice nie są w stanie się nimi teraz zająć.

– Dlaczego?

– Och, z wielu powodów. Nalogi i bieda – te dwa powody są przeważnie ze sobą powiązane, no i nie mamy tu takiego zaplecza socjalnego jak w Wielkiej Brytanii. Jeśli twoi rodzice żyją z dnia na dzień, do tego na ulicy, to ciebie czeka to samo.

Kate przypomniała sobie zajęcia z angielskiego, które prowadziła w Marlham. Nalogi i bieda. Wiedziała, czym to się kończy.

– Głupio mi, Simonie, bo kiedy myślę o Karaibach, to przed oczami mam jachty, prywatne przystanie i koktajle w wysokich szklankach, które sączy się przez słomkę. St. Lucia i podobne wyspy kojarzyły mi się głównie z luksusem i bogactwem.

– I słusznie, bo luksusu i bogactwa jest tu aż w nadmiarze. Ale czasem, Kate, trzeba za nie zapłacić. Dziś po południu zapraszam cię na małą przejażdżkę. Chciałbym ci coś pokazać.

– Cudownie! Gdybyś miał tu zmywarke, wyruszylibyśmy znacznie szybciej!

Simon się zaśmiał. Zaczęli płukać umyte, pokryte mydlinami naczynia w wiadrze z zimną wodą.

– Mamy tak dużo pilniejszych potrzeb, że nawet gdyby pojawiły się jakieś wolne pieniądze, to zmywarka i tak znalazłaby się na szarym końcu. Po pierwsze, ciepła woda na stałe, porządna łazienka, komputery, świetlica do zabawy, kiedy na dworze pada. Lista jest długa i z dnia na dzień się wydłuża.

– Z czego utrzymuje się ośrodek, jeśli mogę zapytać?

– Pewnie, że możesz. Odpowiedź jest prosta – z niczego się nie utrzymuje, a jeśli dostajemy jakieś wsparcie finansowe, to nieregularnie. Moi rodzice adopcyjni są bardzo hojni. Kiedy tylko mogą, przysyłają z Kanady czeki. Organizują kwesty w swoim kościele, na uniwersytecie, gdzie wykładał tata, ale jest im coraz trudniej, nie młodnieją przecież z roku na rok. Sprzedajemy nadwyżkę warzyw, które Fabianowi uda się wyhodować w ogródku. Sporo towarów wymieniamy. No i ludzie są nam życzliwi. Tutejsza społeczność jest bardzo niewielka i kiedy tylko wróble zaczynają ćwierkać, że potrzebujemy kolejnego pokoju, zaraz pojawia się ciężarówka z drewnem. Za każdym razem zdarza się mały cud!

– To musi być dla ciebie bardzo obciążające. Trudno żyć ze świadomością, że ponosisz odpowiedzialność za tyle osób, a nie wiesz, co będzie jutro.

– Może dla innych byłoby to trudne, dla mnie nie. Nie przytłacza mnie ten ciężar. Te dzieciaki są sensem mojego życia. Czuję, że przyjechałem tu dla nich. Gdybym cały czas myślał tylko o kosztach i o tym, czego nam brakuje, pewnie czułbym się fatalnie, dlatego na wszelki wypadek się nad tym nie zastanawiam. Koncentruję się na tym, co mamy. A jest tego całkiem sporo.

– Widujesz się tu z ojcem – to znaczy ze swoim ojcem – tym prawdziwym?

Kate zarumieniła się ze zmieszania, kiedy próbowała wyjaśnić, kogo ma na myśli – ojca biologicznego, adopcyjnego czy Jezusa.

– To długa i skomplikowana historia. Rzeczywiście przez jakiś czas się z nim widywałem, ale potem umarł. Tak naprawdę nigdy się nie pogodziliśmy. Było tak: kiedy mieszkałem w Anglii czy Kanadzie, często czułem się tam obco i chciałem znaleźć się tutaj, a kiedy dopiąłem swego, okazało się, że jest zupełnie na odwrót. To dziwne, ale im jestem starszy, im mniej czasu zostało mi na tej ziemi, tym bardziej wzmacnia się moje przekonanie, że przynależę do tego miejsca.

– Rozumiem. Czas krystalizuje pewne sprawy. Trudno to wytłumaczyć osobie, która tego nie doświadczyła.

Simon się zaśmiał.

– To dlatego, że starość czeka nas wszystkich! Wiem, że nie postrzegam dziś siebie tak samo, jak postrzegałem ludzi w moim wieku, kiedy byłem młody. O, nie. Wystarczyło, że ktoś przekroczył pięćdziesiątkę, żeby uważał go za starca!

– A ja czasem czuję się staro. Czuję, że zwalniam, że wszystko, co robię, zajmuje mi więcej czasu i energii. Już tak szybko nie wchodzę po schodach, nawet powoli jem ciastko. Wszystko dzieje się jakby z opóźnieniem, muszę w to wkładać więcej wysiłku. Boję się, że przyjdzie dzień – całkiem niedługo – kiedy zupełnie się zatrzymam!

– Nie wyglądasz na kobietę, której grozi zatrzymanie się, Kate. Dla mnie wyglądasz na kobietę, która jest na krawędzi, która niedługo skoczy, która rozpocznie wszystko od nowa!

– Podoba mi się, że mnie tak mnie widzisz. Lubię myśleć, że zanim się zestarzeję, zdążę jeszcze raz wystartować, że czekają mnie przygody i wyzwania. Przemawia to do mnie znacznie silniej niż przerażająca geriatryczna wizja przyszłości.

– Nie grozi ci taka wizja, Kate, nie tobie!

– Mam nadzieję. A ty, wieloobny ojciec Dubois? Co dla ciebie oznacza podeszły wiek?

– To już temat na inną rozmowę, przy szklance zimnego piwa.

– Ty pijesz?

– Dziewczyno, na jakim świecie żyjesz? Jestem kaznodzieją, nie męczennikiem! Wszystko w umiarze, Kate, i umiar we wszystkim.

– Jesteś niezwykłym człowiekiem, Simonie. Te dzieci mają wielkie szczęście.

Zignorował komplement.

– Ach, Matilda!

Kate odwróciła się od zlewu, by zobaczyć w drzwiach postać swojej małej znajomej.

– Hej, Matildo, jak się masz? Tak się cieszę, że znowu cię widzę! Schowałam tę muszelkę w bezpiecznym miejscu i codziennie sobie na nią patrzę. Jest bardzo ładna.

Dziewczynka uśmiechnęła się.

– Nie poszłaś z dziećmi grać w krykieta? Czy może ktoś cię przegonił? Mogłabym ci opowiedzieć bardzo śmieszny historyjkę o pewnym ważnym meczu krykieta i dwóch niesfornych kurczakach, które nazywały się Nugget i Burger. Masz trochę czasu?

Matilda zawahała się, wsunęła najokazalszą część zwiniętej piątki do buzi, po czym doszła do wniosku, że jednak nie ma ochoty słuchać historyjki. Poza tym jej najlepszy kolega, Hans, obiecał, że pohańta ją na oponie, więc wybiegła na dwór.

– Jest taka nieśmiała? – zapytała Kate w obawie, że może powiedziała coś niewłaściwego.

– Nie, bynajmniej. Ale odkąd ją mamy, ani razu się nie odezwała. To już dziewięć miesięcy.

Sprawia wrażenie zadowolonej z życia, wygląda na to, że dobrze się przystosowała, lecz nie możemy wydobyć z niej ani słowa. Lekarz twierdzi, że nie widzi medycznych przyczyn. Jestem przekonany, że jeśli Matilda uzna, że ma coś wystarczająco ważnego do powiedzenia, zacznie mówić.

– A przedtem mówiła?

– O, tak! I to dużo! Ale przeżyła traumę i tak ją odreagowuje. Dzieci nie są skomplikowane.

Matilda w ten sposób porządkuje sobie świat. Próbuje nadać mu jakiś sens.

– Co jej się stało? – wyszeptala Kate, choć sama nie była pewna, czy chce wiedzieć.

– To dość zwyczajna historia, ale przez to, jak wpłynęła na Matildę, jeszcze smutniejsza. Mała była w barze z ojcem, który wdał się w bójkę i został zadźgany nożem. Umarł. Jej matka jest teraz w kiepskim stanie. Walczy z własnymi demonami, więc Matilda jest z nami. Kochamy ją, a kiedy nadejdzie właściwy czas, Bóg znajdzie sposób, by ją uzdrowić.

– Och, Matildo... – Kate ogarnęła fala przejmującego smutku. Ojciec zadźgany nożem. Z ust wyrwało jej się wprawdzie „Matildo”, ale równie dobrze mogła powiedzieć „Lydio” czy „Dominicu”.

– Tęsknisz za dziećmi? – zapytał, jakby czytał w jej myślach.

– Tak, ogromnie. Do bólu. Obawiam się, że to dość skomplikowane.

– Domyślam się, że nie chodzi o samą odległość, jaka cię od nich dzieli? Jest jeszcze coś, co uniemożliwia ci spotkanie?

Kiwnęła głową.

– Miały tu ze mną przyjechać, byłoby cudownie, ale zmieniły zdanie. Potrzebują więcej czasu... To niełatwa sprawa. Nie chcę ich zmuszać do spotkania, lecz jednocześnie bardzo mi trudno zostawić sprawy ich biegowi. Nie czuję się z tym dobrze. Sądzę, że mogłabym im pomóc, gdyby mi tylko pozwoliły.

– Wiesz co, Kate? To minie, jak wszystko inne. Twoje dzieci w końcu uświadomią sobie, jak bardzo je kochasz, i odkryją, że kochają cię równie mocno. Jestem tego pewien. Nie mam też wątpliwości, że odnajdą do ciebie drogę. Moja mama jest niesamowita. Wiem, że niezależnie od tego, ile czasu i jaka odległość nas dzieli, zawsze jest przy mnie. To bardzo podnosi na duchu. Twoje dzieci też zaczną szukać twojej obecności, musi tylko nadejść odpowiedni czas. Tak się stanie, gdy będą cię najbardziej potrzebować.

– Poznałeś swoją prawdziwą matkę?

– Nie. Urodziła mnie i od razu porzuciła. Nawet nie wiem, czy kiedykolwiek w ogóle trzymała mnie lub karmiła. Może poczuła tylko ulgę, że ta obrzydliwa sprawa wreszcie się skończyła. Nie wiem, czy kiedykolwiek nawet o mnie pomyślała. Modliłem się za nią. Przebaczam jej, Kate. Nie osądzam jej. Jestem jej wdzięczny za drogę, na którą mnie wysłała. Zostałem pobłogosławiony życiem, które dała mi właśnie ona. To niesamowite, co?

Kate zdobyła się tylko na skinienie głową.

Simon rzucił ściereczkę na blat. Wszystkie talerze i garnki, pomyte i wytarte stały już na swoich miejscach, czekając na kolację.

– Masz ochotę na tę przejażdżkę? – zapytał. – Zrobiłaś już, co trzeba.

– Ogromną. – Rozpromieniła się.



Jeep z otwartym dachem podskakiwał na wąskich, wyboistych drogach. Wydawało się, że jest tu miejsce tylko dla jednego pojazdu i Kate zastanawiała się, czy zdołają się minąć, jeśli coś nadjedzie z przeciwną. Po ostatnim deszczu z gęstej czasy listowia skapywały krople. Spod kół umykały blade kraby wielkości dużego talerza, by momentalnie zniknąć w leśnym poszyciu. Samochód zatrzymał się gwałtownie na skraju małego lasu.

– Jesteśmy.

Simon obdarzył Kate swoim pięknym, szerokim uśmiechem, który dawał wstępne pojęcie o tym, jakim był człowiekiem. Tak mógł się uśmiechać tylko ktoś z gruntu dobry.

Wysiadł z samochodu i zdecydowanym krokiem ruszył przez zagajnik. Kate szła za nim, potykając się od czasu do czasu. Jej miejskie, przywykłe do szarych, angielskich chodników stopy słabo radziły sobie na obcym terenie. Ostrożnie omijała wystające, splątane korzenie i zwalone gałęzie. Co chwilę uderzała dłonią w różne miejsca na swoim ciele, polując na komary, które kąsały bez opamiętania. Jednak było warto.

Jeszcze jeden krok naprzód i już wiedziała, co czuła Lucy Pevensie w książce *Leu, czarownica i stara szafa*. Tyle tylko, że Kate nie znalazła się w królestwie śniegu. Ona była w raj.

Wygięta na kształt podkowy zatoczka leżała na lekko pochyłym terenie. Krystalicznie przejrzysta, niebieska woda delikatnie omywała brzeg. Najmniejszy ślad nie kalął drobnego, białego piasku. Las za ich plecami rzucał na plażę łagodny cień. W miejscu, gdzie dżungla dochodziła do piachu, Matka Natura postanowiła zasadzić palmy. Miejsce było idealnie piękne.

– Och, Simonie! W życiu czegoś takiego nie widziałam. Przepięknie tu!

Schylił się i usadowił na piachu, a Kate usiadła obok niego. Podwinęła nogawki lnianych spodni, by opalić łydki. Nigdy nie nosiła kostiumu. Wolala zasłaniać blizny. Nie potrzebowała koca ani ręcznika – wystarczył gładki piach. Wbiła w niego palce, a włosy i duszę powierzyła delikatnemu wiatrkowi.

– Jeszcze całkiem niedawno wyglądała tak cała wyspa. Przez ostatnich dwanaście lat zaszło tu dużo zmian, Kate, i niestety nie wszystkie z nich to zmiany na lepsze. Chciałem ci pokazać tę zatoczkę.

– Wiem, dlaczego. Zapiera dech w piersiach – przerwała.

– Niestety już niedługo nie będę mógł tu przychodzić, podobnie jak dzieci.

– Dlaczego? Co się stało? – Pomyślała, że Simon chce opuścić wyspę.

– Ta zatoczka została sprzedana.

– Sprzedana? Jak to, sprzedana? Przecież to plaża, część wyspy!

Simon zaśmiał się głucho i potrząsnął głową.

– To się wydaje oczywiste, prawda? Ale niestety tak nie jest. Tę działkę, jak również dwie do niej przylegające, kupiła duża korporacja. Ma tu powstać luksusowy hotel. Odgradzą dostęp od strony łądu wielkimi głazami. Zatrudnią miejscowych, którzy sami przychodzili tu z dziećmi, jako strażników. Ani mnie, ani wielu takich jak ja, nie będą wpuszczać na swój teren.

– Jak to możliwe? Przecież ta wyspa nie ma setek kilometrów plaż. Jest mała!

– To prawda. A mimo to rok w rok dzieje się tak na całych Karaibach. Niezwykłe miejsca, plaże, które kochały i na które przyjeżdżały całe pokolenia, nagle przestają być nasze. Wyspa się kurczy i nic nie możesz na to poradzić, chyba że masz bardzo dużo pieniędzy.

– Straszne. Okropnie! Nie pojmuję, jak można do czegoś takiego dopuścić.

– To rzeczywiście problem. Z drugiej strony to tylko mały element dużej, skomplikowanej układanki. Sprawa wyglądałaby inaczej, gdyby więcej pieniędzy pochodzących z turystyki inwestowano w potrzeby lokalnej ludności, tych najbardziej potrzebujących. Tak się jednak nie dzieje. Jesteśmy jak wszystkie inne miejsca tego typu. Potrzebujemy dolarów od turystów, ale płacimy za nie bardzo wysoką cenę.

– Nie rozumiem, Simonie. Próbuję sobie wyobrazić, jak by to było, gdyby w Anglii pojawiła się nagle jakaś korporacja, która zaczęłaby wykupywać atrakcyjne tereny. Czy to w ogóle mieści się w głowie, żeby zamknąć dla odwiedzających Exmoor, Yorkshire Dales albo Lake District? I ogłosić, że tereny te zostały sprzedane? Albo Hyde Park lub Bristol Downs? Coś takiego po prostu by nie przeszło! Ludzie by się sprzeciwili!

– Nie sprzeciwiliby się, gdyby nie mieli głosu. Czasem pieniądze są barierą dla ucha. Zagłuszają inne argumenty.

– Czuję się teraz winna. Mieszkam właśnie w jednym z tych luksusowych hoteli.

– Dobrze, że już wiesz. I nie chcę, żebyś czuła się winna. Chcemy się z tobą podzielić naszym pięknym domem. Tak bardzo bym sobie życzył, żeby ludzie po prostu wiedzieli, kiedy przestać.

Kiwnęła głową.

– Wszystko z umiarem, tak?

– Właśnie.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu, wygrzewając się w słońcu.

– Przed czym próbujesz uciec, Kate?

Nieoczekiwana zmiana tematu bardzo ją zaskoczyła. Przez chwilę nie mogła znaleźć słów.

– Tak naprawdę to nawet nie wiem, od czego zacząć.

– Może od początku? – zachęcił ją.

– Chciałabym, żeby to było takie proste. Nie chodzi o to, że nie wiem, od czego zacząć, tylko nie wiem, jak. Spodziewam się, że jako człowiek wierzący, zmienilibyś całkowicie swój stosunek do mnie, znając całą prawdę.

Simon się uśmiechnął.

– Czy to nie dziwne, Kate, że tak szybko mnie oceniłaś, przewidziałaś moją reakcję, domyśliłaś się mojej opinii, choć nie dałem ci po temu żadnych powodów.

– Nie wiesz jeszcze, co zrobiłam. – Kate nerwowo przygryzła dolną wargę.

– To mnie wypróbuj.

Wolno wypuściła powietrze. Szukała w myślach właściwych słów, które pozwoliłyby jej podać wiadomą informację w najmniej szokujący sposób.

– Pięć lat siedziałam w więzieniu za zabójstwo. Zabiłam człowieka. Nie, w zasadzie nie człowieka... Zabiłam własnego męża.

Kate czekała na reakcję lub komentarz. Ponieważ nic nie usłyszała, mówiła dalej.

– Muszę zacząć wszystko od początku. Znaleźć nowe życie. Na razie nie mam pojęcia, jak. Nie wiem, jak je zacząć. Moje dzieci, Dominic i Lydia, mają do mnie żal. Oczywiście doskonale to rozumiem, ale tak bardzo za nimi tęsknię, że czasami brakuje mi powietrza. Mój mąż był okrutnym człowiekiem, najokrutniejszym na świecie.

Kate niemal podświadomym gestem przeciągnęła dłonią po wewnętrznej stronie uda.

– Całe lata drżałam na myśl o tym, że mam z nim zostać sam na sam. Dwie dekady bałam się zabrać głos, poprosić o pomoc, opowiedzieć komuś, jak żyję. Wszystko powstrzymywałam. Każdą myśl, chęć, czynność. Kurczyłam się w sobie, wiedząc, że pewnego dnia całkiem zniknę. Nie żałuję tego, co zrobiłam, Simon. Natomiast żałuję bólu, jaki zadałam innym. No i ostatecznie dopada mnie straszliwe poczucie winy, bo choć jestem w końcu wolna, to walcząc o własne życie, zmarnowałam życie dzieciom.

Simon odczekał chwilę, po czym powoli powiedział:

– Święty Łukasz mówi: „Nie sądziecie, a nie będziecie sądzeni; nie potępiajcie, a nie będziecie potępieni; odpuszczajcie, a będzie wam odpuszczone”^[9]. Według tej zasady żyjcie. Tacy jak ja – ci, co idą za Jezusem, doznają przebaczenia wtedy, gdy najbardziej go potrzebują. Być może przyniesie ci ono wielki spokój, Kate.

– No tak, ale ja za Nim nie idę, ja nie wierzę. Przez ostatnie lata bardzo czekałam na boską interwencję. Gdzie był wtedy Bóg? Kiedyś się modliłam, błagałam o pomoc tego, który słyszy moją modlitwę. Na próżno. Więc przestałam prosić. Przynajmniej miałam o jedno rozczarowanie mniej.

Siedzieli w ciszy przez kilka minut. Potem Simon wstał.

– Chodź!

Wziął ją za rękę i pociągnął w stronę morza. Nie pozwalając jej nawet sprawdzić temperatury

wody, nie zważając na to, że w oceanie może czuć się nieco mniej swobodnie, brnął przez fale, aż oboje zanurzyli się po pas. Wtedy zatrzymał się i mocniej ścisnął jej dłoń. Lniane spodnie przykleiły jej się do ciała.

Położył rękę na dolnej części jej pleców.

– Nie ruszaj się – powiedział cicho, prawie szeptem.

Kate zrobiła, co kazał. Piasek, który wzbudzili stopami, szybko opadał z powrotem na dno. Woda przypominała tafle nakrapianego szkła.

– Spójrz!

Simon wskazał palcem w dół. Oczy Kate musiały przystosować się do patrzenia przez wodny filtr. Kiedy widziała już dobrze, dostrzegła tuż przy swoich stopach małą, srebrną rybkę. Mały krab spieszył do norki w dnie, a trochę większa ryba obwąchiwała przeszkodę, która nagle wyrosła na dobrze jej znanym terenie.

– Kate, widzisz tę małą rybkę?

Kiwnęła głową.

– Tak, widzę!

– Myślisz, że tę małą rybkę obchodzi to wszystko, co się dzieje na górze?

– Wątpię – zaśmiała się.

– I masz rację. Pływa sobie w cieplej wodzie, tu i ówdzie przystanie w cieniu, szuka pożywienia i zadaje się z innymi małymi rybkami, które spotyka. Jest całkowicie pochłonięta drobnymi zajęciami, które zajmują jej cały dzień. Nie ma pojęcia o plaży, wyspie, różnych państwach, budynkach, ludziach i ich maszynach, samolotach, walutach... o niczym, co kształtuje świat ponad jej głową. Ale wiesz co? Sam fakt, że ryбка nie ma pojęcia o świecie, nie oznacza, że jej na tym świecie nie ma.

Kate przeniosła wzrok z wody na stojącego obok niej mężczyznę, który cały czas trzymał ją za rękę.

– Chcesz przez to powiedzieć, że jestem jak mała ryбка? – zapytała z uśmiechem.

– Tak, Kate. Właśnie to chcę ci powiedzieć. Bóg jest nad tobą, niezależnie od tego, czy go szukasz, czy nie. Bóg przebacza. Chciałbym, żebyś spróbowała zapamiętać, że nadzieja może przybrać różną postać: pojęcia, miejsca lub człowieka.

Kate rzuciła się na plecy w ciepłe wody Morza Karaibskiego. Od dawna nie pływała. Krople słonej wody przyłgnęły do jej rzęs i piekły spaloną słońcem skórę. Czuła, że żyje.

– A może lubię być małą rybką? – krzyknęła.

Simon patrzył, jak nurkuje coraz głębiej i głębiej.

– Może lubisz. – Uśmiechnął się i potrząsnął głową. – Może i tak.



To był długi dzień, ale Kate wiedziała, że nigdy go nie zapomni. Jeep, warcząc silnikiem, zatrzymał się przed wejściem do The Landings.

– Teraz, kiedy już poznałam prawdziwy koszt powstania tego hotelu, nocleg w pięknym pokoju z marmurową podłogą nie będzie mi sprawiał takiej przyjemności – powiedziała Kate.

– Jeśli nie ty w nim będziesz spała, to ktoś inny. A tak przynajmniej na puchowej poduszce, w tym pięknym pokoju, spocznie głowa dobrze poinformowana.

Uśmiechnęła się do niego.

– Jutro cały Prospect Place wybiera się na tutejszy karnawał. Może się do nas przyłączysz?

– Nie jestem pewna. Nie chciałabym sprawiać kłopotów ani zamieszania.

– Przede wszystkim to przyjemność, a nie kłopot. A co ważniejsze, odrzucenie zaproszenia na karnawał może mieć poważne konsekwencje. Zazwyczaj nic dobrego z tego nie wynika.

– Naprawdę?

– O, tak. Dawno, dawno temu właścicielkę jednej z dużych okolicznych plantacji wraz z domownikami zaproszono na karnawał. Grzecznie odmówiła, ponieważ w tym czasie w jej domu miała gościć delegacja królewska. Odmowa dotyczyła jednak wszystkich zaproszonych. Młoda pomocnica kuchenna ze złości, że ominie ją taka atrakcja, wzięła garść gałki muskatołowej i wrzuciła do zaczynionego ciasta. Wiadomo, że gałka w nadmiarze nikomu nie wychodzi na dobre. W związku z tym legenda głosi, że członkowie królewskiej delegacji całą noc mieli halucynacje, po czym chorzy trafili do łóżek.

– O, to niewesoło. A jak tak lubię gałkę.

– Wszystko, ale z umiarem.

Kate się roześmiała.

– Mam tu węszyć podstęp? Chcesz mnie znowu zapędzić do zmywania?

– Właśnie!

Kate patrzyła, jak tylne światła jepea znikają w mroku. Pragnęła, aby ten wieczór nigdy się nie skończył.

Leżała, wsłuchana w śpiew cykad i kumkanie żab. Rozpierające ją radosne oczekiwanie nie pozwalało zasnąć. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz tak się czuła. Może stan ten towarzyszy człowiekowi przed skokiem w nieznanne? Przed rozpoczęciem wszystkiego od zera?



Obudził ją nieznamy dźwięk telefonu przy łóżku. Dopiero po trzech pełnych sekundach uzmysłowiła sobie, gdzie jest. Zamroczone snem, niezdarnie namacała w półmroku słuchawkę.

– Tak? – Zamrugła mocno oczami i przetarła je, by szybko przywołać czujność.

– Dzień dobry, pani Gavier. Łączę rozmowę.

– Ach, tak, dziękuję.

Serce załomotało jej w piersi, a w głowie natychmiast pojawił się gąszcz pytań: co się stało, dlaczego o tej porze, kto dzwoni? Zerknęła na czerwone cyfry zegara na wyświetlaczu telewizora. Była czwarta nad ranem. Wsluchiwała się w odgłosy w słuchawce. Zniknęły ostre dźwięki hotelowej recepcji. Zastąpiła je cisza – daleka i jakby miękka. Kate ledwie rozpoznawała w niej czyjś słaby, nieregularny oddech.

– Halo? – ośmieliła się powiedzieć. Zabrzmiało to ostrzej niż zwykle.

– Mama?

– Och! – Zabrakło jej tchu. Usiadła prosto i potrząsnęła głową, by rozwiązać wątpliwości. Czy dobrze słyszała?

– Mamo, jesteś tam?

To był piękny głos jej córki. Głos, którego nie dało się pomylić z żadnym innym.

– Tak, tak, Lydi, jestem. Jestem tutaj.

Chwyliła słuchawkę w obie dłonie, przycisnęła mocniej do ucha i ust, jakby chciała fizycznie zbliżyć się do dziecka.

– Kochanie, wszystko w porządku? – Zważywszy na to, że nie rozmawiały ze sobą od pięciu lat, pytanie to zabrzmiało nieco dziwnie, ale pierwsza myśl, jaka przyszła do głowy Kate, to że stało się coś złego.

– Tak, ale chciałam z tobą porozmawiać.

– Ja też chciałam z tobą porozmawiać, córeczko. Od tak dawna...

Słyszała, jak Lydia przełyka ślinę.

– Dzięki za bilety i za wszystko, mamo.

Mamo... mamo... mamo... Czy istnieje przyjemniejsze dla ucha słowo?

– Naprawdę czułam, że nie powinnam jechać. Nie jestem gotowa. Jeszcze nie. Mam nadzieję, że rozumiesz.

– Dobrze, Lyds, wszystko rozumiem. Cudownie cię słyszeć, tak cudownie. Nie umiem ci

wytłumaczyć, jak bardzo za tobą tęsknię. W każdej sekundzie, każdego dnia. Chciałam tylko z wami porozmawiać.

Kate nie wiedziała, do jakiego stopnia może być bezpośrednia.

– Chodzi o to, mamó, że trochę się boję spotkania z tobą.

– Czego się boisz, kochanie?

Na myśl o tym, że jej mała córeczka może się jej bać, oczy Kate wypełniły się łzami.

– Nie boję się ciebie samej. Ale boję się spotkania z tobą, tak samo jak boję się tego, że się z tobą już nigdy nie spotkam. Po prostu nie wiem, co mam robić.

– To zrozumiałe, Lyds. Tu nie ma żadnych reguł. Musimy razem znaleźć sposób, by przez to przebrnąć. Mogę ci tylko obiecać, że spotkanie pozwoli nam uporządkować wszystkie sprawy, których się boisz. Przejrzeć je po kolei i razem się nad nimi zastanowić.

Rzucała córce koło ratunkowe. Jeśli Lydia je złapie, Kate zacznie ją ciągnąć, ciągnąć i już nigdy nie puści.

– To trudno wytłumaczyć, mamó. Boję się, że mogłaś się zmienić, że jesteś teraz jakaś inna.

– Wciąż jestem twoją starą, nudną mamą. To wciąż ta sama ja, Lyds, przysięgam.

– Boję się też tego, że zmieniło się to, co do ciebie czuję. Boję się, że mogę cię już nie kochać tak jak kiedyś.

Kate słuchała w milczeniu. Łzy spływały jej ciurkiem do ust, które szeptały bezgłośnie modlitwę:

„Proszę, kochaj mnie, proszę, nie przestawaj mnie kochać”.

Lydia ściszyła głos. Mówiła teraz prawie szeptem.

– Mamó, jeśli się z tobą nie spotykam, mogę udawać. Że gdzieś tam jesteście z tatą, no wiesz, że gdzieś wyjechaliście, tak jak kiedyś do Rzymu, a my mieszkaliśmy tydzień w internacie? Udaję, że ciągle jest tak jak dawniej. Ale kiedy cię zobaczę, będę wiedziała, że to nieprawda, bo nie będzie przy tobie taty, a ty będziesz inna...

Kate nie była w stanie odpowiedzieć. Skinęła tylko głową.

– I czasem, wiesz, udaję, że oboje umarliście, i jakoś mi z tym lepiej. Udaję, że oboje zginęliście w wypadku. Wtedy nie muszę myśleć o tym, co straszego ty zrobiłaś tacie, a on tobie. Nie lubię o tym myśleć, mamó.

Głos jej się załamał i zaczęła łkać. Kate do bólu pragnęła objąć swoją małą dziewczynkę i utulić ją, pocieszyć. „Nie umarłam. Jestem tu, Lydi. Jestem tutaj i czekam”.

– Lydi, Lydi, wszystko jest dobrze. Będzie dobrze. Zobaczysz. Razem coś wymyślimy. Mamy dużo czasu, żeby o wszystkim porozmawiać. Nie musimy się spieszyć – mówiła tym samym tonem, którym uspokajała córkę w dziecięcych latach, kiedy przyśniło jej się coś złego.

– Nie wiem, mamó, czy będzie dobrze. Im dłużej cię nie widzę, tym trudniej mi wyobrazić sobie, że się spotykamy i tym łatwiej mi ciebie unikać, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. Czasem

zastanawiam się, czy nie lepiej byłoby się pożegnać i zachować w pamięci tylko te dobre czasy, kiedy byliśmy szczęśliwi. Ty – nie, ale pozostali. Zawsze myślałam, że jesteśmy szczęśliwą rodziną, choć nie byliśmy, prawda?

– Prawda, Lyds, nie byliśmy, chyba nie. Ale wtedy myślałam, że uda mi się to wszystko ukryć, że tak będzie lepiej... – Kate po raz pierwszy przyznała to na głos.

– I o to też chodzi, mammo. Teraz zostały mi tylko wspomnienia o mojej rodzinie, ale wiem, że są nic niewarte. Ty i tata udawaliście. To wszystko było oszustwem. Wszystko.

Głos jej się załamał.

– I trudno mi pogodzić się z tym, że całe moje życie, że ludzie, którym ufałam – że to wszystko było oszustwem. To tak, jakbym miała cudze wspomnienia, nie swoje własne.

Przerwała.

Kate czekała. Nie chciała zaburzać rozmowania córki słowami pocieszenia i otuchy. Zostawiła je na później.

– Muszę kończyć, mammo. Przepraszam – powiedziała Lydia.

I natychmiast, bez słowa ostrzeżenia, odłożyła słuchawkę. Stało się to tak nagle, że Kate aż krzyknęła, słysząc monotonny sygnał.

– Nie, Lydia, proszę, nie! Nie kończ, kochana córeczko! – prosiła rozmówczynię, choć ta już się rozłączyła. Za nic nie chciała zakończyć rozmowy, jeszcze nie teraz.

– Kiedy tylko zmienisz zdanie, kiedy będziesz gotowa, będę czekała. Zawsze. Powiedz słowo, a przyjadę, znajdę cię.

Kate łkała, przytulając do twarzy głuchą słuchawkę.

Przez zapuchnięte od płaczu oczy patrzyła, jak wstaje słońce. Powtarzała w myśli słowa Lydii tak długo, aż doskonale wryła je sobie w pamięć, w której miały pozostać aż do jej śmierci: „Całe moje życie, ludzie, którym ufałam – to wszystko było oszustwem”. Wyobraziła sobie, jak to musi być – zostać odartym ze wspomnień dzieciństwa, zbudowanych przez rodziców fundamentów pod przyszłe życie, ze wszystkiego, co zapewnia bezpieczeństwo i spokój. Niezależnie od sytuacji, od tego, jak źle jej się układało, zawsze mogła wrócić myślami do czasów radości i śmiechu. Perspektywa, że ktoś mógłby jej to odebrać, była nie do pomyślenia.



W południe słońce nieznosnie prażyło i Kate zastanawiała się, czy udział w karnawale ma sens.

Pogrążona w rozpaczy, nie miała ochoty przyłączać się do rozbawionego tłumu. Z drugiej strony perspektywa, że spędzi cały dzień, krążąc niespokojnie po pokoju, choćby nie wiadomo jak luksusowym, wydawała jej się okropna.

Postanowiła nie brać taksówki do miasta i wyruszyć pieszo. Szła zdecydowanym, prężnym krokiem. Główna droga do stolicy wyspy – Castries – była zamknięta dla ruchu kołowego. Na długo przedtem, zanim oczom Kate ukazała się panorama miasta, słychać już było głośnie muzykę i metaliczne echo karaibskich blaszanych bębnów. Kiedy mijala ostatni zakręt, jej oczom ukazał się niesamowity widok. Wiedziała, że nigdy go nie zapomni. Miała wrażenie, że tańczą przed nią wszystkie kolory tęczy. Karnawał przyciągnął do miasteczka chyba wszystkich mieszkańców wyspy. Każdy miał na sobie wyszukany kostium, ozdobiony piórami, cekinami, wstążkami lub ozdobną plecionką.

Przepiękne dziewczyny w błyszczących bikini i takich samych opaskach na rękach kiwały się ostrożnie w rytm muzyki tak, by nie strącić z głów stroików. Podniecone gorącą atmosferą i spożywanym bez ograniczeń cukrem dzieci skakały między platformami niczym małe kangury. Niektóre miały na sobie miniaturowe wersje kostiumów dorosłych. Wszystko razem prezentowało się cudownie.

Kate znalazła Simona z dziećmi na trawniku, gdzie właśnie rozkładali koce, by urządzić piknik. Każde dziecko zrobiło sobie opaskę na głowę. Jedne były bardziej wyszukane, inne mniej, ale wszystkie były ręcznej roboty. Dało się zauważyć, że dzieciaki są dumne ze swej pracy.

– Hej! Jest Kate! A gdzie masz kostium? – zawałał Simon, zadowolony, że ją widzi.

– Nie wiedziałam, że będzie potrzebny! Nigdy nie czułam się bardziej wystrojona! – odpowiedziała, pokazując najpierw na lnianą koszulę, potem na szklane koraliki.

– Spodziewaliśmy się tego z Matildą, więc coś dla ciebie mamy.

Był to niezwykle stroik na głowę w kształcie pióropusza, wykonany z bladezielonych piór, z opaską wysadzaną złotymi cekinami. Kate nie bez trudu przywołała na twarz sztuczny uśmiech i włożyła prezent na głowę.

– Podoba mi się!

– Wyglądasz w nim jak zielony kurczak!

– Świetnie! Marzyłam, żeby przebrać się za zielonego kurczaka!

Wymiana zdań nastąpiła bardzo podniesionym głosem, ponieważ musieli przekrzyczeć ogłuszającą muzykę. Simon patrzył na jej twarz.

– Kate, wszystko w porządku?

W milczeniu skinęła głową. Nie próbowała mówić – nie ufała własnym emocjom.

Wokół panowała elektryzująca atmosfera, a Kate chłonęła ją całą sobą. Karnawał pomógł jej odwrócić uwagę od problemów i przyniósł dokładnie to, czego najbardziej potrzebowała – rozrywkę.

Z każdym uderzeniem w bęben serce podskakiwało jej w piersi, a ciało mimowolnie poruszało się w rytm rozpalającej ducha muzyki. Mijały ich platformy z muzykami i kapelami. Tę powolną procesję przerywały grupy tancerzy – mężczyzn, kobiet i dzieci w identycznych kostiumach, które mieniły się niczym fajerwerki i podrygiwały w rytm uderzeń blaszanych bębnów.

Kiedy nagle lunęło, Kate wysoko uniosła obie ręce i pozwoliła, by ciepły, tropikalny deszcz spłynął po niej od stóp do głów. Śmiała się i czuła, jak wraz ze śmiechem ogarnia ją fala optymizmu co do niepewnej przyszłości. W tej chwili wszystko wydawało się możliwe. Starala się skoncentrować na tym, że Lydia w ogóle zadzwoniła, a nie na konkretnych słowach, które wypowiedziała. Podniosło ją to na duchu. „Mamo... mamusiu...”. Te dwa słowa rozświetlały jej myśli niczym brylanty.



Bez większego wysiłku udało się namówić Kate na wspólny powrót do ośrodka. Wystarczyło, że mała Matilda wzięła ją za rękę, kilkoro dzieci spojrzało na nią wzrokiem pełnym wyczekiwania, a z ust Simona padło zdecydowane zaproszenie. W ten sposób pod wieczór razem z resztą zmęczonej grupy wsiadła do jednego z minibusów i ruszyła do Prospect Place. Młodsze dzieci usnęły z głowami na kolanach starszych, a najstarsze ściszym głosem, by nie obudzić swych młodszych kolegów, omawiały wrażenia dnia.

Simon pomógł wszystkim wysiąść, przy okazji policzył swoich podopiecznych i zasugerował, żeby najpierw przebrali się w suche ubrania. Dzieci posłusznie oddaliły się w poszukiwaniu swych piżam lub suchych rzeczy na zmianę. Fabian ruszył wprost do kuchni. Kate miała wrażenie, że najchętniej w ogóle by nie opuszczał tego pomieszczenia, pozostając blisko ogromnego pieca i niewielkich blatów – tak bardzo oddany był sprawie karmienia powierzonych mu maluchów.

– Masz tu niezłą rodzinę, Fabianie. Musisz być z niej bardzo d... d... dumny. – Mówiąc te słowa, Kate zatrzęsała się z zimna i zająknęła.

– Tak, jestem z nich bardzo dumny, ale popatrz na siebie! Przecież jesteś cała przemoczona, zimno ci! I, co najzabawniejsze, jesteś cała w zielonej farbie. Coś mi się zdaje, że komuś zmokły piórka! – Fabian oparł ręce na biodrach i potrząsnął głową, jakby przemawiał do któregoś z dzieci.

– Rzeczywiście! – zaśmiała się Kate, ocierając ręką czoło i policzki.

– Proponuję wziąć gorący prysznic i położyć ubrania na słońcu, to szybko wyschną. A ja poszukam ci czegoś do włożenia, zgoda?

Kate uśmiechnęła się, wciąż szcękając z zimna zębami i skinęła głową. Marzyła o gorącym prysznicu. Łazienka była większa, niż się spodziewała, ale jej wyposażenie składało się jedynie z wystającej ze ściany rury, kratki w betonowej posadzce i plastikowej zasłony prysznicowej zainstalowanej w poprzek pomieszczenia. Powiesiła ręcznik na haczyku, po czym z nieskrywaną podejrzliwością przyjrzała się brązowej wodzie nieregularnie tryskającej z rury. Strumień nie wyglądał zachęcająco, ale był gorący, a teraz tylko to się liczyło.

Kate patrzyła, jak jej pokryte gęsią skórą ciało rumieni się i powoli ogrzewa. Namydliła twarz. Na kratkę poleciała zielona woda. Tak, to był wspaniały dzień.

Odsunęła zasłonę i zakręciła kurek. Stojąc plecami do drzwi, przeczesała palcami włosy, by je trochę przesuszyć i nadać fryzurze kształt. Czy to z powodu hałasu ściekającej do odpływu wody, czy dlatego, że nuciła pod nosem *One Love* we własnej interpretacji, nie usłyszała stukania Simona.

Drzwi skrzypnęły nagle. Na ułamek sekundy czas stanął w miejscu. Żadne z nich nie poruszyło się, niepewne, jak się zachować.

Simon chciał powiesić na haczykach czyste, suche ręczniki i wyjść. Robił tak zawsze, z myślą o dzieciach, by miały się czym wytrzeć.

Spojrzenia mężczyzny przyciągnęła nie tyle jej nagość, ile siateczka blizn pokrywająca jej pośladki i tylne części ud. Blizny układały się w równy, gęsto spleciony wzór, świadczący o tym, że powstały na skutek celowego i przemyślanego działania. Z całą pewnością nie przez przypadek.

Simon zmrużył oczy, jakby spodziewał się, że zmiana ogniskowej przyczyni się do zmiany obrazu, który miał przed oczami. Kate szybko zakryła rękami piersi, choć w rzeczywistości stanowiły jedną część ciała ukrytą przed jego wzrokiem. Jej szyję oblał rumieniec. Wstrzymała oddech. Nie była zawstydzona. Była upokorzona.

Nikt nigdy nie widział tych blizn. Ukrywanie ich pozwalało jej udawać, że nie doznała tylu cierpień. W ten sposób unikała też oceny i współczucia innych. Myślni wróciła do chwili, kiedy ostatnia i jedyna osoba, nie licząc sprawcy, oglądała jej ciało. Był to policyjny lekarz. Na widok jej obrażeń zakrył usta, hamując odruch wymiotny. Kate wiedziała, że nigdy tego nie zapomni.

Nie chciała narażać Simona na podobną reakcję. Nie wiedziała, czy sięgnąć po ręcznik i zakryć ohydne dowody swojego upokarzającego życia, czy też stać w bezruchu z nadzieją, że on taktownie wyjdzie. Niezdecydowanie sprawiło, że stała się bezbronna. Wyglądała jak zając, oświetlony reflektorem nadjeżdżającego pociągu i tak właśnie się czuła. Dla obojga było to okropne przeżycie.

Panowała pełna konsternacji cisza. Każde z nich zastanawiało się, jak się zachować, co zrobić, by nie odrzec tej sytuacji z resztek godności.

Simon pospiesznie ruszył naprzód, chwycił z haczyka pierwszy lepszy ręcznik i okrył nim plecy Kate, częściowo zasłaniając wstydlive miejsca. Następnie przyciągnął jej plecy do siebie, oplótł swymi potężnymi ramionami i mocno przytulił. Po chwili Kate rozluźniła się w jego silnym uścisku

i ze wzrokiem wciąż utkwionym w ścianę rozkoszowała się bloginim poczuciem bezpieczeństwa. Zamknęła oczy i odezwała się do mężczyzny, którego twarzy nie widziała, lecz którego ramiona ciasno ją obejmowały.

– Mój mąż, Mark, przyznawał mi punkty karne. Noc w noc, Simonie. Otrzymywałam punkty za niewłaściwe wykonanie jakiegoś obowiązku w domu, za nieuważne słuchanie, za niewłaściwe pytanie lub za czytanie, kiedy powinnam była pracować. Zawsze robiłam coś nie tak. Im więcej otrzymałam punktów, tym głębiej nacinał mi ciało. Robił to żyłką, którą trzymał w szufladzie komody, zawiniętą w pergamin. Nie masz pojęcia, jak potwornie bałam się odgłosu otwierania tej szuflady. Kiedy już mnie okaleczył, co w zależności od dnia trwało od kilku sekund do kilku minut, gwałcił mnie. Tak żyłam przez wiele, wiele lat.

– Nigdy w życiu nie słyszałam tak smutnej historii. Nie wiem, jakim trzeba być człowiekiem, żeby robić coś podobnego? – zapytał wzburzonym, drżącym głosem.

– Kaleczyć, a potem gwałcić. Właśnie, jakim trzeba być człowiekiem? – powtórzyła powoli, bez emocji.

– Czemu to robił? – wyszeptał Simon w jej mokre włosy.

– Nie wiem. W ten sposób utrzymywał nade mną całkowitą kontrolę. Wiem, że to nienormalne. Myślę, że był psychicznie chory.

– Dlaczego twoja rodzina go nie powstrzymała? Twoje dzieci?

– Ponieważ nigdy nikomu nie powiedziałam. Nawet teraz z nikim o tym nie rozmawiam. Nigdy nie kaleczył mnie w widocznym miejscu, zawsze na pośladkach i z tyłu ud. Udawałam przed dziećmi, że nic się nie dzieje, a Mark był szczerze przekonany, że wszystko jest w normie. Wspólnie oszukiwaliśmy wszystkich.

– Ale z różnych powodów, Kate. Jedno chciało utrzymać pozory z dobrych pobudek, a drugie – ze złych.

– Pewnie tak. – Podobala jej się ta prosta logika. Dodawała otuchy.

Simon potrząsnął głową i wzmocnił uścisk, jakby chciał wchłonąć jej ból.

– Mogę jeszcze raz spojrzeć na twoje blizny, Kate?

Lekko wzruszyła ramionami, niepewna, czy sytuacja nie będzie zbyt krępująca.

Simon powoli rozplótł ramiona i cofnął się lekko. Wpatrywał się w geometryczne wzory przypominające blizny po oparzeniach. Zdecydowanym ruchem wyciągnął rękę i, zaczynając u podstawy wciąż jeszcze wilgotnych po kąpieli pleców Kate, przesunął gładką dłońią po jej pośladkach i udach. Pod palcami wyraźnie czuł pagórkowate zgrubienia. Był jednym mężczyzną, który kiedykolwiek to zrobił. Nie wzdrygnęła się nawet. Czuli, jak po całym jej ciele rozchodzi się przyjemne ciepło.

– To twoje rany wojenne, Kate. Wygrasz tę walkę. Na pewno. Jesteś piękna.

Ramiona Kate zatrzęśły się, a jej ciałem szarpnął silny szloch. Po twarzy pocieki jej wielkie lzy. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz słyszała, że jest piękna. Żałowała, że nie ma w sobie wystarczającej siły, by odpowiedzieć na uczucia, które wzbudziły w niej te słowa.

Ani Kate, ani Simon nie słyszeli, kiedy do łazienki zakradła się Matilda. Mała zawsze chodziła krok w krok za swym opiekunem. Teraz dodatkowo intrygowała ją ta miła pani, której spodobała się muszelka. Prześlizgnęła się pod nogami mężczyzny i ostrożnie zajęła pozycję między Simonem a Kate, która ze wszystkich sił próbowała się uspokoić. Powoli wyciągnęła rączkę i wnętrzem pulchnej dłoni dotknęła tylnej części uda Kate.

– Au! Biedna Kate.

Simon uśmiechnął się i pochylił, by wziąć małą na ręce. Delikatnie podrzucił ją w wypełnione parą powietrze, po czym złapał i mocno przytulił.

– Właśnie, Matildo, masz rację! Au. – Uśmiechnął się szeroko. – Słyszałaś, Kate? Wreszcie miała do powiedzenia coś na tyle ważnego, żeby się odezwać!

Kate sięgnęła po szlafrok, owinęła się nim jak togą i przyłączyła do wspólnej radości. Zły czar prysł! Matylda przemówiła! We trójkę tańczyli na betonowej podłodze, a Kate i Simon wznosili okrzyki radości.

– Matildo, twój głos to dla moich uszu najslodszy dar! – powiedział rozpromieniony Simon.

Kate była odurzona radością wypełniającą tę niewielką przestrzeń. Odrzuciła głowę do tyłu i śmiała się szczerze. Wszystko było dobrze. A nawet lepiej niż dobrze. Było cholernie wspaniale.



Później, kiedy słońce chyliło się już ku zachodowi, naczynia po kolacji były umyte, wysuszone i pochowane, a resztki cekinów i farb zmyte z lepkich, małych łapek, Simon i Kate usiedli na drewnianych schodkach domu. Milczeli, wsłuchani w orkiestrę natury, w której każdy owad starał się odezwać głośniejszym głosem niż jego poprzednik.

– Co za dzień. – Kate była zmęczona.

– Wycieńczający, ale niezapomniany, mam nadzieję!

– Och, Simonie, naprawdę niezapomniany. Dziś rano rozmawiałam z córką.

– No to chwala Panu! To cudownie, Kate, wspaniała wiadomość! Krok do przodu.

– Mam nadzieję. Ta rozmowa dała mi dużo do myślenia. Tak długo starałam się ochronić moje dzieci przed prawdą. Nawet nie przyszło mi do głowy, że zobaczą we mnie nie tylko ofiarę, ale też

wspólnika zbrodni. Trudno mi wziąć na siebie całą winę...

– Kate, to dlatego, że jesteś jedyną osobą, która może ją na siebie wziąć. Ich reakcja świadczy o tym, że zaprowadziłaś w ich życiu harmonię, nauczyłaś ważyć dobro i zło, formułować własne sądy. To zdrowe.

– Nie myślałam o tym w ten sposób. Jesteś mądrym człowiekiem, Simonie.

– Ej tam, nic mi o tym nie wiadomo.

– Rozpamiętywałabym tę rozmowę cały dzień, gdybyś mnie nie wyciągnął do miasta. Dziękuję.

– Podobał ci się karnawał?

– O, tak, bardzo. Dawno się tak dobrze nie bawiłam. Cudownie, choć męcząco.

– Tak więc już zawsze czuj się na niego zaproszona. Odłóż swój pióropusz na przyszły rok?

Kate spojrzała na twarz tego dobrego człowieka, który odsłonił przed nią cudowny skrawek całkiem nowego świata.

– Nie wiem, może. Nie wiem, co dalej ze mną będzie. Ale nigdy nie zapomnę dni spędzonych z wami wszystkimi, zwłaszcza z Matildą.

– Ona także zrobiła dziś wielki krok do przodu. Mam nadzieję, że nie ostatni. Może zacznie więcej mówić, może nie, ale przynajmniej wiemy, że potrafi. To najważniejsze.

Simon złożył ręce i wznosił oczy do nieba, w ciszy składając dziękczynienie, po czym znowu zwrócił się do Kate.

– Dotknęła twego serca.

– Tak. Pomogła mi. Dzięki niej zaczęłam się zastanawiać.

– Tak jak mówiłem, nadzieja przychodzi pod różnymi postaciami. Czasem jest to człowiek...

Kate uśmiechnęła się.

– Sprawiała, że zaczęłam całkiem poważnie zastanawiać się nad swoją przeszłością, nad tym, gdzie mogłabym się przydać.

– W jakim sensie?

– Cóż. Wydaje mi się, że świat potrzebuje więcej takich Simonów, więcej osób, które zapewnią schronienie najbardziej potrzebującym, i myślę, że chciałabym spróbować.

– Szukasz pracy? – Był jednocześnie zaniepokojony i pełen nadziei.

– Och, nie! – Zaśmiała się. – Nie mogłabym ci przedstawić dobrych referencji, to po pierwsze, a po drugie, dzieci miałyby do mnie za daleko. Ale myślę, że może dałabym radę stworzyć angielskie Prospect Place. Nasze państwo jest bogate, co nie znaczy, że zawsze wie, co zrobić z ludźmi, którzy wymykają się przez szczeliny życia – z bezbronnymi, młodymi, zranionymi. Wiele takich kobiet poznałam w więzieniu.

Kate wzięła głęboki oddech. Przypominała sobie rozmowę Kelly i Jojo: „I co, zostałeś z nim dla dzieci?”. „Nie. Dla prochów. Dzieci poszły do domu dziecka w niecały rok po tym, jak się do mnie

wprowadził. Już ich nie widuję”. Zastanawiała się, gdzie były teraz jej dzieci.

– Kate, wydaje mi się, że świetnie się do tego nadajesz. – Simon sprowadził ją z powrotem na ziemię.

– Serio?

– Serio.

– No, to plan zatwierdzony! – rozpromieniła się.

Przez chwilę siedzieli w ciszy. Kate dobrze wiedziała, że kolejny temat jest nieunikniony. Mimo woli czekała, aż Simon go poruszy.

– Kate, nie mógłbym poprzec i nigdy nie poprzę odebrania życia innemu człowiekowi, ale to nie znaczy, że nie mogę okazać współczucia i zrozumienia wobec tego, co przeżyłaś. To, co dziś widziałem...

Kate położyła palec na jego ustach.

– Nie. Proszę, Simonie, nie chcę o tym rozmawiać. Naprawdę nie chcę. Nie możemy po prostu udawać, że to, co się stało dziś po południu, w ogóle nie miało miejsca? Nie mógłbyś patrzeć na mnie tak samo kpiąco, jak patrzyłeś w chwili, gdy się poznaliśmy? Bez tej smętnej miny, którą przyjmujesz, kiedy mówisz o którymś z dzieci? Wolałabym, żebyś mnie tak nie postrzegał.

Kiwnął głową.

– Jeśli sobie tego życzysz.

– Życzę sobie. – Spojrzała mu wprost w oczy. – Chciałabym ci podziękować za wszystko. Czuję się jakoś odrodzona, gotowa stawić czoło całemu światu!

– Nie pojawiłaś się tu bez powodu, Kate. A powody nie zawsze są od razu jasne.

– Ej, nie zaczynaj znowu. Jestem małą rybką, pamiętasz?

Simon się zaśmiał.

– No i, wielobny ojciec Dubois, następnym razem nie mam zamiaru zmywać ręcznie. Jeśli uda mi się tu wrócić, to chcę widzieć w kuchni zmywarke.

Kate wyciągnęła z kieszeni mały zwitek papieru.

– I właśnie dlatego, mój drogi przyjacielu, chciałabym ci coś podarować. Pozwól mi to zrobić. Będę z tego powodu bardzo szczęśliwa.

Simon otworzył czek i spojrzał na sumę. Była tak duża, że wystarczyłaby nie tylko na zmywarke, ale na zbudowanie całego Prospect Place od nowa i wyposażenie go w nową hydraulikę, pokój zabaw i wszystko, o czym jego mieszkańcy mogliby tylko marzyć.

– Kate, ja...

– Nie. Nic nie mów. To dla Matildy i dla wszystkich małych dziewczynek, które pojawiają się tu w przyszłości.

Simon położył dłonie po obu stronach jej głowy i delikatnie pocałował Kate w usta. Nie

pamiętała już, że istnieje taki rodzaj pocałunku. Różnił się znacznie od przyjacielskiego cmoknięcia w policzek. Nie przerażał też ani nie kontrolował. Rozlewał w jej wnętrzu ciepło. To był pocałunek, jaki wymieniali kochankowie. Simon odsunął się powoli. Przez ułamek sekundy oboje rozważali możliwość, by całować się dłużej – gdzie indziej i kiedy indziej.

– Kate Cavier, jesteś wyjątkowa. Nigdy nie miej co do tego wątpliwości. Nie jesteś zwykłą małą rybką, moja droga przyjaciółko.

[7] Mt 16, 18, Biblia Tysiąclecia (przyp. tłum.).

[8] Prospect Place (ang.) – dosłownie „miejsce perspektyw”, ale również „miejsce z perspektywą na przyszłość” (przyp. red.).

[9] Łk 6, 37, Biblia Tysiąclecia (przyp. tłum.).

Rozdział 5

Dziesięć lat wcześniej

Za chwilę miał zadzwonić dzwonek, ogłaszając koniec ostatniej lekcji. Kathryn stała plecami do drzwi. Pieczołowicie wycierała ścierką wnętrze kubka, by nie pozostała w nim żadna kropla.

– Muszę koniecznie pamiętać, żeby schować dipy do lodówki i porządnie wytrzeć szklanki...

– Do kogo ty mówisz?

Głos Dominica zaskoczył ją. Nie wypuszczając ścierki z rąk, odwróciła się gwałtownie i spojrzała na syna, który szperał w pojemniku na pieczywo, jak zwykle polując na węglowodany. Był przystojny, wysoki, miał swobodną, niewymuszoną postawę i przyjemny głos, a jego akcent w nienachalny sposób dawał do zrozumienia, z jakich wywodzi się sfer. Kathryn wciąż jeszcze nie oswoiła się z faktem, że z jej małego chłopczyka wyrósł wspaniały, pełen życia nastolatek. Nie mogła się nadziwić, jak szybko upłynęły te wszystkie lata. Przeróżające było to, że każdy rok zbliżający jej dziecko ku dorosłości oznaczał jednocześnie czas, który spędziła przykuta do Marka.

– Witaj, kochanie! Nie słyszałam, że wszedłeś. Jak minął dzień?

– Kompletnie i totalnie beznadziejnie.

– Dobrze, w takim razie dalej nie pytam. – Próbowwała zjednać go poczuciem humoru.

– Możesz pytać, ile chcesz, jeśli o mnie chodzi, ale i tak ci nie powiem.

Przełknęła złośliwość i pozwoliła jej osiąść na dnie żołądka. Łatwiej było ignorować jego

komentarze, niż narażać się na ich eskalację. Pewnie był tylko zmęczony.

– Będziesz dziś na kolacji, Dom?

– To zależy – odparł zza otwartych drzwi szafki, której zawartość stanowiła teraz obiekt jego zainteresowania.

– Od czego?

– Od tego, co jest na kolację.

Przygryzła dolną wargę, by powstrzymać wszystkie emocje, by przełknąć jego skrywaną agresję, obojętność, łagodną formę wrogości, poirytowanie. To przecież cechy typowe dla chłopców w jego wieku. Stał przed nią ni to mężczyzna, ni to dziecko – ktoś, kto szuka swojego miejsca w świecie i nie wie, jak okiełznać buzujące w nim napięcie. Oprócz tego Dominic przejął, pewnie podświadomie, poglądy i zachowania ojca.

– Dziś jest *coq au vin*, świeży zielony groszek na parze i młode brokuly.

– Naprawdę, nie znoszę, kiedy tak robisz.

– Jak robię?

Zamknął szafkę i spojrzał wprost na nią.

– Próbujesz mnie skusić, żebym został na kolacji, układając menu jak w jakiejś wykwińskiej restauracji. Nie możesz po prostu powiedzieć „dzisiaj jest kurczak”?

Mogła brnąć w dalszą dyskusję, albo próbować go rozśmieszyć, bo sprzeczać się nie chciała – nie widziała go przecież cały dzień.

– Dobrze. Nie będę cię więcej kusić, żebyś pozwolił mi dla siebie gotować. Dominicu, dzisiaj jest kurczak. Będziesz na kolacji?

– Nie, już jadłem.

Spojrzała mu w oczy.

– Zakładam, że już jadłeś niezależnie od tego, czy dzisiaj jest *coq au vin*, czy zwykły kurczak?

– Uhm – spojrzał na nią spod oka.

Schyliła się i oparła łokcie na blacie, a ręce podświadomie złożyła jak do modlitwy. Potem położyła je na czole, biorąc głęboki oddech. Zamknęła oczy i odezwała się do syna, którego obecność wciąż czuła, choć go nie widziała. Teraz tak było łatwiej.

– Dominicu, czy coś się stało i chciałbyś o tym porozmawiać? Martwisz się czymś?

– Nie.

– Bo wiesz, że zawsze możesz ze mną porozmawiać. Po to tu jestem!

– Nie mam nic do powiedzenia, a przynajmniej nic takiego, co chciałabyś usłyszeć.

– Dobrze, w takim razie chciałabym, żebyś się zastanowił, w jaki sposób odnosisz się do innych, a w szczególności do mnie. Nie jestem twoim wrogiem. Nie jestem też płatną pomocą domową. Jestem twoją mamą i nie rozumiem, dlaczego traktujesz mnie w taki sposób. Zdadę sobie sprawę,

że czasem życie nie układa ci się idealnie, ale powinieneś wiedzieć, mój panie, że tego samego doświadcza większość ludzi. Rozumiem, że cięży ci nauka, rozpraszają cię dziewczyny i że tata tu pracuje... Wiem, że nie zawsze jest łatwo, ale proszę, nie traktuj mnie tak. Kocham cię, Dominicu, bardzo cię kocham.

Dominic patrzył na plecy mamy zgarbione nad blatem. Przyglądał się wystającym z kręgosłupa kosteczkom, wyraźnie widocznym przez delikatną tkaninę jej koszuli.

– Jeśli chcesz wiedzieć, mam, to nie chodzi mi o tatę, tylko o ciebie.

– O mnie? – Próbowwała nie dać po sobie poznać zdziwienia, ukryć smutek i rezygnację, które pojawiły się w reakcji na jego uwagę. – Dlaczego o mnie?

– Po prostu jesteś taka... – Szukając właściwych słów, wypuścił powietrze, zgromadzone w nadętych policzkach.

– No, jaka, Dominicu?

Wyprostowała się, oparła ręce na biodrach i odwróciła się do niego.

– Jesteś dziwna.

Zaśmiała się szybko i głośno, by zamaskować nerwy, ale i ulgę.

– Ja jestem dziwna?

Zadała pytanie, ale nie chciała słyszeć odpowiedzi.

– Tak, mam, jesteś dziwna i to bynajmniej nie jest śmieszne, więc nie rozumiem, czemu się śmiejesz.

Zauważyła, że zaakcentował słowo „bynajmniej”. A więc jeszcze nie skończył.

– Ciągłe do siebie gadasz. Ludzie w szkole to widzą, moi znajomi to widzą. Kręcisz się tu i tam, jakbyś była kompletnie nieobecna duchem, jakbyś była naćpana albo nienormalna. Uśmiechasz się, mimo że wszyscy widzą, że jesteś nieszczęśliwa. Można to porównać do życia z kimś, kto skrywa jakąś tajemnicę. Zachowujesz się, jakbyś wiedziała coś, czego nikt inny nie wie i to cię od nas oddziela – ode mnie, od Lyds i od taty. Czasem wydaje mi się, że w ogóle nie należysz do tej rodziny. Wszyscy kumple zgrywają się z twojej obsesji na punkcie pościeli. Najgorsze, że mają rację, bo to prawda, a w dodatku ja im się z tym kojarzę, przez co mają mnie za dziwaka. Do dupy to wszystko.

Spojrzała na syna.

– Rozumiem, Dominicu. To do dupy.

– Nie. Nie, mam, nie rozumiesz, nie rozumiesz i już.

Odwrócił się i wyszedł z kuchni. Znowu została sama ze ścierką w rękę.

Jego słowa wciąż krążyły na nią, wirowały, by w końcu spowić jej głowę delikatną mgiełką.

„Można to porównać do życia z kimś, kto skrywa jakąś tajemnicę. Zachowujesz się, jakbyś coś wiedziała, czego nikt inny nie wie i to cię od nas oddziela...”

Mądry Dominic. Mój kochany, mądry chłopak. Miał rację. Było dokładnie tak, jak mówił.

Kathryn zebrała myśli, próbując skupić się na jakimś zajęciu, byle tylko nie czuć bólu zadanego jej przez syna zarówno słowami, jaki i sposobem, w jaki je wypowiedział. Przesiewała ich rozmowę przez drobne sito, próbując wyłowić z niej coś pozytywnego, kiedy w kuchni pojawiła się Lydia trzymająca pod pachą olbrzymią teczkę na rysunki.

– Co na kolację?

– Cześć, Lydia. Tak, dobrze, dzięki, całkiem miło, a ty?

– Co?

– Nie, nic. Kurczak.

– Sam kurczak? Ble. Znów kurczak.

– Cóż, tak naprawdę jest *coq au vin* z zielonym groszkiem na parze i młodymi brokułami.

– No, to czemu od razu nie mówisz? Boże, mam, czasem jesteś taka...

Kathryn podniosła rękę, gestem przerywając potok słów córki, zanim ta zdążyła nasypać soli w otwartą ranę jej ducha.

– Tak, Lydio, wiem. Nie potrafię nawet porządnie powiedzieć, co na obiad. Wybacz mi. Jestem taka dziwna, że nie chce się wierzyć. Zachowuję się żenująco, życie jest do dupy i to wszystko moja wina – od głodu na świecie po wojnę na Bliskim Wschodzie, ocieplenie klimatu, bieżący kryzys ekonomiczny i oczywiście to, że Luca Petronatti nie chce się z tobą umówić. To wszystko moja wina. Co do joty. Masz słuszne podstawy, żeby mnie za to wszystko winić.

Lydia nie kryła przerażenia.

– Co ty, mam, masz menopauzę? O to chodzi?

– Pewnie tak, Lydio.

– Zjem w swoim pokoju.

Lydia wyszła z kuchni, a potem ruszyła po schodach. To tyle. Koniec rozmowy. Kathryn próbowała przypomnieć sobie, czy przyszło jej prowadzić podobną wymianę zdań z własną matką. Nawijanie do cyklu biologicznego matki, komentowanie go, po czym żądanie, by podać jej kolację do pokoju, wydawało się niewyobrażalne. Nie śmiałyby i nie chciałyby tego zrobić. Cóż, czasy się zmieniają.

Otworzyła szafkę i odwróciła puszkę groszku etykietką do przodu. W pierwszych latach małżeństwa wiele z licznych i różnorodnych zadań, które wykonywała, wymagało szczegółowych instrukcji. Dopóki ich nie otrzymała, dużo rzeczy robiła niewłaściwie. Nieumyślnie. Kto wiedział, że trzeba tak, a nie inaczej? W każdym razie ona nie wiedziała. Żyła w błogiej nieświadomości, że istnieje właściwy sposób smarowania tostu miodem bądź parzenia kawy w ekspresie. Szczęśliwie miała przy sobie Marka, który uświadomił jej, jakie błędy popełnia.

Lista była długa i drobiazgowa. Puszki należało ustawiać jedną na drugiej, ale nie więcej niż trzy

w jednej piramidzie, etykietkami do przodu. Kiedy się je otwierało, wieczko należało usunąć całkowicie, nigdy – broń Boże – nie pozostawiać go na cienkim, metalowym „zawiasie”, i od razu wyrzucić do śmieci.

Dywan zawsze należało odkurzać prostymi, pionowymi ruchami, prowadząc końcówkę ssącą równo obok śladu poprzedniego ruchu. Bezladne miotanie się z odkurzaczem po pokoju nie wchodziło w grę. W odpowiedni sposób należało również przechowywać skarpetki – zwinięte parami w kulki i poukładane według kolorów w szufladzie. Istniał właściwy sposób zapełniania zmywarki, składania ręczników, wyjmowania i zawiązywania zapełnionego worka na śmieci, szczotkowania zębów, parkowania samochodu oraz prowadzenia go, karmienia dzieci, czesania i strzyżenia włosów, ścielenia łóżka, polerowania podłóg, zwracania się do sąsiadów, pisania kartek świątecznych, odbierania telefonu, ubierania się, chodzenia, mówienia, myślenia...



Mark Brooker zawsze wchodził do pomieszczenia głośno, nawet jeśli się nie odzywał. Nigdy i nigdzie nie pojawiał się niepostrzeżenie. Zawsze musiał zaznaczyć swą obecność – niczym aktor wkraczający do akcji w amerykańskim serialu komediowym. Kiedy tylko jego głowa majaczyła w okolicach drzwi, Kathryn zawsze spodziewała się usłyszeć oklaski i stłumione śmiechy anonsujące jego przybycie. Podszedł do niej i zatrzymał się, przysłaniając jej postać swoją.

– Dobry wieczór, Kathryn.

– Witaj, Mark.

– Ładnie wyglądasz.

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się do niego nieśmiało.

– Coś tu ładnie pachnie. Co będzie na kolację?

– Będzie... eee... hm... będzie...

– Będzie... eee... hm... co? – zapytał ostrym tonem mimo uśmiechniętej miny.

– Kurczak... *coq au vin*...

– Kurczak *coq au vin*. Cudownie.

Wziął jej twarz w dłonie i mocno pocałował w usta, po czym odwrócił się na pięcie i pomaszerował do gabinetu. Oczekała, aż zamkną się za nim drzwi i dopiero wtedy podniosła do ust kraciastą ściereczkę, by otrzeć wilgotny ślad jego obecności.

Nakryła stół tylko dla dwojga. Usta miała obolałe i czuła, że po agresywnym pocałunku są

nawet lekko opuchnięte. Jej myśli poszybowały w kierunku pewnego zdarzenia, które miało miejsce w czasie ich narzeczeństwa. Z paroma znajomymi z roku siedzieli wieczorem w barze Univeristy College w Londynie. Rozmowa zesłała na pracujące kobiety. Mówiono to, co zwykle mówi się przy takich okazjach – że kobiety są przykute do domu, do dzieci, do garów, i powtarzano stare dowcipy, na przykład, dlaczego kobieta bierze ślub w białej sukni? Żeby nie odróżniać się od innych sprzętów domowych, cha, cha! Ależ się wtedy z tego śmiali.

Mark odprowadził ją do domu. Kiedy stali już niemal w drzwiach, odwrócił się do niej i zapytał:

– Ale ty zostaniesz w domu, prawda, kochanie? Zostaniesz w domu, będziesz wychowywać nasze dzieci, a ja będę o ciebie dbał, żebyś nigdy nie musiała się o nic martwić, zupełnie o nic.

Uśmiechnęła się do niego.

– Mark, na pewno kiedyś zostanę w domu – jak już będziemy mieli dzieci, ale do tego czasu choć uczyć. Po to przecież studiuję. Czuję, że będę w tym dobra. Kocham swój kierunek i jestem bardzo cierpliwa – nie tak, jak pewna osoba, której nazwiska nie przytoczę!

– Ja, niecierpliwy? To nie moja wina, że wszystkie dzieciaki, z którymi przychodzi mi pracować, są opóźnione w rozwoju. Potrzebuję lepszego materiału! Przynajmniej jednego dziecka, które ma IQ wyższe od rośliny doniczkowej!

– Czekaj, jak to się mówi? „Złej baletnicy przeszkadza rąbek u spódnicy”? To samo dotyczy nauczycieli?

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, Mark chwycił ją za prawy nadgarstek, uniósł jej rękę na wysokość jej policzka i roześmiał się.

– Dziewczyno, co ci się stało, dlaczego to robisz?

Ze śmiechem na ustach zaczęła uderzać ją po twarzy jej własną dłońią. W pierwszym momencie była zbyt zaskoczona, by zareagować. Kiedy tylko zdała sobie sprawę z tego, co się dzieje, napięła mięśnie i usztywniła palce. Był znacznie silniejszy, więc to nie pomogło, a nawet wzmocniło siłę uderzeń.

– Przestań! Przestań, Kathryn! Dziewczyno, głupia jesteś!

Zdziwiona, krzyknęła i zachłysnęła się powietrzem. Dopiero po paru sekundach gwałtownie przestał.

– Och, kochanie! Czemu płaczesz?

Przez łzy spojrzała w jego piękne bładoniebieskie oczy.

– Bo mnie skrzywdziłeś, Mark.

Przycisnął ją mocno do siebie, okrył swoją rozpiętą kurtką i wyszeptał łagodnie w jej włosy:

– Kochanie, przecież to był tylko żart! Kocham cię i nigdy bym cię świadomie nie skrzywdził.

Wolałbym umrzeć, niż cię skrzywdzić.

Kiedy spojrzała w lustro, była wstrząśnięta. Na policzku miała wściekle czerwoną smugę.



Układając na stole maty, podstawki pod gorące naczynia, a na środku solniczkę i pieprzniczkę, Kathryn pomyślała, że było to kłamstwo – jak wiele innych rzeczy, które Mark powiedział i zrobił. Nie wolałby umrzeć, niż ją skrzywdzić. To wiedziała na pewno.

O ósmej, po kolacji, zaczęli schodzić się i sadowić w kuchni nauczyciele. Kathryn krążyła między nimi, nalewała wino i wodę do krystalicznie czystych szklanek, przez cały czas kiwała głową, uśmiechała się, a nawet, jeśli wymagała tego sytuacja, rzucała stosowne komentarze.

– Tak, niezwykle łagodna.

– Dziękuję, dobrze, mam się bardzo dobrze.

– Dominic? Och, wiadomo, bardzo zapracowany.

– Szkolna reprezentacja? Och, wydaje mi się, że grają z Taunton School.

– Na mszyce stosuję mieszankę octu i wody do oprysku.

Kathryn omiotła spojrzeniem zbieraninę starych mężczyzn w zatęchłych, sztruksowych marynarkach. Jako grupa wydawali z siebie lekki zapaszek rozkładu. Z ich uszu i nosów wystawały kępski włosów. Dobra żona powinna zadbać o takie rzeczy. Zęby również mieli zaniedbane. Wyobraziła sobie ich jako stado starzejących się pingwinów, popiskujących i rozpychających się w walce o głos, choć nikt na świecie nie był w najmniejszym stopniu zainteresowany tym, co mają do powiedzenia.

Dziesięć po ósmej nadeszła pora na wielkie wejście Marka.

– Dobry wieczór wszystkim!

Stał w otwartych drzwiach i Kathryn dostrzegła w jego postawie lekkie wahanie. Dobrze zgadła – zastanawiał się, czy należy się uklonąć, ale ostatecznie tego nie zrobił.

Zgromadzeni skinęli głowami i mruknęli niezrozumiałe słowa powitania, zaszczytzeni, że znajdują się w obecności swego szacownego przełożonego. Oczekiwali słów mądrości, które padną z jego oszalałymi uśmiechniętymi ust o idealnie białych i równych zębach.

– Rozumiem, panowie, że możemy zaczynać?

Mark ruchem Fagina^[10] zatarł rękę.

Nauczyciele zajęli miejsca przy kuchennym stole, przy czym pozycja względem Marka wskazywała na status w gronie pedagogicznym.

– Punkt pierwszy naszej agendy: Nagroda „Dokonałość w edukacji”, o której co nieco już dziś

wspomniałem, lub nie.

Zanim zdążył dokończyć zdanie, zza stołu rozległ się chór komentarzy.

– Och, brawo, panie dyrektorze!

– Wspaniałe wieści, Mark!

– W pełni zasłużona, staruszku, naprawdę zasłużona!

Kathryn, która usłyszała już dosyć, wymknęła się do salonu i zamknęła za sobą drzwi.

Bezszelestnie podeszła do stolika z telefonem, otworzyła szufladę i ostrożnie wyciągnęła starannie ukrytą na dnie, przygotowaną na takie właśnie okazje, powieść *Historia życia Toma Jonesa*. Wzięła ją do ręki i powiodła palcami po okładce. Poczula nieśmiały, ale dobrze znany przypływ szczęścia. Wiedziała, że może wykraść parę minut na czytanie – do chwili gdy jej usługi znów staną się pożądane. Doskonale знаła ten scenariusz: piętnaście minut na rozkręcenie zebrania, po czym z powrotem do kuchni, by podać kanapki i dipy.

Usiadła w fotelu przy oknie i zatopiła się w lekturze.

„Mam nadzieję, że czytelnik z przyjemnością powróci wraz ze mną do Zofii. Po naszym ostatnim spotkaniu Zofia spędziła noc niezbyt przyjemną. Niewiele snu zaznała, a snów jeszcze mniej. Rankiem, gdy panienska Honorata, jej pokojowa, przyszła o zwykłej godzinie, znalazła swoją panią już obudzoną i nawet ubraną”^[11].

Szczęśliwa, przewracała kartkę za kartką, by po chwili całkowicie pograżyć się w świecie stworzonym przez Henry’ego Fieldinga.

Czytanie było wielką pasją Kathryn, a jednocześnie jej jedyną ucieczką. Zdawała sobie sprawę, że to niebezpieczne zajęcie – jeśli książka była dobra, okradała ją z czasu i poczucia jego upływu, pochłaniała bez reszty, zmuszając do podążania krok w krok za bohaterami. Przerwa w czytaniu groziłaby pozostawieniem ich losów w stanie zawieszenia. Tak właśnie zdarzyło się tego wieczoru. Kiedy Kathryn usłyszała głośne stuknięcie drzwi kuchennych o ścianę, okazało się, że minęło nie piętnaście, a osiemnaście minut.

Wypuściła książkę z rąk, nie martwiąc się, że ją zniszczy, gdy urocza Zofia potoczy się brutalnie i z głuchym łupnięciem wyląduje w ciemnym kącie. W otwartych drzwiach stał bez ruchu Mark. Milczał, a jego twarz nie zdradzała żadnych emocji. Prześlizgując się obok niego do kuchni, Kathryn unikała jego spojrzenia. Nie powiedzieli do siebie ani słowa.

Kathryn ściszym głosem przeprosiła gości, po czym sprawnie odwinęła folię spożywczą z półmisek z kanapkami i odkorkowała jeszcze jedną butelkę schłodzonego białego wina. Płynnym, niemal tanecznym krokiem poruszała się po kuchni, rozdając najpierw talerzyki

i serwetki, a następnie przysmaki, które spotkawszy się z entuzjazmem gości, wśród pochwał i podziękowań natychmiast znikły z półmisków. Wszystkie brody pokryły się okruciami, a po krawatach i klapach marynarek połały się sosy i dipy. Dobra robota.

Kiedy goście wyszli, była już prawie jedenasta. Zmywarka cicho szumiała, stół został wytarty do czysta, maty i podstawki schowane na miejsce, a krzesła właściwie dosunięte.

Kathryn weszła po schodach, a potem skierowała się do sypialni. Poruszała się miarowym krokiem, widać było, że niezbyt spieszy się jej do celu, a z drugiej strony wie, że ociąganie się opóźni tylko to, co nieuniknione.

Pokój był naprawdę ładny. Wysoki sufit i ozdobny stiuk podkreślały piękno tapety w peonie i róże. Płatki, mieniające się wieloma odcieniami fioletu, wyglądały tak, że człowiek podświadomie spodziewał się poczuć oszałamiający zapach. Dwa duże skrzydłowe okna wychodziły na tereny sportowe, choć o tej porze zasłonięte były rzymskimi roletami. Kremowa wykładzina, na którą rzucono jeszcze kilka dodatkowych ciemnozielonych dywaników, zapewniała bosym stopom wystarczającą miękkość. Mahoniowy zagłówek dostojnego, antycznego łóża zdobiły rzeźbione, kwieciste ornamenty. Łóżko należało niegdyś do babci Marka i wszyscy zawsze je podziwiali, ale Kathryn szczerze go nienawidziła. Często śniło jej się, że doszczętnie zjadają je korniki, a z całosci zostaje tylko mała kupka pyłu i jeden wielki, tłusty robak.

Pokój, mimo swej bezdyskusyjnej urody, kojarzył się Kathryn fatalnie. Zawsze była zaskoczona, kiedy goście chwalili jego urodę, a w ich głosie pobrzmiwała zazdrość. Spodziewała się raczej, że poczują kryjący się w każdym zakamarku ból i zobaczą oceany łez, które tu wylała. Było ich tyle, że powinny sączyć się ze ścian i materaca, tworząc kałuże na podłodze.

Zdjęła buty i spódnice. Ustawiała ciemnobrązowe skórzane pantofle równo, obcas przy obcasie pod starym, elegancko tapicerowanym fotelem w rogu pokoju. Spódnice z powrotem zapięła, złożyła w pół i przewiesiła przez oparcie fotela. Bluzkę zwinęła, po czym wraz z majtkami i stanikiem wrzuciła do wiklinowego kosza na pranie. Zdjęła kolczyki i perłowy naszyjnik, po czym ostrożnie umieściła je w szkatułce na biżuterię stojącej na toaletce. Umyła zęby i wyczyściła je nicią dentystyczną. Uczesała włosy, usunęła z twarzy wszelkie ślady makijażu. W końcu wślizgnęła się w jedną z pięciu identycznych bawełnianych koszul nocnych, które miała. Były długie, o prostym kroju, z kołnierzykiem typu bebe i małymi guziczkami z kości słoniowej przy przymarszczonych mankietach i dekolcie.

Następnie uklękała w nogach łóżka, zwiesiła głowę i czekała. Czyniła to absolutnie każdej nocy od siedemnastu lat i pięciu miesięcy.

Usłyszała skrzypnięcie ostatniego schodka, a po nim ostrzegawcze postukiwanie obrączki o drewnianą barierkę. Czowała, że mimo woli napina mięśnie – działo się tak zawsze, gdy docierały do niej te dźwięki, choć słyszała je już niezliczoną ilość razy. W końcu rozpoznała dźwięk zamykanych

drzwi sypialni i zgrzyt starego, mosiężnego klucza w zamku.

Ogarnął ją obezwładniający strach. Wpełzał do mięśni, zakradał się do kości, nakuwał skórę. Zamknęła na moment oczy. Kiedy jej serce wykonało codzienny podskok, mimo woli zadrżała.

Mark podszedł do niej i ustawił się za jej plecami w tej samej pozycji, co zawsze, czyli z rękami założonymi na plecy. Udami prawie muskał jej głowę. Czują bijące od niego fale gorąca. Odezwwał się, jak zwykle, spokojnym, melodyjnym, niemal pieszczotliwym tonem.

– No i? – zapytał.

Próbowała odpowiedzieć. Usta jej zadrżały, przełknęła ślinę. Doświadczenie uczyło, że lepiej wypowiadać się zwięźle, uczciwie i wyraźnie... O wiele lepiej.

– Myślę, że cztery punkty.

– Myślisz, że cztery punkty?

– Tak. – Znowu przełknęła.

– W takim razie mylisz się. Siedem punktów.

– Siedem?

– Prosiłem, żebyś za mną powtarzała? Ktoś ci się kazał odzywać?

Potrząsnęła głową. Nie, nie prosił. Nie patrz i nie odzywaj się.

– Cztery punkty, też coś!

Zaśmiał się, a potem cmoknął, jakby chciał upomnieć niesforne dziecko.

– Teraz wyjaśnię ci, dlaczego siedem punktów.

Odchrząknął, odkasznął i zaczął mówić:

– Po pierwsze, proszę, abyś cofnęła się myślami do dzisiejszego poranka. Kiedy podarowałem ci kwiat, nie podniosłaś na mnie wzroku i nie podziękowałaś. Zamiast tego stałaś z oczami wlepionymi w ziemię niczym zbuntowana nastolatka. Dwa punkty. W zbyt poufały sposób gawędziłaś sobie z dwoma uczniami. Dwa punkty. Kiedy zapytałem, co na kolację, usłyszałem jakiś irytujący, niezdecydowany bełkot „Kurczak, coś tam, coś tam, kurczak”. Jeden punkt. I ostatecznie, mimo bardzo jasnych wytycznych, które ode mnie otrzymałaś, zmusiłaś mnie do opuszczenia zebrania i przypomnienia ci, że pora podać przekąski, które były nie tylko opóźnione, ale przede wszystkim, ostatniej jakości. A to, Kathryn, ośmieszyło nas oboje. Dwa punkty. Co w sumie daje nam...?

– Siedem punktów – odpowiedziała słabo.

– Zgadza się.

Przejechał palcami jej włosy i delikatnie pogładził nasadę jej szyi. Schylił się i pocałował to miejsce. Czują, jak mokry ślad jego pocałunku staje się zimny pod wpływem powietrza.

Mark przeszedł do umieszczonej bezpośrednio przy sypialni łazienki, by wziąć codzienny prysznic. Żonę pozostawił na kłęczkach, by miała czas przemyśleć swoje winy.

Zdrętwiała jej nogi. Całe stopy i palce stóp ogarnęło klucie milionów szpilek i igieł.

Piętnaście minut później z łazienki wyłonił się wilgotny i pachnący cytryną Mark. Wolnym krokiem podszedł do stolika nocnego i wyciągnął przycisk budzika. Gotowe. Następnie wybrał sobie z szafy krawat na jutro – jedwabny, chabrowy w żółte kropki, niezwykle szykowny. Z szuflady wysokiej komody wydobyl spinki do mankietów – oczywiście jedwabne węzélki w stosownych odcieniach błękitu i żółci. Sięgnął po wodę kolońską, Floris No. 89, po czym wtarł nieco za uszy i w podbródek. Następnie odsunął dolną szufladę i wyjął z niej mały, kwadratowy arkusik woskowanego papieru. Rozłożył papier palcem środkowym i kciukiem, a następnie wydobyl z niego błyszczącą, stalową żyletkę. W świetle lampy uważnie przyjrzał się ostrzu.

– Chodź.

Wyciągniętą ręką wskazał łóżko, jakby wydawał psu komendę „do nogi”.

Kathryn chwiejnie stanęła na nogach. Wiedziała, co ma robić. Dobrze знаła kolejność czynności. Wykonała je już przecież ponad sześć i pół tysiąca razy. Sześć i pół tysiąca! Nie do wiary. Nie do pomyślenia, ale to prawda.

Położyła się twarzą w dół pośrodku łóżka z koszulą nocną podwiniętą tuż powyżej pośladków. W tym momencie pytał zawsze: „Wygodnie ci?”, a ona mruczała, że tak lub kiwała głową na kremowej, jedwabnej narzucie. Doświadczenie nauczyło ją, że udzielanie innej odpowiedzi jest bezcelowe.

Kathryn z biegiem lat uznawała zachowanie Marka za „normalne” – o tyle, o ile słowo „normalne” opisuje coś, co powtarza się stale i regularnie, jest rutynowe, przewidywalne, standardowe. Coś, co odbywa się dzień w dzień.

W okaleczaniu żony Mark przestrzegał ścisłej metody i rytmu. Nigdy nie ruszał rany, która jeszcze dobrze się nie zagoiła. Nacinał skórę równymi liniami, oddalonymi od siebie zaledwie o milimetry, zawsze bardzo precyzyjnie, nieco na skos i od zewnątrz do środka. Tylna część ud Kathryn stanowiła więc gęstą sieć kresiek i drózek – w sumie ponad sześć i pół tysiąca – znajdujących się w różnych stadiach gojenia i zrostania.

Zawsze też jednej nocy wykonywał tylko jedno cięcie, pojedynczą kreskę, niezależnie od tego, ile punktów karnych „zdobyła” tego dnia żona. Liczba punktów nie decydowała o liczbie nacięć. Była miarą głębokości.

Mógł przyznać jej od zera do dwunastu punktów. Przez całe małżeństwo Kathryn nigdy nie udało się zakończyć dnia bez żadnego punktu karnego na koncie i nie wierzyła, że kiedykolwiek jej się to uda. Dwanaście punktów oznaczało, że straci przytomność. Wolala to niż znoszenie zadawanego powoli potwornego bólu przy dziewięciu lub dziesięciu punktach.

W makabryczny sposób fascynowało ją, jak to się dzieje, że jeszcze cieknie z niej krew. Gęstą, lepka struzką, noc po nocy. Czy ta krew nigdy się nie skończy? Czy przyjdzie taki dzień, kiedy Mark przetnie jej skórę i nic nie poleci? Jak z wyschniętego źródła – skończonego, zużytego, starego,

w którym więcej nic nie ma.

Nacinanie trwało od kilku sekund do dziesięciu minut. Krew, ciepła i lepka, meandrowała między jej nogami na białą pościel. Tam formowała kałuże przypominające jeziora. W dobry dzień mogło to być jezioro Placid, a w gorszy Genewskie. Kiedy Mark był usatysfakcjonowany torturami, gwałcił ją.

Po zakończeniu nocnego rytuału Kathryn nie wolno było się umyć. W rzeczywistości nie wolno jej było nawet się ruszyć, dopóki mąż nie zasnął. Potem z wykrzywioną z bólu twarzą przesuwiała się na swoją stronę łóżka. Po jakimś czasie – kiedy tylko ból trochę zelżał – nadchodził sen. Czasem płakała gorąco, bezgłośnie w poduszkę, ale przeważnie nie, już nie. Doświadczenie pokazało, że to również jest daremne. Na świecie nie było nikogo, kto mógłby zobaczyć lub usłyszeć jej łzy.



Echo irytującego pikania budzika rozlegało się w całym pokoju. Była szósta. Kathryn niechętnie otworzyła oczy. Mark już nie spał. Stał z boku łóżka i obserwował ją. Wyciągnął rękę i czule ujął jej dłoń, kiedy wciąż zamroczona snem zeslizgiwała się z materaca. Jak zwykle krew zaschła i koszula nocna przylepiła się do ran na udach. Kathryn stała bez ruchu, napięta jak struna, a Mark wolną dłonią chwycił tkaninę i rozprostował ją, wyrrywając z zablizniającej się tkanki. Oprzytomniała natychmiast.

Wziął ją za rękę i poprowadził do łazienki. Patrzyła, jak odkręca kran i puszcza wodę z prysznicza.
– Kathryn, masz dzisiaj dwie minuty.

Z uśmiechem nachylił się ku niej i musnął jej czoło ustami. Zdjęła zakrwawioną koszulę przez głowę i rzuciła ją bezładnie na terakotę. Weszła pod prysznic. Przez parę sekund jej ciało przyzwyczajało się do temperatury, bo Mark ustawiał zwykle za gorącą wodę. Nie było jednak sensu wnosić sprzeciwu. Świeże rany protestowały, piekąc dotkliwie, ale wiedziała, że to tylko pierwsze wrażenie i za chwilę ból będzie do zniesienia.

Zamknęła oczy i pozwoliła wodzie splywać po twarzy i zmywać kolejną noc, ogłaszać nowy, podobny do wszystkich poprzednich dzień. Sięgnęła po butelkę i wycisnęła na rękę plamę szamponu jabłkowego, trochę większą od pięćdziesięciopensówki – dokładnie tak, jak lata temu nauczyła ją mama. Ciekawe, czy teraz, kiedy moneta pięćdziesięciopensowa jest znacznie mniejsza niż dawniej, powinna nakładać więcej szamponu? Kathryn poszukiwała w myślach innych rzeczy, których rozmiar zmniejszył się od czasów jej dzieciństwa. Pomyślała o ciastkach Wagon Wheel, telefonach, czasie

podróży do Kornwalii...

Wmasowała szampon we włosy. Czula, jak płyn zamienia się w pianę. Mark stał po drugiej stronie szklanych drzwi i nie spuszczał jej z oka. Zamknęła oczy i masowała czaszkę, rozkoszując się przyjemnym doznaniem. Nagle woda przestała lecieć. Wzdrygnęła się, zdziwiona. Na rękach i w oczach wciąż miała mydliny.

Mark otworzył drzwi, za którymi stała zdezorientowana, rozczochrana i pokryta słodko pachnącą pianą. Na głowie miała coś, co przypominało nieupieczoną bezę.

– Powiedziałem dwie minuty.

Wiedziała, że protest będzie daremny, nawet gdyby zdobyła się na odwagę. Popełniła bezmyślny błąd: śniła na jawie o głupotach z dzieciństwa. Nie odezwała się ani słowem. Nie chciała, by dzień rozpoczął się od nowych punktów karnych, które niepotrzebnie pogorszą wynik dnia. Drżąc na całym ciele, wyszła z zaparowanej kabiny do chłodniejszej łazienki. Mark okrył ją dużym ręcznikiem. Jego wolnym końcem otarł jej pianę z oczu i twarzy.

– O, proszę – powiedział kojąco. – Już lepiej.

Otępiąła, poszła do sypialni i ubrała się. W tym czasie mąż brał prysznic. Mimo że ręcznikiem próbowała zdjąć z głowy jak najwięcej piany, włosy wciąż się lepily. Przyczyesała je grzebieniem, jak dalece się dało. Patrząc w lustro toaletki, przećwiczyła uśmiech. Czy jej się wydaje, czy rzeczywiście coraz trudniej osiągnąć pożądany efekt?

Jak co rano zwlokła pościel, omijając wzrokiem kalające nieskazitelną biel purpurowe jeziora. W sam środek białiznianej kuli wcisnęła jeszcze swoją koszulę nocną. Jak zwykle nastawi pralkę na najwyższą temperaturę, więc kiedy dzieci się obudzą, niczego nie zauważą. Nigdy niczego nie zauważą.

Kiedy prawie godzinę później Lydia pojawiła się w kuchni, pranie było już gotowe do rozwieszenia, stół nakryty do śniadania, bekon chrupiący, a Kathryn przy zlewie gotowa stawić czoła nadchodzącemu dniu.

O nadejściu córki poinformował ją zgrzyt nóg krzesła o drewnianą podłogę.

– Dzień dobry, Lydi! Coś ci się śniło?

Córka nie odpowiedziała. Głowę położyła na stole, na trójkątnej kołysce z rąk.

– Lydio, pytałam, co ci się śniło?

Kathryn podeszła do niej powoli i odgarnęła jej włosy z ramienia.

– Co? – wrzasnęła Lydia, wrywając z uszu dwie malutkie, białe słuchawki.

– Przepraszam, kochanie. Nie wiedziałam, że słuchasz, pytałam tylko, czy...

– O, mój Boże! Mamo, co zrobiłaś z włosami? Wyglądają koszmarnie! Naprawdę!

Kathryn, nie znajdując właściwej odpowiedzi, postanowiła zignorować komentarz córki.

– Będziesz jadła bekon?

– Czy będę jadła bekon? – zawołała Lydia podniesionym głosem pełnym niedowierzania.

Dlaczego mama zmienia temat? Czy ostatecznie zwariowała?

– Czemu tak wrzeszczycie? – Do wymiany zdań, która już nosiła cechy niemilej, włączył się kolejny niepożądany uczestnik – Dominic.

– Ja nie wrzeszczę – sprostowała Kathryn.

– Jezu Chryste, mam, o co chodzi z tymi włosami? Wyglądasz jak umysłowo chora. Mówię szczerze, jak totalna wariatka! Zrób coś z tym, na Boga. Ktoś z moich znajomych może cię zobaczyć!

– Dominicu, zjesz bekon?

– Czy zjem bekon?

– Wszedłeś, kiedy właśnie o to pytałam.

Lydia wywróciła oczami.

– Mówiłam jej, jak dziwnie wygląda z tym, co ma na głowie, a ona na to: „Będziesz jadła bekon?”. Chyba w końcu ostatecznie sfiksowała albo, jak ostatnio wspominałam, tyle że nikt mnie nie słucha, przechodzi skrajną fazę menopauzy.

– Czy bylibyście oboje tak dobrzy i przestali mówić na mój temat, jakby mnie tu nie było? To naprawdę niegrzeczne i bolesne. Co to ma za znaczenie, jak wyglądają moje włosy? To tylko włosy! A teraz skupmy się na tym, czy ktoś życzy sobie bekonu?

Z niewiadomego powodu wywołało to nieopisaną wesołość jej nastoletnich dzieci, które zaczęły klepać w stół i zaśmiewać się do łez, od czasu do czasu wysapując słowo „bekon”.

– Dzień dobry, rodzinno! Mój Boże, a cóż to za wesołość z samego rana? Coś mnie ominęło?

– Mama... – zdołał wykrztusić z siebie Dominic, po czym osunął się na stół i chichotał dalej.

Mark pieszczotliwie poczochnął długie włosy syna i uśmiechnął się do dzieci.

– No, uspokójcie się, przecież nic nie może być aż tak śmieszne.

– Ale jest – zapiszczała Lydia.

Potrząsnął głową.

– Kathryn, czy jest szansa na trochę bekonu?

Słyszając to, Dominic i Lydia zwinęli się w konwulsjach i pokładali na stole, a ich ojciec nie miał innego wyboru, jak tylko się przyłączyć, śmiech dzieci był wyjątkowo zaraźliwy. Wszyscy troje siedzieli przy stole, zaśmiewając się do rozpuku, dżgając od czasu do czasu łokciami i wskazując na głowę Kathryn. Wszystko to było naprawdę bardzo zabawne.

Kathryn wzięła wiklinowy kosz i wylądowała do niego zawartość pralki. Wzięła kwicistą torebkę z klamerkami w kształcie laleczek i wyszła na dwór rozwiesić bieliznę.

– Dalej, Peggy, pora trochę popracować. – Przesunęła palcem po małej, uśmiechniętej twarzyczce i posadziła ją we właściwym miejscu.

Kiedy rozciągnęła już prześcieradło na sznurku i patrzyła, jak delikatnie wydyma je wiatr,

przyszło jej do głowy jeszcze coś, co od czasów dzieciństwa uległo zmniejszeniu. Mianowicie ona – ona sama. Stawała się coraz mniejsza i mniejsza, coraz mniej i mniej istotna. Była przekonana, że pewnego dnia po prostu zniknie i nikt tego nie zauważy. Zadrzała. Przypięła koszulę nocną obok prześcieradła.

– Dzień dobry, pani Brooker!

– Dzień dobry, pani Bedmaker!

I znów oboje odezwali się jednocześnie, przekonani, że żona dyrektora nie dosłyszy okrutnego przezwiska. Mieli rację. Niczego nie słyszała.

– Dzień dobry, Luca! Dzień dobry, Emily! Jak leci?

– Wszystko dobrze, dziękujemy. Dominic gotowy? – odpowiedział za oboje Luca. Z postawy Emily biło poczucie winy, że przespała się z jej synem i potrzeba ukrycia tego faktu za wszelką cenę.

– Chyba tak. Proszę, wejdźcie. Śniadanie na stole, jeśli jesteście głodni. – Uśmiechnęła się do nich.

„Pani Bedmaker, pani Bedmaker, pani Bedmaker...” – słowa przezwiska brzmiały jej w głowie. Niema drwina.

Najwyraźniej dzieciakom za bardzo się spieszyło, by wstępować na śniadanie, bo już po minucie cała czwórka wyległa przed dom i ruszyła na poranne lekcje.

– Do zobaczenia! – krzyknął Dom przez ramię. Lydia znów miała słuchawki w uszach i była obojętna na to, co się dzieje z resztą planety.

– Pa, kochanie! Miłego dnia!

Kathryn nienawidziła fałszywie pogodnego tonu własnego głosu. Nie znosiła własnego uśmiechu, którym – jakże nieostojnie – przysłaniała swe ciche cierpienie. Patrzyła, jak dzieci znikają za żywoplotem. Parę sekund później usłyszała wybuch śmiechu. Instynktownie wiedziała, że śmieją się z niej lub z jej włosów, wszystko jedno. Bolało tak samo.

Kiedy weszła do kuchni, Mark odsuwał właśnie talerz po śniadaniu na środek stołu, by żona mogła go uprzątnąć.

– Kathryn...

Zawsze zaczynał rozmowę od jej imienia. Dzięki temu mógł być pewny, że jest skoncentrowana wyłącznie na nim i nie przeoczy żadnego szczegółu jego wypowiedzi.

– Kathryn, chciałbym zjeść na kolację rybę.

– Rybę. Dobrze, oczywiście.

– Dobrze.

Wstał od stołu i obciągnął zakończone spinkami podwójne mankiety tak, by odpowiednio wystawały spod rękawów marynarki.

– Nie wiem, czy już coś słyszałaś, ale ja – a co za tym idzie, cała szkoła – mam otrzymać wyróżnienie. Z pewnego źródła słyszałem, że kapituła nagrody „Doskonałość w edukacji” przyznała mi tytuł Dyrektora Roku. Co o tym sądzisz?

Mrugnęła ciężko powiekami. No mów, mów, powiedz coś miłego.

– To wspaniale, znakomite osiągnięcie – wydusiła w końcu. Bardzo się starała, by nie zabrzmiało to w sposób wymuszony czy mechaniczny.

– Masz rację. To wspaniale, to znakomite osiągnięcie. Wiesz, dlaczego otrzymuję to wyróżnienie, prawda?

– Nie, no tak, tak naprawdę to nie... – zająknęła się, niepewna, jakiej odpowiedzi oczekuje.

– Nie obawiaj się, Kathryn, powiem ci, dlaczego. Ponieważ jestem po prostu wybitny. Więc dlaczego ją otrzymuję?

– Ponieważ jesteś po prostu wybitny, Mark.

– Bardzo miło to słyszeć, droga żono.

Przyciągnął ją do siebie za ramiona i mocno pocałował w usta. W tej samej chwili kuchenne drzwi otworzyły się i stanęła w nich Judith.

– To tylko ja-a!

Widząc, że najwyraźniej przybywa w niestosownym momencie, asystentka poczuła, jak jej pulchną szyję i dekolt oblewa szkarłatny rumieniec wstydu.

– Och, panie dyrektorze! Kathryn! Ogromnie przepraszam, że przeszkadzam! Bez wątpienia przybywam w nieodpowiedniej chwili.

Była jednocześnie zażenowana, zazdrosna i zaintrygowana.

– Nic się nie stało. Moja droga żona właśnie mi powiedziała, że jestem wybitny.

Judith poprawiła sobie okulary, podsuwając je na nos.

– Och, ale przecież to prawda, panie dyrektorze, jest pan po prostu wybitny.

Z otwartymi ustami gapiała się na Marka, jakby zapomniała, że Kathryn w ogóle istnieje.

Kathryn wyobrażała sobie jej niewybredne, lubieżne myśli.

– Bardzo miło mi to słyszeć, Judith. Przyszłaś, żeby mnie odprowadzić do biura?

– Cóż, i tak, i nie! To znaczy, oczywiście pana odprowadzę, ale chciałam też przypomnieć o poczęstunku na dzień wręczania nagród i o markizie – musimy się przygotować na ewentualne opady!

– Ach, tak, rzecz jasna, musimy. A już liczyłem na beztróską przechadzkę do biura. Trudno. Niektórzy nie odpoczywają, tak to się mówi, prawda?

Odrzucił się i mrugnął do żony, po czym w towarzystwie sekretarki wyszedł z kuchni. Nie pofatygowali się, by zamknąć za sobą drzwi. Rzeczywiście, niektórzy nie odpoczywają.

Kathryn ładowała zmywarkę i uśmiechała się do siebie. Wizyty Judith zawsze przypominały jej

o Natashy i o tym, jak bardzo za nią tęskni. Natasha, wchodząc do jej kuchni, zawsze przedrzeźniała Judith. Krzyczała z przesadzoną intonacją: „To tylko ja-a!”, na co Kathryn wybuchala śmiechem. Wróciła myślami do pewnego bardzo deszczowego wtorku, kiedy to gadały w sklepiku szkolnym. Natasha kupowała ołówki, a Kathryn wieszala ogłoszenie o imprezie, z której dochód miał być przeznaczony na wyjazd reprezentacji szkoły w rugby do Afryki Południowej.

Natasha odwróciła się do przyjaciółki i spytała:

– Nie widzisz dziś we mnie nic szczególnego?

Kathryn obejrzała ją dokładnie od stóp do głów. Pasiaste rajstopy, rozszerzana minispódniczka i bladoróżowy, rozpinany sweterek.

– Nie, nie za bardzo. A powinnam?

– Tak! Unoszę się pięć centymetrów nad ziemią, a miłość po prostu ze mnie bije. Właściwie nie miłość, a pożądanie, ale przy moim cynicznym podejściu to to samo.

Kathryn poczuła, że jej policzki oblewają się rumieńcem. Celowo unikała rozmów na ten temat. Za wszelką cenę starała się, by nie padło żadne pytanie o stan jej życia uczuciowego, zwłaszcza ze strony Natashy. Jeśli chodzi o ten temat, czuła się trochę skrupowana i zdecydowanie nie w swoim żywiole.

– O! Ktoś, kogo znam? – Modliła się, by nie była to osoba, którą znała. Nie chciała, żeby w jej wyobraźni powstały groźne obrazy.

– A wiesz, że może tak? Znasz Jacoba Whittingtona z szóstej klasy?

– Tak, ładny chłopiec, chce studiować w Oksfordzie albo Cambridge... – Kate nie wiedziała, dokąd zmierza ta rozmowa.

– Więc jeśli według ciebie chłopak jest ładny, to powinnas zobaczyć jego ojca! Ten dopiero jest przystojny! Poważnie, prawdziwe ciacho! Do tego chirurg, rozwiedziony i bzyka się ze mną. No powiedz, czy nie jestem szczęściarą?

Kathryn gapiała się na koleżankę i czuła, jak opada jej szczęka. Całkiem dosłownie.

– Serio? Pan Whittington?

– Tak, serio, pan Whittington, a raczej Max dla tych, którzy widzą go z gołym tyłkiem i którym robi herbatę o trzeciej nad ranem! Boże, Kate, nie patrz tak na mnie. No dosłownie, masz w oczach taką zgrozę, jakbym popełniła jakieś przestępstwo. Czemu tak patrzysz? Dlatego, że pochodzi z innej sfery? Oczywiście masz rację, pochodzi, zdają też sobie sprawę, że nauczycielom nie wolno spoufalać się z rodzicami uczniów, ale jest naprawdę smakowity, a ja nie mogę mu się oprzeć. Prawdę mówiąc, nawet się nie staram. Gwarantuję, że młody Jacob dostanie na koniec roku to swoje A, o które tak zapalczywie walczy, jeśli to ma oznaczać, że jego tatuś będzie się nadal ze mną spotykał. Kate, no powiedz coś, cokolwiek...

– Więc nie jesteś lesbijką? – wypaliła Kathryn.

Pytanie zbiło Natashę z tropu. Zabrakło jej słów, ale nie na długo, bo za chwilę parsknęła śmiechem – głośnym, nietłumionym, z głową odrzuconą do tyłu.

– Nie jestem kim, przepraszam?

– Lesbijką – powtórzyła Kathryn, skrępowana samym faktem, że wypowiada to słowo na terenie szkoły.

– Lesbijką? O Boże! Co cię skłoniło, żeby tak sądzić? To, że mam krótkie włosy i chodzę w męskich butach?

– Nie! Nie, Natasha, nie. To tylko Mark powiedział.

– No tak, można było się tego spodziewać. Mark nie rozpoznałby lesbijki, nawet gdyby podeszła i ugryzła go w tyłek! On kocha segregować ludzi według tych swoich wstrętnych stereotypów. Brrr, co za człowiek. Nie obchodzi mnie, co o mnie myśli, ale swoimi złośliwymi plotkami i przezwiskami mógłby narobić sporo szkody.

Nagle przerwała, bo zdała sobie sprawę, że mówi nie tylko do nowej koleżanki, ale i do żony Marka.

– Przepraszam, Kate, nie chciałam nikogo urazić, ale wiesz, co mam na myśli.

– Nie uraziłaś i to ja przepraszam. Nie powinnam była brać pod uwagę jego domysłów, tylko kierować się własnym zdaniem. A już czułam się taka nowoczesna – miałam pierwszą koleżankę lesbijkę.

– Ach, kochana, ależ cię rozczarowałam, co? Przepraszam, jeśli jesteś zawiedziona z powodu mojej nudnej heteroseksualnej orientacji. Jestem dewiantką i sypiam z mężczyznami.

Roześmiały się zgodnie i wyszły, trzymając się pod ręce. Pracownicy sklepu odprowadzili je wzorkiem, nikt jednak nie skomentował faktu, że Natasha figlarnie złapała Kathryn za pośladek, kiedy już miały zniknąć za rogiem budynku.

– No, Kate, jeśli mają gadać, to musimy dać im jakiś powód.

Kate podskoczyła i zadrżała, nie ze zgorzienia wybrykiem koleżanki, ani nawet nie z obawy, że pojawiają się na jej temat krępujące plotki, ale dlatego, że Natasha nieumyślnie uraziła jej gojącą się ranę, która teraz otworzyła się i zaczęła krwawić.



Kathryn uśmiechnęła się na wspomnienie tamtego zajścia. Zamknęła zmywarkę i skupiła uwagę na czekających ją zadaniach dnia. Wtorek, wtorek... Pomyśl, co robisz we wtorki? Miała całe lata,

by zapamiętać tygodniowy rozkład obowiązków, a mimo to wciąż zapominała. Trudno uwierzyć. To musi być kwestia wieku. No, wreszcie jej się przypomniało. Wtorek. Zdjąć wszystkie podręczniki z półek nad biurkiem Marka, odkurzyć zarówno półki, jak i książki, każdą oddzielnie i ustawić z powrotem na miejsce w identycznym porządku. Zwlec pościel dzieci, uprać ją i uprasować. Wypielić grządkę przy drzwiach kuchennych. Umyć łazienki: rodzinną i tę przy sypialni, tak by wanny, krany, umywalki i toalety lśniły i pachniały. Wreszcie nawoskować i wypolerować parkiet w holu. Po wypełnieniu wszystkich zadań będzie mogła pojechać do sklepu po osiem filetów z lososia i odpowiednie warzywa. Cóż, dzień jak co dzień, pełen pracy.



Kathryn włączyła czajnik. Filety z lososia, posypane ziołami, przyjemnie się rumieniły, a związane w pęczek szparagi i cukinie gotowały na parze. Miała dziesięć minut, by doprowadzić się do porządku. Spomiędzy dwóch książek kucharskich wyciągnęła cienką książeczkę. Wiedziała, że nikomu nie przysłoby do głowy tam jej szukać. Otworzyła *Tales from Malgudi* R.K. Narayana.

„Kiedy Rao został uznany za najstarszego mieszkańca miasteczka, jego wiek szacowano na dziewięćdziesiąt pięć, sto pięć lat. On sam, dawno temu, stracił rachubę i nienawidził kolejnych rocznic swych urodzin, zwłaszcza po osiemdziesiątej, kiedy to ze wszech stron zjechali się krewni i zmusili go, by wziął udział w wyszukanych rytuałach, odbywających się z udziałem fujarek i bębnow, robiąc z jego wieku publiczne widowisko. Religijna strona tych obrzędów była tak wyczerpująca, że przez następnych piętnaście dni leżał złożony gorączką”.

Urywane fragmenty książek, które ukradkiem podczytywała w ciągu paru wolnych minut, przenosiły ją do innego świata, otwierały drogę ucieczki. Z powodu ograniczeń czasowych nie była w stanie jednorazowo przeczytać więcej niż osiemdziesiąt słów, ale nawet to było zbawienne. Przez następnych parę godzin jej myśli krążyły wokół przeczytanego fragmentu. Ile lat miał Rao? Gdzie mieszkał? W jakich okolicznościach i w jakim wieku umarł?

Kathryn wzięła kubek z herbatą i poszła na górę. Usiadła przed toaletką z trójskrzydłowym lustrem, ustawionym tak, by widziała się z każdej strony. Nie było przed tym ucieczki.

Oparła palec na chłodnej, szklanej tafli i powiodła nim po konturach swego odbicia. Nos, oczy, usta. Przyglądała się twarzy, którą przed sobą widziała. Była to twarz smutnej, uwięzionej w lustrze kobiety, która musi ćwiczyć uśmiech. Kathryn nie wiedziała, która z nich była prawdziwa: ta płaska i chłodna, wyzierająca z lustra, czy zdumiona, samotna maska, zza której przygląda się światu? Cofając rękę, uświadomiła sobie, że to bez znaczenia. Kobieta z lustra, ta o płaskich rysach i pustym spojrzeniu, i ta, spoglądająca zza zasłony półprzymkniętych powiek, to jedna i ta sama osoba.

W takich chwilach Kathryn czuła, że żyje na pograniczu szaleństwa. Doszła jednak do wniosku, że dopóki zdaje sobie z tego sprawę, jest jeszcze dla niej nadzieja.

Przejechała lepkie włosy i wpięła w nie z boku klamrę, by odciągnąć uwagę od ich niecodziennego wyglądu. Co powiedział rano Dominic? „Wyglądasz jak totalna wariatka”. Człowieka boli każda niemila uwaga pod jego adresem, ale ta pochodząca od kochanej osoby boli podwójnie.

Nalozyla na policzki nieco rózu i spryskała dekolt perfumami. Jak zwykle w uszach zadźwięczała jej piosenka. Jej słowa krążyły w niej, aż wreszcie pozwoliła im zabrzmieć w pełni:

Bo żona musi być też kochanką

Więc kiedy tylko stanie w drzwiach, biegnij do niego.

Ostrzegam cię^[12].

[10] Postać z *Olivera Twiasta* Dickensa (przyp. tłum.).

[11] Przeł. Anna Bidwell.

[12] Jack Jones, *Wifes and Lovers*.

Rozdział 6

Cztery lata wcześniej

Dom na kornwalijskim klifie można by spokojnie opisać jako zbudowany w sposób nieprzemyślany. Wzniesiono go na początku dwudziestego wieku, kiedy nie narzekano na brak pozyskiwanych lokalnie materiałów budowlanych. Był wspólnym dziełem ekstrawaganckiego, kapryśnego architekta z upodobaniem do stylu Nowej Anglii oraz bogatego przedsiębiorcy, który pragnął rezydencji na skalę swojej pozycji społecznej. Rezultatem były korytarze prowadzące donikąd, trzy gotyckie wieżyczki oraz niezliczone kościelne okna, skąpo oświetlające niewielkie kwadratowe pokoje. Wzdłuż frontowej ściany budynku biegł drewniany taras ze skośnym dachem, wsparty na potężnych słupach. Nadawał on całości charakteru typowego dla New Hampshire.

Honorowe miejsce tuż przy wejściu zajmowała drewniana huśtawka mogąca pomieścić dwoje dorosłych, pozostających w bliskiej zażyłości. Zawieszono ją na długiej linie po lewej stronie od drzwi. Dzięki wygodnym poduchom w paski stawała się idealnym miejscem na spędzenie ciepłego, letniego wieczoru. Kate wyobraziła sobie, jak siedzi na niej z kieliszkiem wina i palcami stóp odpycha się delikatnie od podłogi. Siedząc na tej huśtawce, mogłaby wracać myślami do gorących, karaibskich nocy, szumu fal i grania cykad, czyli dowodów na to, że była w raj. Brakowałoby jej tylko kojącego głosu pewnego wielebnego, któremu z ochotą by uległa.

Przednia ściana domu była do połowy obłożona deskami. Jednym z pierwszych czekających Kate

zadań będzie renowacja elementów drewnianych i pomalowanie ich na bładniebiesko. Dzięki temu Prospect House idealnie wtopi się w krajobraz – błękit nieba i morza.

Na biurku w jej gabinecie zadzwonił telefon. Słuchawka leżała na stosie mniej lub bardziej pilnych papierów, które czekały na przejrzenie. Kate nie zdawała sobie sprawy, że od spełnienia marzeń dzielić ją będzie tyle przeszkód natury administracyjnej. Doszła do wniosku, że sprawa naprawdę istotna sama da o sobie znać, wypłynie na wierzch – trochę jak śmietana na powierzchni mleka.

– Prospect House, słucham.

Wciąż czuła dreszczyk emocji, kiedy wypowiadała tę nazwę na głos. Trzymała słuchawkę między przechyloną na bok głową a uniesionym ramieniem.

Kochała miejsce, w którym mieszkała. Kiedy pięć miesięcy wcześniej siedziała w zaparkowanym w portowej uliczce samochodzie, a przez opuszczoną szybę wpadał bezlitosny kornwalijski wiatr, do obejrzenia tej posiadłości nakłoniła ją właśnie nazwa. Patrzyła na port i myślała, jak to jej się czasem zdarzało, o Simonie. Ciekawa była dalszych losów jego misji. Niewiele jej było trzeba, aby przenieść się w duszy na Karaiby, do ośrodka dla dzieci i do ojca Dubois.

W jej dłoni zaszeleściły materiały, które dostała od agenta nieruchomości. Przejrzała już kilka folderów, ten był trzeci czy czwarty. Ujrawszy nazwę, z początku nie uwierzyła. Zerknęła jeszcze raz. Dom natychmiast objął prowadzenie w rankingu, wysuwając się przed posiadłości o nazwach: Jasmine Cottage^[13] czy The Lodge^[14].

Tętno jej przyspieszyło.

– Niemożliwe! – szepnęła.

Ale nazwa widniała czarno na białym: Prospect House. Dom był na sprzedaż, a cena cudownie i ekscytująco przystępna.

Dzień okazał się doniosły. Po pierwsze, posiadłość idealnie wpisywała się w wizję, którą Kate od dawna pielęgnowała w głowie. Po drugie, natychmiast uświadomiła sobie, że nie kupuje zwykłej działki. Penmarin mogło bowiem stać się jej prawdziwym domem.

Prospect House zawdzięczał swą nazwę niesamowitemu widokowi, jaki roztaczał się z wierzchołka klifu, na którym był posadowiony. Dla Kate bardziej liczyło się jednak symboliczne znaczenie tej nazwy. Według słownika „perspektywa” to „możliwość, że coś wkrótce się wydarzy, szansa lub prawdopodobieństwo, że stanie się to w bliskiej przyszłości, zwłaszcza jeśli chodzi o wydarzenie pożądane”.

Definicją tą dzieliła się ze wszystkimi nowymi mieszkańcami domostwa w nadziei, że uwierzą w czekającą ich lepszą przyszłość. Bo w Prospect House najważniejsza była nadzieja.

Kate próbowała skupić się na głosie w słuchawce. Równocześnie postukiwała długopisem w stos papierów, licząc, że osunie się wreszcie do kosza. Niestety, tak się nie stało.

Robotnicy rozpoczęli wiercenie w starej stajni. Kate zatkała ucho, by odizolować się od hałasu. Pracownicy będą zakwaterowani w specjalnie przystosowanych do tego budynkach na uboczu, po drugiej stronie podwórza – wystarczająco daleko, by dziewczęta czuły się swobodnie, a równocześnie na tyle blisko, by móc w ciągu paru sekund pojawić się na miejscu. Jak na razie nikogo jeszcze nie zatrudniła. Nie do końca wiedziała, jak znaleźć dokładnie takich ludzi, na jakich jej zależało. Był to kolejny punkt do odhaczenia na liście spraw do załatwienia, która wydłużała się z dnia na dzień.

Skupiła się znowu na słowach rozmówcy:

– Tak, oczywiście rozumiem. Wymogi spełniliśmy w stu procentach: drzwi przeciwpożarowe, wyjścia ewakuacyjne i tak dalej. Prace wykonaliśmy zgodnie z zaleceniami Kornwalijskiej Straży Pożarnej, zostały też odebrane przez stosowną komisję... Certyfikat? – Kate przejrzała stos papierzysek – gdzieś tam musiał być. – Tak, mam go przed sobą! – skłamała. – Jak najszybciej wyśle pocztą!

Dopisała to do listy i odłożyła słuchawkę.

– Muszę zaczerpnąć powietrza! – krzyknęła do pustego domu, wnosząc ręce.



To był jeden z pierwszych prawdziwie letnich dni. Kate smakowała życie na wybrzeżu, które codziennie dostarczało jej nowych przygód i odkryć. Stała na poczie, słońce przygrzewało przez szybę, a ona przyglądała się słoikom z przetworami domowymi wystawionymi na sprzedaż. Zastanawiała się, czy bardzo niedyplomatycznie byłoby zapytać, czyjej są roboty; wiedząc to, mogłaby zaopatrzyć się w nie bezpośrednio u producenta i tym sposobem trochę zaoszczędzić. Posiłki, w miarę możliwości, chciała przygotowywać ze zdrowych, ekologicznych produktów. Jednym z założeń Prospect House było to, by życie podopiecznych uległo w nim całkowitej przemianie, by w maksymalny sposób różniło się od ich dawnej egzystencji. Kate mogła się założyć, że podstawę ich dotychczasowego wyżywienia stanowiły potrawy gotowe lub przygotowywane z półproduktów. Sama szczerze nienawidziła plastikowych tacek, na których podawano posiłki w więzieniu. Jedno wgłębienie na deser, drugie na obiad – wystarczyło niechący przechylić tackę, by dania zmieszały się, tworząc coś, co można porównać do zawartości dziecięcego slińniaczka. Obrzydliwe.

– To pani kupiła ten duży dom na klifie.

Nie było to pytanie, więc nie odpowiedziała. Popatrzyła tylko na dość młodego człowieka, który

stał na prawo od niej, trzymając w ręku torebkę cukierków czekoladowych i małe wiaderko z gotowym daniem do zalania wrzątkiem. Oceniała go na jakieś trzydzieści lat. Patrząc na jego bardzo opaloną, zniszczoną od wiatru i słońca skórę, stwierdziła, że wychował się i całe życie pracował głównie na dworze.

– Nie jesteśmy zadowoleni z pani planów.

To również nie zasługiwało na odpowiedź, więc milczała dalej. Zacerwienił się lekko pod jej badawczym spojrzeniem, lecz nie skłoniło go to do zaniechania dalszych wypowiedzi.

– Powiedziałem, że nie...

– Tak, tak, słyszałam, co pan mówił. Zanim jednak odpowiem, chciałabym zrozumieć dwie rzeczy. Po pierwsze, kogo ma pan na myśli, mówiąc „my”, a po drugie, co pan lub ktokolwiek inny wie na temat moich planów?

Przestąpił z nogi na nogę. Kate zauważyła, że jedną z nich miał znacznie krótszą. Różnicę wyrównywała gruba podeszwa topornego buta.

– „My” to znaczy cała wioska, całe Permmarin.

Otworzyła szeroko oczy. W geście udawanego szoku podniosła rękę do kameliowej broszki wpiętej w bluzkę przy szyi.

– Naprawdę? Cała wioska? Mój Boże, odkąd tu przyjechałam, rozmawiałam może z czterema osobami, a tu nagle cała wioska jest ze mnie niezadowolona? Coś niesamowitego.

– Nie chodzi o panią osobiście, tylko o to, co pani zamierza urządzić tam, na górze. No, że chce tu pani sprowadzić wszelkiego rodzaju element. Większość z nas mieszka tu całe życie, są osoby starsze, są dzieci...

– A dokładnie, gdzie się na mój temat publicznie dyskutuje?

– Słucham?

Kate poprawiła koszyk na rękę i powtórzyła pytanie.

– Gdzie, w którym miejscu wszyscy rozmawiają o mnie, o moich planach zdegenerowania wioski, zdeprawowania dzieci i zniszczenia waszej społeczności?

Wystarczyło, że posłuchała, jak się nerwowo jąkał, by wszystko stało się jasne.

– No... Głównie w pubie...

Patrzył w ziemię. Czyżby zdradził tajemnicę?

– Świetnie! W takim razie może pan wszystkim przekazać, że będę w pubie dziś o wpół do ósmej wieczorem. Podzielę się swoimi planami i z przyjemnością odpowiem na wszystkie pytania. A tak przy okazji, jestem Kate.

Wyciągnęła do niego rękę. Ucisnął ją i odpowiedział:

– Tom. Tom Heath.

– Miło było cię poznać, Tom. W takim razie do zobaczenia wieczorem.

Mówiąc to, minęła go szybko, przechodząc także obok urzędniczkę, która z otwartymi ustami przysłuchiwała się ich rozmowie. Nagle straciła ochotę na domowe przetwory.

Dwie mile do domu pokonała pieszo. Kręta, prowadząca stromo pod górę droga nie stanowiła dla niej wyzwania: Kate miała przed sobą misję. Mimo silnego samozaparcia po policzkach popłynęły jej gorące łzy. Dlaczego dosłownie o wszystko trzeba walczyć? Ciepły, przesycony solą delikatny wiatr bardziej ją drażnił, niż uspokajał. Nie zważając na dobrostan wschodzącej trybuli i młodego wyżpinu, kopała przydrożne rośliny tak, że ich urwane główki toczyły się po wypalonym słońcem asfalcie. Zatrzasnęła za sobą drzwi, cisnęła koszyk na środek kuchni i wydała gardłowy okrzyk:

– Wrrrrrr!

– Lepiej sobie poklnij, to daje więcej satysfakcji! – odezwał się głos zza barku.

Kate roześmiała się, ale nie skorzystała z porady.

– Nie wiedziałam, że już jesteś. Jak było w Truro?

– Dobrze, dzięki, ale nie zmieniaj tematu. Wiesz, Kate, że siarczyste przekleństwo może pełnić funkcję terapeutyczną? Czy zdajesz sobie sprawę, że przez te wszystkie lata, kiedy się znamy, nigdy nie słyszałam, żebyś sobie dobrze, zdrowo zakłęła? No, oczywiście oprócz zwykłego cholerowania i paru gównien, które się zupełnie nie liczą. Szczerze, myślę, że czasem bardzo by ci ulżyło. Ja tam kocham sobie porządnie zakląć, zwłaszcza w samochodzie i mówię ci, to jest właśnie odpowiedni moment. Dalej, Kate, powtórz za mną: kur...

– Nie, raczej nie. – Kate podniosła rękę i przerwała przyjaciółce.

– Nigdy nie miałam nawyku przeklinania i nie zamierzam go nabierać w wieku pięćdziesięciu paru lat!

– Ejże, nie bądź taka grzeczna.

– Taka jestem, i już!

– No dobra, mów, co się stało? Dlaczego zbiera ci się na prawie-przekleństwa?

Kate podniosła wzrok na siedzącą okragiem na wysokim stolku przyjaciółkę i westchnęła.

– Och, Natasho. Miałam parszywy dzień. Wszyscy domagają się certyfikatów, polis ubezpieczeniowych i Bóg wie czego jeszcze przed oficjalnym otwarciem. Jakby tego było mało, obawiam się, że sytuacja robi się raczej nieciekawa.

– Uuu, to brzmi dramatycznie. Mów!

Natasha odłożyła pędzel do wody i zamieszała nim, wzbudzając intensywnie niebieskie wiry. Zebrała w garść obfitą spódnice i całkowicie skupiła się na słowach Kate.

– Wpadłam dziś na pocztę na młodego faceta, który mi powiedział, że miejscowi nie są zadowoleni z tego, co tu robimy.

– O Boże, ratunku! Wydało się! Że piłyśmy chablis, jadłyśmy chipsy i do rana oglądałyśmy

Mamma mia! Co za wstyd! Do wszystkiego się przyznaję. Mam słabość do Pierce'a Brosnana!

– Natasho, to poważna sprawa. Co gorsza, zgodziłam się dziś wieczór iść do pubu i stawić czoła miejscowym, odpowiadając na ich pytania i rozwiewając wątpliwości. Nie wiem, dlaczego to zrobiłam. Byłam taka wściekła! Czułam się o wiele odważniejsza niż teraz.

– Wiesz co, to jest świetny pomysł. Powinnyśmy odkryć karty, a nie czać się tu na górze, jakbyśmy skrywały jakąś mroczną tajemnicę. Musimy poznać miejscowych, później wszystko się ułoży. Myślę pewnie, że jesteśmy parą lesbijek, mieszkamy tu w samotni i wiemy błogie, ale rozpustne życie!

– Boże, Natasha, tylko nie zaczynaj znów z tymi lesbijkami!

Roześmiały się obie.



Wieczór nadszedł bardzo szybko. Kate cicho zamknęła za sobą drzwi i poczuła, jak ogarnia ją podenerwowanie. Następnym razem, kiedy przestąpi ten próg, będzie już zadeklarowanym wrogiem lub przyjacielem lokalnej społeczności. Co za urocza myśl.

Niespiesznie schodziły ze wzgórza, ogrzewane gasnącym ciepłem dnia. Kate z uwagą wybrała strój – dopasowane dzinsy i kwiecistą koszulę – zrobiła też ledwie dostrzegalny makijaż. Po dwudziestu latach ścisłych ograniczeń odzieżowych narzuconych przez Marka, dzinsy wciąż były dla niej nowością i sporą atrakcją. Wątpiła, czy kiedykolwiek zdoła się nimi nacieszyć. W mokasynach i lekkim swetrze narzuconym na ramiona przypominała ni to miejscową, ni to urlopowiczkę z jachtu.

Natasha, w prostej, luźnej turkusowej sukience, lapisowym naszyjniku i bransoletce wyglądała oślniewająco. Dla niej nie istniało pojęcie stonowanego ubioru. Kate nie spodziewała się, że kiedykolwiek zobaczy ją ubraną skromnie.

– Będzie dobrze, Kate. W końcu co takiego mogą nam zrobić? Wygnać nas stąd?

Kate uśmiechnęła się słabo i odpowiedziała, że tak, dokładnie to mogą zrobić.

Pub [Lobster Pot](#)^[15] jaśniał na tle krajobrazu. Na ciemny asfalt parkingu i okalający go trawnik padała żółta poświata z okien. Blask ten, jak również obiecujący urok wnętrza pubu, wabiły ciekawskich i awanturnych nastolatków. Kate od razu skojarzyła to miejsce z karczmą Admiral Benbow z *Wyspy skarbów*. Tego wieczoru zresztą kryło w sobie podobne zagrożenie.

Weszły do środka. Powitało je co najmniej czterdzieści par oczu oraz gęsta atmosfera milczenia. Pub wypełniony był po brzegi mieszkańcami wioski w różnym wieku. Odlizane w dzinsy tyłki

usadowiły się na wysokich stołkach. Kobiety przycupnęły na kolanach swych mężczyzn. Powietrze było ciężkie od potu i oparów wydychanego alkoholu. Okna zaparowały. Atmosfera pulsowała pełnym napięciem oczekiwaniem czterdziestu dusz, których myśli i języki cały czas podsycalo lokalnie warzone ciemne piwo.

Kate przez ułamek sekundy zawahała się w drzwiach. Walczyć czy dezertować? Nie wiedziała. Z chwilowego zamroczenia wyrwał ją czyjś donośny głos.

– A, proszę bardzo, oto i nasz gość honorowy!

Z tłumu wystąpił potężny mężczyzna po pięćdziesiątce. W ręku trzymał szklanę whisky tak szczerze napełnioną, że rozkołysany bursztynowy płyn groził rozlaniem. Miał na sobie sztruksy w kolorze musztardy, koszulę w kratę, a włosy miękko opadały mu na czoło. Kate i Natasha rozpoznały w nim zamożnego właściciela portowej restauracji – swego rodzaju miejscową grubą rybę, udziałowca prawie każdego lokalnego biznesu, w tym także pubu. Najdobitniejszy dowód jego statusu, biały, błyszczący jacht, kołysał się w porcie obok odrapanych łodzi rybackich.

Obie kobiety widziały go już przedtem przynajmniej dwukrotnie. Należał do mężczyzn, dla których starzenie się stanowiło nie tylko poważny problem, ale i przedmiot szczególnej troski. Świadczyły o tym licówki na zębach i włosy farbowane regularnie, by nie błysnęła w nich żadna srebrna nitka. Na ręce, pokryte plamami wątrobowymi, mięsiste, nabrzmiałe i z miesiąca na miesiąc coraz mniej zręczne, nie znalazł jednak sposobu. Ubrał się tak jak dawniej, nie zważając ani na rosnący brzuch, ani na zanikającą w okolicach kołnierzyka szyję. Dwadzieścia czy trzydzieści lat wcześniej, starannie wystylizowany na wiejskiego dżentelmena, mógł być nawet na swój sposób atrakcyjny, jednak lata świetności dawno miał już za sobą. Kate i Natasha podśmiewały się z niego, żartując, że gdyby ktoś ocenił je podobnie, byłyby zdruzgotane.

Mężczyzna wyciągnął pulchną dłoń. Kate potrząsnęła nią zdecydowanie, zwracając przy tym uwagę na ciężki, złoty sygnet na jego małym palcu.

– Rodney Morris. Miło mi – zagrzmiał, jak przystało na człowieka, który chce zostać usłyszany.

– Kathryn Br... Gavier, jestem Kate Gavier.

Cholera! Nie wiedziała, czemu tak się dzieje, ale za każdym razem, kiedy zjadały ją nerwy, przedstawiała się nazwiskiem męża. W stresujących sytuacjach wciąż ogarniał ją stan paniki i przerażenia – ten sam, który nieustannie krępował ją za czasów małżeństwa. Siły kierujące jej umysłem w takich chwilach uparcie obsadzały ją z powrotem w roli Kathryn Brooker, torturowanej żony.

– A więc, Kate, zostałem wybrany na nieoficjalnego przewodniczącego tego zgromadzenia. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, spróbuję nadać naszym obradom coś na kształt porządku.

Kate słufiała nerwowo chichot; domyślała się, że Rodney Morris nie tyle został wybrany, ile z własnej inicjatywy objął funkcję przewodniczącego, która gwarantowała mu miejsce w centrum

uwagi.

Cała ta farsa była nawet zabawna. Zbieranina miejscowych, poczynając od agenta nieruchomości, który pośredniczył w zakupie jej domu, a kończąc na mleczarzu, dostarczającym co rano mleko pod jej drzwi, przybyła tu, by wyrokować o jej przyszłości. Co im się, do diabła, wydawało? W jakiej roli się stawiali? Kate nieoczekiwanie poczuła przyływ siły i pewności siebie. Przez ostatnie lata przychodziło jej stawiać czoła przeciwnościom znacznie gorszym niż ta różnobarwna gromada, dlatego więc teraz miałyby się poddać już przy pierwszej przeszkodzie? Nie podda się. Wkroczyła na środek pomieszczenia i całkowicie opanowana przejęła kontrolę nad sytuacją.

– Znakomicie. Bardzo się cieszę, że w końcu mogę pana poznać, Rodney, a także wszystkich, z którymi przez ostatnie tygodnie krzyżowały się moje ścieżki. A oto moja przyjaciółka i współpracowniczka Natasha Mortensen.

Natasha pomachała, patrząc w oczy wszystkim, którzy nie odwrócili wzroku.

– Wspaniale, że zjawilo się dziś tylu naszych nowych sąsiadów. Bardzo się cieszę, że będę miała okazję opowiedzieć państwu o naszym przedsięwzięciu. Sądzę, że najlepiej będzie, jeśli najpierw w skrócie wyjaśnię, co takiego zamierzamy urządzić w Prospect House, a potem odpowiem na pytania. Co państwo o tym sądzą?

Rozległo się kilka głośnych, niezrozumiałych pomruków, ale udało się spośród nich wyróżnić kilka wyrażających zgodę: „Tak”, „Dobrze”, „Słuchamy, słuchamy”.

Rodney Morris skinął głową i przekreślił sygnet na tłustym palcu, przeczuwając, że rola nieoficjalnego przewodniczącego najprawdopodobniej została mu odebrana. Przyjął to zresztą bezgłośnie, wycofując się o parę kroków.

Kate stanęła twarzą w twarz z tłumem. Ludzie, zatrzymawszy szklanki w pół drogi, milczeli w oczekiwaniu na przemowę.

– Na początku chciałabym podkreślić, że bardzo się cieszę z tego, że mogłam zamieszkać w Pernmarin, które jest pięknym i spokojnym miejscem. Na pewno nikogo nie muszę przekonywać, że macie wielkie szczęście, żyjąc i pracując tutaj.

Stanowczy, opanowany głos przyjaciółki zadziwił Natashę. Trzymaj tak dalej, kochana, cisnęło jej się na usta. Na szczęście powstrzymała pokusę, by powiedzieć to na głos.

– W Prospect House zamierzam otworzyć dom dla osób, którym nie zawsze w życiu sprzyjało szczęście, nie zawsze okoliczności pozwalały...

– Tak, podobno macie zamiar przygarniać pedofilów, gwałcicieli, narkomanów i innych takich. Prawda jest taka, że my tu takich nie chcemy, naprawdę nie chcemy!

Głos sprzeciwu należał do rybaka, który po pracy zdjął jeszcze grubych, gumowych spodni. Emanował złością od chwili, w której Kate przestąpiła próg pubu. Jego słowa poparło kilkanaście

pojedynczych okrzyków i skinięć głową.

– Pedofile i gwałciciele? O mój Boże! Któż by tego chciał?

Kate uśmiechnęła się, lecz jej uśmiech przeznaczony był jedynie dla Natashy. Obie wiedziały, że przez kilka ostatnich lat mieszkała pod jednym dachem z takimi, a nawet gorszymi typami, i że niejeden ze zgromadzonych z całą pewnością należy do jednej, jeśli nie do obu z wymienionych grup. Przez tłum przeszedł szmer cichych komentarzy i śmiechów, świadczący o podzielonych zdaniach. Ciągnęła dalej.

– Mogę państwu zapewnić, że ostatnią rzeczą, która przysłaży mi do głowy, byłoby narażenie na niebezpieczeństwo całej waszej społeczności. Rzeczywiście mam zamiar przygarnąć pod swój dach osoby o przeszłości kryminalnej, ale, uwaga! – mówimy najwyżej o sześciu osobach naraz, o dziewczętach i kobietach w wieku od szesnastu do dwudziestu trzech lat. Wszystkie przeżyły koszmarnie dzieciństwo, a jako nastolatki nie miały szans na lepsze życie ani też nie zaznały niczyjej życzliwości. Nie dane im było również doświadczyć, co znaczy mieszkać w tak pięknym miejscu jak Permmarin.

– Dobrze, wszystko to brzmi pięknie, ale chciałbym wiedzieć, jak zamierza pani kontrolować te osoby? – zadawszy obcesowe pytanie, Rodney Morris rozejrzał się po barze, szukając poparcia.

– Kontrolować? Przecież to nie zwierzęta, panie Morris! To przecież tylko dzieci, które zasługują na spokojniejsze życie. Będziemy im pomagać, leczyc ich rany na różne sposoby, między innymi poprzez terapię i coaching. Chcemy, aby kończyły pobyt u nas ze wzmocnionym poczuciem własnej wartości, jako pełnoprawni członkowie społeczeństwa, żeby rozpoczynały nowe, porządne życie.

– Terapia? A to co takiego? To znaczy aromaterapia i tak dalej? – Pytanie kierowniczkę poczty, zupełnie poważnie, wywołało ogólne rozbawienie.

Wtedy naprzód wysunęła się Natasha.

– Może teraz ja zabiorę głos. Przez wiele lat pracowałam jako nauczycielka plastyki, a kilka lat temu ukończyłam kurs terapii sztuką. W bliskiej współpracy z naszym stałym psychoterapeutą...

Rodney Morris nie mógł się powstrzymać i znów odezwał się donośnym głosem:

– Ach, rozumiem. Stara strategia – zejść ze złej drogi, tylko pozwólmy im stworzyć coś ładnego. Cudownie, ale czy to działa? Może lepiej od razu wysłać je do Disneylandu? Za moich czasów przestępcy odbywali normalne kary. Mam wierzyć w jakieś tam lewicowe ulgowe traktowanie?

Zaśmiał się teatralnie, a jego kompani za barem wnieśli szklanki w geście oznaczającym poparcie: „Dobrze powiedziane, brawo ten pan!”.

– Kary? – Natasha, słysząc jego przestarzałe, prymitywne poglądy, z trudem opanowała złość. – Tak, Rodney, ma pan rację, ale w przypadku tych dzieci i młodych kobiet nie ma mowy o żadnych karach. Nasze podopieczne odbyły już „karę”, jak pan to zgrabnie ujął. Naszym zadaniem jest pomóc im poradzić sobie z traumami, jakich doświadczyły w życiu. Młode osoby, takie jak one, nie

zawsze są w stanie opisać, co przeżyły i jakie to w nich wywołuje uczucia. Dlatego często te uczucia w sobie blokują. Blokują też myśli domagające się wypowiedzenia. Inaczej mówiąc, zamierzam położyć przed nimi czystą kartkę papieru. Terapia sztuką odbywa się w przyjaznym, wspierającym otoczeniu. Zachęca do rozpoznania własnych problemów. Często daje młodym ludziom pierwszą w życiu okazję do opowiedzenia o swoich przeżyciach. A kiedy to zrozumiemy, możemy zastanowić się, jak najlepiej im pomóc.

– Według mnie to wspaniała inicjatywa. Gdybyście panie potrzebowały pomocy lub jakichś materiałów, z przyjemnością się zaangażuję.

Natasha spojrzała na siedzącą przy barze starszą panią w luźnej tunice, nadającej jej artystyczny styl. Wcześniej zwiedziła już prowadzoną przez nią małą pracownię i galerię w porcie.

– Dziękujemy, na pewno skorzystamy. Byłoby wspaniale.

Rodneyowi Morrisowi nie podobał się taki kierunek rozmowy. Czuł, że jego rola samozwańczego przywódcy wioski jest coraz bardziej zagrożona.

– Dziękuję, myślę, że dosyć się już dowiedziałem. Co jeszcze planujecie? Darmowe kiełbaski z grilla na plaży dla pasożytów społecznych, i to wszystko za pieniądze z naszych składek socjalnych? Och, już wiem, a może w ramach akcji charytatywnej oddam produkty spożywcze z moich restauracji dla jakichś biedactw, których w dzieciństwie nikt nie przytulał? – prychnął i odwrócił się do baru. – Przepraszam, ale muszę się napić!

Paru kołesiów Rodneya posłusznie zachichotało. Po krótkim zamieszaniu głos znowu zabrała Kate.

– Chcemy postawić sprawę jasno. Dziewczęta, które tu przyjadą, zrobią to z własnej woli, po to, by nie marnować dalej swojego życia. Na pewno nie uda im się dokonać niczego bez wsparcia społeczności, w której się znajdują. Do tej pory we wszystkich miejscach, w których przebywały, traktowano je jak śmieci i unikano ich. Tutaj powinno je spotkać coś przeciwnego. Chciałabym dać im tę szansę. Chciałabym im pokazać, że życie ma też lepsze, jaśniejsze strony. Chciałabym dać im nadzieję.

Nikt nie usłyszał skrzypnięcia otwieranych drzwi. W samym środku debaty do pubu weszła dziewczyna z dobytkiem spakowanym w szary worek na śmieci. Ukryta w mroku, uważnie przysłuchiwała się słowom Kate. Nagle, bez uprzedzenia i wcześniejszych konsultacji, wysunęła się do przodu i stanęła na środku. Jej potężna postać górowała nad innymi w niskim, mrocznym pomieszczeniu. Worek na śmieci położyła na podłodze obok swych nóg.

– Kate ma rację. Od wczesnego dzieciństwa wszyscy mnie unikali i traktowali jak śmiecia. Powiedzmy sobie szczerze – po prostu miałam pecha. Są ludzie, którym szczęście sprzyja, bo przychodzą na świat i wychowują się w kochających rodzinach, a mnie spotkało coś zupełnie przeciwnego. Postanowiłam jednak odmienić swój los. Niedługo zacznę studiować psychoterapię na

uniwersytecie w Plymouth. Jeszcze parę lat temu byłoby to zupełnie niewyobrażalne, ale znalazł się ktoś, kto dał mi szansę i pokazał, że istnieje dobra strona życia. – Uśmiechnęła się znacząco w stronę Kate, a ta rozpromieniła się, zdumiona i rozradowana nieoczekiwanym pojawieniem się dawnej znajomej. – Gdybym tej szansy nie dostała – kontynuowała dziewczyna – moje życie wyglądałoby zupełnie inaczej. Teraz jednak pragnę dać innym ludziom ten sam smak nadziei. A po studiach chciałabym pracować w Prospect House, pomagać takim jak ja, tym, którzy mieli pecha, a potrzebują szczęścia. Przy okazji – mam na imię Janeece.

W pubie przez chwilę panowała cisza. Następnie rozległy się delikatne szepty i szmery, ukradkowe badanie opinii sąsiadów przed wypowiedzeniem swojej. Naprzód wystąpił Tom Heath.

– Myślę, że to świetny projekt, Kate, i może gdybym we wczesnej młodości został otoczony trochę większą troską, nie zmarnowałbym sobie życia. Też należę do tych, którzy mogli mieć więcej szczęścia. Jeśli tylko się przydam, chętnie ci pomogę.

Miejscowi gapili się na Toma, który jeszcze parę minut przed przybyciem Kate i Natashy należał do najgłośniejszych przeciwników Prospect House.

– Dziękuję ci, Tom. Tak, rzeczywiście potrzebuję pomocy. Szukamy kucharza i gospodyni, jest też kilka innych funkcji do obsadzenia.

Szum urósł o oktawę. Praca? O tym jakoś nikt nie pomyślał.

Głos zabrał ten sam rybak.

– Czyli nie będziemy napastowani przez rabusiów i morderców?

Zaśmiał się krótko, a kumple przyłączyli się do niego. Lew został oswojony. Przynajmniej na razie.

– Nie. Gwarantuję też, że w Prospect House zamieszka tylko jeden morderca – oświadczyła Kate.

Rodney Morris zamarł, słysząc jej słowa.

– Morderca? Mówi nam pani, że zamieszka wśród nas morderca? Będzie się kręcił między nami i naszymi dziećmi? Mój Boże, wcale mi się to nie podoba! W jaki sposób chce nam pani zapewnić bezpieczeństwo?

Kate odpowiedziała na jego pełne wzburzenia pytanie uśmiechem.

– Osobiście gwarantuję całkowite bezpieczeństwo w kwestii tego mordercy, panie Rodney.

– Ale w jaki sposób pani może to zagwarantować?

Kate odwróciła się przodem do niego i odpowiedziała na tyle głośno, by wszyscy usłyszeli.

– Ponieważ to ja jestem tym mordercą, panie Rodney. Odbylałam już wyrok za zabójstwo, odsiedziałam, jak to mówią, swoje, i nie zamierzam powtórnie stawać przed sądem – ani przed pana sądem, ani przez sądem kogokolwiek innego. I tak się składa, że w najbliższym czasie nie zamierzam nikogo pozbawiać życia.

W pubie znówu zapanowała cisza. Wszystkie oczy wpatrzone były w Kate. Każdy trawił jej słowa i sam podejmował decyzję, jak je potraktować.

Tom wystąpił naprzód. Podał Kate kufel ciemnego piwa.

– Zdrowie!

– Zdrowie, Tom!

Kate podniosła kufel w stronę zebranych i duszkiem wypila piwo. Rozległy się spontaniczne oklaski. Miała wrażenie, że ludzie biją brawo nie tylko dlatego, że wychyliła cały kufel jednym haustem. Nie myliła się.



Dziwne trio zmierzało na plażę leżącą poniżej Prospect House. Rozkładając na piasku koce i wydobywając z kosza pieczonego kurczaka, dużą miskę sałatki greckiej i waniliowy sernik Toma, trzy kobiety czuły dziecięce wręcz podekscytowanie.

Natasha wyciągnęła puszki schłodzonego primmisa i rozdała po jednej. Swoją uniosła w górę.

– Za nasz wczorajszy sukces! Gratuluję wam obu rewelacyjnych występów w pubie!

Stuknęły się puszkami i pociągnęły po długim łyku.

– Byłam przerażona – wyznała Kate.

– Ty? Przerażona? – zaśmiała się Janee. – A widziałaś ich twarze, kiedy się wtrąciłam? Połowa nie odrywała wzroku od mojego worka na śmieci! Pewnie myśleli, że mam tam ukrytą broń!

Wybuchnęły śmiechem.

– Bardzo się cieszę, że cię widzę, Jan. Jak mnie znalazłaś?

– Z ostatniego listu dowiedziałam się, że jesteś w Pernmarin, a reszta to tylko kwestia szczęścia.

Postanowiłam wstąpić do pubu i zapytać, gdzie mieszkasz, no bo w końcu ile ptaszków wypuszczonych zza kratki może prowadzić pustelnicze życie w takiej dziurze?

– Cóż, ogromnie się cieszę, że to zrobiłaś. W życiu bym nie uwierzyła, że takie rzeczy się zdarzają! – Kate czuła, że rozsądza ją radosne podniecenie, ale jednocześnie pełne napięcia oczekiwanie.

– To lepiej uwierz, Kate, bo się zdarzają! Prospect House jest prawie gotowy, zaraz będzie można otwierać! Hura!

Czy to za sprawą wypitych drinków, czy po prostu ze zwykłej radości trzy kobiety tańczyły na plaży i śmiały się przez cały poranek. W największą wesołość wprawiało je wspomnienie kamiennej

twarży Rodneya.

Potem, oszołomione alkoholem i dobrym nastrojem, drzemały w południowym słońcu. Janeece oparła głowę na łokciu i rozmyślała o tym, jakie jeszcze cudne miejsca kryje świat i czy uda jej się kiedyś je zobaczyć.

– Miałaś jakieś wieści od dzieci? – zapytała. Pytanie było niewinne, zadane z czystej troski.

Janeece wiedziała, ile syn i córka znaczą dla Kate.

Kate powoli wypuściła powietrze i otworzyła oczy.

– Nie. Nie miałam niestety. Mam nadzieję, że może zechcą przyjechać, kiedy się tu wreszcie urządzimy. Opowiedziałam wszystko Francesce, na pewno im przekazała.

– Kate dźwignęła się, usiadła i oparła brodę na kolanach. Proszę, proszę, przyjedźcie szybko – pomyślała. Sęk w tym, że mają do niej naprawdę daleko.

To, co Kate usłyszała chwilę później, mogło być konsekwencją ciętego języka Natashy lub też pewności siebie, jakiej przyjaciółka nabrała po alkoholu. W każdym razie, efekt był ten sam.

– Nie wiem, Kate, jak możesz to znosić. Naprawdę, nie wiem. Wydaje mi się, że to cholerny wstyd. Tak, wiemy, że spotkanie z tobą to dla nich trudne przeżycie. Wiemy, że mają daleko, ale na Boga, dosyć tych wymówek! To już nie są małe dzieci! Ile jeszcze czasu mają zamiar cię karać? I dlaczego, przede wszystkim, uzurpują sobie do tego prawo? Po tym wszystkim, co dla nich zrobiłaś. Po cierpieniach, które znosiłaś latami tylko po to, żeby miały szczęśliwą rodzinę?

Kate, zła, a jednocześnie czuła na krytykę, była zaskoczona.

– Tash, to nie takie proste.

Okazało się jednak, że przyjaciółka jeszcze nie skończyła. Przerwała Kate po raz drugi w ciągu ostatnich kilku minut.

– Wiesz co, Kate, a ja uważam odwrotnie. Myślę, że to właśnie jest proste. Ich ojciec był draniem, był cholernym łajdakiem, podczas gdy ty starałaś się to przed nimi za wszelką cenę ukryć. Dla ich dobra znosiłaś cierpienia, które nie mieszczą się w głowie, a oni ci tak odpłacają? Dominic jest w stanie jechać na byle imprezę na drugi koniec kraju, ale do Kornwalii mu za daleko? Nie chce wiedzieć, jak się masz? Mimo że teraz potrzebujesz go jak nigdy dotąd? Sama im na to pozwalasz, Kate, powinnaś być wobec nich bardziej wymagająca. Ja w każdym razie wiem, że ze mną nie mieliby tak łatwo.

Kate była rozsierdzona.

– W takim razie miejmy nadzieję, że nigdy nie będziesz miała dzieci, bo bardzo bym im współczuła.

– Nie pozwoliłabym im sobą pomiatać, Kate, na pewno nie. Musisz wyznaczyć granice, dać im przykład!

Kate wstała. W jej głosie brzmiała niekontrolowana złość.

– Dać przykład? Przez całe moje cholerne życie nie robiłam niczego innego, jak tylko dawałam im przykład! Całe życie próbowałam im pokazać, jak być przyzwoitym człowiekiem, życzliwym, troskliwym.

– Tak! I zobacz, jak na tym wyszłaś. Jacy są życzliwi i troskliwi.

Kate ruszyła biegiem w stronę ścieżki. Wiatr jeszcze z daleka niósł odgłosy jej szlochów.

Janeece spojrzała na Natashę.

– Cieszę się, że powiedziałam... – zaczęła Natasha, ale po chwili ukryła twarz w dłoniach. –

Cholera! – zaklęła.

Wiedziała, że pozwoliła sobie na zbyt wiele.



Natasha zastukała do drzwi pokoju Kate, po czym, nie czekając na zaproszenie, weszła.

– Kate, przepraszam.

Kate spojrzała na nią zza zapuchniętych powiek.

– Za co konkretnie?

– Za wszystko. Nie powinnam była tego mówić.

– Wiem, Tash, że tak nie myślisz.

Natasha wzięła przyjaciółkę za rękę.

– Kate, ależ ja tak uważam. Po prostu nie powinnam była tego mówić.

– Przecież znasz moje dzieci, lubisz je!

– To prawda. Ale ciebie lubię bardziej. Zawsze będę cię lubić i zawsze będę mówić to, co uważam, że jest dla ciebie najlepsze. A w tej chwili ich zachowanie bardzo mi się podoba.

– Masz rację, Tash, to wszystko moja wina. Żle je wychowałam. Myślałam, że najlepiej zrobię, ukrywając przed nimi prawdę, ale to nie było dobre wyjście. Wyrosli na młodych ludzi, którzy nie potrafią ufać, ponieważ uwierzyli w coś, co okazało się ułudą. To był mój błąd.

– Ale to się już stało, Kate. I to nie twoja wina. W rzeczywistości to wina Marka. Szkoda, że dzieci nie są w stanie sobie tego uzmysłowić. Robię wszystko, co mogę, żeby ci pomóc i żebyś była szczęśliwa. Jesteś najlepszą przyjaciółką, jaką kiedykolwiek miałam, i po prostu nie mogę patrzeć, jak cierpisz, choć wyjście jest takie proste. Jedna wizyta, więcej nie trzeba. Uważam, że zachowują się nie fair.

Kate uściskała przyjaciółkę.

– Ty też jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Kiedyś w końcu przyjadą, Tash. Wiem o tym. Kate przygryzła dolną wargę. Tak bardzo chciała wierzyć w swoje słowa.

– Na pewno masz rację. Czasem zapominam, przez co przeszłaś. Przecież kiedy ja prowadziłam zwykłe życie, ty siedziałaś w więzieniu. Zapominam o tym tylko dlatego, że tak świetnie sobie radzisz, że jesteś taka wytrzymała.

– Sama czasem zapominam. To tak, jakbym miała w pamięci czarne dziury. Jakbym przeoczyła gdzieś kawałek życia. W więzieniu czas mi się specjalnie nie dłużył, ale też nie gnał jak szalony. Można by to porównać do ciąży albo do długich wakacji – na początku wydaje ci się, że będą trwały wiecznie, a potem mijają nie wiedzieć kiedy. Trudno mi sobie przypomnieć szczegóły z tamtego czasu. Doskonale pamiętam jedno – tęsknotę za dziećmi. Niewyobrażalną.

Tash ścisnęła jej rękę.

– Z drugiej strony więzienie było azylem. Nie musiałam wciąż się bać, nie chodziłam wiecznie przerażona. Nie patrzyłam ze strachem, jak przesuwają się wskazówki zegara, jak nadchodzi kres dnia i pora spania. Życie więźnia było całkiem proste, wbrew temu, co można by sobie wyobrażać. Żadnego szorowania betonowych schodów szczoteczką do zębów czy obierania wielkiego stosu ziemniaków na zimnej, wilgotnej podłodze w piwnicy...

Przez chwilę panowała cisza. Obie kobiety zastanawiały się, jak dalej poprowadzić tę trudną rozmowę.

– Naprawdę masz nadzieję, że nigdy nie zostanę matką?

– Tak, ale tylko z powodu twojego okropnego stylu ubierania się i kompletnego braku konformizmu życiowego. Biedna dzieciaczyna wyrosłaby na zupełnego dziwaka!

Roześmiały się. Ich relacja znowu wskoczyła na dawne tory.

– Myślałam nawet o imionach, jeśli oczywiście kiedykolwiek będę miała dzieci...

– No to musisz mi koniecznie powiedzieć!

– No więc chłopiec będzie Radar, a dziewczynka Philadelphia.

– Philadelphia? Jak serek? – ryknęła śmiechem Kate.

– Nie jak serek, tylko jak miasto!

– Radar i Philadelphia? Nie rób im tego, tym biednym, małym dziwacom.

Nagle w drzwiach pojawiła się głowa Janeece, która z ulgą przyjęła fakt, że obie kobiety się śmieją.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale przyszedł Tom, ten z pubu.



Kate zauważyła, że Tom się odszykował – ogolił się i przyglądził niesformą fryzurę. Nie zdążyła nawet zejść ze schodów, kiedy prosto z mostu zadał nurtujące go pytanie:

– Kate, o tej pracy to mówiłaś poważnie?

– To zależy, co masz na myśli – odparła, nie wiedząc, co Tom potrafi zrobić.

– Jestem wykwalifikowanym kucharzem. Przez wiele lat pracowałem w miejscowych hotelach.

Robiłem tam różne rzeczy. Mogę być i kucharzem, i zajmować się domem. Utrzymywać w czystości pokoje i przygotować posiłki dla gości, to dla mnie nie problem.

Kate spojrzała mu prosto w oczy.

– Tom, czy możesz mi obiecać, że nigdy, przenigdy, do końca życia nie będę musiała ścielić łóżka ani prać pościeli?

– Oczywiście, to żaden problem.

Kate wyciągnęła rękę.

– W takim razie witaj na pokładzie!

– Kiedy mógłbym zacząć?

– Właśnie zacząłeś. Poprosimy o cztery kawy i talerz ciastek, wtedy usiądziemy we czwórkę i razem pomyślimy, jak to miejsce będzie funkcjonować.

Tom rozpromienił się i pokuśtykał szukać kuchni.

[13] Jasmine Cottage (ang.) – Jaśminowy Domek.

[14] The Lodge (ang.) – Chata.

[15] Lobster Pot (ang.) – Pod Homarem.

Rozdział 7

Dziesięć lat wcześniej

Mark nałożył sobie porcję szparagów i podsunął miskę córce, która siedziała po jego prawej stronie.

– Lyds, no i jak tam idą powtórki materiału?

– Nieźle. Walczę z chemią i łaciną, ale z plastyki mam same szóstki.

– Świetnie, ale przecież plastyka to marna inwestycja w przyszłość, nie sądzisz? Na pewno brat chętnie ci pomoże, prawda, Domi? Mieć umysł ścisły i z nikim się nim nie dzielić to hańba, nie uważasz?

Dominic spojrział na ojca wilkiem i zgrzytnął zębami.

– Jasne.

Uśmiechnął się przelotnie i na siłę. Przez ułamek sekundy Kathryn pomyślała, że syn jest trochę do niej podobny. Nie wiedzieć czemu, ucieszyło ją to.

Lydia nie kryła wściekłości.

– Tato, nie wciskaj mi kitu. Jest mnóstwo zawodów powiązanych ze sztuką! Na przykład grafika komputerowa, ilustratorstwo, moda i tysiące innych. Co dokładnie masz na myśli, mówiąc, że plastyka to marna inwestycja w przyszłość? Nie chcesz, żebym wybrała jeden z tych zawodów?

– Nic takiego nie powiedziałem, Lyds.

Mark zwiesił głowę na piersi, udając zranionego.

– Kochanie, naprawdę wszystko mi jedno, kim zostaniesz. Zależy mi tylko na tym, żeby w przyszłości praca dawała ci szczęście i pieniądze. I nie chcę, abyś odczuwała jakąkolwiek presję związaną z faktem, że zostałam wykształcona w sposób nieosiągalny dla przeciętnego człowieka. Nie mam absolutnie nic przeciwko temu, żebyś zdobywała edukację w bardzo drogiej szkole, a potem, w ramach jak najlepszego wykorzystania swego potencjału, całymi dniami kolorowała obrazki.

– No tak, wiedziałam.

Lydia w odruchu protestu upuściła widelec na talerz.

– Lydi, no co ty, przecież żartuję, to znaczy w pewnym sensie. Jeśli sztuka jest twoim powołaniem, to musisz oczywiście iść za głosem serca. Ale równocześnie nie wolno ci zaniedbywać innych przedmiotów, które mogłyby okazać się pomocne. To wszystko. Na przykład, jeśli zechcesz otworzyć własną galerię, to przecież przydadzą ci się podstawy handlu i marketingu. Graficy komputerowi też muszą wyrobić się z projektem w ramach jakiegoś budżetu, znać ograniczenia materiałów i tak dalej.

Pieszczotliwie potargał jej włosy.

Lydia uśmiechnęła się do swojego mądrego taty.

Przez resztę kolacji zabawiał parę nastolatków, parodiując swoich kolegów – nauczycieli Dominica i Lydii oraz opowiadając dykteryjki na ich temat. Kathryn wydawało się to całkowicie niestosowne. Nie tak uczy się dzieci szacunku wobec innych. Nie miała jednak zamiaru poruszać tego tematu przy stole.

– To co, pewnie już wszyscy wiedzą o mojej prestiżowej nagrodzie, tak?

Dominic wbił w ojca puste spojrzenie.

– O jakiej nagrodzie?

Z ust wypadł mu na talerz kawałek łososia.

– Proszę, Dominicu, nie mów z pełnymi ustami, to obrzydliwie.

Komentarz Kathryn został zignorowany.

– „Doskonałość w edukacji”. Mam zostać Dyrektorem Roku, ta-dam! Szykuje się wielka gala w jakimś superhotelu w Londynie, świetna reklama dla szkoły. Zarząd jest w siódmym niebie. Będzie się o tym mówiło, oj będzie...

Dominic prychnął.

– Nic nie słyszałem, prawdę mówiąc, tato. A ty, Lyd?

– Y-y – potrząsnęła głową.

Kathryn wciągnęła wargi do środka i przygryzła dolną, by powstrzymać cisnącą się na usta uwagę. Bardzo chętnie dowiedziałaby się, co znaczy to „y-y” i skąd się ono wzięło. Ponieważ jednak skomentowała wcześniej sposób jedzenia Dominica, nie chciała wypowiadać krytycznych uwag na

temat języka, jakim posługiwała się Lydii. Nie mogła dawać im dodatkowych argumentów przeciwko sobie i pozwolić, by kojarzyli ją z wiecznie niezadowoloną, gderającą matką. Było wiele rzeczy, których nie chciała i nie mogła.

Dominic wciąż prychał z dezaprobatą.

– Dobra, tato, skoro już masz iść na taką wypasioną imprezę, to chyba z jakąś superbabką? To znaczy, raczej nie pokazesz się z mamą?

– Dominicu, jeszcze raz chciałam ci przypomnieć, że jestem tu, siedzę przy tym samym stole. Nie jestem również głucha, więc byłabym wdzięczna, gdybyś powstrzymał się od komentarzy.

Wygłaszasz je, jakbym była albo głucha, albo nieobecna, albo i jedno, i drugie.

Została zignorowana. Przyszła jej do głowy ciekawa myśl: A może jestem niewidzialna?

Słyszac uwagę Dominica, jej mąż wybuchnął gromkim śmiechem. Jednocześnie potrząsał głową, udając obrzydzenie.

– Może i masz rację, Dom, a masz dla mnie jakieś propozycje?

Puścił oko do córki, by ją uspokoić, że to nic więcej, tylko wesoła gadanina, śmiechu warta dobra zabawa i nikt nie powinien czuć się urażony.

– No nie wiem, ale zawsze można by trochę odkurzyć i przewietrzyć Judith.

Mark ryknął jeszcze głośniej.

– O Boże, tylko nie Judith!

Odepchnął talerz na środek stołu i zaczął udawać, że zbiera mu się na torsje.

– Ej, przez to zupełnie straciłem apetyt! – krzyknął.

Na to znowu wtrącił się Dominic.

– Szkoda, że ta Natasha Mortensen odeszła. Ta dopiero przyniosłaby ci rozgłos, tato. Już widzę jej kreację! Szmateks w połączeniu ze strojem dobrej wróżki.

Markiem wstrząsnęły jeszcze silniejsze, pozorowane konwulsje.

– Błagam, Dominicu, nie wspominaj mi nawet o tej groteskowej lesbijce.

– Wcale nie jest lesbijką. Przez cały czas, kiedy tu pracowała, sypiała z doktorem

Whittingtonem, może nawet dalej się z nim spotyka, kto wie?

Kathryn nie miała pojęcia, skąd przyszło jej do głowy, żeby wypowiedzieć tę uwagę na głos, ani też jak znalazła odwagę, by w ogóle się odezwać, ale jedno było pewne: przekonała się, że nie jest niewidzialna. Troje pozostałych członków rodziny gapilo się na nią, nie kryjąc zdumienia.

– Niemożliwe! – brzmiała odpowiedź syna.

– Ale z niej farciara, przecież to straszny przystojniak.

W odpowiedzi na reakcję córki Mark uniół brwi jeszcze wyżej, ale się nie odezwał.

Po raz drugi tego wieczoru Kathryn wciągnęła wargi i przygryzła dolną. Nie znosiła, kiedy jej rodzina zachowywała się tak wstrętnie i otwarcie krytykowała jej przyjaciółkę, tym bardziej że

Natasha zawsze była wobec nich bardzo miła i okazywała to na wiele sposobów. Kolejny raz poczuła się dotknięta.

– A tobie jak minął dzień, kochanie?

Dopiero po chwili Kathryn uświadomiła sobie, że pytanie skierowane zostało do niej.

– Och! Przepraszam, zamyśliłam się. W porządku. Dobrze, dziękuję. W porządku.

– „W porządku. Dobrze, dziękuję. W porządku”. Proszę bardzo, dzieci, oto niezmiernie interesujący opis tego, jak wasza matka spędziła osiem godzin, podczas których my śleczeliśmy nad książkami.

Uwaga Marka była zjadliwie przebiegła, miała też swoje podwójne dno. Z jednej strony w sposób okrutny i celowy akcentowała niespełnioną miłość Kathryn do czytania, bo choć wszyscy w szkole mają stały dostęp do tysiący książek, ona swej pasji realizować nie może. Z drugiej strony komentarz ten utwierdzał dzieci w przekonaniu, że życiu ich matki nie towarzyszy żaden sens ani cel. Zamiast wybuchnąć gniewem, zaczęła sprzątać ze stołu. Zdrapywanie z talerzy zastygłych resztek jedzenia zawsze pomagało jej odzyskać równowagę.



Dominic i Mark udali się na boisko z piłką do krykieta. Lydia została przy stole. Pół leżąc, pół siedząc na krześle, przyglądała się matce spod zmarszczonych brwi.

– Czemu to robisz, mamó?

– Co robisz, Lydio?

– Nie potrafię tego dokładnie opisać, ale jakby nie słuchasz, co się wokół ciebie dzieje. Powinnas spróbować bardziej się włączać. Byłoby znacznie łatwiej.

– Łatwiej komu, Lyds?

– No, nam wszystkim. Nigdy nie śmiejesz się z żartów taty, chociaż naprawdę się stara. Wiem, że czasem zachowuje się trochę jak szowinista, ale ma dobre chęci. Taki po prostu jest.

Kathryn usiadła naprzeciwko córki. Naczynia mogą poczekać. Przelknęła nasuwającą się odpowiedź „Och, córeczko, on nie ma dobrych chęci. Ma złe chęci, tak złe, że nawet sobie nie wyobrażasz”.

Lydia jeszcze nie skończyła.

– I na przykład kiedy jesteśmy na wakacjach, o wiele lepiej by było, gdybyś robiła to, co my. Nie znoszę, kiedy my jesteśmy w morzu, wyglupiamy się, gdzieś łazimy, ty zawsze siedzisz sama na

plaży i wyglądasz, jakbyś miała wszystkiego dosyć. Nigdy, nigdy się z nami nie kąpałaś, nawet się nie zamoczyłaś! Nie powinnaś tak się wstydzić, mammo. Kogo to obchodzi, że masz cellulit czy coś innego, wszyscy coś tam mają. Wolałabym już widzieć twój cellulit niż patrzeć, jak dzień w dzień siedzisz w tej swojej lnianej sukience. Jakbyś żyła w epoce wiktoriańskiej i nie mogła odsłaniać ciała! W ten sposób jeszcze bardziej przyciągasz uwagę.

Lydia westchnęła głęboko.

Kathryn szczerze spojrzała na córkę.

– Co ty w ogóle o mnie myślisz, Lydio?

– O co ci chodzi?

– O to, że jak na mnie patrzysz, to co o mnie myślisz?

– Co myślę?

Koniuszek języka Lydii pokazał się w kąciку jej ust. Zawsze robiła taką minę, kiedy się mocno koncentrowała. I kiedy brała pędzel do ręki.

– No, nic nie myślę...

– Dzięki! – Kathryn żartobliwie zamachnęła się na nią kuchenną ściereczką.

– Nie, nie o to chodzi. Mam na myśli, że twój widok mnie nie dziwi ani nie zastanawia, bo zawsze jesteś w domu, no, zawsze byłaś.

– Nie jestem pewna, czy to komplement, czy wręcz przeciwnie, Lyds.

– No, kiedy na ciebie patrzę, widzę mamę i nic więcej nie myślę. Jesteś po prostu mamą, zawsze w domu, zawsze zajęta... czymś. Mogę cię porównać do szumu w tle lub do ulubionej poduszki. Nie muszę cię szukać, nie muszę o tobie myśleć, bo zawsze jesteś – w dobrym znaczeniu.

– Szum w tle, ale w dobrym znaczeniu? – Kathryn za wszelką cenę chciała odebrać słowa córki pozytywnie.

– No tak. Mogłabyś przecież być jak zły szum w tle. Na przykład jak jakiś durny zespół albo jak muzyka klasyczna, której szczerze nie cierpię. Ale nie – ty jesteś jak łagodny szum, kojący, albo jak piękny zapach, na przykład zapach pieczonych ciasteczek. Lub dżemu. I to jest naprawdę fajne.

– Więc jestem fajna?

Lydia prychnęła, tłumiąc śmiech i wywróciła oczami.

– Boże, mammo, nie! Nie jesteś fajna. Już samo słowo śmiesznie brzmi w twoich ustach.

– Aha.

Kathryn potarła oczy i wetknęła włosy za uszy. Nie podobał jej się słowny zaulek, w który się wpędziły. Nadszedł czas na zmianę kierunku tej rozmowy.

– Dobrze, nie mówmy już o szumie w tle i o zapachu dżemu. Spójrzmy na mnie inaczej. Kiedy pytam, co o mnie myślisz, mam na myśli, czy chciałabyś być na moim miejscu?

Lydia milczała. Zastanawiała się. Mama zachęcała dalej:

– Dam ci przykład. Kiedy miałam tyle lat, co ty teraz, byłam przekonana, że będę uczyć angielskiego. Zawsze miałam taką ambicję. Od dziecka kochałam książki i myślałam, że będę naprawdę dobrą nauczycielką. Na studiach zrobiłam dyplom z wyróżnieniem. Czasem żałuję, że go nie wykorzystałam.

– Czemu nie wykorzystałaś?

Jak na to odpowiedzieć? Musiała znaleźć stosowne słowa: neutralne, rozmyte, akceptowalne.

– Nie wiem, Lyds. Chyba życie się tak potoczyło.

Takie wyjaśnienie musiało wystarczyć. Na razie musiało. Kathryn próbowała dalej poprowadzić rozmowę.

– Spróbuj sobie wyobrazić, że masz czterdzieści lat. Jak wygląda twoje życie?

Córka westchnęła głęboko i zniżyła głos. Cała rozmowa zaczynała nabierać jakiegoś dziwnego, konspiracyjnego charakteru. Spojrzała na matkę spod przymkniętych powiek.

– Ciężko sobie wyobrazić, że kiedyś będę taka stara. Ale jedno wiem – chcę się dobrze trzymać, być w formie. No, wyglądać jak mama Guida i Luki.

Kathryn z trudem odparła pokusę, by uświadomić córcie, że może tak wyglądać pod dwoma warunkami: jeśli będzie miała świetnego chirurga plastycznego i że przez dwadzieścia pięć lat nie tknie słodyczy.

– No i jeszcze nie chciałabym mieć takiego poukładanego życia jak twoje. Wiesz, takiego przewidywalnego. Wolalabym większą różnorodność. Wiem, że zawsze będę malować, to pewne. Ale prócz tej jednej stałej rzeczy, chciałabym się co jakiś czas przeprowadzać, poznawać nowych ludzi, jeździć po świecie, zdobywać doświadczenia, często się zakochiwać. Myślę, że jak się wszystkiego nie spróbuje, można dokonać złego wyboru, a potem utknąć i nie mieć wyjścia. A ja nie chcę nie mieć wyjścia, mamo. Nie muszę zawsze wiedzieć, co będę robić za rok. W ten sposób moje życie stanie się przygodą, a nie będzie po prostu płynąć obok, jeśli wiesz, o co mi chodzi. Raczej nie chcę wychodzić za mąż i mieć zajmować się rodziną, tak jak ty się nami zajmujesz. Nie obraż się, że tak mówię, bo w tym akurat jesteś świetna!

Kathryn nie znalazła odpowiedzi. Skinęła tylko głową i usiłowała przełknąć wielką gulę w gardle, która uniemożliwiała wypowiedzenie choćby słowa. W myślach mówiła: Nie obrażam się, kotku, moja kochana, mądra córeczko. Masz rację. Wszystkiego spróbuj! Podróżuj, nie zadowolaj się czymś, co nie jest dla ciebie najlepsze! Wybieraj dobrze i mądrze! Miej przygody! Nie utknij...

Wyznanie córki przyniosło jej wielką ulgę. Kathryn wiedziała, że jej mała dziewczynka poradzi sobie w życiu, niezależnie od tego, co przyniesie los.



Zbliżała się noc. Pora, która zawsze przychodziła za szybko. Dawniej, w poprzednich latach, próbowała opóźnić ten moment, ale odwlekanie go tylko dodatkowo złościło męża, a to, co następowało potem, i tak było nieuniknione.

Kathryn powoli weszła na górę, przebrała się w codzienną białą nocną koszulę i czekała.

Mark nachylił się nad nią, kiedy przechodził obok łóżka, i wciągnął jej zapach.

– Włosy śmierdzą ci rybą.

Skrzywiła się. Rzeczywiście, dotykała łososia, a potem przeciągnęła ręką po włosach. Wiedziała, co to może oznaczać. Była zażenowana. Niezależnie od codziennej rutyny, jego wstrętne komentarze wciąż ją upokarzały.

– To bardzo ciekawe, co nam dziś wyjawiaś o pannie Mortensen. Jestem zdziwiony, że uznalaś za stosowne poruszyć ten temat nie tylko przy kolacji, ale przede wszystkim przy dzieciach.

Kathryn wiedziała, że lepiej nie reagować. Miała jednak ogromną pokusę, by mu wytknąć, że często sam porusza znacznie mniej stosowne kwestie przy wspólnym posiłku i przy „dzieciach”, z których jedno, notabene, prowadzi czynne życie seksualne, a do tego pali jak smok.

– Dziś w nocy mi poczytasz. Wiem, że uwielbiasz czytać.

Uśmiechnął się przelotnie do żony, która w zwyczajnej pozycji, na kolanach, czekała na wyrok.

Mark brał prysznic, a serce Kathryn na myśl o czytaniu, nawet głośnym, nappełniło się otuchą. Nie wiedziała, jak zareagować. Wszelkie oznaki zadowolenia z czekającego ją zadania rozgniewałyby Marka. Niestety obojętność mogła wywołać tę samą reakcję. Nie musiała się jednak martwić. Powodów do radości nie było. Żadnych.

Chwiejnie podniosła się z kłeczek, a Mark wręczył jej książkę. Rozwiązał pasek szlafroka i gestem wskazał na ustawione przy łóżku krzesło o drewnianym oparciu. Kathryn zważyła w rękę ciężki tom i rzuciła okiem na tytuł – *Iliada*. Nagle poczuła się skrajnie wycieńczona i osamotniona. Cały dzień ciężko pracowała. Perspektywa przebijania się przez tak trudny tekst o tej porze była równie zniechęcająca, jak wizja zdobywania wysokiego szczytu.

Mark ułożył się na brzuchu pośrodku łóżka. Głowę oparł na przedramionach i odwrócił twarz.

Otworzyła książkę na pierwszej stronie. Starła się nie patrzeć na miękką poduszkę tuż przy głowie męża, lecz ta z nieodpartą mocą przyciągała jej wzrok.

Zaczęła czytać. Z trudem udawało jej się odnaleźć rytm utworu w gąszczu nieznamomych słów.

*Gnieu, Bogini, opiekuj Achilla, syna Peleusa
zgubę niosący i kłęski nieprzeliczone Achajom,
co do Hadesu tak wiele dusz bohaterów potężnych
strącił, a ciała ich wydał na pastwę sępom drapieżnym
oraz psom głodnym. Tak Dzeusa dokonywała się wola^[16].*

Kathryn nie wiedziała, ile czasu minęło. W jej odczuciu całe godziny, w rzeczywistości zaledwie jedna. Zadrżała z zimna. Po podłodze powiało chłodem, przeciąg zawirował wokół jej stóp i łydek, po czym zniknął w szparze pod drzwiami. Wstrząsnęła nią niekontrolowany dreszcz.

Rattanowe krzesło zaczęło dotkliwie wrząc się w skórę ud przez cieniutką bawełnę koszuli. Rany piekły. Pragnęła zmienić pozycję, wstać, byle tylko ulżyć obolałemu ciału. Słowa rozmazywały jej się przed oczami, przypominały czarne plamy na bladym tle. Nie była już w stanie rozróżnić poszczególnych wyrazów, widziała jedynie nieregularne maźnięcia. Ich bezładne zbitki tańczyły jej przed oczami, uniemożliwiając rozszyfrowanie całych wierszy. Czula, że głowa jej ciąży, chwieje się i kiwa, by ostatecznie, nie mogąc znaleźć równowagi, opaść bezładnie. Gardło miała spierzchnięte, a wydobywające się z niego słowa były niczym suche wióry. Chciało jej się pić, ale nade wszystko – spać.

Oczy klują ją i szczypały. Ramiona zdrętwiały od podtrzymywania ciężkiego tomu bez podparcia. Miała za sobą długi, ciężki dzień, jak co dzień. Pragnęła choćby na sekundę przymknąć oczy...

Trach! Obudziły ją dwa równoczesne dźwięki, a po nich – ostry ból. Pierwszy dźwięk wydała jej własna czaszka, uderzając o twarde oparcie krzesła, a drugi był niczym innym, jak okrzykiem strachu i zdziwienia, który mimowolnie wyrwał się z jej gardła na skutek nieoczekiwanego przebudzenia. Głowę rozsadał jej ból od silnego uderzenia. Oddychała szybko i płytko. Musiała na sekundę przysnąć.

– Tato, wszystko w porządku? – krzyknął przez zamknięte drzwi Dominic, zaniepokojony krzykiem.

– Tak, synu, nic się nie dzieje. Tylko mama miała zły sen. Kładź się.

Skrzypienie podłogi oznajmiło powrót Dominica do łóżka.

Moje życie to zły sen... Kathryn zagryzła wargi, z całej siły powstrzymując się od wypowiedzenia tych słów na głos, a nawet, co gorsza, od wydania ponownego okrzyku, który przywołałby pomoc, wybawienie.

Książka wypadła jej z rąk i leżała zamknięta na kolanach. Mark stanął za żoną i chwycił ją za włosy, wyprostował jej głowę. Nie widziała jego twarzy, był poza zasięgiem jej wzroku. Odezwał się łagodnym tonem:

– Radziłbym ci nie budzić więcej dzieci, Kathryn. Przecież mówiłem, że dziś w nocy mi poczytasz.

Nie miałem na myśli, że trochę mi poczytasz, ale że poczytasz mi całą noc, rozumiesz, kochanie?

– Tak – odpowiedziała ochryple.

– Świetnie. – Nachylił się i pocałował ją w usta.

– Grzeczna dziewczynka. Myślę, że powinniśmy powtórzyć parę stron, bo kto wie, ile opuściliśmy.

Puścił jej włosy i podszedł do komody. Pogmerał w szufladzie z bielizną, by po chwili wyciągnąć z niej jedwabny szalik z potarganymi frędzlami. Kataryn nie odrywała od niego wzroku.

Z przerażeniem zastanawiała się, co ją czeka.

– Oprzyj się, moja droga.

Wyprostowała się jak świeca.

Mark obwiązał jej głowę szalikiem, wokół czoła i pod brodą, po czym zebrał oba końce i ściśle przywiązał do oparcia krzesła. Głowa została mocno unieruchomiona w jednej pozycji. Kathryn nie mogła jej nawet obrócić.

– Teraz możesz znowu zacząć, Kathryn.

Po raz drugi tej nocy położył się pośrodku materaca na brzuchu i odwrócił twarz, opartą na skrzyżowanych przedramionach. Jego plecy zaczęły natychmiast miarowo unosić się i opadać, co mogło świadczyć o tym, że zasnął. Pewnie tak też się stało, lecz nie odważyła się zaryzykować. Tekst widziała tylko po podniesieniu tomu na wysokość oczu, co było możliwe jedynie, gdy miała ręce zgięte w łokciach pod kątem prostym. Bardzo szybko pojawił się skurcz. Nie miała jednak wyjścia – musiała to zignorować.

Przerwał Atrydzie te słowa i tak rzekł boski Achilles:

*„Mógłby mnie każdy nazwać tchórzliwym albo nikczemnym,
jeślibym tobie ulegał we wszystkim, co tylko wypowiesz.*

*Innym, co zechcesz, polecaj, natomiast mnie rozkazywać
nie śmieję, bo sądzę, że nigdy rozkazów twych nie usłucham.*

*Jeszcze ci jedno zapowiem, a przyjmij do serca te słowa:
nigdy już ręk nie podniosę do walki o moją dziewczynę,
ani z innymi, ni z tobą, gdy odbieracie mi dary!*

*Co zaś do innych mych łupów na lotnym czarnym okręcie
tych już nie będziesz mógł unieść na pewno wbrew mojej woli.*

Jeśli chcesz – spróbuj. Niech wiedzą i niech zobaczą to inni –

prędko krwią swoją szerniałą grot by opłynął mej włóczni^[17].

Kathryn zmagala się z własnym ciałem, by zmusić je do wytrwania w nienaturalnej pozycji.

Walczyła z nagłą potrzebą wyswobodzenia się z jedwabnych więzów. Była wdzięczna za jedno – że mąż odwrócił od niej twarz. Gorące, milczące łzy toczyły się po jej policzkach, gdy nie przerywając,

czytała do świtu.

Dźwięk budzika jak zwykle obwieścił początek nowego dnia. Z jej czerwonych, opuchniętych oczu lały się strumienie łez. Nie był to jednak płacz świadomy. Pochodził z głębi duszy. Kathryn mówiła niewyraźnie, bełkotliwie jak pijak. Unieruchomione skurczem mięśnie i obolałe kończyny odrętwiały tak, że najłżejszy ruch powodował niemilosierne cierpienie.

Mąż rześko poderwał się z łóżka, ziewnął i starannie się przeciągnął, dając w ten sposób do zrozumienia, że spał smacznie i zdrowo. Powoli podszedł do krzesła i rozwiązał szalik. Głowa bezwolnie poleciała jej do przodu. Była zdumiewająco lekka i niestabilna, jakby szyja zapomniała, że należy podtrzymywać jej ciężar.

Mark wziął ją za rękę i pomógł wstać. Kiedy skóra na udach odrywała się od rattanu, Kathryn poczuła dotkliwy ból – jakby ciało zrosło się z siedziskiem i trzeba było je rozcinać na żywo, bez znieczulenia.

– Chodź.

Przywołał ją codzienną komendą – słowem, którego stale używał, by ją wezwać lub wydać jej polecenie. Podeszła posłusznie. Pod każdym względem była zbyt słaba, by protestować czy stawiać opór. Położył ją twarzą w dół na łóżku i w zwykły sposób zadał jej krzywdę, zaspokajając swoją satysfakcję. Wyciągnąwszy ciało na materacu i oparłszy policzek na miękkiej poduszce, Kathryn natychmiast zapadła w głęboki sen, nieświadoma, co się z nią dzieje.

Poklepał ją dłonią po twarzy, by przywołać ją do rzeczywistości.

– Idę pod prysznic, a ty musisz przygotować dzieciom śniadanie. Mamy dziś parę minut opóźnienia, więc nie bierzesz prysznica, ty śpioczu.

Chwiejąc się na nogach z wycierńczenia, Kathryn z trudem zwlokła pościel i ubrała się. Zeszła po schodach, zataczając się i trzymając mocno poręczy, by nie spaść. Włożyła pościel do pralki i zaczęła nakrywać do stołu. Na oślep wyciągała z szafek pudełka z płatkami, chleb, miód i inne produkty składające się na odżywcze śniadanie dla rodziny.

Pierwszy pojawił się na dole Dominic. Spojrzała na niego i czekała na komentarz. Chciała odezwać się beztroskim, pełnym fałszywej radości głosem, którym co rano żegnała wychodzące do szkoły dzieci, by zapewnić je, że z ich światem wszystko jest w najlepszym porządku. Choć bardzo się starała, nie mogła przywołać tego głosu.

– O Boże, mam! Koszmarne wyglądasz.

Skinięła głową, walcząc ze łzami, które napłynęły jej do opuchniętych oczu. Nie mogła znaleźć słów. Poprosiła go więc oczami: „Proszę, Dominicu, błagam, bądź dla mnie dzisiaj miły”.

– Co się dzieje, mam, jesteś chora? O to chodzi?

– Tak, chyba.

Chciała powiedzieć więcej, chciała powiedzieć: „Chyba coś mnie bierze”, ale w stanie skrajnego

wycierczenia, w jakim się znajdowała i działała, nawet najdrobniejsze zadania wydawały się ponad siły.

Syn zajął miejsce przy stole. Kathryn sięgnęła po czajniczek i nalała mu do kubka gorącej wody.

– Zapomniałaś wrzucić herbatę.

Dominic gapił się na nią z jawnym niezrozumieniem i czymś na kształt troski.

– W porządku, mam, ja to zrobię.

Wstał, wylał wodę z czajniczka do zlewu i nastawił czajnik, by jeszcze raz zaparzyć herbatę.

– Czy to ma coś wspólnego z dzisiejszą nocą?

Teraz z kolei ona gapiała się na niego, bezgłośnie poruszając ustami. Nie wiedziała, co odpowiedzieć, od czego zacząć.

Pytał dalej:

– No wiesz, chodzi mi o ten zły sen.

W błysnięciu jego źrenic, w nieregularnym rytmie jego oddechu było coś, po czym poznała, że wcale nie kupił tej wymówki.

– Tak, Dom, miałam zły sen.

Uśmiechnęła się do niego.

– Wszystko będzie dobrze, mam, nie martw się.

– Naprawdę, Dominicu?

– Mam nadzieję, mam. Naprawdę. Nie znoszę, kiedy jesteś w takim stanie. Czasem chciałbym coś zrobić, żeby ci było lepiej. Tylko nie wiem, co.

Kochany chłopak. Skinęła głową w podziękowaniu i ruszyła w stronę pralki.



Z wiklinowym koszem pod pachą Kathryn stała przed sznurem do bielizny i całą sobą oddawała się kojącemu działaniu wczesnego poranka. Czuła, jak pierwsze promienie słońca ogrzewają jej skórę, a łagodny wietrzyk unosi jej włosy, by za chwilę pozwolić im opaść z powrotem na miejsce. Orzeźwiała ją to i pomogło odświeżyć umysł. Wzięła głęboki wdech. Starła uleczyć się sama, od środka.

Sięgnęła do koszyka i pieściła w dłoni drewniane spinacze, które wysypały się z torebki i leżały na mokrym praniu. Przed oczami stanęła jej postać matki; w jej oczach zobaczyła troskę. Kathryn potrząsnęła głową, mrugnęła i obraz zniknął.

Klamerki zostały jednak w dłoni – one wiedziały, co będzie dalej. Wetknęła sobie trzy do ust i z Peggy w rękę naciągnęła na sznurze białe prześcieradło, po czym umocowała je za pomocą bezcennych kawałków drewna.

– Dzień dobry, pani Brooker!

– Dzień dobry, pani Bedmaker!

Nie wiedzieć czemu, może była to rozpacz lub histeria, tym razem, słysząc typowe powitanie, wybuchnęła śmiechem. Nie był to krótki i subtelny chichot ani uśmiech, którym osoba dorosła okazuje swoją wyższość wobec komentarzy małych dzieci. Bynajmniej. Kathryn ogarnął niekontrolowany, niepowstrzymany śmiech na granicy płaczu. Nie miała pojęcia, dlaczego tak się stało.

– Dzień dobry, George! Dzień dobry, Piers!

I znów zanosła się śmiechem, potrząsając co jakiś czas głową, by się opanować, ale lzy nie przestawały płynąć.

– Wszystko w porządku, pani Brooker?

– Tak, tak, dziękuję, w porządku.

– Jak minęła noc, pani Brooker?

Spojrzała na bezczelnego George'a Nichollsa, którego odwaga już w czasie najbliższej przerwy miała stać się tematem plotek w świetlicy. W głowie słyszała już szept: „A ona na to: »Tak, w porządku«, na co on pyta: »Jak minęła noc?«, przysięgam, że to prawda, bo Piers z nim był i słyszał, a siostra mojej przyjaciółki chodzi z jego bratem, od niego się właśnie dowiedziała, a ja od niej! Możesz uwierzyć, że tak zapytał? I co odpowiedziała?».

Kathryn myślała długo i gorączkowo. Co ma odpowiedzieć? No, dalej, Kathryn, myśl! Przecież powoli stajesz się elementem folkloru. Wymyśl coś mądrego, postaraj się, na Boga. Pani Bedmaker, słuchamy!

– Och, George, jak zwykle. Wiesz, całą noc nie zmrzyłam oka.

Chwyciła koszyk, puścił do niego oko, po czym odwróciła się na pięcie i pospieszyła ścieżką do domu, do siedzącej przy śniadaniu rodziny.

George i Pierce patrzyli na siebie. To dopiero było coś!

Otworzyła drzwi. Troje członków jej rodziny przerwało nużące przeżuwanie muesli oraz rozmowę, by podnieść na nią wzrok.

– Dzień dobry wszystkim!

Udało się jednak przywołać beztronski głos. W samą porę.

Lydia cisnęła łyżkę do miseczki.

– A niech to, mamó, wyglądasz jak totalna...

– Tak, tak, wiem – stanowczo przerwała córce. – Naprawdę nie chcę słuchać twoich komentarzy

na temat mojego mało przyjemnego wyglądu, Lydio, dziękuję bardzo. Chciałabym zaproponować, żebyśmy nie odzywali się do siebie, jeśli nie jesteśmy w stanie mówić sobie rano miłych rzeczy. Co o tym sądzicie?

Kathryn odstawiała kosz na miejsce. Rodzina przy stole nienaturalnie ucichła. Kathryn wróciła do stołu, sięgnęła po czajniczek i spojrzała na nich przelotnie.

– Cóż – powiedziała, napełniając swój kubek – to nic trudnego.

Syn i córka pod wpływem mrocznej, nerwowej atmosfery wyraźnie stracili apetyt. W milczeniu ze zgrzytem odsunęli krzesła. Mieszkiczki z niedojedzonym muesli odepchnęły na środek stołu, skąd później zbierze je matka-kelnerka, i wymknęli się z kuchni. Niedbale zarzucili plecaki na wątle ramiona i kościste plecy, uginając się pod ich ciężarem.

– Czyżby ktoś dziś wstał lewą nogą? – zapytał Mark niemal śpiewnym głosem.

Uśmiechnęła się słabo, kiedy dotarł do niej komentarz męża.

– Tak. – Skinęła głową.

Spojrzała mu prosto w oczy. Napotkała jasne, ożywione spojrzenie. Gdyby tylko zdobyła się na odwagę... Chciała mu tyle powiedzieć, zadać tyle pytań. Pierwsze już czało się na końcu języka. „Jesteś chory umysłowo, Mark? Dlatego tak się zachowujesz? Postradałeś rozum? Wiesz, że jesteś nienormalny, czy wydaje ci się, że nie jesteś? To musi być choroba psychiczna, na pewno. Kiedy zadajesz mi te potworne cierpienia, kieruje tobą okrutne szaleństwo, niezdrowy umysł. Skąd się to bierze, Mark? Ktoś wyrządził ci krzywdę? Skąd biorą się te pomysły? Co odczuwasz na skutek swojego zachowania? Smutek czy radość? Bo ja odczuwam smutek, Mark. Wielki smutek. Wzięłaś osobę, którą kiedyś byłam, i z premedytacją obdarłaś ją ze wszystkiego, aż pozostało tylko to, co widzisz – pusta skorupa. Dawniej mieszkalam w niej ja, ale teraz już mnie tam nie ma, zostało samo opakowanie. Nie ma mnie. Za twoją sprawą. Dlaczego wybrałaś właśnie mnie, Mark? Dlaczego akurat mnie? Chciałam tyle z siebie dać, miałam tak dużo do zaoferowania. Kiedyś miałam swoje życie...”

Jej mąż ciągnął dalej:

– Cóż, koniecznie musisz się dziś wcześniej położyć, kochanie.

Skinieniem głowy przyjęła pełen aluzji komentarz. Ogarnęła ją niepokonana potrzeba płaczu. Wiedziała, że to kwestia zmęczenia. Znacznie trudniej było znieść to wszystko w stanie skrajnego wyczerpania.

Wypiła dwie filiżanki bardzo mocnej kawy. Wiedziała, że będzie potrzebować paliwa, aby stawić czoło obowiązkowi nadchodzącego dnia, natomiast ich niewykonanie wróżył ponury koniec tygodnia. W niedzielne wieczory Mark siadywał bowiem z listą obowiązków. Przygotowywał ją na komputerze, alfabetycznie wyliczając wyznaczone zajęcia. Za każde niezakreślone okienko, to jest niewypełniony obowiązek, Kathryn otrzymywała jeden punkt. W ten sposób mogła zgromadzić

sześć czy nawet siedem dodatkowych punktów.

Środowe obowiązki zaczynały się od pastowania i polerowania wszystkich „wyjściowych butów” czy też „butów do kościoła”. Należało najpierw nałożyć na nie grubą warstwę pasty, następnie wetrzeć ją twardą szczotką, a potem wypolerować miękką szmatką. Cztery pary butów, po jednej na każdego członka rodziny. Potem wymienić wodę we wszystkich wazonach ze świeżymi kwiatami, by uniknąć brzydkiego zapachu gnijących lodyg. Poprawić poduszki. Opróżnić kuchenny kredens z naczyń i innych przedmiotów, wszystkie przetrzeć wilgotną ściereczką bądź odkurzyć – w zależności od potrzeb, a po umyciu półek poustawiać na miejsce. To samo z szafkami. Umyć wszystkie lustra, żeby błyszczały i nie miały smug. Wygrabić żwirek na podjeździe, rozgarniając go równo i usuwając śmieci i wszelkie inne przedmioty, które mogłyby ukryć się pod małymi kamyczkami.

W przeszłości Kathryn próbowała trochę oszukiwać przy wykonywaniu prac w domu. Wciąż pamiętała jedną z niedziel, kiedy Mark sprawdzał listę obowiązków. Miał w zwyczaju odczytywać czynność, a potem dzień, w którym powinna była zostać wykonana, a następnie czekać, aż Kathryn odpowie: „Wykonałam” lub „Nie wykonałam”. Tej nocy stał za nią, kiedy jak zwykle klęczała przy łóżku. Przeczytał:

– Sprzątnąć w i na szafce na lekarstwa. Piątek.

Wiedziała, że nie wykonała zadania. Coś odciągnęło jej uwagę i po prostu zapomniała. Nie chciała, by ją kaleczył, więc skłamała i odpowiedziała:

– Wykonałam.

Płynnym, celnym ruchem uderzył ją w głowę twardą podkładką, do której przypiął listę. Jej ostry, plastikowy brzeg skaleczył ją tuż pod lewym okiem. Po policzku pocięła jej kropla krwi i kapnęła na białą koszulę. Mark złamał jedną ze swych kardynalnych zasad: nie zadawać widocznych ran wymagających wyjaśnienia osobom postronnym.

– Zobacz, co przez ciebie zrobiłem! – ryknął z wściekłością. – Nigdy, nigdy nie kłam.

Przyciągnął do siebie jej twarz, chwytając ją mocno za podbródek.

– Mów, co to jest?

W dłoni trzymał niewielką kulkę gazetowego papieru. Nie większą od winogrona.

– To... jest gazeta – wyjąkała.

– Zgadza się. A wiesz, gdzie ją schowałem?

Potrząsnęła głową, chociaż mogła próbować zgadnąć.

– Umieściłem ją na szafce z lekarstwami, a na kurzu, który się tam zebrał, napisałem palcem słowo „brudas”. I wiesz, co zobaczyłem, kiedy dziś zajrzałem w to miejsce?

Znowu potrząsnęła głową, doskonale wiedząc, że mimo zadanego pytania, nie chce słyszeć odpowiedzi. To była część gry.

– Kulka z gazety wciąż tam leżała. Był też mój napis „brudas”. Tak więc nie tylko oczekujesz, że będziemy żyć jak w chlewie, ale jesteś też kłamczuchą. To naprawdę bardzo, bardzo niedobrze.

Nie wiedzieć czemu, Kathryn wydało się zabawne, że cienką warstewkę kurzu na szafce z lekarstwami Mark porównał do mieszkania w chlewie.

Dziesięć minut później, kiedy karał ją w sposób przemyślany i bezwzględny, nie widziała w tym już nic zabawnego.

[16] Przeł. Kazimiera Jeżewska.

[17] Ibidem.

Rozdział 8

Rok wcześniej

To był dzień wypełniony zajęciami po brzegi, choć nie bardziej niż zazwyczaj. Kate przygotowywała się na przyjazd nowej lokatorki. Zwykle po pierwszych paru godzinach obcowania z nową podopieczną wiedziała już o niej wszystko, co trzeba. Przez cztery lata prowadzenia Prospect House opanowała tę sztukę do perfekcji. Wiedziała, na co zwracać uwagę i które z mimowolnie wysyłanych sygnałów wylapywać. Drgnięcie przy uścisku dłoni, unikanie kontaktu wzrokowego stanowiły elementy swego rodzaju szyfru. Powoli uczyła się go łamać i odczytywać kryjącą się za nim prawdę.

Nic dziwnego, że miała skłonność do porównywania swego dawnego życia z obecnym. Do wynajdywania różnic i podobieństw nie składaniały jej jednak rzeczy oczywiste. Wręcz przeciwnie. Kiedy ścieżką od bramy nadchodziła dziewczyna, często niedożywiona lub odwrotnie – otyła w wyniku niewłaściwego odżywiania, kurczowo ściskając podartą reklamówkę z całym swoim dobytkiem, myśli Kate natychmiast wędrowały w stronę przyjazdu nowych uczniów do Mountbriers. Z lśniących kabrioletów wysiadali wówczas zaangażowani, podenerwowani rodzice. Matki nieprzeciętnej urody, pielęgnowanej przez chirurgów plastyków oraz ojcowie w garniturach jak spod igły rozpakowywali bagażniki, wyjmując walizki, torby, cenne rzeczy, gadżety elektroniczne – wszystko z metkami dobrych marek, a na końcu plecak, wypchany słodyczami

i kieszonkowym. Fakt, że niektórzy mieli tak dużo, a inni tak mało, fascynował Kate. Przez ostatnie cztery lata, a właściwie przez ostatnich dziewięć lat nauczyła się, że życie jest bardzo niesprawiedliwe.

Na dźwięk dzwonka telefonu drgnęła. Odplynęła myślami za daleko.

– Tak, mówi Kate Gavier. Świetnie, zatem wszystko zgodnie z planem. Tak, tak, ktoś ją odbierze z dworca. Zadzwoń, jak się rozpakuje. Dziękuję.

Powiodła palcami po leżącym przed nią skoroszycie. Zgodnie z tym, co było napisane na białej nalepce strony tytułowej, pociągami o wpół do trzeciej miała przyjechać Tanya Wilson. Kate otworzyła folder i przebiegła wzrokiem po pierwszej stronie, zwracając uwagę tylko na poboczne informacje. Nienawidziła oficjalnych opisów. Najbardziej denerwowało ją to, że o tych dziewczętach od najmłodszych lat pisano raporty i wydawano opinie na ich temat.

Zanim zdążyły ugiąć się pod pierwszą falą dorastania, już zostały opisane, oszacowane i ostemplowane, a ich los na zawsze przypieczętowany. Każdej przypisywano jeden z typów charakteru, „rozpoznawanych” przez system. Oczywiście żadnego z nich nie można było nazwać pozytywnym. Zgodnie z wypełnionymi w trzech egzemplarzach formularzami, z którym Kate miała co dzień do czynienia, dziewczęta prawie zawsze uważano za osobowości niesamodzielne i przypadki beznadziejne.

I tu wkraczała Kate ze swoją załogą. Krótki rzut oka na dokumenty Tanyi wystarczył, by stwierdzić, że jej przypadek jest, niestety, standardowy. W wieku sześciu lat, na skutek przemocy fizycznej, Tanya została odebrana matce. Dwanaście różnych rodzin zastępczych i dwa domy dziecka później okazało się, że trafiła do poprawczaka, a stamtąd do więzienia za udział w kradzieży i posiadanie broni.

Kate nie miała wątpliwości, że w grę wchodziła również prostytutka, narkotyki i cała masa problemów psychologicznych. Gwałtownie zatrzasnęła teczkę i wcisnęła ją do przeładowanej szuflady. Woląla ocenić Tanyę poprzez szczere spojrzenie prosto w oczy i rozmowę. Informacje z teczek były mniej istotne. Wiedziała, że ten opatrzony białymi naklejkami skoroszyt można by w zasadzie podpisać nazwiskiem każdej z jej podopiecznych. Wszystkie miały bowiem takie samo życie. Wszystkie, w pewnym sensie, były tą samą osobą. Ale nie dla niej. I właśnie to usiłowała im udowodnić.

Zastanawiała się, co mógłby zawierać skoroszyt, opatrzony białą nalepką z jej nazwiskiem. „Zimna, bezkompromisowa morderczyni, która porzuciła dzieci i prowadzi obojętne życie na uboczu”. Przypomniała sobie swoje własne słowa: „Wiem, że niektórzy ludzie widzą tylko to, co chcą”.

Jeśli chodzi o wszelkiego rodzaju sytuacje awaryjne, które zdarzały się w Prospect House mniej więcej raz w tygodniu, Kate była do dyspozycji w dzień i w nocy. Podczas czteroletniej praktyki

miała już do czynienia z przypadkami próby samobójczej (dwa razy), pożaru (raz), zalania (raz), bójk (sześćdziesiąt trzy razy) i nieoczekiwanego porodu na podłodze w łazience. Jayden Lee ważył po urodzeniu 3200 gramów, a obecnie mieszkał wraz z matką i jej nowym partnerem w Truro. Życia w Prospect House na pewno nie dałoby się opisać słowem „nudne”.

Kate wiedziała, że podopieczna jest gotowa do odejścia, gdy dokona pełnej przemiany z przypadku „beznadziejnego” w „rokujący nadzieję”. Dla każdej z nich, a było ich dotychczas siedem, wymagało to innego czasu. Ponieważ pojawiały się w Prospect House całkowicie wyzbyte optymizmu i jakichkolwiek powodów do zadowolenia, proces uzdrawiania trwał długo i był mozolny. O sukcesie mogły mówić tylko najodważniejsze – nie wszystkim udawało się go osiągnąć. Dla niektórych odwalenie gruzów, które przysypały ich dotychczasowe życie, i dokopanie się do tego, co było pod spodem, okazywało się trudnym doświadczeniem, a dla jeszcze innych kończyło się rozczarowaniem.

Była to dla Kate gorzka lekcja. Nauczyła się z niej, że czasem, gdy sprawy zabrnęły zbyt daleko, lepiej nie otwierać puszek Pandory. W takich przypadkach nawet Prospect House niewiele mógł zmienić. Jednak odchodząc, każda z dziewcząt miała świadomość, że zawsze może tu wrócić. Dla wielu już samo to stanowiło nadzieję.

Tom minął otwarte drzwi biura ze stertą czystych ręczników w ręku.

– O, Tom!

Cofnął się, uważając, by nie zrzucić sterty.

– Tak, szefowo?

– Nie zapomnij, że Tanya dziś przyjeżdża. O wpół do trzeciej. Czy będziemy mieli dla niej coś do jedzenia? Gdyby była bardzo głodna?

Skinął głową. Nie było sensu mówić, że już o tym pomyślał i że po lunchu przygotuje kanapki. Nie chodziło o to, że Kate była tyranką. Wręcz przeciwnie, wszyscy uwielbiali z nią i dla niej pracować. Ale z taką starannością zabiegała o to, by dziewczętom niczego nie brakowało, że nieustannie i całkiem niepotrzebnie zaprzętała sobie głowę sprawami, w które bez trudu mogli zadbać jej pracownicy.

– Pamiętam o tym.

Uśmiechnęła się w ślad za jego oddalającą się po schodach sylwetką. Jasne, że pamięta.

Kochany Tom.

Wśród lokalnej społeczności Tom był głośnym adwokatem Prospect House. Wychwalał jego zalety każdemu, kto tylko chciał słuchać. Dzięki niemu ośrodek otrzymywał ogromne wsparcie i regularnie odwiedzało go mnóstwo ludzi, z których każdy deklarował pomoc. Głównym celem pierwszej wizyty było zawsze zaspokojenie ciekawości, ale już druga i trzecia wynikały przede wszystkim z tego, że w domu panowała atmosfera ciepła i nadziei. Wciąż pozostało jednak grono

jego zacieklej przeciwników – niewielkie, bo niewielkie, ale jednak. Na szczęście Pernmarin było na tyle duże, że ich ścieżki zbyt często się nie krzyżowały.

Natalie dopiero niedawno opuściła dom. Przebywała w nim osiem miesięcy, a teraz pracowała w miejscowych delikatesach, mieszkała w pokoju nad sklepem i miała stałego chłopaka. Wiele dziewcząt zdobyło przyzwoitą pracę i akceptację społeczną. To były sukcesy Kate. Dziś miała szczerą nadzieję, że kolejnym takim sukcesem okaże się właśnie Tanya.



Kate siedziała na ławce z deszczulek i słuchała głośnego tykania dworcowego zegara. Na białym, drewnianym zadaszeniu wisały koszyki, z których zwisały się zadbane kwiaty. Nie było widać ani jednego śmiecia, żadnego graffiti. Jeśli chodzi o to drugie, to wątpiła, aby ekipa sprzątająca miała z takim zjawiskiem kiedykolwiek do czynienia. Stacyjka była jak z minionej epoki. Nawet zawiadowca kiwał się klasycznie na obcasach wypastowanych na glanc butów, od czasu do czasu zerkając na kieszonkowy zegarek. W ręku trzymał zwiniętą flagę. Brakowało tylko, żeby z zaparowanego wagonu wysiadła Miss Marple w kapelusiku na bakier.

Pociąg – żółto-czerwony pocisk – przyciągnął jednak ze sobą aurę dwudziestego pierwszego wieku i pył dworców, na których zatrzymywał się po drodze. Kate natychmiast dostrzegła Tanyę. Na tle przeróżnych grupek, par i rodziców z dziećmi postać rozglądającej się wokół nastolatki wyróżniała się choćby uderzającą samotnością. Była podenerwowana, nie wiedząc kogo lub czego oczekiwać.

Kate pomknęła w jej stronę z podniesioną ręką. Machała zawzięcie, próbując zmniejszyć strach dziewczyny przed nieznanym. Chude nogi Tanyi obleczone były w obcisłe, czarne dzinsy, a jej kościste ramiona wystawały z szerokich rękawów za dużego T-shirtu. Na nogach miała zniszczone, niechlujnie zawiązane adidas. Rude włosy okalały jej bladą twarz dwoma cienkimi pasmami. Najbardziej charakterystyczną cechą tej twarzy były usta o pełnych, idealnie skrojonych, czerwonych wargach. Dziewczyna przywodziła na myśl delikatną porcelanową lalkę.

– Tanya! Witaj!

– Dzień dobry – odpowiedziała dziewczyna słabym głosem, który ledwo wydobyła z gardła, wysuszonego na skutek stresu lub odwodnienia. Popatrywała to na Kate, to na otaczający ją tłum, to na czysty błękit nieba. Najwyraźniej wrażeń było zbyt dużo, by poradzić sobie ze wszystkimi naraz.

– A więc jesteś, cała i zdrowa. Jak tam podróż?

– Długa. – Tanya wydusiła z siebie słaby uśmiech.

– To na pewno. Jestem Kate i bardzo się cieszę, że cię widzę, Tanyu.

Dziewczyna rzuciła jej nieufne spojrzenie spod grzywki. O co chodzi? Gdzie kryje się podstęp?

Dlaczego ta obca kobieta jest dla niej taka miła? Czego chce?

– Masz jakiś bagaż?

Tanya schyliła się i podniosła małą sportową torbę, która leżała u jej stóp. Torba miała może trzydzieści centymetrów długości, ale mieściła cały jej dobytek.

Ruszyły w stronę parkingu. Kate starała się nie przesadzać z powitaniem. Wiedziała, że nadmiar życzliwości może zniechęcić tak samo jak jej brak. Tanya zastanawiała się, co właściwie robi w miejscu pozbawionym budynków, samochodów, sklepów, śmieci i innych rzeczy, kształtujących jej codzienne otoczenie – znane i bezpieczne.

– Nie mogłaś tu trafić w lepszym momencie. Ostatnio jest cudowna pogoda, a kiedy wyjdzie słońce, trudno wyobrazić sobie wspanialsze miejsce niż plaża. Ciągłe urządzamy tam małe pikniki, siadamy na piasku i gadamy. Rewelacja.

Kate patrzyła, jak dziewczyna zerka na nią spod grzywki, próbując wysondować, jaka pułapka kryje się w jej tonie i dobrej energii. Krótki dystans samochodem pokonały w milczeniu – Kate skoncentrowana na ruchu ulicznym, wzmocnionym w czasie weekendu, a Tanya wpatrzona w przydrożne żywopłoty.

Kate wjechała na podjazd, zgasiła silnik i odczekała chwilę, by Tanya miała czas oswoić się ze splendorem tego miejsca.

– Witaj w Prospect House. Możesz tu zostać tak długo, jak tylko zechcesz, Tanyu.

Dziewczyna skinęła głową.

– No i co? Jakie pierwsze wrażenia?

– Chodzi o ciebie czy o to miejsce?

Kate doceniła jej bystrość.

– O jedno i drugie.

– Dom wygląda jak z amerykańskiego filmu...

Kate uśmiechnęła się i skinęła głową. Rzeczywiście.

– A co do ciebie, to jeszcze nie wiem. Jesteś...? To znaczy, czy...?

– Tak? – Kate ponagliła pytanie.

– Czy to jest chrześcijański ośrodek, czy jakaś sekta? Mam tylko nadzieję, że nie jesteście bandą świrów, bo inaczej od razu wracam na stację i łapię pociąg powrotny. – Wskazała kciukiem na głowę. – Bo wolę siedzieć w pierdlu niż tu z bandą świrów.

Kate roześmiała się głośno i gwałtownie. Z oczu popłynęły jej łzy.

– Och, Tanyu! Nic dziwnego, że jesteś taka przerażona! Myślałaś, że to jakaś sekta? Dziewczyna odrzuciła grzywkę i rzuciła Kate wymuszony, pełen wahania uśmiech. Kate zastanawiała się przez chwilę, czy nie opowiedzieć Tanyi historii o małej rybce, ale odrzuciła tę myśl.

– Nie. Nie, moja droga, nic z tych rzeczy. Ja sama ponad cztery lata temu wyszłam z więzienia. Siedziałam prawie sześć lat za zabójstwo. Janeece – nasza psychoterapeutka – siedziała razem ze mną. Cudowna dziewczyna, na pewno opowie ci o sobie w odpowiedniej chwili. Natasha, która prowadzi u nas terapię sztuką...

– Sztuką? – przerwała jej Tanya.

– Tak, terapię sztuką. Polega ona...

– Nie musisz mi mówić, wiem, na czym to polega. Uwielbiam farby, uwielbiam malować.

Kate spojrzała na dziewczynę. Zobaczyła, że jej oczy się rozszerzyły, a na alabastrowych policzkach pojawił się lekki rumieniec.

– W takim razie wygląda na to, że ci się tu spodoba.

Tanya głośno wypuściła powietrze. W tym momencie obie zdały sobie sprawę, że większą część podróży przebyła na wstrzymanym oddechu.

– No to chodźmy do środka.

Tanya weszła po schodkach na werandę. Torbę, niczym tarczę, przycisnęła do piersi. Miała ją osłaniać przed fizycznymi i psychicznymi ciosami, których spodziewała się nieustannie i które często otrzymywała. Wołała więc być przygotowana.

W domu panowała cisza. Po lunchu każdy zajął się swoimi sprawami. Tom wybrał się z pewnością po zakupy, a Stacey Hill – obecnie jedyna mieszkanka – poszła prawdopodobnie na plażę, gdzie próbowała oczyścić umysł. Ćwiczenie to wykonywała codziennie z nadzieją, że pewnego dnia pomoże jej poukładać skłębione myśli.

– Tanyu, jesteś głodna?

Dziewczyna wzruszyła ramionami. Była zawstydzona – nie dlatego, że rzeczywiście umierała z głodu, ale raczej dlatego, że nie potrafiła tego zakomunikować.

Kate prawidłowo odczytała jej reakcję.

– Może zrobimy tak: ty idź się rozpakować, a ja przyniosę ci kanapki do pokoju. Zgoda?

– Dzięki.

Umowa została zawarta.

Ruszyły na górę. Po drodze Kate pokazała Tanyi salon z puszystymi kanapami, jadalnię, gdzie spożywano wszystkie posiłki, i kuchnię, w której królował ustawiony pośrodku stół. To właśnie tam plotkowało się przy kawie i dużym pudełku chusteczek – jeśli były potrzebne.

Zatrzymały się przy drzwiach pokoju opatrzonego tabliczką z napisem „Marzenie”.

– Każdy pokój ma swoją nazwę. Jest „Życzenie”, „Wiara”, „Wolność”, ale z „Marzenia” rozciąga się najlepszy widok, a poza tym, chcę żebyś miała słodkie sny.

Nacisnęła na klamkę i puściła Tanyę przodem. Dziewczyna skierowała się wprost do okna i wyjrzała na rozciągający się po horyzont ocean.

– Dokąd ono sięga? To znaczy, co jest na drugim końcu tego morza?

– Niezłe pytanie. Nigdy nie byłam najlepsza z geografii. Kiedy tu przyjechałam, musiałam to sprawdzić na mapie. No i okazało się, że gdyby płynąć cały czas przed siebie, pierwszym krajem, do którego by się dotarło, byłaby Kanada.

– Ta koło Ameryki? Robisz sobie jaja?

– Nie, nie, to prawda. Gdybyś dopłynęła aż do przeciwległej plaży, to pojawiłby się tam jakiś kanadyjski policjant konny i podał ci ręcznik. Wyobrazasz sobie?

– Nie umiem pływać.

– Chciałabyś się nauczyć?

– Nie.

Tanya potrząsnęła głową, a potem oparła czoło o chłodną szybę. Jej odpowiedź była głośna i wyraźna. Kate nie miała pojęcia, co stało się przed oczami dziewczyny. Chłopak matki, który ze złością wciska jej głowę pod wodę. Głęboka wanna pełna zimnej wody, nie oddychaj, nie oddychaj...

– Pójdę w takim razie po kanapki, a ty się rozgość. Tutaj jest łazienka, a tu szafa – w zasadzie nie ma co wyjaśniać. Rozpakuj się, ja zaraz wrócę.

Tanya nie oderwała czoła od szyby. Trwała w bezruchu zapatrzona w ocean – szeroki, czarny, ciągnący się do innego kraju, do innego świata, do samej Kanady... Nigdy dotąd nie widziała morza. Tylko w telewizji. Nie wiedziała, że ono żyje – woda nieprzerwanie rozciąga się, podskakuje, wszędzie pozostawiając małe, białe pióropusze. Stała zafascynowana. Nie była przygotowana na jego nieskończony, nieograniczony wymiar.

Kiedy za Kate zamknęły się drzwi, pierwszy raz rozejrzała się po pokoju. Był przepiękny – miał bładniebieskie ściany, podłogę z surowego drewna i śliczny dywanik. Przed małym, wiktoriańskim kominkiem stały dwa wygodne fotele i stolik. Zarówno fotele, jak i łóżko nakryto białymi narzutami, haftowanymi w drobniutkie, zielone gałązki. Jak z pisma o urządzaniu wnętrz. Tanya nigdy nie widziała czegoś równie uroczonego.

Łazienka sprawiała podobne wrażenie. Wisiały w niej duże, miękkie, białe ręczniki, a na wewnętrznej stronie drzwi puszysty szlafrok. Dziewczyna mimowolnie porównała pomieszczenie do łazienki z domu rodzinnego. Jej obraz miała wyryty pod powiekami. Pojawiał się przy każdym mrugnieniu oczami, niczym stałe przypomnienie wszystkiego, przez co przeszła. Pomieszczenie to w największym chyba stopniu symbolizowało zniewolenie, w którym żyła i które na zawsze zostanie w jej duszy. Małe, zagracone, może dwa metry na trzy i pół. Plastikowa wanna, przy jednej ze ścian

ostro wyszczerbiona, z dwoma zielonkawobiałymi zaciekami, prowadzącymi od kranu ku zardzewiałemu odpływowi. Pod samym sufitem niewielkie okienko z mleczną szybą, umieszczone tak wysoko, że ledwo dawało się otworzyć. W charakterze zasłony wisiała na stałe dziecięca bluza od pizamy w paski. Tanya nie wiedziała, skąd mama ją wzięła, w każdym razie do niej nie należała. Wisiała jak pranie rozwieszane do wysuszenia, przypięte klamerkami i dawno zapomniane. Sedes był obrzydliwy. W całym pomieszczeniu śmierdziało moczem i wilgocią.

Na gołej betonowej podłodze ktoś nierównomiernie rozlał żółtą i liliową farbę, choć Tanya nie przypominała sobie, by mieszkanie kiedykolwiek było remontowane. W każdym razie nie nosiło śladów żadnego remontu. Po kątach, za rurami i wzdłuż wanny gromadziło się mnóstwo krótkich, czarnych włosów zmieszanych z kłęбами szarego kurzu, który zdawał się zbierać tylko w tym jednym pomieszczeniu. Na ścianie przy sedesie widniały długie, brązowe zacieki – lepkie ślady starego moczu, pozostałe po niecelnych strzałach pijanego pana domu. Nad umywalką wisiała szafka na lekarstwa, która dawno straciła drzwi. Zawalona była rzeczami, na widok których Tanyę ścisnęło w żołądku. Walały się tam przedmioty dorosłych – tampony, kondomy, żele i eliksiry. Od samego patrzenia ogarniało ją poczucie bezradności i dziwnego niepokoju. Pochodzące z lat siedemdziesiątych krany stałe ciekły, na skutek czego umywalkę zdobiły rdzawe plamy.

Tanya postanowiła, że zacznie od kąpieli w swej nowej, pięknej łazience z błyszczącymi kranami. Nie mogła się doczekać, kiedy poczuje na ciele miękki dotyk szlafroka, a pod stopami gruby, wełniany dywanik. W więzieniu wszystko było liche: twarda wykładzina dywanowa, rozwodnione jedzenie bez smaku, byle jakie mydło, sprana pościel, szorstkie ręczniki i wspólne ubrania. Wszystko cienkie, ledwie wyczuwalne między palcami, kruche i nic nieznaczące. Mimo że się ubrała, było jej zimno, mimo że się wytarła po kąpieli, była mokra, bo ręcznik nie chciał osuszyć jej skóry. Kiedy próbowała zasnąć, szwy na materacu uciskały jej pokryte gęsią skórką ciało, na nic zdało się nędzne prześcieradło.

Tu wszystko wyglądało inaczej. Przedmioty były luksusowe, obszerne, puszyste, miękkie i zachęcające. Nigdy jeszcze nie mieszkała w takim przepychu. Ba, nawet nie było jej dane przebywać w takim wnętrzu. Zmęczenie i zdenerwowanie, nękające ją, odkaąd wysiadła z pociągu, ustępowały powoli miejsca podekscytowaniu. Czy naprawdę będzie tu spać? Czy to naprawdę jej własny pokój, w którym może mieszkać i spędzać czas tak, jak zechce?

Jej myśli rozproszyło pukanie do drzwi. Strach chwycił ją za gardło. Zamarła w bezruchu i czekała, co będzie.

– Tanyu, mogę wejść?

– Tak – zdołała wyjąkać po chwili.

Kate weszła powoli, objuczona tacą z talerzem kanapek, dużym kawałkiem ciasta biszkoptowego, dzbankiem herbaty i jednym kubkiem. Wiedziała, że Tanya potrzebuje samotności,

by się zaaklimatyzować.

– Proszę bardzo, obsługa kelnerska w pokoju! – zażartowała. Kiedy podniosła wzrok, z zakłopotaniem stwierdziła, że z oczu dziewczyny płyną rześiste łzy.

– Och, kochana, proszę, nie płacz. Czekaj, masz tu chusteczkę.

Kate odstawiła tacę na stolik przy kominku i podeszła do szafki nocnej, gdzie stało pudełko pachnących chusteczek.

– Wiem, że to wszystko wydaje się trochę dziwne, ale przysięgam, przyzwyczaisz się i będzie ci tu dobrze! Cieszymy się, że z nami jesteś, Tanyu, naprawdę...

– Nie o to chodzi – przerwała jej dziewczyna.

Kate zaczęła się gorączkowo zastanawiać, jaka może być przyczyna jej płaczu. Może za kimś tęskni? Czuje się samotna? Nie musiała jednak długo zgadywać.

– Nigdy w życiu nikt nie zapukał do moich drzwi i nie spytał, czy może wejść. Nigdy, przenigdy, nigdzie. Nie pamiętam, aby kiedykolwiek mnie to spotkało. Zawsze było tak, jakbym była niewidzialna, jakbym się nie liczyła.

Łzy gorącymi strumieniami znowu popłynęły jej po policzkach. Kate otoczyła plecy dziewczyny ramieniem. Wiedziała, co to znaczy czuć się niewidzialnym.

– Cóż, Tanyu, to nasza zasada domowa numer jeden: wszystkich traktujemy z szacunkiem i nie naruszamy ich prywatności. Twój pokój to twoje sanktuarium, twoja osobista przestrzeń.

– Moja osobista przestrzeń.

Tanya powtórzyła te słowa, próbując zrozumieć ich znaczenie. Myślała, że jeśli wypowie je na głos, być może staną się prawdziwe.



Drzwi do gabinetu były zamknięte. Wyraźny znak, żeby nie przeszkadzać.

Stacey ściągnęła włosy za uszy. Mocno ściągnięty do tyłu koński ogon odsłaniał usiane maleńkimi krostkami czoło. Delikatnie dotknęła czterech złotych kółek różnej wielkości, które zdobiły jej uszy, po czym naciągnęła na dłonie rękawy swetra. Podciągnęła kolana pod szyję i tak zwinęta zapadła się w wygodny bujany fotel przy biurku.

Kate bardzo lubiła Stacey. Dziewczyna dochodziła do siebie po wyjątkowo brutalnym gwałcie. Prospect House zapewniał jej ku temu najlepsze warunki – spokój i szansę na zapomnienie.

– Jak tam, moja droga?

– Chyba dobrze. Trochę lepiej – odpowiedziała Stacey głosem spokojnym jak zawsze.

– Dobrze! Chcesz pogadać?

Dziewczyna wzruszyła ramionami. W niektóre dni nawet najprostsza decyzja wydawała się za trudna.

– Myślałam o tym, żeby wrócić do domu... – powiedziała, odwracając wzrok, jakby czuła, że jest nielojalna, niegrzeczna.

– Cóż. To bardzo dobrze. Tylko ty jedna wiesz, kiedy będziesz gotowa. Oczywiście możesz zostać tak długo, jak tylko zechcesz.

– Wiem. – Stacey uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Czasem dobrze jest spisać swoje myśli. Dlaczego warto byłoby jeszcze zostać, a dlaczego chciałabyś wracać do domu. To może pomóc.

– Nie muszę niczego spisywać, Kate. Wiem, że kiedyś trzeba będzie wrócić do mamy, ale East Ham to małe miasto. Wszyscy wiedzą...

– Stacey, nic złego nie zrobiłaś. To ty padłaś ofiarą, nie zapominaj o tym.

– Tak, wiem, ale ludzie wytykają mnie palcami. Wszystko jedno, dlaczego. I tak czuję się z tym okropnie.

– Wyobrażam sobie, kochanie. Powrót będzie wymagał ogromnej odwagi. – Kate wypowiedziała te słowa, wiedząc, że sama takiej odwagi nie ma. Nigdy w życiu nie wróciłyby do Mountbriers. – Ale przecież masz wsparcie. Mamę i brata, o ile wiem, jesteście z Nathanem bardzo związani.

– To prawda, Nathan jest świetny. Jak byliśmy mali, często zostawialiśmy sami, bo mama zawsze pracowała, więc Nathan pod wieloma względami zastępował mi ją, pilnował mnie, opiekował się i tak dalej. Ale odkąd to się wydarzyło, nic już nie jest takie jak było. Mama nie wie, co powiedzieć, więc obie omijamy ten temat i udajemy, że wszystko gra. A życie Nathana wcale się nie zmieniło. Wciąż pracuje w domu opieki, bardzo się angażuje w swoich staruszków, no i szuka nowego chłopaka. Nie jest już tak jak w dzieciństwie, kiedy byliśmy zawsze razem, a on potrafił mnie rozweselić. Wciąż jest moim najlepszym przyjacielem, ale wszystko się teraz zmieniło.

– To, przez co przeszłaś, nie zmieni jego uczuć do ciebie, Stacey.

– Wiem. I wiem, że Nathan mnie kocha, ale on też nie ma za dużo czasu. Zawsze radził sobie z trudnymi sprawami w ten sam sposób – udawał, że nie istnieją. Żadne z nas nie jest zbyt dobre w szczerych rozmowach. Kiedy umarła jedna z jego ulubionych staruszek, chyba miała na imię Dorothea, chodził jak struty, ale nic nie mówił, dowiedziałam się przez przypadek. U nas w domu takie rzeczy się ukrywa. Udajemy, że nic się nie stało. Potrafimy sobie radzić tylko za pomocą śmiechu. A mnie ogarnia panika na myśl o tym, że jak znajdę się w domu, to będę musiała śmiać się i żartować, podczas gdy wewnątrz jestem cała obolała.

Kate kiwała głową. Rozumiała ją aż za dobrze.

– Wiem, że mama chce, abyś wróciła. To naturalne. Ale decyzja, czy nadszedł na to czas, należy do ciebie, Stacey. Nie ma pośpiechu.

– Chyba tak.

Stacey poruszyła ustami, lecz słowa nie chciały przejść jej przez gardło. Wreszcie zdobyła się na odwagę i wypowiedziała je.

– Tak naprawdę nie chodzi mi o mamę ani o Nathana. Bardziej o ludzi, których jeszcze nie poznałam...

Kate próbowała wyjść naprzeciw jej obawom.

– Nie musisz nic nikomu mówić, chyba że sama zechcesz. Przykre wydarzenia nie decydują o tym, kim jesteś jako człowiek. Na razie dominują w tobie negatywne odczucia, ale one nie są najważniejsze. Z czasem przestaną kontrolować twoje myśli i działania. Przestaną cię dręczyć. Bądź tego pewna.

– Ja... – zaczęła Stacey, ale nie udało jej się wypowiedzieć myśli na głos.

– Co, kochanie?

– Ja... po prostu nie wierzę, że to możliwe, aby mnie ktoś pokochał, albo żebym ja kogoś pokochała, skoro okazało się, że ludzie są tacy wstrętni. Przez to jestem taka smutna. To tak, jakby moje życie skończyło się, zanim jeszcze zdążyło się zacząć. Cieszę się, że mam koleżanki, którym się układa – mają dzieci i tak dalej, ale czasem jestem trochę zazdrosna. Myślę, że mnie to nie spotka. Nie mogę sobie wyobrazić, że wyjdę za mąż, że będę czyjąś żoną. Nie po tym, co się stało.

Stacey niecierpliwie pociągała za guziki swetra.

Kate wyciągnęła rękę w poprzek biurka i ujęła dłoń dziewczyny w swoją.

– Stacey, miłość jest przedziwna, ale i cudowna. Sama kiedyś myślałam – byłam wtedy troszkę starsza od ciebie – że odnalazłam miłość. Okazało się, że to nie miłość, ale coś całkiem przeciwnego, ponieważ miłość to wolność i akceptacja, a ja nie znalazłam ani jednego, ani drugiego. Potem, kiedy zostałam mamą, zalewała mnie taka fala uczuć, że nie miałam pojęcia o istnieniu podobnej siły. Ale i ona została poddana próbie. Pozbawienie człowieka takiej miłości przypomina tortury. Wiem jedno: prawdziwa miłość, kiedy przychodzi, nie osądza ani nie potępia. Akceptuje cię po prostu taką, jaka jesteś, w całości. – Nie wiedzieć czemu, przed oczami Kate stała postać Simona. Otwarty uśmiech, piękna, lśniąca od wody skóra. – Tak samo będzie w twoim przypadku, Stacey, wierz mi. Poczekaaj tylko, a zobaczysz.

– Może i tak – odpowiedziała Stacey, usilnie starając się uśmiechnąć.

– Ja to wiem – odparła Kate. – A kiedy przyjdzie czas, abyś wróciła do domu i odbudowała swoje życie, skontaktuję cię z ludźmi, którzy udzielą ci wsparcia tam, na miejscu. Janeece na pewno też będzie cię odwiedzać.

– Dziękuję, Kate. Chciałabym tylko, żeby było jak kiedyś. Choć być znówu taka jak dawniej. Kiedyś cały czas się śmiałam, śpiewałam, wszystko wydawało mi się zabawne. Cieszyłam się każdym dniem. Nigdy nie miałam dużo, zawsze byłam bez grosza, ale zawsze szczęśliwa.

– Zobaczysz, znówu taka będziesz.

– Mam nadzieję, bo nie mogę już znieść tego okropnego ciąglego uczucia strachu.

Kate ścisnęła rękę dziewczyny.

– Nie zawsze będziesz się tak czuć. Z każdym mijającym dniem stajesz się troszkę silniejsza, aż w końcu odkryjesz w sobie dziewczynę, którą kiedyś byłaś. Zobacz, ile osiągnęłaś przez osiem miesięcy, odkąd tu przyjechałaś. Na początku prawie nie wychodziłaś z pokoju, pamiętasz? A teraz? Sama popatrz: chodzisz na plażę, rozmawiasz. Jest cudownie. Świetnie dajesz sobie radę.

Stacey pokiwała głową. Nie miała odwagi uwierzyć, że to prawda, bo nie przeżyłaby rozczarowania, gdyby okazało się, że jest inaczej.

– A jak ci się układa z Tanią? – Kate zależało na tym, by w domu panowała harmonia.

– W porządku, dość dobrze. Chociaż ona jest z północnego Londynu. To inny świat, Kate.

W życiu nie myślałam, że będę mieszkać pod jednym dachem z kibicem Arsenalu.

Obie się roześmiały.

Kate zastanawiała się, ile dla Stacey znaczyło małżeństwo. Dziewczyna miała urocze, staroświeckie poglądy w tej kwestii, które idealnie odzwierciedlały jej własny stosunek do zamążpójścia sprzed lat i w ogóle stosunek do tematu całego jej pokolenia. Ciekawa była, czy Lydia ma chłopaka. Kate nie wyobrażała sobie, że córka mogłaby wziąć ślub bez jej wiedzy i pod jej nieobecność. Sama myśli, że matka nie towarzyszy córce w doniosłym momencie życiowej zmiany, kiedy młoda kobieta stawia ostatecznie kroki jako panna, by oddać życie i serce drugiej osobie, wydawała jej się nie do pojęcia. Chciała być przy córce, wspierać ją, powierzyć przyszłemu mężowi i na wszelkie możliwe sposoby sprawić, by ten dzień stał się jeszcze wspanialszy. Pragnęła poprawić jej tren, osuszyć umalowane usta, przygotować bukiet.

Ślub córki miała przed oczami od lat, a właściwie od chwili, kiedy siedmioletnia Lydia, owinięta w starą firankę, z kwiatkiem doniczkowym w ręku, nucając *Marsz weselny*, szła chwiejnym krokiem przez hol, desperacko próbując utrzymać równowagę na obcasach lakierowanych butów matki.

Kate wróciła myślami do własnego ślubu. Ostatnimi laty dość często odświeżała go w pamięci, odwracając bieg historii dokładnie w chwili, kiedy celebryjący uroczystość zadawał decydujące pytanie. W nowej wersji wydarzeń obracała się wtedy na pięcie i uciekała, gdzie pieprz rośnie, jedną ręką odrzucając bukiet, a drugą zrywając z siebie starodawny welon. Wypadłszy z kościoła, zbiegała po schodach prosto do zaparkowanego na ulicy samochodu, w którym czekał na nią Pierce Brosnan. Do licha, czemu nie? Bądź co bądź, każdemu wolno pofantazjować.

Jej prawdziwy ślub aż tak dramatyczny nie był, choć wiązało się z nim pewne nieprzewidziane

wydarzenie. Otóż stali z Markiem bardzo blisko siebie, tuż przed księdzem, który szeroko rozłożył ramiona, a pod sklepienie świątyni wzniosły się jego dobrze znane i długo oczekiwane słowa. Kathryn doskonale знаła tekst przysięgi, ba, od dzieciństwa nieświadomie przechowywała go w zakamarkach umysłu, lecz w tym doniosłym momencie, na oczach odświętnie ubranego zgromadzenia rodziny i przyjaciół, omal się nie pomyliła. Pytanie było jasne i proste. W niczym nie przypominało skomplikowanego równania matematycznego czy podchwytliwej zagadki, która mogłaby wywołać pełen konsternacji niespójny bełkot.

– Czy ty, Kathryn Gavier, bierzesz Marka Brookera za męża?

Kate zaczerpnęła powietrza, odpowiednio ułożyła język i przygotowała w myśli słowa odpowiedzi, lecz mimo to jej usta, niczym zaczarowane magiczną siłą, nie chciały się otworzyć. By wydobyć z siebie głos, musiała ją pokonać, a ksiądz, Mark i zebrani goście czekali całe wieki... Gdyby pozwoliła wtedy działać tej sile, gdyby nie walczyła tak zajadle, by wypowiedzieć dwa krótkie słowa, które miały odmienić całe jej życie...



Stacey wybrała się na codzienną przechadzkę po plaży, a Kate powoli udała się do kuchni.

– Kawy? – zapytała Natasha, która akurat stała przy blacie, i podniosła do góry dzbanek świeżo zaparzonego napoju.

– Mmmm... Poproszę.

– Co tam u niej?

– Martwi się o przyszłość i zaczyna myśleć o powrocie do domu.

– To chyba dobrze, prawda?

– Tak. Ale musi być gotowa. Nie chcę jej do niczego przedwcześnie zachęcać.

– Będziesz za nią tęsknić, prawda?

Kate skinęła głową. Tak, będzie tęsknić, i to bardzo. Uśmiechnęła się do przyjaciółki, dając jej do zrozumienia, że rozumie ukryty sens pytania, zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakim grozi zbyt bliska relacja.

Wiedziała, że więź między Stacey a Nathanem to rodzaj związku, jaki łączy ludzi, którzy mieli szczęście doświadczyć miłości zaufanej osoby – brata, siostry lub przyjaciela. Była przekonana, że niezależnie od upływu czasu sama nigdy nie przestanie kochać swej najlepszej przyjaciółki. Nigdy też nie zapomni dnia, w którym Natasha złożyła jej niezapowiedzianą wizytę w więzieniu.

Wspomnienie to zostanie jednak na zawsze zakłócone gorzkim uczuciem rozczarowania, że nieoczekiwanej wizyty nie złożyły jej dzieci...

– Ej, dość już, wracaj do rzeczywistości!

Okrzyk Natashy wyrwał ją z zamyślenia.

– Mówiłam już, że mam mały kłopot z Tanyą. Świetna dziewczyna, naprawdę otwarta na moje sugestie. Wygląda na to, że dobrze się tu czuje. Mam jednak wrażenie, że wykonuje dokładnie to, co jej każę, mówi to, co mnie zadowoli, ale nie otwiera się. Klasyczne zachowanie ofiary przemocy. Zamknijcie na świat.

– Mogę jakoś pomóc?

Kate jak zwykle szukała sposobu, by ułatwić podopiecznej przejście tej bolesnej drogi.

– To nic nowego. Otworzy się, gdy tylko będzie gotowa. Wystarczy spojrzeć na Stacey. W jej przypadku trwało to miesiące. Choć tamta sytuacja była inna. Po pierwsze, Stacey jest ofiarą, nie sprawcą, po drugie ma świetną siatkę wsparcia i warunki, które sprzyjają powrotowi do normalnego życia. Tanya to zupełnie inny przypadek, musimy być bardzo ostrożne. Jest krucha, Kate, wyjątkowo krucha. Nie kupuję jej promiennego uśmiechu i obojętnego wzruszania ramionami. W jej ślicznej główce dużo się dzieje.

– Wiem, Tash, co masz na myśli. Pogadamy o tym z Janeece.

– Dobrze – skinęła głową Tash.

– Wspomina czasem matkę?

– Kilka razy się zdarzyło, ale nic nadzwyczajnego. Od czasu do czasu rzuca jej imię, zwykle przy jakiejś okazji. Wydaje się, że woli rozmawiać o morzu, jest nim zafascynowana. Jej prace są ciemne, zazwyczaj z motywem wody. Albo morze, albo czarnoniebieskie plamy.

Obie zwróciły uwagę na analogię do sińców.

– Nie mogę dojść, czy chodzi tylko o to, że ocean jest dla niej nowością i bardzo jej się podoba, czy podświadomie szuka drogi ucieczki – no, na przykład, żeby odpłynąć ku zachodzącemu słońcu, dosłownie. Teraz pracuje nad obrazem, który mnie trochę niepokoi...

– Co to takiego?

– Znowu morze, ale spod powierzchni wynurza się ręka szkieletu. Dużo czerni, jak zwykle w jej pracach, ale tym razem atmosfera jest wręcz gotycka, z podtekstami jak z horroru. Nie sądzę, aby miała dobre wspomnienia czy skojarzenia związane z wodą.

– Wszystko na to wskazuje. I co chcesz zrobić?

– Zobaczę, co namaluje dalej, i poproszę, żeby to zinterpretowała. Zadam kilka konkretnych pytań. Czasem wykonany obraz działa jak egzorcyzm. Może będzie chciała mi się zwierzyć, zrzucić z siebie cały ten ciężar?

– Opowiadała ci o byłym chłopaku? – zapytała Kate.

– Troszkę. Zdaje się, że to cholerny drań, *comme toujours*^[18]. Wspomniała, że był dilerem, ale natychmiast ugryzła się w język. Wciąż nie jest pewna, ile może powiedzieć. Zdumiewa mnie, jak oni to robią? Muszą mieć jakiś szósty zmysł, którym wylawiają z tłumu najbardziej bezbronne, potrzebujące istoty, a później bez skrupołów je wykorzystują. Jak, do cholery, ci faceci to robią?

Kate zwiesiła bezładnie ramiona.

– Chyba po prostu niektóre dziewczyny na to pozwalają...

– Och Boże, Kate, nie ciebie miałam na myśli!

Natasha w udawanym geście przygany klepnęła się dłonią w czoło.

– Nic nie szkodzi, Tash, naprawdę nie szkodzi. I masz rację. Dla takich dziewcząt jak Tanya najważniejsze jest, żeby wiedziały, że nie są same. Przecież coś takiego może zdarzyć się każdemu. Nawet takiej kobiecie jak ja.

– Dolać ci? – Natasha znowu podniosła dzbanek z kawą.

Kate uniosła kubek, a potem z hukiem odstawiła go na stół. Krople kawy rozbrzyznęły się wokoło, a porcelana rozbiła na drobne kawałeczki.

– O rany, aleś mnie przestraszyła! Co to było?

Przed dom z oghuszającym hukiem silnika zajechał motor.

– Jeszcze dokładnie nie wiem, ale przewiduję, że to nowy pan X, w którego ramionach Tanya szuka zapomnienia. I ma spory motor!

Kate ukryła twarz w dłoniach.

– No tak, jeszcze tylko tego nam trzeba. „Buntownicza bez powodu”.

– Kate, za bardzo się przejmujesz. Dla niej to dobrze, odwróci trochę jej uwagę! Ale trzeba przyznać, że jest szybka. Od jak dawna tu mieszka?

– Już prawie trzy tygodnie.

– No patrz, a my kilka lat, i co?

– Mów za siebie! Osobiście przyjęłam już oświadczyzny na targu rybnym. Parę tygodni temu. Od osiemdziesięciolatka, który jeździ na elektrycznym wózku inwalidzkim i uwielbia ryby!

– Niech to jasna cholera! Ty to masz szczęście! I co mu odpowiedziałaś? – pisnęła Natasha. Kate pomyślała o siostrze, która reagowała podobnie, gdy była mała.

– „Nie”.

– Żartujesz! Oszalałaś? W tych stronach trudno o osiemdziesięcioletnich kierowców pojazdów elektrycznych, w dodatku smakoszy ryb.

– Wiem, wiem, cudem zdołałam się oprzeć. Ale, jeśli mam być szczerą, Tash, to nawet, gdyby to był sam George Clooney z podwójną porcją czegoś pysznego na talerzu, też bym odmówiła. Mam dosyć kłopotów.

– Wzięłaś chociaż jego numer?

– NIE! Już mówiłam, że nie jestem zainteresowana.

– Nie dla siebie, gapo, dla mnie!

Śmiejąc się, wycierały papierowym ręcznikiem rozlaną kawę i zbierały z podłogi ostre porcelanowe drzazgi. Jak przyjemnie jest rozbić filiżankę i nie pocić się ze strachu przed niechybną „karą” za wykroczenie – pomyślała Kate.

Drzwi kuchenne otworzyły się nagle i stanęła w nich Tanya. Miała zarumienione policzki, a włosy w uroczym nieładzie. Wyglądała prześlicznie.

– Witaj, co to był za huk? Jechałaś motorem? Jeśli tak, to mam nadzieję, że w kasku.

Kate zdawała sobie sprawę, że jej ton brzmi trochę za ostro, ale uznała, że tym razem nie ma rady. Pragnęła, by Tanya zadawała się tylko z chłopakami, którzy będą postępowali właściwie i traktowali ją jak trzeba. Natomiast osoba, która odjeżdża z hukiem, nie odprowadzwszy dziewczyny pod same drzwi i nie przedstawivszy się jej opiekunom, według standardów Kate, spisana była na straty. Wieloletniej mieszkance Mountbriers trudno było odejść od tradycyjnej etykiety, której tam wymagano.

Kate czuła się odpowiedzialna za swoje podopieczne i trudno jej było zachować obiektywizm. Nie potrafiła spojrzeć na nowego wielbiciela Tanyi inaczej niż przez utarty schemat: nieodpowiedni chłopak, zle towarzystwo, nadchodzące kłopoty.

– Dzięki, Kate, ale jestem już duża. Zresztą, prosiłam go, żeby załatwił mi kask – odparła Tanya, przewracając oczami.

– To całe szczęście. Po pierwsze, jazda bez kasku to wykroczenie, a po drugie, nasze drogi są kręte i niebezpieczne. A ja nie chcę, żeby coś ci się stało.

– Tak, tak. Kręte i niebezpieczne, rozumiem. Mogę już iść?

– Oczywiście, że możesz. Chciałam tylko zwrócić twoją uwagę na zagrożenia i zainteresować się twoim nowym znajomym. Fajnie byłoby, gdyby następnym razem przyszedł się przedstawić.

– Eee... chyba nie. To byłoby dziwactwo.

– Tanyu, troszczę się o ciebie. To wszystko jest dla ciebie nowe, więc nie spiesz się, działaj powoli.

– Nie, nie o to ci chodzi, Kate. Po prostu nie chcesz, żebym była szczęśliwa. Wolisz, żebym tu żałośnie siedziała, wciąż załamana jak ta Tracey, czy jak jej tam na imię. A ty będziesz wtedy moją uzdrowicielką i dzięki temu poczujesz się nieco lepiej, bo sama masz gówniane życie. Dlatego prowadzisz ten dom, prawda?

Odpowiedź Kate była zrównoważona.

– Bardzo bym chciała, żeby tak było. Żebym mogła pomóc tobie i jednocześnie uleczyć siebie samą, ale niestety tak nie jest.

Tanya zakryła twarz rękami. Po chwili przez szpary między szczupłymi palcami wydobył się głos:

– O Boże, Kate, przepraszam. Nie wiem, czemu to powiedziałam. Nie chciałam.

– Nic się nie stało. Cieszy mnie, że nie boisz się powiedzieć tego, co myślisz. Jeszcze kilka tygodni temu skinęłabyś tylko głową i zgodziłabyś się na cokolwiek. W bardzo krótkim czasie zrobiłaś wielki postęp.

– To wszystko dlatego, że nie jestem przyzwyczajona, aby ktoś był dla mnie miły. Wydaje mi się, że każdy komentarz prowadzi do kłótni, więc od razu bronię swojego zdania.

– Rozumiem. Nie martw się. I skończmy już ten temat.

Tanya, zamysłona i jakby pokorna, ruszyła po schodach do swego pokoju.

Natasha w milczeniu obserwowała zajście zza kuchennego barku.

– Jesteś niesamowita. Wiesz o tym?

Kate w odpowiedzi tylko uniosła brew. Tak bardzo żałowała, że nie może w ten sposób upominać swojej Lydii... Że jej tu nie ma.



Wtorkowe wieczory Tom, otoczony tłumem wielbicieli, spędzał w Lobster Pot. Tego właśnie dnia odbywały się tam tak zwane wieczory otwartego mikrofonu, podczas których mężczyzna dawał gratisowe koncerty. W związku z tym tego dnia Kate przypadał dyżur w kuchni. Natasha wyjechała do Truro na seminarium poświęcone plastyce i rzeźbie, a Kate podawała dziewczętom kolację. Głęboko wbiła łyżkę w zapiekankę rybną. Ze szczeliny w chrupkiej powierzchni zrumienionych tłuczonych ziemniaków z masłem buchnęła para.

Tanya zmarszczyła nos.

– Nie mów, że nie lubisz, dopóki nie spróbujesz – uprzedziła ją Kate.

– Przecież nawet się nie odezwałam!

– Nie musiałaś! – zaśmiała się Kate. – Wystarczyło, że zmarszczyłaś nos.

– A dla mnie wygląda smakowicie – włączyła się do rozmowy Stacey.

Kate uśmiechnęła się do zawsze wdzięcznej, pozytywnie nastawionej dziewczyny.

– Nie podlizuj się tak! Zjadłabyś nawet zapiekankę z gówna, gdyby Kate ją ugotowała.

Riposta Tanyi była cięta i przewidywalna.

Kate nie skomentowała jej. Z doświadczenia wiedziała, że wtrącanie się w kłótnie młodzieży rzadko daje dobre efekty. W piersi poczuła ukłucie bólu, które rozeszło się falą po całym ciele. Kiedyś wydawało jej się, że tęskni się za ludźmi, którzy dawno odeszli. Teraz odkryła, że można też

tęsknić za czasami, które minęły, a dokładniej, za konkretnymi chwilami. Za chwilami, kiedy syn i córka byli jeszcze pod jej skrzydłami i gdy toczyli wieczne spory przy stole.

Brakowało jej gotowania dla dzieci. W przygotowywaniu jedzenia dla potomstwa było coś pierwotnego. Związane z tym czynności należały do zestawu codziennych, zapewniających poczucie bezpieczeństwa rytuałów, które przez tyle lat wyznaczały bieg jej życia. Czasem przypominała sobie małą, pulchną rączkę w swojej dłoni, lepką buzię, podniesioną w górę w oczekiwaniu na buziaka, lub pachnącą sianem dziecięcą główkę. Wtedy w jej oczach zbierały się łzy. Jej dzieci. Tak dawno odeszły. Wobec swoich podopiecznych spełniała wieloraką funkcję: była ich terapeutką, opiekunką i obrończynią, nigdy jednak matką – nawet kiedy znikaly bariery, a w sercach gościła nadzieja. Natasha, która nie miała dzieci, w momentach ostrych sprzeczek przy stole tylko się uśmiechała. Jeśli chodzi o życie w rodzinie, nigdy nie zaznała większych wyzwania.

Tanya włożyła sobie porcję zapiekanki do ust i teraz mogła już w pełni autorytatywnie stwierdzić:

– Nie lubię zapiekanki rybnej.

Powiedziawszy to, niczym zbuntowana nastolatka założyła ramiona na piersi.

Kate spojrzała w jej upartą twarz.

– Jeśli o mnie chodzi – odrzekła śpiewnym głosem, jednocześnie zabierając stojący przed Tanya talerz i opróżniając go do kosza – równie dobrze możesz trochę pogłodować.



Kate z zadowoleniem odprawiła dziewczęta, które miały zamiar spędzić wieczór poza domem. Stacey wybierała się do kina znajdującego się w ratuszu, a Tanya do pubu, zapewne po to, by wyśmiać się z wysiłków wokalnych Toma. Nieczęsto zdarzały się chwile luksusu, gdy cały dom miała dla siebie. Nalała sobie duży kieliszek wina i zapaliła lampy w salonie. Natychmiast zrobiło się przytulnie. Została sama. Czekają ją parę godzin spokoju, będzie więc mogła zebrać myśli. Za życia Marka wieczory stanowiły najgorszą część dnia, kiedy nieuchronnie zbliżała się przerażająca pora snu. Teraz ten czas należał do niej. Mimo upływu lat, na myśl o niczym niezakłóconej, spokojnej nocy wciąż przechodził ją błogi dreszczyk rozkoszy.



Dźwięk dzwonka i brzęk zbieranych szklanek ogłosiły zamknięcie pubu, który opustoszał dosłownie w kilka minut. Wstawione towarzystwo wysypało się na świeże powietrze, wciąż przesycone ciepłem cudownego, letniego dnia. To był jeden z tych wieczorów, po których noc nigdy na dobre nie zapada. Mimo późnej pory na niebie utrzymywał się jasny blask, przypominający o zbliżającym się z wolna poranku.

Tom był w swoim żywiole. Ani na chwilę nie przestawał wyśpiewywać szant i innych melodii. Zarówno tubylcy, którzy znali słowa starych, miejscowych pieśni, jak i przyjezdni, podchwytywali je ochoczo, wybijając rytm tupaniem albo klaskaniem. Minął właśnie jeden z uroczych, niezapomnianych wieczorów.

Tanya stała na końcu baru. Przechyliła na bok głowę, a rude włosy opadły jej na ramię. Kask – pierwszy i ostatni prezent od motocyklisty – wetknęła pod pachę. Była gotowa wracać do domu.

Rodney jednym haustem wychylił resztkę whisky i uśmiechnął się do niej. Dziewczyna była cudowna. Wiedział, że to nie za sprawą alkoholu wydawała mu się nieodparcie atrakcyjna. Przyciągnęła jego uwagę już za pierwszym razem, kiedy ją zobaczył. Najbardziej pociągały go kobiety, które nie szukały romansu i czułych słówek. Domyslał się, że nikt nie rozpieszczał jej czekoladkami, kwiatami i szampanem. Łup będzie więc łatwy.

– Niezły wieczór, prawda?

– Bywały lepsze. – Uśmiechnęła się.

Spodobała mu się jej zdecydowana odpowiedź. Diametralnie różniła się od bezmyślnego gadania głupich dziwek, które chichotały z każdego jego słowa, marzyły o tym, by zamieszkać w jego domu, a przynajmniej popłynąć na całodniowy rejs jego jachtem. Cięta riposta dziewczyny powiedziała mu wszystko, co chciał wiedzieć. Szykowała się zabawa bez zobowiązań. Chłopaka od zmywania i barmankę przezornie odprawił wcześniej, jakby podświadomie przygotowywał scenę na długo wyczekiwane przedstawienie, które właśnie się rozpoczęło. Doskonale.

– Dokąd się wybierasz z tym kaskiem? – Wyszczrzył zęby i wskazał palcem plastikowy przedmiot.

– Nie wiem. Jakieś propozycje?

Jej riposta może i byłaby seksowna, gdyby nie smutna poufalość, z jaką wypowiedziała te słowa. Miała pomalowane błyszczkiem usta i próbowała przybrać pozę lolitki. Właśnie w ten sposób działała – wabiła ich, dawała, co chcieli, by tylko poczuć się kochaną.

Rodney podszedł do Tanyi niespiesznie i powoli wciągnął ją za bar. Zachichotała, choć wcale nie było jej do śmiechu. Wiedziała jednak, że tego od niej oczekują. Że taki śmiech oznacza przyzwolenie, mówi: „Śmiało, dalej, to tylko niewinna zabawa”.

Objął ją od tyłu i sapiąc jej prosto w szyję, napawał się zapachem młodego ciała. Wsunął rękę pod cienki materiał jej koszulki. Płaską dłońią okrężnymi ruchami masował białą skórę dziewczyny. Miejsca, których dotykał, od razu stawały się ciepłe. Tanya powoli się odwracała, aż stanęła z uwodzicielem twarzą w twarz. Był stary. Przyglądała się siatce bruzd i zmarszczek, zauważyła kępi skorstkich włosów pokrywających jego głowę.

Z pogardą poddała się nieumiejętnym pocałunkom. Zawsze myślała, że im starszy kochanek, tym lepiej całuje, ale najwyraźniej ta zasada nie zawsze się sprawdzała. Przy jej kruchej, szczupłej sylwetce wydawał się olbrzymem. A jednak wiedziała, że zaraz go powali, że nad nim zapanuje. Jego niecierpliwość uznała za zabawną. Gmerał przy pasku, nieporadnie chwycił za guziki, łapał, macał, nie mógł powstrzymać żądy. Pogardliwie pomyślała, że pod tym względem wszyscy mężczyźni są tacy sami. Niezależnie od tego, czy mają dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści, czy pięćdziesiąt lat... W tej chwili liczyło się tylko pożądanie i tęsknota, które ona mogła zaspokoić. Pod zamkniętymi powiekami ujrzała wszystkich byłych i obecnych kochanków. Łączyło ich spore podobieństwo.

Dziwna para osunęła się na lepkie, czerwone linoleum za barem. Wokół unosił się zapach piwa i słodkawa woń rozlanego wina. Nie padło ani jedno czułe słowo. Nie było miejsca na towarzyszące zbliżeniom tkliwość i intymność. Akt był czysto fizyczny. Zwierzęcy, niemal agresywny.

Tanya śmiała się prosto w jego, odziane w kraciastą koszulę, zwiotczałe ramię, które dawno już straciło kształt i siłę. Podobało jej się to chwilowe poczucie władzy. Zawsze tak było. Czowała wtedy wyższość. Fakt, że zniewoliła miejscową grubą rybę, właściciela drogiego samochodu i grubego cygara, znawcę i smakosza życia, napawał ją satysfakcją. Przez kilka sekund czuła się tak, jakby to ona smakowała tej wytwornej egzystencji.

Chciała, żeby zwolnił. Miała nadzieję na parę miłych słów. Nie padło ani jedno.

Nie dane jej było długo cieszyć się tym uczuciem. Nie wiedzieć kiedy, zaczęły zbierać porozrzucane ubrania, przewracać je na prawą stronę, poprawiać rozczochrane włosy. Wszystko w ciszy. Cisza ta jednak nie wynikała ze wstydu czy choćby skrępowania, ale raczej, sądząc po wyrazie twarzy Rodney'a, z pośpiechu i odrazy.

Towarzyszące Tanyi poczucie wszechmocy natychmiast przysło. Zastąpił je przemożny wstręt do samej siebie. Świetnie go znała. Nie wniósł w jej życie niczego nowego.

Rodney pomachał w jej kierunku kluczami, jasno dając do zrozumienia, że najwyższy czas się zbierać. Trudno było o większe upokorzenie. Nie odezwał się do niej ani słowem – zdobył się jedynie na potrząśnięcie pękiem kluczy, by kawałki metalu, uderzając o siebie, przyciągnęły jej

uwagę. Tak samo mógłby postąpić wobec małego dziecka lub nieposłusznego psa. Wyciągnął rękę. Miała nadzieję, że poczuje na twarzy pieszczotliwy dotyk jego dłoni. To by pomogło. Nic z tego. Uszczyptał ją w policzek, jak dobry wujaszek psotnego siostrzeńca lub srogi nauczyciel niesfornego ucznia.

Wysadził ją na początku podjazdu. Ledwie zdążyła postawić na ziemi stopy, a już kawasaki z rykiem silnika odjechało w noc. Przez okna Prospect House sączył się miodowy blask lamp, przemysłnie porozstawianych wszędzie przez Kate. Tanya wsunęła klucz do zamka.

Zastała Kate na kanapie, pod kocem, z książką w ręku.

– Witaj, kochanie, jak tam, dobrze się bawiłaś?

– Uhm, nie najgorzej. Jeśli krótki numerek na podłodze za barem to dobra zabawa.

Zamierzała wywołać szok, przenieść część własnego napięcia na kobietę, która była łatwą ofiarą.

Kate wyprostowała się. W obliczu takiego tematu *Zakłęci w czasie* tracili znaczenie.

– Nie, prawdę mówiąc, nie uważam tego za dobrą zabawę. Jestem trochę staroświecka, jeśli o to chodzi. Wolę przynajmniej materac, no i jakieś zaloty przedtem albo chociaż paczkę chipsów. Ale to tylko moja opinia.

Kate nie chwyciła przynęty. Wszystko to już widziała i słyszała. Powstrzymała się od zadania wielu pytań, które miała na końcu języka. Kto to był? Po co to robisz? Dobrze ci z tym? Skrzywdził cię, czy jesteś szczęśliwa?

Kate odwinęła koc z nóg i zamknęła książkę. Henry DeTamble, zagubiony gdzieś w czasie, znowu będzie musiał poczekać na jej zainteresowanie. Wiedziała, że to zrozumie, przywykł już pewnie, że w ważnych chwilach schodzi na drugi plan.

– Cóż, najważniejsze, że wróciłaś cała i zdrowa. Mogę spokojnie kłaść się spać.

Tanya podeszła niepewnym krokiem i usiadła na sofie obok Kate. Łzy płynęły jej po policzkach, spadając prosto na rozchylone usta. Zwykle nie była podatna na ponure refleksje, ale mieszkając w tym cudownym miejscu, oczekiwała, że jej życie również zmieni się na lepsze, że ona sama ulegnie przemianie. Tak się jednak nie stało. Nie zmieniła się. Niezależnie od tego, czy przebywała w gronie starych znajomyków, czy tu, w nadmorskim kurorcie jak z pocztówki, wciąż dawała mężczyznom to, czego chcieli. Wiedziała, jak uwodzić, ale nie wiedziała jak kochać. Po prostu nie umiała.

– Och, Kate, Kate...

– Wszystko dobrze, kochanie, jesteś w domu, cała i zdrowa.

Przygarnęła wątlą dziewczęcą postać do siebie i powiedziała prosto w jej włosy:

– Jutro rano poczujesz się lepiej, sama zobaczysz. To minie, jak wszystko inne.

Kate uśmiechnęła się, cytując radę, którą kiedyś sama dostała od przyjaciela.

Siedziały razem, dopóki Tanya nie zasnęła. Kate wyswobodziła się z jej objęć. Starła się nie

obudzić dziewczyny, która z całą pewnością potrzebowała zapomnienia, jakie niesie sen. Otuliła jej drobne ramiona bladoróżowym, wełnianym kocem i wsunęła pod głowę poduszkę. Na razie Tanya była spokojna.



– Dzień dobry wszystkim!

Tom był w dobrym humorze.

– Przed chwilą widziałem Rodneya na przystani. Ten człowiek wygląda jak kompletny dureń!

Kate nie zastanawiała się długo. Wsunęła adidas, wymknęła się tylnymi drzwiami i zbiegła drogą w dół. Nie zawsze wiedziała, gdzie szukać Rodneya, teraz nadarzała się więc doskonała okazja.

Znalazła go na pokładzie jego dość ostentacyjnego jachtu o nazwie „Lady Permmarin”. Miał na głowie idiotyczną czapkę marynarza ze złotym otokiem i wyszytą z przodu dużą kotwicą. Można było kupić taką za parę pensów w pierwszym lepszym lokalnym sklepiku z pamiątkami. Zajęty był zwijaniem liny. Kate, choć nie miała żadnego doświadczenia w żeglarskim, wiedziała, że czynność ta nie ma większego sensu, chyba że jej głównym celem jest pokazanie się na pokładzie. Tom dobrze to ujął – kompletny dureń.

– Cześć, Rodney!

Kate pomachała do niego z pomostu.

– Kiedy wypływam w morze, jestem kapitanem Rodneyem, miła panno!

– Jasne. Czy możemy zamienić słówko?

Zignorowała jego znakomity humor. Sama nie była w nastroju do żartów.

– Oczywiście, zapraszam na pokład!

– Ech, tego się właśnie obawiałam – jęknęła Kate. Niezgrabna z niej była żeglarka. Kurczowo trzymała się relingu, a stopy stawiała ostrożnie w obawie, że za chwilę może się znaleźć w wodzie.

– Kate, co za miła niespodzianka. Proszę, wejdź do środka.

Ręką wskazał schodki prowadzące do kabiny i jak karykaturalny zboreźnik poruszył zaniedbanymi brwiami.

– Nie, dziękuję. Powiem, o co mi chodzi i już mnie nie ma.

– Och, to brzmi groźnie.

– Chcę porozmawiać o Tanyi.

– A, o cudnej Tanyi! Słucham!

– Rodney, to nie jest śmieszne. Ani trochę. W rzeczywistości przysłałam cię prosić, żebyś zostawił ją w spokoju.

Rodney zaśmiał się i lekko potrząsnął głową, jakby nie wierzył własnym uszom.

– Nie wiem, co ci naopowiadała o mych niecnych czynach, ale pozwól, że cię zapewnię, że ona sama...

– Ani razu nie padło twoje imię – przerwała mu Kate. – To ja mam z tym problem, nie ona.

Jakikolwiek związek z tobą, jeśli coś takiego chodzi ci po głowie, na dłuższą metę tylko ją skrzywdzi. Zależy mi na niej tak samo jak na wszystkich pozostałych dziewczynach.

– Związek? Dobry Boże! Kate, ty chyba nie wiesz, co mówisz. – Rodney ryknął śmiechem.

Rozbawił go sam pomysł, że mógłby wejść z Tanią w jakąkolwiek relację.

– Rozumiem. To wszystko wyjaśnia. Wiesz co, Rodney? Dupek z ciebie, cholerny drań i dupek!

– Już mówiłaś, że dupek.

– Wiem, ale nie umiem kląć publicznie. Inne słowo nie przyszło mi do głowy.

– Kate, a może tu chodzi o coś innego? Czyżbym wyczuwał zielonookiego potwora? Może to nie fair, bo biedna Kate jest samotna?

Mrugnął do niej okiem.

– Och, błagam, Rodney! Rzygać mi się chce, kiedy słyszę coś takiego. Pozwól, że cię o coś zapytam. Jak to się stało, że jesteś taki, jaki jesteś? W jaki sposób wykształciła się twoja nieszczęsna osobowość?

Gapił się na nią, nie wiedząc, czy rzeczywiście oczekuje odpowiedzi. Nie oczekiwała.

Kate mówiła dalej:

– Założę się, że jeśli jesteś choć trochę podobny do mnie, to twoja osobowość wykształciła się dzięki ludziom, których poznałeś, miejscom, które zwiedziłeś, edukacji, podróżom, rozmowom z osobami różnego pochodzenia, rasy i religii.

– Chyba tak.

Wzruszył ramionami i podrapał się w głowę pod czapkę. Nie do końca łapał, o co jej chodzi. Wolałby, żeby od razu przeszła do sedna sprawy.

– No więc Tanya takich możliwości nie miała. Jeszcze nie. Może wygląda jak dorosła, czasem nawet tak się odzywa, ale dorosła nie jest. Żądam, żebyś zostawił ją w spokoju. Niech doświadcza życia, jak trzeba, a nie zadając się z kimś, kto mógłby być jej ojcem, jeżeli nie dziadkiem! Stanowczo nalegam, żebyś się od niej odsunął, ponieważ jest krucha i nie chce patrzeć, jak ją krzywdzisz.

– Och, Kate, błagam, „krzywdzisz”? Co za określenie w odniesieniu do zabawy po pijanemu, na którą zresztą obie strony wyraziły zgodę. Chyba dramatyzujesz. Ale jeśli chcesz wiedzieć, to nie zamierzam tego powtarzać. Moja ciekawość została całkowicie zaspokojona.

Wyprostował się, by górując nad nią wzrostem, podkreślić słuszność swych słów.

Kate dostrzegła złośliwy uśmiezek na jego rumianej twarzy i usłyszała szyderstwo w głosie.

Zalala ją złość. Jak śmie wykorzystywać jej podopieczną, by zaspokoić swoją „ciekawość”, jak śmie robić coś takiego Tanyi?

– Jesteś pieprzonym gnojem, Rodney, jesteś odrażającą namiastką mężczyzny, jesteś pomyłką. Panoszysz się w Permmarin, bo włożyłeś parę funtów w kilka restauracji i myślisz, że jesteś tu panem i władcą. Ci, którym stawiasz drinki, nie znoszą cię, wiesz o tym? Ty wredny chamie! Jesteś małą rybką w bardzo małym jeziorcu, nie żadną grubą rybą. Jesteś nikim. Dupek!

Rodneya zatkało.

Kate odwróciła się na pięcie i pewnym siebie krokiem zeszła na pomost. Natasha miała rację. Wygłoszenie tyrady przy użyciu przekleństw działało jak katharsis.



Kate przelknęła ślinę. Wstrząsnęła nią fala mdłości. Drżały jej ręce, a w żołądku miała twardą gulę. Nieprzyjemna wymiana zdań z Rodneyem wręcz fizycznie ją wyczerpała. Od dłuższego czasu w jej codziennym życiu nie było miejsca na agresję. Kiedy więc ponownie do niego wkroczyła, wywołała szok.

Przed wejściem do kuchni wzięła głęboki oddech. Nie chciała, by ktokolwiek widział ją w tym stanie.

– Szefowo, wszystko w porządku?

Tom miał ręce po łokcie zanurzone w mydlinach.

– Tak, Tom, w porządku.

Błysnęła uśmiechem, który natychmiast zgasł.

Tom wskazał głową szeroki parapet.

– Tanya zostawiła wiadomość.

– Wiadomość? A dlaczego?

Tom wzruszył ramionami i wydał wargi. Skąd mógł wiedzieć?

Kate przebiegła wzrokiem pospiesznie nabazgraną karteczkę i zakryła twarz dłońmi.

– A niech to cholera!

– Może zrobić herbaty?

Tom wytarł ręce i sięgnął po czajnik.

Kate skinęła głową.

– Wróciła do Londynu.

– Na dobre?

– Nie. Piszę, że na „trochę”. Żebym to ja wiedziała, co ona przez to rozumie. Co ja najlepszego zrobiłam! Ona powinna być tutaj, nie tam!

Kate walnęła pięścią w stół. Trudno jej się było pogodzić z faktem, że nie ma kontroli nad ludźmi, którym pragnie pomóc. Ani nad Dominikiem, ani nad Lydią, ani nad Tanyą...

– Szefowo, ona wróci. Nie wyglądało, żeby miała tam dużo do roboty.

Kate skinęła głową. Z całego serca chciała wierzyć, że Tom się nie myli. Ruszyła do drzwi. Postanowiła zebrać myśli podczas spaceru po plaży.



Z ponurych rozmyślań wyrwał ją dźwięk klaksonu zwiastujący przybycie Janeece. Niewątpliwie Tom skierował ją prosto na plażę.

– Dzień dobry, witaj, Kate!

– Ee, spadaj z mojego miejsca!

Stary żart wciąż wprawiał je w dobry humor.

Kate pomachała jej z koca i zmusiła się do uśmiechu.

– A mnie się wydaje, że to miejsce należy do wszystkich.

– O rany, Kate, za każdym razem, kiedy tu przyjeżdżam, wydaje mi się, że do Permmarin jedzie się o pół godziny dłużej!

Janeece rzuciła się na mokry piach i długo, mocno uściskała Kate.

– O cholera, pogmiotłam sobie ubranie!

– Ślicznie wyglądasz.

Kate mówiła prawdę. Janeece miała na sobie trawiastozieloną prostą tunikę, wyszywaną przy dekolcie i rękawach uroczymi guziczkami oraz koralikami. Spod tuniki wystawały jaskraworóżowe dzinsy długości trzy czwarte z podobnie ozdobionymi nogawkami. Janeece dobrze wiedziała, jak się ubrać, by podkreślić swoją urodę silnej kobiety. Wybierała ostre kolory i zdecydowane wzory, których mniej wyraziste osobowości zwykle unikały.

– Nie przypuszczam, żebyśmy przesuwali się coraz dalej na mapie, to raczej kwestia twojego kiepskiego samochodu. Ile razy ci mówiłam, żebyś wzięła jeeпа. Przecież możemy się wymieniać.

Mój jest dużo lepszy na dłuższe trasy, a twoje auto w zupełności wystarczy na wycieczki na stację i po zakupy.

– Ciii, bo jeszcze cię usłyszy. Samochody też mają uczucia, nie wiedziałaś? W życiu nie zamienię mojej Bessie na nic innego. To mój pierwszy duży zakup. Kocham ją i tyle.

– Jan, z wiekiem robisz się coraz bardziej sentymentalna.

– Mentalna – owszem, ale miałabym obiekcje w kwestii przedrostka.

– Jak dzieciaki? – zapytała Kate.

– Cóż, wiem, że gadam jak każda matka, ale jestem przekonana, że to najpiękniejsze istoty na świecie. Jared już chodzi, co prawda, jeszcze bardzo chwiejnie, zatacza się jak pijany. Za to Eliza gada jak najęta. Nie da się jej uciszyć, słowo daję.

– Ma to pewnie po ojcu.

– Ha! Dobre sobie. Twierdzi, że jak dorośnie, zostanie astronautą. Powiedziałam, że chyba raczej astronautką, ale gdzie tam, ona swoje. Albo jej nastawienie do płci zmieni się z wiekiem, albo będę musiała złapać kontakt do Cher, żeby mi poleciła dobrego chirurga!

Zaśmiały się i równocześnie spojrzały na siebie. Odkąd Janeece założyła rodzinę i przeniosła się do Bristolu, widywały się tylko raz w miesiącu, gdy Janeece przyjeżdżała do Permmarin na sesje terapeutyczne z dziewczętami. Jednak wciąż były ze sobą tak zżyte, że szybko dostrzegały najdrobniejsze zmiany w nastroju czy zachowaniu drugiej.

– A teraz powiedz szczerze, Kate, co słychać?

Janeece zbyt dobrze знаła przyjaciółkę, by nabrać się na jej powierzchowny uśmiech.

Kate wbiła wzrok w piasek. Nie chciała dać po sobie poznać, że jest jej źle.

– Generalnie wszystko w porządku. Choć czasem strasznie tęsknię za Lyd i Domem, aż do bólu. Dosłownie. Czuję ból w sercu.

– Gdybym tylko mogła ci pomóc...

Kate złapała ją za rękę.

– Pomogasz mi, Jan. Naprawdę.

– Chciałam ci coś pokazać. Miałam zamiar to zostawić i wyjechać, ale w zasadzie wszystko jedno.

– Co takiego? – Kate była zaintrygowana.

Janeece pogmerała w dużej, patchworkowej torbie, wyciągnęła lśniąca ulotkę i podała ją Kate.

– Roczny program wydarzeń kulturalnych w West Country. Otwórz na stronie dwunastej i zobacz, co się tam odbędzie za parę miesięcy.

Kate zrobiła to i jej spojrzenie natychmiast powędrowało w prawy górny róg strony, gdzie widniała niewielka, czarno-biała fotografia. Przedstawiała Lydię.

– Och, Jan, jest taka piękna i taka dorosła! Patrz! – krzyknęła, starając się powstrzymać łzy, które już kapąły jej z brody.

Janece nie mogła jednak zrobić nic poza pełnym współczuciu skinieniem głową.

Kate czytała dalej.

– Będzie miała wystawę, o mój Boże, własną wystawę w Royal West of England Academy w Brisolu. Mój Boże, Jan, nie mogę w to uwierzyć! Musi być dobra, prawda? Przecież byle komu nie organizują wystawy w takim miejscu!

Podeksytowana, paplała przez łzy. Jej dziewczynka, jej córeczka... Kate przypomniała sobie, jak Lydia małymi, tłustymi paluszkami chwytala kredki i tworzyła arcydzieła, które Kate wieszala potem na ścianach w kuchni. Wydawało jej się, że od tamtych czasów minęły wieki.

– Wystawa nosi tytuł *Obrazy zza kamiennej ściany*. Ciekawe, o co chodzi?

Kate zastanowiła się chwilę, po czym sama odpowiedziała sobie na pytanie.

– No tak. Dom w Mountbriers był z kamienia, więc to pewnie to.

Janece skinęła głową.

– Nie wiedziałam, czy ci to pokazywać, ale znalazłam tę broszurę wczoraj w skrzynce. Wszelkie wydarzenia kulturalne są u nas bardzo promowane. Nie chciałam, żebyś się dowiedziała od kogoś innego.

– Dziękuję. Bardzo się cieszę, że mi pokazałaś. Nie mogę uwierzyć, jaka ona dorosła. I jaka pewna siebie. I podobna do ojca. Był bardzo przystojny. To jedno mogę o nim powiedzieć.

– Wybierzesz się? – zapytała Janece, wskazując wzrokiem ulotkę.

– Jeszcze nie wiem. Wołałabym nie zepsuć jej tak ważnego dnia, ale oczywiście bardzo chciałabym pojechać.

Kate rozpromieniła się na myśl o swoim ewentualnym spotkaniu z córką.

– Może spytasz Francescę, co o tym sądzi?

– Cóż, to nie takie proste. Nie dzwonię już do niej. Dzieci o to prosiły i muszę to uszanować. Ona telefonuje do mnie raz w miesiącu. I przysyła mejle. Sądzę, że to zbyt publiczna okazja na nasze pierwsze spotkanie, ale nie masz pojęcia, jak mnie korci, żeby jechać i na nich popatrzeć – na nią i na Doma. Bo przecież on też na pewno tam będzie. Za nic nie przegapiłby takiego wydarzenia.

– Kate, według mnie nie ma powodu, dla którego miałabyś nie jechać. Mogłabym pójść pierwsza, rozejrzeć się, a jeśli droga będzie wolna, pójdziesz ty. A potem cię odwiezę. Wystawa będzie czynna przez ponad tydzień. Co ty na to?

– Sama nie wiem..

– No to przemyśl sprawę. Nie musisz teraz podejmować decyzji.

– Jesteś kochana, Jan. Po prostu kochana.

Kate znowu złapała swą młodszą przyjaciółkę za rękę.

– Droga pani, ja o pani sądzę dokładnie to samo.

– Jan, jesteś pewna, że comiesięczne wizyty tutaj to dla ciebie nie za dużo? Mam wyrzuty

sumienia, bo to kawał drogi.

– No co ty, przecież z Bristolu to nie tak daleko. A poza tym cieszę się, że mam kontakt z zawodem. No i cały dzień dla siebie. Nick zostaje z dziećmi, a one są szczęśliwe, bo napychają się niezdrowym jedzeniem i przez jedno popołudnie oglądają tyle telewizji, że wystarczyłoby na miesiąc. Jak wracam, wszyscy mają wytrzeszczone oczy i objają się o ściany z przejedzenia słodyczami.

Dzięki żartom Janeece atmosfera znów zrobiła się swobodna.

– A jak tam sobie radzi Tanya?

Kate wzięła głęboki wdech.

– O Boże, Jan, nie jest łatwo. Ostatniej nocy wiele się wydarzyło. Niestety. Świetna z niej dziewczyna, ale przyciąga kłopoty jak magnes. Spała z kimś i muszę powiedzieć, że to... Cóż, sama zgadnij: stary, obleśny...?

– Chyba nie Rodney Gruba-Ryba, Czy-Widziałeś-Już-Mój-Jacht?

– We własnej osobie. Zamieniłam z nim parę niezbyt miłych słów i jestem wściekła. Ale, patrząc realistycznie, co mogę zrobić? Tanya nie jest ani dzieckiem, ani więźniem.

Kobiety uśmiechnęły się do siebie porozumiewawczo. Obie znakomicie wiedziały, czym różni się życie za kratkami od życia na wolności.

– Co on sobie do diabła myśli?

– Chyba nic, a już na pewno nie głową.

– Chcesz, żebym z nim pogadała?

Janeece zwinęła dłoń w pięść i podniosła ją na wysokość twarzy, gotowa do zadania ciosu.

Kate znów się roześmiała.

– Nie! Choć bardzo mnie kusi taka wizja. Tanya zapewne trochę go zachęcała, może nawet więcej niż trochę, więc muszę uważać, żeby jej nie zrazić. W tej chwili zresztą i tak nie ma o czym mówić, bo wyjechała do Londynu. Tak w każdym razie napisała. Zostawiła kartkę, że wraca tam na jakiś czas.

– Czyli na jak długo?

Kate wzruszyła ramionami, przyciągnęła kolana pod brodę i oparła na nich głowę.

– Dlaczego zawsze wszystko musi mi przychodzić z takim trudem?

– To, co wartościowe, nigdy nie przychodzi łatwo. Ktoś mądry mi tak kiedyś powiedział – odparła z uśmiechem. – Będzie dobrze, kochana, zobaczysz.

– Och, Jan, mam nadzieję. Bo jestem już trochę zmęczona.

– Nie jesteś zmęczona, tylko się starzejesz!

– Wielkie dzięki! Miałaś mnie pocieszać!

– Serio? Tego nie było w umowie! A może podeszły wiek powoduje u ciebie częściową utratę

pamięci, nie tylko zmęczenie?

Janece poderwała się i zaczęła rozprostowywać pogniecione ubranie.

– Dobra, nie przyjechałam tu, żeby z tobą plotkować. Poplotkujemy kiedy indziej, bo dziś mam trochę do zrobienia. Poszukam Tash i zorientuję się, co ona wie na temat Tanyi, może razem coś wymyślimy. A potem spotkamy się w kuchni, wypijemy kawę i zjemy to, co Tom przygotował na moją cześć.

– Doskonale.

– W takim razie do zobaczenia po sesji ze Stacey. Nie martw się, Kate, robisz, co możesz. Wiesz o tym, prawda?

– Uhm... A jeśli to nie wystarczy?

– To trudno, znaczy, że nie mamy na to wpływu.

Janece ucałowała przyjaciółkę w policzek, po czym zostawiła ją samą.

Kate powiedła wzrokiem za osobą, która stała się wspaniałą kobietą. Była dumna z jej osiągnięć. Zdolna terapeutka, cudowna matka. Czasem nie chciało się wierzyć, że ta pewna siebie osoba była kiedyś agresywną nastolatką, którą Kate poznała w więzieniu.

Odwróciła twarz do morza. Nagle usłyszała dźwięk wycofującej się z podjazdu furgonetki listonosza. Serce podskoczyło jej do gardła. Nie dostawała już wprawdzie listów od Lydii, ale codziennie modliła się, by znowu zaczęły przychodzić. Choćby krótka notka, choćby jakiś bązgroł, cokolwiek. O tej porze dnia zawsze przyspieszało jej tętno – na wypadek, gdyby jednak przyszła odpowiedź na jej comiesięczny komunikat. Gdyby pojawiła się gałązka oliwna. Do tej pory wprawdzie się nie pojawiła, ale Kate była gotowa czekać dalej.

Otuliła szczupłe plecy swetrem. Figurę miała teraz smukłą dzięki prawidłowemu odżywianiu, a nie przez niejedzenie ze strachu. Wyprostowała nogi, wystawiając gołe łydki na działanie porannego słońca, po czym wyciągnęła palce stóp i dotknęła nimi brzegu miękkiego koca w kratę. Stopy zsunęły się na wilgotny piasek, który przylgnał do nich natychmiast. Po plaży potoczyła się pusta torebka po chipsach, popychana powiewem wiatru. Choć Kate znajdowała się w cudownym, pełnym doskonałości otoczeniu, wiedziała, że gorejąca w jej duszy rana nie zablizni się, dopóki nie odnajdzie drogi do swoich dzieci.

[18] *Comme toujours* (franc.) – jak zwykle, nic nowego (przyp. tłum.).

Rozdział 9

Dziesięć lat wcześniej

Dla niektórych członków społeczności szkolnej sobota była dniem odpoczynku. Młodsze klasy oraz uczniowie, którzy nie byli zawodnikami szkolnych drużyn sportowych, kręcili się po terenie szkoły lub zostawali w internacie, by oddawać się swojemu hobby. Szkolni sportowcy mieli jednak na ten dzień zaplanowane mecze i był to dla nich normalny dzień pracy.

Kathryn złożyła białe spodnie syna i wyczyściła jego szkolną czapkę do krykieta. Mimo że był tylko zapalonym amatorem, szkolny regulamin nie pozwalał mu pokazywać się na boisku bez pełnego wyposażenia. Słusznie podejrzewała, że wszelkie akcesoria stanowiły dla Dominica dużą zachętę do uprawiania sportu w szkole. Chłopak był przekonany, że odpowiedni wygląd wystarczy, by prawidłowo odegrać swoją rolę na boisku, a nawet zrekompensuje brak naturalnego talentu do danej dziedziny sportu.

Na Kathryn zaś w sobotę, jak każdego innego dnia, czekały obowiązki. Miała dziś wypolerować zestaw srebrnych sztućców. Choć używa się go rzadko, warto utrzymywać go w odpowiednim stanie. Poza tym opróżnić i umyć dwa śmietniki na kółkach, bardzo starannie wyczyścić piekarnik, zamieść ścieżkę w ogrodzie i patio, umyć i wypolerować okna na półpiętrach, a także szyby w drzwiach frontowych i kuchennych. Wreszcie pojechać do supermarketu na „duże zakupy”, by spizarka, szafka, lodówka i zamrażarka były przygotowane na każdą ewentualność.

Dzień był przepiękny i upalny. Kathryn delektowała się wizytą w miasteczku. Parę razy zatrzymała się, by zamienić kilka słów o pogodzie z któryś z spotkanych rodziców czy nauczycieli. Podziwiała też kolekcję owadów zgromadzonych przez ucznia zerówki w wyłożonym liśćmi pudełku po lodach. Czulo się, że przyszło lato. Wróciła do domu, włożyła sandały, spryskała się wodą toaletową i tak przygotowana przystąpiła do kolejnej porcji zadań.

Zerknęła na zegar w kuchni i z radością stwierdziła, że jest grubo przed czasem. Oznaczało to, że będzie mogła wcześniej zacząć przygotowywać kolację, dzięki czemu w drugiej połowie dnia zdoła wygospodarować parę minut na nielegalne czytanie.

– Kathryn?

Porzuciła miskę z groszkiem cukrowym, który właśnie obierała. Wytarła ręce o kwiecisty fartuch kuchenny, a ostry nóż odruchowo włożyła do kieszeni. Dzieci notorycznie wyśmiewały jej strój do prac domowych, ale nie przejmowała się tym. Skromny fartuszek kojarzył jej się z matką, której własny fartuch, jak pamiętała, był wечно ubrudzony mąką.

Za głosem Marka wyszła aż do ogrodu. Szybkim krokiem zbliżyła się do miejsca, z którego ją wzywał.

– Tak, Mark?

Zatrzymała się, nie wiedząc, czego się spodziewać. Mogło to być cokolwiek, począwszy od żądania, by przyniosła mu mrożonej herbaty, po prośbę o przypomnienie nazwiska dawnego ucznia, które uciekło mu z głowy.

– Gdzie są rękawice ogrodowe? Masz jakiś pomysł, kochanie? Nie mogę ich znaleźć!

– Już przynoszę.

Kathryn wróciła do kuchni i zaczęła grzebać w szufladzie ze szpargałami w spizarnce. Oto i one. Zanim zdążyła wyjść z powrotem na dwór, usłyszała głośny śmiech męża.

– O jest! Jak zwykle nie pozwala mi odejść od roboty, Rolandzie.

– To widzę. Miło cię widzieć, Kathryn!

Ojciec Sophii, który zatrzymał się po drugiej stronie rabaty różanej, uniósł rękę w powitalnym geście. Kathryn pomachała do niego z oddali. Zauważyła, że miał na sobie dopasowany granatowy blezer, białe bermudy i buty żeglarskie. Zawsze ubierał się z dużą, można by nawet powiedzieć, kobiecią starannością. Dbał o idealną kompozycję stroju i uważnie dobierał dodatki. Dominic często nazywał go „starym pedziem”. Kathryn nie mogła się z tym zgodzić – co jak co, ale stary nie był na pewno.

– Witaj, Rolandzie. Sophie ma dziś mecz?

– Tak, tenisa. Pomyślałem, że wesprę ją trochę moralnie.

– Cóż, nie mogłeś trafić na lepszą pogodę.

Kathryn zakreśliła szeroki łuk ręką, wskazując na słońce i bezchmurne niebo.

Mark przerwał jej rozmowę.

– Nie byłbym taki pewien. Niektórzy są niewolnikami żony i ogrodu i to niezależnie od pogody! Zapewniam, że wolałbym usiąść sobie teraz z piwem i gazetą. Umieram z ciekawości, jak tam naszym idzie w krykiecie.

Zażmiał się, a Roland mu zawtórował. Kathryn nie mogła się nadziwić, że mąż zawsze wie, co powiedzieć, by zjednać sobie czyjeś względy. Mogłaby przysiąc, że międzynarodowe rozgrywki w krykieta kompletnie go nie obchodzą.

– Doskonale cię rozumiem – zgodził się Roland. – Kathryn, nie męcz go tak bardzo, ten facet i tak za ciężko haruje!

Uśmiechnęła się i skinęła głową. Jej serce waliło, a wargi drżały z pragnienia, by krzyczeć na całe gardło.



Przygotowawszy kolację, Kathryn postanowiła przejść się na boisko z nadzieją, że zdąży obejrzeć końcówkę występu drużyny Dominica. Włożyła do koszyka zimny sok i świeże ciasto cytrynowe własnej roboty. Po meczu poczęstuje chłopaków, przecież na pewno umierają z głodu.

Nigdy nie udało jej się opanować zasad zdobywania punktów w krykiecie, ale musiała przyznać, że w odgłosie uderzenia kijem w skórzaną piłkę i cichym aplauzie widzów po celnym trafieniu było coś kojącego. Gra miała bardzo angielski charakter i przypominała jej spacer do parku z tatą w dzieciństwie.

Wokół boiska rozsiedli się uczniowie i rodzice. Część czytała gazety, część drzemała na leżakach, a kilku śledziło przebieg meczu.

Po drugiej stronie boiska wypatrzyła grupę chłopców, wśród których, jak sądziła, mógł znajdować się jej syn. Dojście tam zajęło jej dłuższą chwilę. Przeszłowała nad otwartymi powieściami, podręcznikami i raczkującymi bobasami. Omijała koce piknikowe, składane krzesła, potykała się o porzucane buty i ochraniacze do krykieta, od czasu do czasu skinieniem głową witając się z nauczycielami czy znajomymi rodzicami. Kiedy podeszła bliżej, okazało się, że miała rację.

Dominic leżał na brzuchu, wyciągnięty na trawie jak inni koledzy. Kathryn odwróciła wzrok, kiedy któryś z nich pospiesznie wetknął pod szkolną bluzę pustą butelkę po szampanie. Zarówno chłopcy, jak i dziewczęta zdjęli z siebie część ubrań, było przecież gorąco. Zrobiła to również Emily

Grant – zawiązała sobie koszulę pod samym biustem, odsłaniając opalony brzuszek. Włosy spadały jej na twarz, zasłaniając mocno umalowane oczy. Leżała tuż przy Dominicu z głową wspartą na wykrzywionym nadgarstku i pomalowanymi paznokciami drapała go po plecach.

Kathryn natychmiast pożałowała, że tu przyszła. Czuła się jak intruz. Lepiej by zrobiła, nie ruszając się z domu. Rodzice i nauczyciele nie należeli do towarzystwa i nie byli tu mile widziani. Zanim zdążyła się odezwać, już wiedziała, że jej obecność jest niepożądana. Gdyby tylko dała radę wycofać się niepostrzeżenie i ukryć się w cieniu, nie zastanawiałaby się ani chwili.

Obejrzała się za siebie, by sprawdzić, którądy przyszła i wytyczyć w myśli drogę szybkiego odwrotu. Na przeszkodzie stało jednak tyle osób i leżało tyle przedmiotów, że znalezienie pomiędzy nimi przejścia nie było łatwe. Przez ułamek sekundy zastanawiała się, czy po prostu nie odwrócić się na pięcie i nie wtopić w tłum.

– Hej, Dom, twoja mama przyszła!

Kathryn nie wiedziała, kto pierwszy ją zauważył, ale rozpoznała ten specyficzny ton.

– Tak – odpowiedziała wesoło. – Cześć Dom, cześć wszyscy!

Dominic odwrócił głowę i na widok matki w fartuszku w kwiatki jęknął ze zgrozy.

– Dzień dobry, pani Brooker!

To Luca był taki grzeczny.

– Dzień dobry, pani Bedmaker!

Znowu nie wiedziała, kto to, ale podejrzewała któregoś z szóstoklasistów – prawdopodobnie tego, który właśnie ukrył twarz w białym swetrze. Na widok głów chowanych w książki czy ubrania, by stłumić wybuch śmiechu, poczuła, jak na policzki wypływa jej krwisty rumieniec. Sytuacja należała do przekomicznych. Kathryn stała jak wmurowana. Nagle okazało się, że nie potrafi normalnie oddychać. Czerpała powietrze wielkimi, urywanymi haustami. Śmiał się nawet Dominic. By ukryć rozbawienie, nie podnosił jednak twarzy z koca.

– Ja tylko... ja... cóż – jąkała się Kathryn. Błagała w duchu samą siebie: Nie płacz, nie tu, nie teraz, nie przy nich. Przywołałszy całą swoją godność, której nie zostało zresztą zbyt wiele, uśmiechnęła się do dzieci i głośno, z podniesioną głową oznajmiła: – Przyszedłam tylko sprawdzić wynik. Już idę. Bawcie się dobrze!

Po czym, ściskając mocno koszyk, zażenowana zarówno jego zawartością, jak i swoimi naiwnymi zamiarami, odwróciła się na pięcie. Zrobiła to trochę zbyt gwałtownie i potknęła się o kawałek darni wyrwanej uderzeniem kija. Butelka z sokiem wypadła z koszyka i potoczyła się po ziemi. Schyliła się, podniosła ją i pospiesznie odeszła. Za plecami usłyszała wybuch śmiechu. Dlaczego wolno im się ze mnie śmiać? Co takiego zrobiłam, żeby sobie na to zasłużyć? Jestem przecież człowiekiem. Nie jestem niewidzialna. Takie i podobne myśli krążyły jej po głowie.

Przypomniała jej się rozmowa, którą odbyła kiedyś z Natashą. Przyjaciółka poruszyła ten temat

niespodziewanie, kiedy pewnego jesiennego dnia szły razem przez teren szkoły.

– Wiesz, że przezywają cię „pani Bedmaker”?

Kathryn odparła z ostrożnością:

– Tak, wiem. Dzieciaki tak do mnie mówią, kiedy myślą, że ujdzie im to płazem. Mam wrażenie, że to dla nich próba odwagi. Kto się ośmieli, przechodzi do wyższej kasty. Zawsze zresztą uchodzi im to na sucho. Nie robię z tego problemu.

– Dlaczego, Kate? – spytała Natasha, łapiąc ją za ramię.

– Cóż, głównie dlatego, że to tylko dzieci, w większości naprawdę słodkie, no i są tak daleko od domu. Znam je od bardzo dawna i uważam, że byłoby krzywdzące czy wręcz żenujące, gdybym chciała je za to karać. Traktuję to jak niewinną zabawę, nic więcej. Wiem, że nie mają zamiaru mnie obrazić.

– Nie, Kate, nie zrozumiałaś mnie. – Natasha potrząsnęła głową. – Miałam na myśli co innego. Dlaczego cię tak nazywają? Czemu tak często pierzesz pościel? Wiem, że to nie moja sprawa, ale sama przyznasz, że to trochę... dziwne. – By obrócić krępującą rozmowę w żart, wykrzywiła usta w komicznym grymasie.

Kathryn spojrzała przyjaciółce prosto w twarz. Cichutki, ledwie słyszalny głos w jej głowie mówił: „Powiedz jej, Kathryn, teraz, powiedz, co on ci robi, powiedz, że jesteś w potrzasku, powiedz, że musisz w tym trwać, bo inaczej stracisz dzieci, a to byłoby gorsze niż cierpienia, których teraz doświadczasz”.

Jednak zamiast uwolnić ten głos, Kathryn wypowiedziała słowa, które na długo zmieniły wymiar jej przyjaźni z Natashą. Były jak głośne trzaśnięcie drzwiami, symbol nagle postawionej granicy.

Sześć słów:

– Masz rację. To nie twoja sprawa.

W myślach często wracała do tamtej rozmowy i do straconej szansy. Jakie to jednak teraz miało znaczenie? Natasha pracowała na drugim końcu kraju. Co więcej, Kathryn wątpiła, czy jeszcze kiedykolwiek ją zobaczy. Była pewna tylko jednego, że przyjaźń łącząca ją z Natashą była niepowtarzalna.

Kathryn myślała o zachowaniu Dominica i Lydii. Przez całe życie usiłowała wychować ich na przyzwoitych ludzi, pokazać, jak ważny jest szacunek wobec siebie i innych. Dziś nawet w jej własnych uszach brzmiało to ironicznie. Jak mogła uczyć ich szacunku do samych siebie, skoro ona, matka, była zaprzeczeniem takiej postawy? Zdała sobie sprawę, że całe jej życie było jedną wielką fikcją.

Wiedziała, że jej walka o to, by wyrosli na kulturalnych i sympatycznych ludzi, w pewnym sensie nie miała sensu. Niemożliwe, by wykształcili w sobie poczucie normalności, skoro to, co działo się noc w noc pod ich dachem, nie miało z normalnością nic wspólnego. Próby przekonywania samej

siebie, że jest inaczej, były bez znaczenia.

Jej dzieci zostały uwikłane w walkę, nie zdając sobie z tego sprawy. Brały udział w rozgrywce, w której połowa graczy pozostawała w ukryciu. Wobec wszystkich było to niesprawiedliwe.

Znalazszy się na krętej ścieżce prowadzącej od terenów sportowych do ich prywatnego ogrodu, Kathryn odetchnęła z ulgą. Tu się ukryje, dopóki mecz się nie skończy.

Po drugiej stronie żywopłotu wypatrzyła głowę pochyloną nad czymś Marka. Miał na głowie swój kapelusz ogrodowy. Wpierał się, że to panama, ale Kathryn uważała, że bardziej przypominał stetsona. W głębi duszy zachciało jej się śmiać.

Zatrzymała się i przez furtkę zajrzała w głąb ogrodu. Z początku nie wiedziała, co to za dziwna mgielka unosi się nad rabatą róż, zniekształcając obraz trawy i kwiatów. Cegły w ścianach jakby drgały, powietrze wydawało się pulsować. Zdała sobie sprawę, że patrzy na dom poprzez falę gorąca. Coś się paliło.

Wciągnęła powietrze i poczuła charakterystyczny zapach ogniska. Gorzki, odurzający i przywołujący czasy dzieciństwa. Przed oczami stanął jej tata w czarnych kaloszach, z grabiami w ręku, zgarniający na płonący stos liście i puste opakowania. Miał w ogrodzie stałe miejsce na ognisko – w pobliżu sterty kompostu. Ze starej metalowej furtki i drutu znajdował coś w rodzaju dużej skrzyni i ustawił ją na ceglach. Zawsze narzekał, że palenie liści strasznie go męczy, ale Kathryn i Francesca wiedziały, że należy do jego największych przyjemności. Zdaje się, że wielu mężczyzn skrycie uwielbia to pierwotne zajęcie – rozpalamie ogniska, a potem podsycanie płomieni pożerających wszystko, co znajdzie się w ich zasięgu.

Kathryn weszła przez furtkę. Patrzyła, jak Mark gniecie papiery i kartony, wrzuca je do ogniska, a potem odsuwa się i z rękami na biodrach podziwia efekty swojej pracy. W przeciwieństwie do jej ojca Mark rozpałał ogień, by spalić niepotrzebne rzeczy. Nigdy nie wrzucał do środka paru zawiniętych w folię aluminiową ziemniaków, by wygrzebać je o zmroku i zjeść z masłem i solą. Z rozmarzeniem wróciła myślami do czasów dzieciństwa. Ona i Francesca w zielonych kaloszach z żabimi oczkami i w ręcznie wydzierganych swetrach razem z tatą siedzą na odwróconych do góry dnem skrzynkach po mleku. Buzie mają całe w masle, języki poparzone, a palce stóp zmarznięte na kość. Cudowne, szczęśliwe czasy.

Ruszyła ścieżką w stronę domu. Gwałtownie zawiął wiatr, niosąc przez ogród kłęby czarnego dymu. Dobrze, że wcześniej zebrała pranie.

– Ach, Kathryn, jesteś.

Uśmiechnął się do niej. Pewnie czegoś chciał. Może się napić, może kanapkę, może krzesło, może się na niej wyładować, któż to wie.

Nic nie odpowiedziała. Uśmiechnęła się tylko, kiwając lekko głową, by zaznaczyć, że oczywiście jest.

Podeszła bliżej ogniska. Mimo że na dworze było gorąco, bijące od ognia ciepło miało magiczną, przyciągającą moc. Wystarczyła chwila, by nie mogła oderwać wzroku od płomieni. Zafascynowana, wpatrywała się w paletę kolorów: żółć i pomarańcz migotliwie przechodziły w fiolet i zieleń, a tu i ówdzie nieoczekiwanie pojawiały się jaskrawoniebieskie ogniki. Piękny widok, przykuwający wzrok. Kathryn uwielbiała nie tylko widok i zapach ogniska, lecz także odgłosy, jakie wydawało. Nie dało się ich z niczym pomylić. Kojarzyły się z przytulnymi wieczorami w domu, zimowymi i jesiennymi godzinami pod puchatym kocem, z dobrą książką przy świetle lampki, gdy miłe ciepło rozchodziło się po zmarzniętych kościach.

Przez kilka minut stała bez ruchu, przyglądając się, jak Mark długą gałęzią grzebie w ognisku. Skupiła się i rozpoznała pudełko po chusteczkach, okładkę starego segregatora i lupinki orzeszków pistacjowych. Dalej wpatrywała się w ogień. W pewnej chwili jej wzrok przyciągnął fragment zadrukowanej kartki, który oderwał się od płonącej materii i dostał w jej pole widzenia. Z trudem dało się rozpoznać kilka liter: g... u... d... i... gudi.

Kathryn od razu domyśliła się, co to za litery. *Tales from Malgudi!* O, nie! O, nie! Jej oddech przyspieszył, a serce zaczęło walić jak oszalałe. Zadrżała. Zmrużyła oczy, by ochronić je przed gryzącym dymem, postąpiła krok do przodu i zajrzała głębiej w płomienie.

Były tam wszystkie: i *Tom Jones*, i *Potret w sepii*, i *Bóg rzeczy małych*. Wszystkie. Wyobraziała sobie, jak mąż niczym wirujący derwisz szaleje po domu w poszukiwaniu jej ukrytych skarbów, zagarnia je w ramiona i spiesznym krokiem schodzi po schodach, by jak najszybciej wrzucić do ognia. Czy cieszyłby się, wiedząc, że właśnie niszczy jej tajemnice? O tak, wiedziała, że sprawiłoby mu to przyjemność.

Bezwiednie otworzyła usta. Przyłożyła rękę do czoła i spojrzała na Marka. Odpowiedział jej niewzruszonym, pustym spojrzeniem.

Wszystkie książki pochowane po całym domu – jej przyjaciele, jej pocieszyciele, jej radość! Znalazł je i właśnie niszczył. Być może wcale nie odkrył ich dzisiaj. Mógł o nich wiedzieć od dawna, ale nie spieszył się. Czekał na odpowiedni moment, by zrealizować swój plan.

Chwila ta najwyraźniej właśnie nadeszła. Jej skarby już nie istniały, a ocalałym kilku słowom pozostało jeszcze parę sekund życia. Palił jej powieści. Palił jej książki... Palił jej książki... Słowa te, powtarzane w głowie choćby tysiąc razy, nie przynosiły ulgi w cierpieniu.

Kathryn upuściła koszyk. Nie zważała na to, że ciasto cytrynowe wypadło na trawę, a butelka z sokiem potoczyła się po kamiennej ścieżce i zatrzymała dopiero pod krzakiem. Upadła na kolana, lekceważąc to, że wilgotna ziemia pobrudzi jej spódnicę. Znowu podniosła wzrok na męża, ale nie potrafiła nic powiedzieć. Nie było bowiem słów, które w pełni oddałyby jej uczucia lub sprawiłyby, że Mark zrozumie. Oczywiście w głowie miała ich mnóstwo: opuszczenie, udręka, smutek, rozpacz. Wiedziała jednak, że dla niego staną się jedynie powodem do drwiny. Postanowiła więc ich nie

wypowiadać, zwłaszcza że do wieczora pozostało jeszcze tylko kilka godzin.

Kiedy tak siedziała, bolejąc nad utratą książek, jedynej drogi ucieczki, coś jeszcze przyciągnęło jej wzrok. Na samym brzegu ogniska leżała okrągła drewniana gałeczka może centymetrowej średnicy. Wystarczyło, że rozpoznała, co to takiego, a od razu zauważyła wyłamane nóżki, główkę i jeszcze...

Osunęła się do przodu i oparła głowę o ziemię. Zaciśniętymi pięściami zaczęła walić w trawę, a potem rwać ją garściami. Dźwięki, które wydawała, przypominały jednocześnie miauczenie kota i skowyt zbolalego zwierzęcia.

– Nie, nie! Nie! Błagam, nie!

Spalił klamerki po babci, niszcząc tym samym jedyne namacalny dowód więzi między Kathryn a jej przodkami. Puścił z dymem część jej historii, część przyszłości Lydii, pozbawił ją jedynej rzeczy, która pozwalała znosić codzienną upokarzającą procedurę prania pościeli. Nic innego nie było w stanie złagodzić bólu po conocnych cierpieniach, tylko te małe, drewniane laleczki. To one kierowały jej myśli w stronę dni dzieciństwa, do babci, domowych ciast jej wypieku i pikników w ogrodzie. To one odsuwały ją od nieznośnej prawdy, że oto zaciera ślady zadawanych przez męża tortur.

Z oczu wprost do otwartych ust popłynęły strumienie gorących łez. Targnął nią niepohamowany szloch. Kathryn opanowała sztukę dyskretnego, bezgłośnego płaczu w stopniu doskonałym. Potrafiła nawet płakać do środka, bez okazywania tego na zewnątrz, przywołując na twarz wyćwiczony uśmiech. Dziś było to niemożliwe. Rozpacz ogarnęła ją bez reszty, rozlała się po całym ciele bezlitosną falą.

Plakała głośno, z trudem łapiąc powietrze. Ukryła brudną, umazaną ziemią twarz w dłoniach i lkała bez końca. Za każdym razem, kiedy przez szparki między palcami jej wzrok padał na zwęglone, wciąż rozżarzone pozostałości małych drewnianych klamerki, łzy zaczynały płynąć od nowa. Spalił pamiątki po jej mamie...

Niczym posąg siedziała na wilgotnej trawie jeszcze długo po wygaśnięciu ogniska, które zmieniło się w stos dymiących węgli. Od czasu do czasu pojawiał się wśród nich mały przekorny ognek i wybuchał słabym płomieniem, by po chwili zniknąć.

Kathryn wiedziała, że zaczyna się ściemniać. Czuli, że robi się wilgotno. Było jej bardzo niewygodnie, bolały ją kości i była brudna. Nie przyszło jej do głowy, że powinna iść robić kolację czy dalej wypełniać obowiązki dnia. Nie potrafiła skupić się na niczym, poza swoją rozpaczą. Wstała powoli i spojrzała w kuchenne okno, w twarz męża stojącego po drugiej stronie szyby z kieliszkiem wina w ręku.

Łzy, które już dawno obeschły, zostawiły na jej umazanej ziemi twarzy jasne ścieżki słonego osadu. Usta Marka powoli wykrzywiły się w uśmiechu, a oczy zwały w wąskie szparki. Uśmiechał

się do niej. Nie potrafiła udawać. Nie była w stanie ani przywołać na twarz zadowolonej miny, ani wydobyć z gardła beztroskiego głosu. Była złamana. Złamana i pozbawiona jakiegokolwiek nadziei.

Hej, dziewczyno

Uczesz włosy, popraw szminkę

On zaraz stanie w drzwiach.

Nie, nie myśl, że

Z obrączką na palcu

Nie musisz już starać się.



Następnego ranka Kathryn obudziła się dziwnie otępiąła. Za każdym razem, gdy zamykała oczy, pod powiekami pojawiał się koszmarny obraz spalonych klamerek. Nie widziała nic innego. Widok ten pochłaniał wszystkie jej myśli. Czuła się dziwnie oderwana od rzeczywistości. Powoli łądowała do zmywarki naczyń po śniadaniu.

– Mamo, wszystko w porządku? – zapytał syn zaniepokojonym tonem.

Kathryn nie znalazła słów odpowiedzi. Nie potrafiła się też uśmiechnąć. Skinęła tylko głową.



W kaplicy panował tłok. Mieszkańcy każdego z internatów zajmowali swoje ławki. Odwiedzający rodzice, ubrani ze szczególną starannością, tłoczyli się na wąskich siedzeniach. Matki prześcigały się w atrakcyjnym wyglądzie, a ojcowie w koszulach w delikatne prążki wymieniali mocne uściski dłoni. Przyjacielskimi klepięciami w plecy gratulowali sobie nawzajem osiągnięć: eleganckiego garnituru, ekskluzywnego samochodu, drogiego zegarka i ośniewającej żony. Gem, set i mecz.

Wśród zgromadzonych, tu i ówdzie, można było dostrzec członków dyrekcji i grona pedagogicznego, którzy na ten dzień z dumą przywdziali zakurzone togi, prezentując barwy szkoły. Pobrzmiewała muzyka organowa, wzmacniając w każdym, kto jej słuchał, poczucie własnej wartości,

przynależności do historii i tradycji, a także przekonanie o świetnie zainwestowanych pieniądzach.

Kathryn czuła na sobie spojrzenia, którymi zwykle omiata się parę dyrektorską zajmującą swoje miejsce w ławie. Odparła pokusę, by wstać i wrzasnąć prosto w te ciekawskie oczy: „Tak, wiem, że znowu jestem ubrana w ten sam niebieski sweter i plisowaną spódnicę, ale niech wam będzie wiadomo, że to mój «strój do kościoła», więc będziecie go oglądać przynajmniej do końca tego roku, a może nawet jeszcze w przyszłym!”. Myliła się. Nikt z zebranych tego dnia w kaplicy już nigdy nie zobaczył tego stroju.

Przeniosła wzrok na starszych rangą nauczycieli, siedzących na przypisanych im miejscach. Wszyscy przypominali żurawie w szyjami wyciągniętymi do przodu i Kathryn wiedziała, że już za parę minut przynajmniej kilku z nich zapadnie w drzemkę. Pod pretekstem koncentracji i głębokiej modlitwy przymknęła oczy, by złapać trochę snu. Nikogo jednak nie oszukają, a już na pewno nie bystre dzieci, które zaczną poszturchiwać się łokciami i palcami wskazywać ich opadające głowy.

Kathryn musiała uczestniczyć we mszy, mimo że prawie zwątpiła już w Boga, któremu zgromadzenie właśnie oddawało cześć. Poza tym lubiła przebywać w pięknej kaplicy, słuchać śpiewu i raz po raz ukradkowo spoglądać na swoje dzieci siedzące w drugim rzędzie po przekątnej. Zastanawiała się, czy wszystkie matki rozpiera podobna duma i miłość, gdy przyglądają się nieskazitelnym twarzom istot ludzkich, które wydały na świat.

Lydia i Dominic, nieświadomi, że są obiektem jej obserwacji, zachowywali się swobodnie. Dominic mimowolnie podrapał się po nosie. Ten nieznaczny gest przeniósł Kathryn w czasy jego wczesnego dzieciństwa. Niezmiennie ją zdumiewało, że dopiero niedawno trzymała w ramionach małego chłopczyka, a już siedział przed nią niemal mężczyzna. Wciąż czuła jego dziecięcy zapach – jedyne w świecie, odurzające połączenie zapachu pieczonego chleba i nowego człowieka. Lydia pachniała zupełnie inaczej – bardziej świeżo, prawie cytrusowo, jak ciepły, cytrynowy muffinek.

Kathryn przeniosła wzrok na Lydię, która wsunęła właśnie do ust paznokieć palca wskazującego i zaczęła go obgryzać. Ten widok sprawił, że się skrzywiła. Lydia miała przepiękne ręce artystki – długie, szczupłe palce o migdałowych paznokciach. W rodzinie żartowano zawsze, że gdyby usiadła na dłoniach, nie dałaby rady się porozumieć. Używała ich z wielką ekspresją, ilustrowała nimi myśli i podkreślała to, co najważniejsze.

Dominic siedział z rękami na podolku. Nie odrywał wzroku od kapelana. Niewtajemniczony obserwator mógłby pomyśleć, że chłopak jest zafascynowany słowami padającymi z mównicy. Kathryn wiedziała jednak, że to nieprawda. Ze swego uprzywilejowanego miejsca widziała, że nieco na prawo od kapelana siedzi Emily Grant, całkowicie pochłonięta odpowiadaniem adoratorowi nie całkiem subtelnymi gestami, minami i ruchami brwi. Kathryn uśmiechnęła się do siebie. Poczuli się tak, jakby nieświadomie podzielono się z nią sekretem.

Kapelan, Tim Cattermole, coraz bardziej się rozkręcał. Obiema rękami chwycił mównicę, jakby

chciał nadać swym słowom dodatkowej wagi.

– „Jestem bowiem świadomy zamiarów, jakie zamysłam co do was” – mówi Pan – „zamiarów pełnych pokoju, a nie zguby, by zapewnić wam przyszłość, jakiej oczekujecie”^[19]. Chłopcy i dziewczęta, nauczyciele i rodzice! Chciałbym, abyście dziś podczas kazania, którego tematem będzie Boska opieka, pomyśleli właśnie o tym fragmencie Biblii. Będę dziś mówił o naszym obowiązku, jakim jest otaczanie opieką wszystkiego, co uważamy za cenne i bliskie, łącznie z naszą wspaniałą szkołą i tym, co się w niej znajduje, lecz także o potrzebie otaczania opieką siebie nawzajem, by wzajemnie chronić się przed krzywdą...

Długo mówił o tym, że ludzie, którzy znęcają się nad słabszymi i krzywdzą innych, są zaprzeczeniem opiekunów i w rzeczywistości niszczą to, co dobre i warte ochrony. Kathryn puszczała większość jego słów mimo uszu. Jej uwagę odciągało bowiem jedno sformułowanie, dźwięczące w głowie niczym czysta, wysoka i wybijająca się ponad inne nuta, a mianowicie: „zamiarów pełnych pokoju, a nie zguby”. Tim Cattermole trafił w sedno: nikt nie może jej krzywdzić, nikt nie może jej dłużej krzywdzić, nie po to Bóg ją stworzył i pobłogosławił dziećmi, a jej rodzice nie po to ją wychowywali. Dosyć znaczy dosyć. Kathryn Brooker stwierdziła, że nie chce być dłużej krzywdzona.

Zamknęła oczy. Słowa kapelana uniosły się pod kamienne łuki sklepienia, budząc drzemiące rzeźby i gargulce. Po raz pierwszy od długiego czasu naprawdę się modliła. Pomóż mi, proszę, o Boże. Jestem taka samotna. Jestem zupełnie sama. Jestem sama i samotna wśród tylu ludzi; zawsze jestem sama. Gdziekolwiek i z kimkolwiek bym była, zawsze jestem sama. Proszę Cię o siłę, ponieważ czuję, że się poddam. Chyba nie potrafię dłużej tak żyć. Proszę, pomóż mi, o Boże...

Słowa Tima Cattermole’a przeszły jej modlitwę jak objawienie. Wydawało się, że są skierowane bezpośrednio do niej. Podpowiadały rozwiązanie, były dokładną odpowiedzią na jej modlitwę i padły w najbardziej odpowiednim momencie.

– „...nie usłuchasz go, nie ulegniesz mu, nie spojrzysz na niego z litością, nie będziesz miał miłosierdzia, nie będziesz taił jego przestępstwa. Winieneś go zabić, pierwszy podniesiesz rękę, aby go zgładzić...”^[20].

Słowa te wciąż od nowa rozbrzmiewały w jej głowie. Nie miała innego wyjścia, jak tylko wziąć je pod rozwagę.



Po wyjściu z kościoła znaczne grono zgromadziło się w refektarzu na krótką przekąskę. Choć Kathryn nie miała ochoty na wesołe pogawędki z obcymi, to jak zwykle jej chęci były bez znaczenia. Mark rozmawiał z Domem i grupką jego kolegów, pełnił honory domu, nawiązywał i zacieśniał znajomości. Kathryn dosłyszała ostatnie słowa Luki.

– ...ten wstrętny mały pedzio.

Słusznie wywnioskowała, że rozmawiali o Jacku Hollisterze, który ostatnio odszedł ze szkoły, bo rówieśnicy zdemaskowali go w sieci jako homoseksualistę. Cały epizod uważała za obraźliwy.

– Luca, wydaje mi się, że nie powinieneś o kimkolwiek się w ten sposób wyrażać. Niezbyt dobrze to o tobie świadczy.

Grupka w milczeniu gapiała się na panią Bedmaker, która zabrała głos w dyskusji, co nie zdarzało się często.

Kiedy ostatni rodzice i nauczyciele nasycili się winem i *vol-au-vent*, Kathryn i Mark zostali sami.

– Dziękuję, kochanie, za tę cenną uwagę na temat małego Hollistera. Jestem przekonany, że chłopcy bardzo skorzystają z twoich przemyśleń, kiedy już pójdą w świat. Dziwię się jednak, że w ogóle poczułaś potrzebę podzielenia się swoją opinią. Na pewno doskonale ci wiadomo, że świat w ogóle jest „niezbyt dobrze” urządzony, a osobiście uważam, że lepiej, aby tego typu chłopak trzymał się jak najdalej od prestiżowej szkoły. Nie potrzebujemy tu takich.

– Takich? – zapytała Kathryn tonem pełnym zgrozy, nad którym nie mogła zapanować.

– Tak, takich. Czy muszę ci przypominać, że to ja jestem wychowawcą i dokładnie wiem, ile złego może wyrządzić wywrotowy charakter w małej grupie? Na przyszłość – gdybym potrzebował porady w sprawie, jakiej pasty do butów użyć lub jak umyć naczynia, na pewno zapytam cię o zdanie. Ale swoje poglądy w kwestiach, o których nie masz zielonego pojęcia, bądź łaskawa zachować dla siebie. Ani ja, ani nikt inny nie jest nimi zainteresowany. Czy to jasne?

Wygłaszając swoją tyradę, nie przestawał się uśmiechać, ale jego ton wskazywał na to, że Kathryn wpadła w poważne tarapaty. Zanim zdołała odpowiedzieć, w drzwiach refektarza pojawiły się głowy dzieci.

– Możemy już iść do domu? Pamiętajcie, że są w tej rodzinie ludzie, którzy nie żyją samą szkołą!

– Boże, dzieci, nie możecie dać nam się w spokoju pomigdałić?

– O fuj, tato! – Dominic z obrzydzeniem potrząsnął głową.

Kathryn w niemym zdumieniu gapiała się na męża. Jego umiejętność łączenia kłamstwa z uśmiechem była nie do pojęcia.

Kiedy już podziękowano chórowi, pogratulowano kazania kapelanowi, a uczniów rozpuszczono, Brookerowie ruszyli ścieżką do domu. Dominic i Lydia szli pierwsi, rozluźniając po drodze krawaty galowych mundurków i rolując skarpety. Nie mogli się doczekać, by zrzucić z siebie te drętwe stroje i przebrać się w coś fajnego.

Kathryn patrzyła, jak Mark idzie niespiesznie, z rękami założonymi na plecach. Wiatr wydymał jego togę, nadając mu wygląd nietoperza.

– Sądzę, że dość dobrze mi poszło dziś rano – rzekł. – Moje przemówienie chyba wszystkich zainteresowało, a już niektórych z całą pewnością.

– Zgodziłbym się z tobą tato, ale pod warunkiem, że zamiast „zainteresowało” użyjesz zwrotu „zanudziło na śmierć” – odkrzyknął idący przed nim Dominic.

Widziała, jak mąż odchyła głowę do tyłu i głośno się śmieje. Niewiarygodne, że dzieciom pozwalał na takie komentarze. Ba! Nawet je doceniał. Bez zmruczenia przyjmował słowa dezaprobaty od nich, podczas gdy na najmniejszą krytykę z jej strony reagował niepohamowanym gniewem.

– Zgadzam się z Domem – włączyła się Lydia. – Rozwlekasz te swoje przemówienia i rozwlekasz, tato. Ble, ble, ble. Gadasz i gadasz. Osobiście przestałam słuchać po słowach powitania.

– Dobra, rozumiem. Moje dzieci uczą się właśnie sztuki wysiłku połączonego. Znakomicie. Jeśli chodzi o potęgę umysłu, to liczba dwa daje znacznie lepsze rezultaty niż liczba jeden.

Dominic i Lydia przybili sobie piątkę w rzadko spotykanym między nimi braterskim geście.

– Poczekajcie chwilę, dzieciaki, bo wasz triumf może być nieco przedwcześnie. Zdaje się, że coś przeczyliście, a mianowicie to, że niekoniecznie macie przewagę liczebną. Przecież stoi przy mnie jedyna żona, więc nasze siły są wyrównane.

– Wiesz co, tato, nie chcę cię rozczarować, ale widziałem twarz mamy podczas twojego wystąpienia. Wyglądała na cholernie znudzoną, zresztą jak cała reszta.

– To prawda?

Mark zatrzymał się i odwrócił do żony.

– No, Kathryn, w takim razie musisz to sama rozstrzygnąć. Do której grupy należysz?

Zainteresowanych moim przemówieniem czy zanudzonych na śmierć, jak to zgrabnie ujęły dzieci?

Stali przez chwilę w milczeniu, nie spuszczać z niej wzroku. Na twarzach dzieci malowała się nieskrępowana radość, ale Mark patrzył wilkiem, a jego usta zacisnęły się w wąską kreskę.

– No powiedz, mam. Wynudziłaś się na śmierć czy byłaś zainteresowana?

Kathryn uważnie przyjrzała się trojgu ludzi stanowiących sedno jej życia. Przećwiczyła w głowie prawidłową odpowiedź. Wiedziała, że za chwilę wypowie słowa, które zadowolą małżonka, natomiast gorzko rozczarują dzieci.

To była trwająca ułamek sekundy przerwa w koncentracji. Najkrótsza z możliwych chwila, kiedy z jej ust wyrwały się niekontrolowane słowa. Bezwiednie i przez pomyłkę.

– Kompletnie, cholernie się wynudziłam. Na śmierć.

Dominic i Lydia zgięli się wpół, nie mogąc powstrzymać histerycznego śmiechu wywołanego nieoczekiwanym biegiem zdarzeń. Byli zachwyceni, że mama nareszcie zdecydowała się przyłączyć

do zabawy. Dom otarł łzy i objął mamę za ramiona.

– To była klasyka! Po prostu czysta klasyka!

Lydia za to objęła Marka w pasie, by wyrównać siły obu drużyn.

Kathryn wytrzymała spojrzenie męża. Było niewzruszone i bezwzględne, mimo żartów i śmiechów dzieci.

– To prawda, Kathryn? Wynudziłaś się na śmierć, tak?

Mark zmrużył oczy, próbując lepiej zrozumieć przyczynę nagłej przemiany w zachowaniu żony.

Nie spuszczał z niej wzroku, jakby szukał odpowiedzi na pytanie, skąd wzięła się u niej ta niespodziewana pewność siebie. Co takiego zmieniło się w ich wszechświecie, że zdecydowała się jawnie przeciwko niemu wystąpić. Nie był przyzwyczajony, że ktoś mu się sprzeciwia i nie podobało mu się to. Ani trochę.

Rozpaczliwie szukała słów ukojenia, które wymazałyby to, co zostało powiedziane i pozwoliły uniknąć niechybnej kary. Choć bardzo się starała, nie znalazła ich. Czuliła się tak, jakby kontrola nad własnym językiem została jej odebrana i przekazana nieznannej sile wyższej.

– Zdaje się, tato, że wreszcie jesteś przegłosowany!

Dominic był zachwycony swym małym zwycięstwem.

– Na to wygląda! – zaśmiał się Mark i wysunął się z objęć córki. Rodzina ruszyła dalej.

Kathryn poczuła, jak ogarnia ją niewypowiedziana tęsknota za dziećmi. Cudownie było wreszcie znaleźć się po tej samej stronie. Przyspieszyła kroku, wysunęła się przed męża i wyciągniętymi rękami o rozczapierzonych palcach objęła plecy córki i syna. Rozległo się zgodne:

– Mamo, daj spokój! Co ty robisz?

Nie zważała na to. Stali we trójkę na ścieżce.

– Tak bardzo was kocham. Jestem z was dumna – z tego, kim jesteście i ze wszystkich rzeczy, które osiągniecie. Jesteście niesamowici. Moje niesamowite dzieciaki! Obiecacie mi, że zawsze będziecie dobrze wybierać.

Dominic wzruszył ramionami, wyswobodzając się z uścisku mamy.

– Jasne, że tak, pani szurnięta.

Mimo to cmoknął ją w policzek, zanim pobiegł w stronę domu. Lydia wzięła matkę za rękę i szły dalej we dwie, podczas gdy Mark trzymał się z tyłu, tuż za nimi.

– Ja też cię kocham, mamo.

Kathryn rozpromieniła się.

– Dzięki, kochanie.

– Pamiętasz, jak mnie niedawno pytałaś, czy chciałabym mieć takie życie, jak ty, a ja odpowiedziałam, że nie?

– Tak. Pamiętam.

– No to chciałam dodać, że chociaż nie chciałabym, żeby moje życie było dokładnie takie samo, to chciałabym być do ciebie podobna. No wiesz, zawsze dobra, życzliwa i kochana. Naprawdę chciałabym taka być.

Po policzku Kathryn potoczyła się pojedyncza łza.

– Dziękuję Lydio. Dziękuję.

Mark otworzył furtkę do ogrodu i cofnął się o krok, by przepuścić żonę i córkę. Jak zwykle dżentelmen w każdym calu. Kathryn, mijając go, zwołniła i spuściła oczy. Jej euforia nie trwała długo.

– Zabiję cię.

Wyraz jego twarzy całkowicie przeczył słowom, wypowiedzianym niemal szeptem i tak łagodnie, że Kathryn sama nie wiedziała, czy przypadkiem sobie ich nie wymyśliła. Może nawet tak było.



Kathryn zawiązała swój kwiecisty fartuszek i wstawiła czajnik. Próbowwała omijać wzrokiem ledwie widoczną szparę między *Kulinarnymi wyprawami Jamiego* a *Każdy może gotować*, którą jeszcze do wczoraj zajmował jej sekretny egzemplarz *Tales from Malgudi*, w oczekiwaniu na chwilę ukradkowej lektury, gdy gotowała wodę na herbatę lub czekała na zakończenie pracy zmywarki. Ukochane książki, wszystkie co do jednej spalone. Wciąż nie mogła spokojnie myśleć o wczorajszym ognisku, nie czując rosnącej guli w gardle. Próbowwała uspokoić się mantrą, powtarzając: „To tylko rzeczy, zwykle przedmioty bez wartości”, ale prawda była inna. Miały wartość. I to ogromną.

Zdażyła napełnić wodą i włączyć czajnik, gdy dzieci, już przebrane, z łomotem zbiegły po schodach.

– Pa! – krzyknęły zgodnym chórem.

– Dokąd się wybieracie? Kiedy wróćcie? Będziecie dziś na kolacji?

Dominic zatrzymał się w drzwiach i ruchem głowy odrzucił włosy z oczu.

– Na co mam najpierw odpowiedzieć?

– Yhm... Poproszę w tej samej kolejności, w której pytałam.

Uśmiechnęła się do syna – swojego bystrego, sarkastycznego, zabawnego chłopca.

– Na grilla u Amy. Późno. Nie.

– Wobec tego bawcie się dobrze i uważajcie na siebie!

– Czyli co?

– Co: czyli co?

– No mam, przecież nie możesz chcieć wszystkiego.

– W takim razie stawiam na bezpieczeństwo.

– Nuda.

– To tylko ja, Dom – zwykła, nudna, stara matka!

Dominic puścił klamkę i wrócił do kuchni. Podszedł do matki, objął ją i mocno przytulił.

– To prawda, ale jesteś moją zwykłą, nudną starą matką, którą kocham.

Następnie, jak typowy, skrępowany swoim wyznaniem nastolatek, natychmiast się od niej odsunął i jak z procy wystrzelił na dwór. Jego serdeczny gest, jak również towarzyszące mu słowa, miały pozostać w myślach Kathryn na długo. Na razie jednak ani ona, ani Dominic nie przypuszczali, jak będą znaczące.

Tego ranka ze względu na pośpiech i przygotowania związane z wyjściem do kościoła Kathryn nie pościeliła łóżka. Wyjęła z bielizniarki czysty komplet białej pościeli i ruszyła do sypialni. Zaczęła rozkładać prześcieradło, położyła je na łóżku a potem strzepnęła, by się rozprostowało. Kiedy duża, biała płachta znajdowała się tuż przed nią w powietrzu, Kathryn usłyszała ciche stuknięcie. Na goły materac upadła jedna z klamek do bielizny po babci! A w zasadzie ostatnia z klamek po babci, i to nie pierwsza lepsza. Sama Peggy.

Kathryn pozwoliła tkaninie opaść, a sama wzięła do ręki drewniany przedmiot z domalowanymi flamastrem oczami. Usiadła na skraju łóżka i mocno ścisnęła swój cenny talizman w dłoni. Poczowała wszechogarniającą ulgę. Gładząc i obracając ukochaną klamerkę między palcami, głęboko westchnęła.

– Dziękuję – szepnęła w przestrzeń.

– Do kogo mówisz?

W drzwiach niespodziewanie pojawił się Mark.

– Do nikogo.

– Właśnie widzę. Wygłaszasz kolejną odkrywczą mowę o homoseksualizmie i życzliwości?

Potrząsnęła głową. Jej niedawna pewność siebie gdzieś wyparowała, jak to się zwykle zdarzało, gdy znajdowała się w czterech ścianach swego domu.

Mark nieoczekiwanie postąpił naprzód i otwartą dłonią uderzył ją w głowę. Zrobił to z taką siłą, że Kathryn stoczyła się z łóżka i niczym szmaciana lalka wylądowała bezwładnie na podłodze.

Dzwoniło jej w prawym uchu, a twarz w miejscu uderzenia pulsowała. Otworzyła szeroko oczy, zamrugała, by odzyskać wzrok i równowagę.

– Widzisz, do czego mnie doprowadziłaś? Uważasz, że kontrolowanie cię sprawia mi przyjemność?

Wiedziała, że pytanie jest podchwytliwe, bo z całą pewnością kontrolowanie jej sprawiło mu przyjemność.

– Z powrotem na łóżko.

Posłuchała rozkazu i wdrapała się na materac.

Mark ruszył w stronę komody, gdzie przechowywał swe narzędzie tortur, schludnie owinięte w woskowany papier. Nagle zatrzymał się i odwrócił twarzą do żony. Uśmiechał się.

– Co tam trzymasz?

– Nic takiego – szepnęła.

Uśmiechnął się znowu, a potem krótko zaśmiał.

– Udzieliłaś mi dwóch bardzo ciekawych odpowiedzi, Kathryn. „Do nikogo” i „nic takiego”. To daje do myślenia. Kathryn, jestem nauczycielem, kształtuję młode umysły. Czyżbyś sądziła, że po raz pierwszy słyszę takie słowa? Słowa, za którymi kryje się kłamstwo, które mają coś ukryć?

Potrząsnęła głową.

– Nie, Mark.

– Nie mylisz się, Kathryn. Najwyraźniej nie jesteś taka tępa, na jaką wyglądasz.

Kathryn poczuła, że drży na całym ciele – nie ze strachu przed tym, co jej mąż za chwilę zrobi, ale przed tym, że zostanie zmuszona do oddania cennego drobiazgu. Jedynej pamiątki po babci, której dotykały również dłonie jej mamy.

Pogłaskał ją po włosach, przepuszczając jedwabiste kosmyki między palcami.

– Nie wyjdiesz z tego pokoju, dopóki nie wrócą dzieci i nie będziesz musiała dać im jeść, rozumiałaś?

Ponieważ jej mózg zajęty był rozważaniem opcji uratowania Peggy, nie udzieliła natychmiastowej odpowiedzi.

Odezwał się ponownie, tym razem wściekłym warkotem i przez zaciśnięte zęby.

– Powiedziałem, że możesz wyjść z tego pokoju dopiero, gdy dzieci wrócą i trzeba będzie przygotować im jedzenie. Zrozumiałaś mnie, Kathryn?

Palce Marka, gładzące jej włosy, zaczęły teraz powoli nawijać całe pasma aż do nasady. Chwytał je mocno i szarpnął bez uprzedzenia, wrywając garść włosów z jej głowy. Wykrzywiła twarz z bólu, ale nie pisnęła.

– Tak, Mark, rozumiałam.

– Zrozumiałaś co?

Spojrzała mu w oczy.

– Zrozumiałam, że nie wyjdę z tego pokoju, dopóki dzieci nie wrócą i nie będą chciały jeść.

Obiecuję.

– Dobrze. A teraz oddaj mi to, co masz w ręku.

– Proszę, Mark, ja...

– Nie używaj nigdy słowa „proszę”. Przypomina zebranie i poniża nas oboje. Miej trochę dumy,

trochę godności. A teraz oddaj mi to, co masz w rękę, bo będę musiał złamać ci nadgarstek.

Groźba rozeszła się echem po pokoju. Kathryn wiedziała, że to nie tyle groźba, ile obietnica. Rozwinęła więc palce i odsłoniła leżącą płasko na dłoni drewnianą klamerkę. Mark powoli wyciągnął rękę i chwycił spinacz kciukiem i palcem środkowym.

– Oj tak, tak, musiałem jedną przegapić. Świetnie nadawały się na rozpałkę.

Kathryn drżąc, siedziała na łóżku. Mąż stanął naprzeciwko niej, złapał klamerkę za obie nóżki i włożył między nie czubki kciuków.

– Spójrz, Kathryn. Patrz, co zrobię.

To był rozkaz. Podniosła więc wzrok i patrzyła. Mark trzymał klamerkę zaledwie kilkanaście centymetrów od jej twarzy i nie przestawał rozpychać kciukami drewnianych nóżek. Dolna warga Kathryn trzęsła się, a lzy niepohamowanie ciekły z oczu. Rozległ się cichy trzask; wraz z nim na drewnianym pojawiła się szczelina grubości włosa, która szybko zaczęła się poszerzać.

Drugi trzask, tym razem głośniejszy, oznajmił pęknięcie babcinej pamiętki na pół. Kathryn drgnęła. Ledwo kontrolowała roztrzęsione ciało. Próbując nad nim zapanować, kurczowo chwyciła kieszeń swojego fartuszka. Koniuszki palców natrafiły na coś twardego. Nóż do obierania warzyw, który zapomniała wczoraj wyjąć. Szybkim ruchem wyszarpnęła go z kieszeni i bez zastanowienia wbiła głęboko w miękki brzuch Marka. Ten krzyknął z bólu, gdy ostrze przebiło śledzionę i okaleczyło wątrobę. Upadł na kolana przy nogach łóżka, a po chwili zwałił się na podłogę w tym samym miejscu, w którym Kathryn co noc klęczała, czekając na wyrok.

W głowie Kathryn rozległy się słowa, które tego samego ranka usłyszała z ust kapelana: „...nie usłuchasz go, nie ulegniesz mu, nie spojrzysz na niego z litością, nie będziesz miał miłosierdzia, nie będziesz miał jego przestępstwa. Winienes go zabić, pierwszy podniesiesz rękę, aby go zgładzić...”^[21]. Nagle zrozumiała, że w uszach dźwięczy jej odpowiedź. Oto jej droga do wolności, do wybawienia. Odpowiedź ta pojawiła się nagle i nie pozostawiała żadnych wątpliwości. „Winienes go zabić”.

Kathryn podniosła się z łóżka i powoli zebrała z podłogi części połamanej klamerki.

– Chyba dam radę to naprawić – rzekła.

Długo wpatrywała się w pęknięty kawałek drewna. Przyłożyła do siebie oderwane nóżki i obracając, sprawdzała, czy dobrze do siebie przylegają. Dopiero po chwili chrapliwy oddech męża odwrócił jej uwagę. Odłożyła klamerkę na szafkę nocną i zwróciła się do Marka.

– Chodź, połóżysz się na łóżku – powiedziała śpiewnym głosem profesjonalnej pielęgniarki.

Włożyła mu ręce pod pachy i dźwignęła jego tułów. Krzyknął.

– Ciii. O Boże, Mark, naprawdę nie ma potrzeby tak krzyczeć.

Wciągnęła go na materac. Prześcieradło pod jego ciałem zwinęło się w wałek. Głowa męża spoczywała teraz na poduszce pod dziwnym kątem. Jakby nigdy nic, sięgnęła ręką i wyrwała nóż

z jego trzewi. Mark znowu krzyknął. Kathryn cmoknęła z dezaprobatą. Wycinając nóż, odkorkowała ranę i krew trysnęła falami. Przelewała się między palcami Marka, którymi instynktownie próbował zatamować krwotok. Ciekła po nogach i brzuchu, brudziła wszystko na szkarłatnoczerwono i wydawała dobrze znany, metaliczny zapach.

– Boże, Mark, to naprawdę głębokie nacięcie. Jak sądzisz, ile punktów karnych musiałeś zdobyć, żeby na nie zasłużyć?

Próbował odpowiedzieć szeptem.

– Nie słyszę, co mówisz, więc będę zgadywać. Moim zdaniem tysiące, tysiące punktów.

Patrzyła, jak z jego twarzy znika zdrowy rumieniec, a cera robi się ziemistobłada.

– Boże, ale ty strasznie wyglądasz. I popatrz, co zrobiłeś z pościelą. Wszystko będzie do wyrzucenia!

– Proszę...

Oddychał z wysiłkiem. Jego głos był słyszalny tylko dlatego, że włożył w to ogromny wysiłek.

– Marku Brookerze! Czyżbyś powiedział „proszę”? Nigdy nie używaj tego słowa, bo przypomina żebranie i poniża nas oboje. Miej trochę dumy, trochę godności. O właśnie, umieraj z godnością. Inaczej nie przystoi.

– Wezwij... pomoc... – wymamrotał.

– Dobrze, Mark, a teraz powiedz, jak długo mnie znasz? Nie wymiguj się, tylko odpowiadaj.

Dobrze, w takim razie ja ci powiem. Prawie dwadzieścia lat. I przez cały ten czas powinieneś był dowiedzieć się o mnie jednej rzeczy: że nigdy nie łamię obietnic. Powiem ci coś. Obiecałam, że nie ruszę się z tego pokoju, dopóki nie wrócą dzieci i nie będę musiała przygotować im czegoś do jedzenia. Mark, obietnica to obietnica.

Kathryn przysunęła krzesło do łóżka, po czym podeszła do szafy i otworzyła ją na oścież. Zrywała z wieszaków ubrania i rzucała je na podłogę, gdzie zaczęły tworzyć bezładny stos. Gdy powstała wystarczająco szeroka szczelina, sięgnęła ręką w głąb szafy i z górnej półki wyciągnęła ukrytą pod swetrami książkę *Birds Without Wings* Louisa de Bernieresa. Kathryn uśmiechnęła się do męża.

– Musiałeś ją przeczytać.

Otworzyła książkę i rzuciła wzrokiem na pierwszy rozdział.

„Wydaje się, że wiek zamyka serce. Niektórzy odłączają się od rzeczywistości i oddają się rozmyśleniom o przeszłości, inni nie mają już w zwyczaju ustawiać się w pełnym słońcu. Dla wielu z nas myśl o przyszłości staje się powodem irytacji, tak jakbyśmy mieli już dość nowości i marzyli tylko o długim śnie, wygładzającym krawędzie naszego życia”.

Oderwała oczy od tekstu.

– Tak sobie myślałam, Mark, że to dobra okazja, żeby zadać ci kilka pytań i powiedzieć, jak się czuję – jak się przez ciebie czuję. W rzeczywistości to jedyna taka okazja. Ostatnia szansa. Oto, co choć ci powiedzieć: uważam, Mark, że jesteś nienormalny. Myślę, że prawdziwy ty, to człowiek, z którym mam do czynienia każdej nocy, a ten, którego widzi reszta świata, ten jowialny i zadowolony, to fikcja. Być może udało ci się okłamać resztę świata, ale mnie nie, ani na sekundę. Może jednak nie jestem taka tępa, na jaką wyglądam. Czy to, jak mnie traktowałeś, sprawiało ci radość, czy wywoływało smutek? Bo ja czułam tylko smutek, Mark. Wielki smutek. Przywłaszczyłeś sobie osobę, którą byłam, i powoli, przez lata, odzierałeś ją ze wszystkiego, aż zrobiła się prawie niewidzialna. Dlaczego ja, Mark? Dlaczego wybrałeś właśnie mnie? Miałam tyle do zaoferowania, tyle chciałam dać. Miałam swoje życie. Odebrałeś mi je. Powoli, kawałek po kawałku, więc teraz ja zabieram ci twoje życie, rozumiesz?

Skinął głową. Jego oczy były szeroko otwarte.

– Chcę, abys wiedział, że odzyskam siebie, Mark. Pozbieram wszystkie małe cząstki, na które mnie rozłupałeś. Są pochowane po szufladach, powtykane pod dywan i ukryte za zasłonami. I odbuduję się. Tak właśnie zrobię, odbuduję się. Stanę się tym wszystkim, czym myślałam, że mogę się stać. Doścignę marzenia, które snułam, zanim mnie zламаłeś. A ty będziesz tylko odległą, smutną myślą. Chcę, żebyś to wiedział. Żebyś wiedział, że nie wygrałeś.

Krwotok nieco osłabł. Może krew zaczynała krzepnąć, a może przyczyna była całkiem inna, Kathryn nie zwracała na to uwagi. Siedziała na krześle i przez resztę popołudnia czytała książkę, od czasu do czasu zerkając na pustą twarz męża. Jego cera stała się ziemista. Sprawiał wrażenie sennego.

– Jesteś tu jeszcze, ty śpiochu? – zapytała.

Jakiś czas później lekturę przerwały jej kroki na schodach. Słyszac je, także Mark wyrwał się z otępienia. Próbowal unieść rękę i przez ścianę przywołać dzieci.

– To bez sensu, Mark. Uwierz mi, wiem, co mówię: życzenie, by przyszła pomoc, prośby o ratunek, modlitwa o ucieczkę – nic nie działa. Ale nie martw się. Ja się tym zajmę.

Wstała z krzesła i ostrożnie zamknęła książkę. Przeszła przez pokój, uchyliła drzwi i wysunęła głowę przez szparę.

– Hej, dzieci! – krzyknęła.

– Cześć! – odpowiedział przynajmniej jeden głos.

– Położyliśmy się z tatą trochę wcześniej, ale chętnie zejść do kuchni, jeśli chcielibyście coś zjeść.

Jesteście głodni?

– Nie! – Tym razem Kathryn dokładnie rozróżniła głos Lydii. – Jedliśmy u Amy!

– A Dom nie jest głodny?

– Nie, mam, przecież mówię, że obydwójce jedliśmy u Amy!

- Więc nikt nie będzie jadł?
– Nie! O Boże, mam, przestań już marudzić.
– Dobra, jasne. Dobranoc, Lyds.
– Dobranoc, mam.
– Dobranoc, Dom!

– Dobranoc, mam, straszne z was mięczaki, jest dopiero wpół do ósmej!

Zamknęła drzwi sypialni i podeszła do małżeńskiego łóża, pośrodku którego leżał mąż.

– Cóż, Mark, wygląda na to, że nie muszę robić dzieciom jeść. Nie wyjdę więc z tego pokoju.

Obietnica to obietnica.

Z szafki nocnej wzięła szklanę z wodą i uniosła ją do ust. Popijała powoli. Mark skierował wzrok na szklanę.

– Chce ci się pić? Chciałbyś się napić, Mark?

Ledwie dostrzegalnie skinął głową. Uśmiechnęła się do niego.

– Założę się, że chcesz. Ale nie. Nie dostaniesz pić, mój panie, dziś nie.

Powróciło do niej wspomnienie zakneblowanych skarpetą ust i opuchniętych warg. Odstawiła szklanę, głęboko westchnęła, po czym znowu zagłębiła się w lekturze.



Musiła się zdrzemnąć. Nie pamiętała chwili, w której zasnęła, ale była świadoma, że nagle otrząsa się ze snu. Przeszkadzał jej oddech męża – rżący i głośny, niemal bulgoczący. Zerknęła na budzik przy łóżku. Była druga w nocy.

– No Mark, czy to już koniec? Odchodzisz? Odchodzisz, by stanąć przed sądem, jeśli w ogóle wierzysz w coś takiego jak sąd? A wierzysz w ciemne miejsce, z którego nie ma powrotu? Tak, sądzę, że to najwyższy czas. Boisz się? Jesteś przerażony tym, co cię czeka?

Utkwione w niej spojrzenie szeroko rozwartych oczu mówiło, że tak. Uśmiechnęła się i pochyliła nisko nad jego twarzą.

- Powinieneś być przerażony.
– Nie zostało mi dużo czasu – wycharczał.

Jego głos przeszedł w mknący szept. Ostatnie wypowiedziane słowa zagubiły się wśród chrapiwego, urywanego oddechu.

– Powolna i bolesna. Zapłacisz.

Wymazała te słowa z głowy, zanim skończył. Z nikim się nimi nie podzieli, nigdy nie będzie ich przywoływać.

– Och, Mark. Ja już zapłaciłam.

Pochyliła się nisko nad twarzą męża. Jego oddech cuchnął. Dzieliła z nim tę intymną przestrzeń, w której życie zwlekało z odejściem do ostatniej chwili.

Kathryn Brooker patrzyła, jak z męża uchodzi życie. Była przekonana, że widzi czarnego ducha, który niczym wąż opuszcza jego ciało, by spiralnym ruchem przeniknąć podłogę. Oparła się o krzesło i wzięła głęboki wdech. Spodziewała się euforii, a przynajmniej ulgi. Nie przewidziała, że ogarnie ją otępienie. Sądziła, że będzie jej towarzyszyć więcej emocji.

Przebrała się w dzinsy, bluzę i spokojnie stanęła przy łóżku, na którym leżały blade zwłoki męża. W pełnym skupieniu, po raz pierwszy w życiu zadzwoniła pod numer alarmowy.

[19] Księga Jeremiasza 29, 11, Biblia Tysiąclecia.

[20] Księga Powtórzonego Prawa, 13, 9, Biblia Tysiąclecia.

[21] Ibidem.

Rozdział 10

Miesiąc wcześniej

Kate siedziała przy stole w kuchni i wypełniała kolejne przekłete formularze. Wprawdzie Tanya od trzech tygodni znowu mieszkała w Prospect House, ale dopiero teraz znalazł się moment na niezbędne formalności. Dziewczyna pojawiła się, jak gdyby nigdy nic. Pewnej środy po prostu weszła do domu i spytała Toma, co dziś na obiad. Wszyscy odetchnęli z ulgą, widząc ją całą i zdrową.

– Kto to jest Lydia?

Zdziwiona Kate odwróciła się gwałtownie. Nie słyszała, jak Tanya wchodziła do kuchni.

– Słucham? – Pytanie zbiło ją z tropu.

– Kto to jest Lydia? Wczoraj w nocy krzyczałaś przez sen to imię. Myślałam, żeby cię zbudzić i zaprowadzić do łóżka, ale sprawiałaś wrażenie, jakby na kanapie było ci bardzo wygodnie.

– Och, dziękuję, że mnie jednak nie obudziłaś, Tanyu. To miło z twojej strony. Musiałam przysnąć, kiedy oglądałam jakieś głupoty w telewizji.

– No więc?

– Co takiego?

– Kto to jest Lydia? Wciąż nie odpowiadałaś.

Kate gwałtownie zaczerpnęła powietrza.

– Lydia to moja córka.

– Córka? Nigdy nie mówiłaś, że masz córkę. Gdzie ona jest?

Kate przełknęła łzy, które już zdążyły zgromadzić się pod powiekami. No proszę, Tanya nawet nie wie, że Kate jest matką najpiękniejszych dzieci pod słońcem. Nie wie, że za każdym razem, gdy Kate dotyka rozstępów na skórze podbrzusza, przypomina jej się radość płynąca z noszenia pod sercem drugiego człowieka. Dzieci to jej największe osiągnięcie, a Tanya, choć mieszka z nią pod jednym dachem, nie ma o tym pojęcia.

– Ja... cóż... mieszka w Halton w New Yorkshire, niedaleko swojej ciotki, a mojej siostry.

– Widujesz się z nią?

Tanya zadała to pytanie w typowy dla siebie, bezpośredni sposób. W jej świecie nie było tematów tabu ani uczuć zbyt kruchych, by je ranić. „Bierzesz? W ciąży? Zakażona? Gdzie ta kurwa?” – to zwykłe, rutynowe pytania.

– Nie, raczej nie. Właściwie wcale nie, od jakiegoś czasu.

– To dziwne, prawda?

– Tak. Dziwne.

Kate nie pozostało nic innego, jak tylko przytaknąć. Tanya nie zamierzała jednak na tym poprzestać.

– To znaczy, że zastępujesz matkę mnie i innym osobom, które tego potrzebują, a nie widzisz się z własną córką!

– O Boże, Tanyu. – Gdyby słowa mogły zabijać...

Kate zakryła oczy rękami. Chciała zasłonić się przed światem.

– Kate! Przepraszam. Nie chciałam zrobić ci przykrości. Cholera, ciagle to robię, prawda? To dlatego, że czasem zdarza mi się coś powiedzieć, zanim pomyślę.

– Nie przepraszaj. To nie twoja wina. Tak po prostu jest. Sytuacja jest okropna i codziennie, bezustannie spędza mi sen z powiek. Bardzo za nią tęsknię, Tanyu. I za moim synem Dominikiem. Strasznie mi ich obojga brakuje.

– Nie potrafię tego zrozumieć. Moja matka jest totalnie beznadziejna, a mogę się z nią spotykać, kiedy zechcę. Ale nie chcę. Za to ty jesteś fantastyczna. I gdybyś była moją mamą, wolałabym się z tobą w ogóle nie rozstawać.

– A może twoja mama czuje się tak jak ja? Myślałaś kiedyś o tym? Może twoja mama chciałaby się z tobą widywać? Tanyu, wiesz, że możesz do niej zadzwonić w każdej chwili. Albo napisać.

I oczywiście może cię tu odwiedzić, mamy mnóstwo miejsca dla gości.

Dziewczyna patrzyła przed siebie. Sekundy mijały w ciszy.

– Ostatni raz widziałam swoją matkę tej samej nocy, kiedy mnie aresztowano. Policja zapukała do drzwi, a matka wrzasnęła na mnie, bo ją obudzono. Weszłam do jej sypialni. Cuchnęło,

a pośrodku jej łóżka leżał jej ohydny, brudny, goły facet. Obydwoje brali, a on już odleciał. Zauważyłam, że o popielniczkę na podłodze oparty był wypalony pet, no wiesz, taki, który sam się wypalił, bo położyłaś go i o nim zapomniałaś. Zdenerwowało mnie to, bo już widziałam, jak matka puszcza z dymem całe to cholerne mieszkanie – jeśli chodzi o takie rzeczy, to nigdy nie była ostrożna. Nie wiem, czego od niej oczekiwałam, ale wiedziałam, że jestem utopiona w gównie. Wcześniej radziłam sobie jakoś z różnymi sprawami, ale wiedziałam, że tym razem mnie dopadną i, mówię szczerze, Kate, bałam się. Powiedziałam do niej: „Mamo, pomóż mi”, i wiesz, co usłyszałam? „Tylko zamknij za sobą pieprzone drzwi, jak będziesz wychodzić”. Od tamtej pory jej nie widziałam ani z nią nie rozmawiałam. Nigdy jej przy mnie nie było, nigdy mi nie pomogła i jestem naprawdę wściekła, że tamtej nocy poprosiłam ją o pomoc. Więc nie sądzę, aby siedziała i czekała, aż do niej zadzwonię lub miała nadzieję, że się spotkamy. Ma mnie gdzieś, Kate. Zawsze tak było.

Przez chwilę obie siedziały w ciszy, oswajając się z usłyszaną historią. Kate nigdy nie brakowało matczynej miłości, ale była w stanie wyobrazić sobie ból, który musiała odczuwać Tanya. Rozumiała też, że dziewczyna nie jest skora do dalszych wyznań.

– Cóż. Mimo że nie jestem twoją mamą, mogę ci powiedzieć, że rozpiera mnie duma na myśl o wszystkim, co osiągnęłaś. Jeszcze kilka miesięcy temu zdawało się, że twoje życie rozpada się na kawałki, a teraz świat stoi przed tobą otworem, na wyciągnięcie ręki. Cokolwiek postanowisz, wiem, że zajdziesz daleko.

– Wcale nie chcę zachodzić daleko, Kate. Chcę mieć tylko zwyczajne życie. Wystarczy mi trochę spokoju, małe mieszkanko i jakaś praca. I marzę o takim wypasionym ekspresie do kawy, jaki mają w pubie. Taką kawę mogłabym pić całymi dniami!

– Będziesz to wszystko miała, Tanyu. Zobaczysz.

– Dzień doooooobry!

Przez drzwi kuchenne wszedł Tom z koszykiem świeżych warzyw.

– Dziś robię moje legendarne łazanie warzywne! – wykrzyknął, imitując włoski akcent. Wszyscy się roześmiali.

– Widziałem Rodneya, był na przystani. Jak zwykle picuje swój jacht. Zdołałem mu podebrać te wszystkie warzywa po kosztach. Dobra robota, jak to się mówi. Masz ochotę trochę mi pomóc, Tanyu? Samo się nie pokroi, wiesz o tym.

– Jasne.

Tanya podniosła się z krzesła i niepewnie wzięła nożyk do obierania warzyw.

– Nie jestem w tym za dobra. Oglądanie programów kulinarnych to mniej więcej wszystko, co kiedykolwiek miałam wspólnego z kuchnią.

Na schodach pojawiła się Stacey, która właśnie wybierała się na swoją codzienną przechadzkę

dla zdrowia. Dosłyszała koniec ich rozmowy.

– Programy kulinarne? A kojarzycie *Ready, Steady, Cook*? Boże, to mi przypomina jedną z ukochanych staruszek Nathana, która miała obsesję na punkcie tego show. I też nie umiała gotować! Często mi o niej opowiadał, myślałam, że zwariuję ze śmiechu.

Uśmiechnęła się na myśl o szczęśliwych wspomnieniach.

– Ja w każdym razie mam zamiar podszkolić Tanyę, żeby potrafiła ugotować chociaż przyzwoite lazanie. To naprawdę nic trudnego. Jak dziewczyna pójdzie na swoje, będzie gotować po królewsku!

Cała trójka przeniosła wzrok na Kate. Tom puścił do niej oko. Tanya była rozpromieniona.

Uwaga Toma wzmocniła w niej przekonanie, że pewnego dnia będzie miała własną kuchnię i będzie w niej przygotowywała potrawy, których nauczył ją Tom. Już nie mogła się doczekać.



Kate udała się na popołudniową drzemkę. Jej głowę wypełniały myśli o Lydii. Wyobrażała sobie, co może przynieść następny dzień. Choć wyprawa do Bristolu została już zaaranżowana, Kate wciąż nie była pewna, czy powinna tam jechać. Przecież tyle rzeczy mogło pójść fatalnie.

Z drzemki wyrwał ją koszmarny sen. W myślach rozbrzmiała piosenka, której nie spodziewała się nigdy już usłyszeć. Była pewna, że wyparła ją ze wspomnień wiele lat temu.

Hej, dziewczyno

Uczesz włosy, popraw szminkę

On zaraz stanie w drzwiach.

Nie, nie myśl, że

Z obrączką na palcu

Nie musisz już starać się.

Przebudzenie przyniosło słodką natychmiastową ulgę. To był tylko koszmarny sen. Nic jej nie grozi. Marka już nie ma. Nie może jej skrzywdzić. Usiadła na łóżku i podciągnęła kolana pod brodę. Palce prawej dłoni powędrowały w stronę tylnej części ud, gdzie natrafiły na siateczkę zgrubień i wgłębień. Blizny. Zawsze na wyciągnięcie ręki. Zadrżała.

Za każdym razem, kiedy śniło jej się dawne życie, przez parę następnych godzin drżały jej ręce i głos. Wspomnienia z przeszłości odbijały się echem w jej najskrytszych myślach. Wyprowadzały ją

z równowagi.

Wypiła kawę, by do końca się przebudzić, po czym wyszła do ogrodu. Ciepło promieni słonecznych rozchodziło się po jej skórze, przynosząc błogą przyjemność. Kręte, donikąd nieprowadzące ścieżki i wiejski charakter posadzonych bez planu roślin odpowiadały jej znacznie bardziej niż... Próbowwała odpędzić wspomnienie terenów szkolnych z wypielegnowanymi trawnikami i idealnie rozplanowanymi rabatami róż. Przeszedł ją dreszcz. Znalazłszy się przy sznurze do suszenia bielizny, przeciągnęła ręką po bladofioletowym prześcieradle, które niczym żagiel wydymało się na kornwalijskim wietrze. Od wielu lat nie wyprała ani jednego prześcieradła. Było to jedno z dwóch postanowień, których przestrzegała z żelazną konsekwencją. Drugim było codzienne noszenie dzinsów.

Ostrożnie zeszła po stromej ścieżce na plażę i rozpostarła koc. *Diablica* Fay Weldon sama otworzyła jej się w dłoniach, odsłaniając wetkniętą między strony zakładkę. Za każdym razem, gdy Kate patrzyła na różowego króliczka, szczerze ozdobionego brokatem, traciła dech w piersi.

Opuszkami palca przebiegła po tekście nagryzmołonym wewnątrz kartki. „Wszystkiego najlepszego mamusiu”. Poczula jednocześnie dumę i smutek. Tak uwielbiała być nazywana „mamusią”. I tak bardzo za tym tęskniła. Podpis Lydii otaczał pierścień pocałunków. Tworzyły nieprzerwany krąg – tak narysowała je córka w czasach, kiedy jeszcze w jej świecie wszystko znajdowało się na swoim miejscu. Kiedy mała dziewczynka nie wiedziała jeszcze, że u progu drzwi jej domu czai się wilk. Zanim Kate wszystko popsuka.

W głowie raz jeszcze usłyszała słowa, które córka wypowiedziała do niej przez telefon. Pamiętała je doskonale, mogła je przytoczyć w dowolnym momencie.

„I czasem, wiesz, mamó, udaję, że oboje umarliście, i jakoś mi z tym lepiej. Udaję, że oboje zginęliście w wypadku. Wtedy nie muszę myśleć o tym, co straszne ty zrobiłaś tacie, a on tobie. Nie lubię o tym myśleć, mamó”.

Utkwiła wzrok w linii horyzontu. Wpatrywała się w tafłę wody skrzącą się diamentami słońca, otoczona z obu stron skalistym brzegiem. Plaża jak każda inna. Może nie tak piękna jak rajska zatoczka na St. Lucii, ale pod wieloma względami znacznie lepsza, bo jej. To było jej niezwykle miejsce, w którym mogła rozmyślać. I którego nikt zniecka nie sprzeda.



W Bristolu panował żgiełk i tłok – a może po prostu miasto odzwierciedlało stan emocji Kate,

w których dominowały podniecenie i niepewność. W Permmarin wiodła ciche, spokojne życie, dokładnie takie, o jakie jej chodziło. Bristol tętnił całkiem innym życiem. Kate z przyjemnością przyglądała się studentom, którzy w sposób charakterystyczny dla ludzi młodych i bez trosk tłoczyli się przy wejściach do budynków uniwersyteckich. Bawiło ją, że choć dopiero co skończyli szkołę i z ulgą porzucili znieawidzone mundurki, teraz ubierali się niemal identycznie. Wkrótce czeka ich kolejna ewolucja. Być może część z nich dołączy do grona olśniewających kobiet paradujących po chodnikach z lśniącymi kartonowymi torbami zawierającymi zdobycze dnia.

Przyjaciółki umówiły się w restauracji Browns – jednym z najbardziej charakterystycznych miejsc Bristolu. Wybrały stolik na zewnątrz, na tarasie, gdzie wchodziło się po szerokich, kamiennych schodach. Obwiązany fartuchem kelner podał im dzbanek chłodnego pimmisa, placuszki rybne i złociste, długie frytki. Nic nie było jednak w stanie odwrócić uwagi Kate od czekających ją wkrótce przeżyć. Raz serce prawie stanęło jej w piersi na widok ciemnowłosej, młodej kobiety idącej przeciwną stroną ulicy. Przez ułamek sekundy myślała, że to Lydia i siłą woli powstrzymała się, by nie zawołać jej po imieniu. Nie mogła się doczekać chwili, kiedy skończą wreszcie jeść i pójdą do galerii obejrzeć prace córki. Z drugiej strony chciała już mieć to wszystko za sobą.

– Jak się czujesz, kochana? – zapytała Janeece, która jak zwykle nie pozostawała obojętna na emocje przyjaciółki.

Kate zawahała się. Jak się czuje?

– Jestem zdenerwowana, podekscytowana, przerażona i jeszcze raz zdenerwowana.

Natasha położyła jej rękę na ramieniu. Gest, choć życzliwy i pełen empatii, nie przyniósł ulgi.

– Ona może być gdzieś niedaleko. Może dosłownie kawaleczek stąd... – szepnęła Kate bardziej do siebie niż do innych.



Janeece ruszyła naprzód, by sprawdzić, czy droga jest wolna, a Kate i Natasha zostały w tyle, czekając na znak. Zdawało się, że trwa to całą wieczność, choć w rzeczywistości Janeece wróciła już po paru minutach.

– Dobra, rozmawiałam z panią w recepcji i zostałam poinformowana, że artystka ma pojawić się na oficjalnym otwarciu wystawy w środę wieczorem, a potem w czwartek. I to wszystko. Ponieważ dziś mamy wtorek, zakładam, że nie ma przeszkód, abyśmy tam weszły.

Kate się rozpromieniła.

– Dobrze. Chodźmy.

– Jesteś pewna, że sobie z tym poradzisz, kochanie?

Natasha doskonale wiedziała, ile można wyrazić sztuką. Obawiała się, że doświadczenie to może nie być dla Kate tak pozytywne, jak się spodziewała.

– Tak, świetnie sobie poradzę – odparła Kate i samotnie ruszyła naprzód.

Budynek był przepiękny – dostojny, pełen marmurów, kolumn w stylu korynckim i szerokich, rozłożystych schodów. Kate wpatrywała się w rozwieszone na ścianach ogromne obrazy olejne w zdobnych ramach. Jej córeczka obraca się w świetnym towarzystwie. To niesamowite, że jej dziecko ma wystawę w takim miejscu. Poczwała rozpierającą ją dumę. Łzy stawały w oczach. Lydia...

Zatrzymała się na dłużej przy plakacie wiszącym w górnym holu. Była to powiększona wersja ulotki, która teraz spoczywała na dnie jej torby. Nieskazitelna cera i świetliste oczy Lydii porażały. Kate dopiero tutaj zdała sobie sprawę, że przegapiła dorastanie córki. Głęboko zaczerpnęła powietrza. Choć Francesca od czasu do czasu przysyłała jej mejlem jedno czy dwa nieostre zdjęcia, to wisząca przed nią wielkoformatowa profesjonalna fotografia robiła piorunujące wrażenie. Ta Lydia, której wspomnienie przechowywała w głowie, już nie istniała. Cera nastolatki i nałożony niepewną ręką makijaż przeszły do historii. Dwudziestopięcioletnia dziś Lydia odnalazła swój styl i stała się kobietą.

Kate w skupieniu przechodziła od jednego do drugiego obrazu pędzla córki i dokładnie czytywała się w ich tytuły, na przykład *Rozwiązało się czy Przerwane życie*. Córka niewątpliwie miała talent. Odkąd Kate ostatni raz widziała jej prace, znacznie udoskonaliła swoje umiejętności. Obrazy nie były w swoim wyrazie oczywiste, dlatego nie tylko dostarczały przyjemności, ale też intrygowały.

Doświadczenie to było dziwne i niepowtarzalne. Kate zawsze wiedziała, że jest w stanie rozpoznać charakter pisma dzieci po najmniejszym choćby urywku tekstu, który wyszedł spod ich pióra; ich głosy po jednym wypowiedzianym w tłumie słowie; ich obecność zaś po jednym kaszlnięciu. Nie wzięła jednak pod uwagę tego, że osobowość Lydii można będzie rozpoznać poprzez pociągnięcia pędzlem. Ostre, wyraziste kolory i współczesne tematy stanowiły elementy jej charakteru, równorzędne z głosem i poczuciem humoru. Kate miała świadomość, że prace przedstawione na wystawie są kontynuacją jej dawniejszych szkiców i obrazów, poczynwszy od tych z dzieciństwa.

Kiedy Janece i Natasha zrównały się z nią, Kate jak zahipnotyzowana stała przed olbrzymim płótnem długości czterech i pół metra. Z szerokim uśmiechem na ustach studiowała każdy szczegół. Jej ręce niespokojnie poruszały się wokół klatki piersiowej. Chciało jej się krzyczeć z radości!

Natasha przeczytała tytuł.

– *Mój szum w tle*. Ciekawy tytuł, masz pomysł, do czego się odnosi?

Kate odwróciła się do przyjaciółki, która była również znawczynią sztuki. Nie miała żadnych wątpliwości, do czego odnosi się tytuł tego dzieła. Zinterpretowała go z oczami płonącymi radością i z całkowitą pewnością siebie.

– Do mnie, Tash. To ja jestem jej szumem w tle. Zapachem dżemu i miękką poduszką.

Kate przesunęła palcami po maźnięciach farby, przedstawiających głośniki, z których wydobywały się kwiaty, truskawki i drewniane starodawne klamerki do bielizny we wszystkich kolorach tęczy. Obraz był piękny. Stanowił też wiadomość, którą Kate odczytała głośno i wyraźnie. Rozsadzało ją szczęście.

– Och, Lydio, moja kochana, mądra córeczko! Będę na ciebie czekała.



W samochodzie w drodze powrotnej do Prospect House Kate i Natasha wciąż szczególnie omawiały prace Lydii. Kate wiedziała, że jeszcze niejednokrotnie będzie do nich wracać, długo nie przestanie ich analizować i interpretować. Czuła, że wizyta na wystawie pozwoliła jej zbliżyć się do ukochanej córki. Nie mogła uwierzyć, że dotykała farby nałożonej ręką Lydii. Coś niesamowitego. Kiedy zatrzymały się pod drzwiami domu, okazało się, że jej euforia nie trwała długo.

– Ach, Kate, jak dobrze, że już jesteś. Sytuacja trochę wymknęła się nam spod kontroli.

– Co masz na myśli, Tom? Pali się i zaponniałeś numeru do straży pożarnej? Czy może ciastka się skończyły i będzie nam musiało wystarczyć ciasto, które upiekłeś? Mam wielką nadzieję, że to drugie, bo nie zniósłabym, gdyby coś popsulo mi ten cudowny dzień!

Tom potrząsnął głową i wysunął przed siebie otwartą dłoń, na której leżała mała, plastikowa torebka. Dzięki pobytowi w więzieniu, a potem pracy resocjalizacyjnej niemal natychmiast rozpoznała małe, nieregularne kryształki w kolorze złamanej bieli. Kokaina.

– O Boże, nie, tylko nie to! Czy to Tanyi?

– Cóż, tak przypuszczamy, chyba że ty sama zaczęłaś brać?

– Tom, nie prowokuj mnie. Dobra, daj mi to. Gdzie ona jest?

– W swoim pokoju. Nie wspomniałem jej o tym.

– Dobrze zrobiłeś. Oczywiście to musiało wydarzyć się dzisiaj, akurat tego dnia, kiedy wyjechałam.

– Jak było, szefowo?

– Och, Tom, cudownie.

– Cieszę się. Jeśli nie masz dla mnie więcej zadań, Kate, to chyba pójdę się położyć. To był ciężki dzień. Ze Stacey wszystko w porządku. Dzwoniła powiedzieć, że bezpiecznie dotarła do mamy i że wszystko gra. Za parę dni wraca.

– To dobrze. Dobranoc, Tom. I dzięki za dzisiaj.

Kate dostrzegła blask w szparze pod drzwiami Tanyi. Zapukała i czekała na odpowiedź.

– Tak?

– Tanyu, mogę wejść?

Nie zdarzało się, by Kate przychodziła o tej porze. Tanya od razu domyśliła się, że coś jest nie tak.

– Jasne.

Dziewczyna siedziała na łóżku, opierając się o stertę poduszek. Czytała jakieś pismo i bazgrała długopisem po marginesie. Kate zauważyła, że artykuł otaczała ramka w postaci wielu fal.

– Kate, no i jak było?

– Dobrze. Dzięki, że pytasz. Tak naprawdę było super.

Kate westchnęła przeciągle.

– Coś się stało?

– Tak, niestety. Bardzo mi przykro, ale muszę cię zapytać, czy coś wiesz na ten temat?

Kate otworzyła dłoń, w której spoczywała torebka z narkotykiem.

– Czy coś wiesz na ten temat? Wygląda na to, że znalazłaś czyjeś słodycze. Sądząc po kolorze, nieźle jakości. Trzy i pół grama – powinno wystarczyć na jakieś piętnaście godzin rozkoszy, ale trzeźwienie będzie tak koszmarnie, że delikwent zaprzeda wszystko z własną babcią włącznie, byle tylko znowu poczuć haj. Nic więcej mi na ten temat nie wiadomo.

– To nie jest zabawne, Tanyu, i nie o to mi chodziło, wiesz przecież. Czy to jest twoje?

– No, przecież na pewno nie grzecznej Stacey, prawda?

Kate przysiadła na brzegu łóżka. Potarła rękami skronie, a potem przeczesала palcami włosy.

– Dałam ci dużą wolność. Myślałam, że to dobry sposób, abyś sprawdziła, skąd przysłaś i dokąd zmierzasz. Jedna, jedyna zasada, której tu przestrzegam to zero narkotyków, a alkohol tylko bardzo łagodny. Dobrze o tym wiesz. Poważnie naruszyłaś nasze wzajemne zaufanie. Jestem bardzo rozczarowana.

– No to witaj w moim świecie. Teraz wiesz, jak to jest żyć moim życiem. Ja w kółko jestem cholernie rozczarowana! Ale powiem ci coś, Kate: jeżeli najgorszym rozczarowaniem, jakie cię spotyka, jest to, że znajdujesz w mojej kieszeni trochę koki, to twoje życie nie jest jeszcze takie złe, uwierz mi!

– To nie mnie należy się nagana, Tanyu. To ty złamałaś zasady, których w dodatku nie mamy wiele. I nie chodzi o jednego drinka za dużo czy ukradkiem wypalonego papierosa, tu chodzi

o czystą kokainę! To wykroczenie na zupełnie inną skalę. Zdarzało się, że dziewczyny musiały pożegnać się z tym miejscem za mniej poważne występki.

– Nic nowego, najwyżej zaliczę kolejne rozczarowanie. Dobrze, możesz kazać mi się wyprowadzić. Mam to gdzieś. Przynajmniej jak sobie stąd pójdę, będę mogła jeść, co mi się podoba, a nie to organiczne gówno, które gotuje Tom. I będę mogła palić, co mi się żywnie podoba!

– Cóż, to już twoja decyzja. Nie każę ci się wyprowadzić, choć tylko, abyś się zastanowiła, nad tym co robisz. – Kate podniosła torebkę. – Nie tego dla ciebie pragnę. Stać cię na znacznie więcej niż na szukanie pomysłu na życie w tym świrństwie. Ale musisz przestrzegać zasad. W ten sposób dbamy o twoje bezpieczeństwo.

Przerwała, nie wiedząc, co zrobić z koszmarnym zakończeniem dnia, który jeszcze przed chwilą zasługiwał na miano fantastycznego.

– Dzisiaj jest już późno, pogadamy jutro rano, kiedy obie będziemy mniej zmęczone.

Kate podeszła do drzwi.

– Dobranoc, kochana.

Tanya burknęła coś w odpowiedzi. Choć Kate nie zrozumiała co, udało jej się wyłowić słowa „odwal się” i „krowo”.



– Tanyu, zjesz naleśnika?

Tom stał przy kuchence i wymachiwał w powietrzu łopatką do odwracania naleśników, by zaznaczyć, że jest w doskonałym nastroju. Z małego radia stojącego w kącie dobiegały odgłosy jakiejś debaty. Choć głosy rozmówców były ledwie słyszalne, szum sprawiał, że w kuchni panowała prawdziwie domowa atmosfera.

Tanya wzruszyła chudymi ramionami obleczonymi w za dużą bluzę. Pochyliła głowę, zasłaniając twarz grzywką i odezwała się do podłogi:

– Nie wiem, czy mi wolno jeść naleśniki. Być może pani skazała mnie na racje głodowe. Albo, co gorsza, w ogóle nie dostanę śniadania, przed tym jak mnie stąd wyrzuci.

Widać było, że nie do końca żartuje.

– Tanyu, jestem pewien, że tak źle nie będzie. Kate ma mnóstwo na głowie, to wszystko. Nie wywali cię, kochana. Nie jest łatwą przeciwniczką, ale jeśli chodzi o ciebie, szybko się nie podda. Wiem o tym.

– Nie wiem, czy przypadkiem nie mam tego gdzieś, Tom. Pomyślałam, że może lepiej wyjadę do Londynu. Tu jest tak spokojnie, że można zwariować. Poza tym jest kilka tematów, którymi muszę się zająć. Powinnam się spotkać z paroma ludźmi. Myślałam, że może pojedę i znajdę jakąś pracę, poukładałam sprawy, na jakiś czas zatrzymam się u kumpeli. No, wiesz...

Tom uśmiechnął się. Nie, nie wiedział. I znał dziewczynę na tyle dobrze, by zorientować się po jej zgarbionych plecach, nerwowym odrzucaniu włosów i obgryzaniu paznokci, że ona też nie wie.

– Musisz z nią pogadać, Tanyu. Wszystko wyjdzie w praniu, zobaczysz. To jedno mogę ci powiedzieć o Kate i Tash z całą pewnością – na sercu leży im tylko i wyłącznie twoje dobro, kochana. Widzę, jak się troszcza, dyskutują o tym, jak najlepiej pomóc każdemu, kto się tu pojawia. To dobrzy ludzie.

Tanya obojętnie wruszyła ramionami. Jednocześnie podwinęła górną wargę w groźnym grymasie. Usiłowała zademonstrować agresję i niechęć. Jednak w rzeczywistości czuła się dokładnie odwrotnie. Chciało jej się płakać, miała ochotę przeproszać, leżeć przed kominkiem pod ciepłym, różowym kocem z owczej wełny, z głową na miękkiej poduszce. Chciała usłyszeć, że może tu zostać na zawsze.

– Wszystko mi jedno.

Jej zuchwałość i arogancja nie były adresowane do nikogo konkretnego. Takie zachowanie miała po prostu we krwi i nie wiedziała, jak się go pozbyć.

– No dobra, więc jeśli chodzi o naleśniki, to odpowiedź brzmi „tak” czy „nie”?

Tanya uśmiechnęła się krzywo, mimo że usilnie starała się, by zachować poważną minę. Kiedy poczuła maślano-waniliowy zapach ciasta, unoszący się znad rozgrzanej patelni, zaburczało jej w brzuchu.

– No, jeśli już robisz...



Był przepiękny, letni dzień. Zdarzają się czasem takie dni, kiedy wydaje się, że pogoda i ludzie, działając we wzajemnym porozumieniu, dokładają wszelkich starań, by zapisać je w pamięci idealnym, złocistym wspomnieniem. Słońce grzało przyjemnie, a jaskrawoniebieskie niebo przesłaniały gdzieś tam zaledwie strzępki chmur. Krajobraz wyglądał tak, jakby dopiero co wyszedł spod wprawnej ręki artysty. W powietrzu wyczuwało się łagodny wiatr, który unosił główki kwiatów tak, by można było w pełni podziwiać ich piękno. Niemowlęta drzemały w wózkach, pary

trzymały się za ręce, a nieznajomi uśmiechali się do siebie. Zdawało się, że wszyscy próbują jak najlepiej wpisać się w tę cudowną aurę.

Kate wałęsała się po porcie. Niespiesznie robiła zakupy i napawała się urokiem poranka. Za każdym razem, gdy zamykała oczy, pod powiekami widziała jeden z obrazów Lydii. W pewnym sensie czuła, że wizyta na wystawie zbliżyła ją do córki. Oglądanie tych prac było jak zerknięcie do jej dziennika lub krótkie wejrzenie w jej myśli. Ogromnie się cieszyła, że mimo początkowych obaw ostatecznie wybrała się do Bristolu. Musiała jednak pogodzić się z małym ukłuciem rozczarowania. W głębi duszy miała przecież nadzieję, że postać córki mignie jej gdzieś w tłumie choć na ułamek sekundy. Trudno było też powstrzymać się od marzeń o cudownym powitaniu po latach, takim z szeroko otwartymi ramionami.

Zastanawiała się, jak Stacey radzi sobie w domu. Miała nadzieję, że dziewczyna wkrótce przyjedzie do Pernmarin, zabierze resztę rzeczy i wróci na stałe do mamy i brata. Kate wiedziała, że będzie za nią tęsknić, ale z drugiej strony miała pewność, że prawdziwym domem Stacey jest jej dom rodzinny i że na dłuższą metę tylko takie rozwiązanie ma sens.



Na sercu ciążyły jej wydarzenia poprzedniego wieczoru, dotyczące Tanyi. Będzie musiała zadzwonić po radę do Janeece, która specjalizowała się właśnie w narkomanii i uzależnieniach. Niemniej jednak Kate podejrzewała, że w przypadku Tanyi narkotyki to raczej incydentalna rozrywka zrodzona z nudy niż prawdziwy nałóg. Musiała bardziej się postarać, by zająć czymś tę dziewczynę. Może załatwić jej pracę w miasteczku, może w pubie? Nie, nie w pubie, co za głupi pomysł. Cholerny Rodney Morris. Na samą myśl o tym człowieku poczuła nagłą falę złości.

Zastanowi się nad tym. Pomyślą wspólnie i na pewno rozwiążą problem, niezależnie od tego, co się wydarzy. Kate kochała to, co kryło się w Tanyi, mimo że czasami dziewczyna wybierała kiepskie ujęcie dla swej energii. W chłodnym, jasnym świetle dnia Kate uśmiechnęła się na wspomnienie opisu torebki z narkotykiem, jaki wczoraj zaserwowała jej Tanya. Pyskata dziewczyna. Zaraz do niej pójdzie i pogada. Trzeba się porozumieć i wspólnie wypłynąć na spokojne wody. Kate wciągnęła świeże, przesycone solą powietrze. Po raz kolejny poczuła, że życie jest całkiem w porządku.



Tanya zamknęła drzwi do swojego pokoju i przekręciła ciężki klucz. Dopiero słysząc ciche stuknięcie przekręconego zamka, uznała, że może spokojnie przystąpić do dzieła. Wyjęła nabytek z plastikowej torebki. Odwinęła cienki, kolorowy paseczek, po czym zdarła celofan z prostokątnego pudeleczka. Spuściła z bioder dzinsy i majtki, które opadły i niczym gniazdo ułożyły się wokół jej kostek. Niewiele myśląc, przystąpiła do działania. W wyobraźni przeniosła się w zupełnie inne miejsce. Dzięki temu mogła jeszcze chwilę poudawać.

Zrobiła, co miała do zrobienia, po czym starannie umyła ręce, ze szczególną uwagą traktując miejsca między palcami i pod paznokciami. Osuszyła dłonie paroma klepinięciami w miękkiej, białej ręcznik, a następnie wciągnęła orzeźwiający zapach, który mydło w płynie zostawiało na jej skórze. Wciąż to robiła, po każdym myciu rąk. Delektowała się tym małym rytuałem. Pamiętała, że wiele razy wcześniej musiała myć się bez mydła lub w ogóle nie miała możliwości, by zachować czystość.

Patyczek przypominający szpatułkę leżał na szklanej półeczce nad umywalką. Kiedy Tanya uświadomiła sobie, o jaką stawkę toczy się gra, zrobiło jej się słabo. Zaciśnęła palce na podłużnym kawałku plastiku. Ręka jej leciutko zadrżała. Szczerze mówiąc, nie musiała niczego sprawdzać. I tak wiedziała. Przez większą część minionych sześciu tygodni jej instynkt wystarczająco często dochodził do głosu. Lekkie fale mdłości, narastające zmęczenie, wystrzone emocje – to wszystko dałoby się naprawdę łatwo wytłumaczyć. Winę można by przypisać zmianie otoczenia, nowościom w kuchni Toma, a nawet ostremu, morskemu powietrzu. Wszystko to brzmiało całkiem rozsądnie i zadowolająco. W głębi duszy jednak Tanya wiedziała, że objawy byłyby identycznie, gdyby przebywała nie w Permmarin, ale w Londynie czy nawet w Timbuktu.

Wiedziała z dokładnością co do godziny, a nawet minuty, kiedy nastąpiło poczęcie. Sytuacja nie była piękna, romantyczna czy choćby przemyślana. Nigdy tak nie bywało. Pojechała się tylko pożegnać. Wyjaśnić, że musi zacząć od nowa, z dala od niego, od tamtego życia i pokus, jakie ze sobą niosło. Zareagował spokojnie, ze zdumiewającą wyrozumiałością, jakby chciał dać jej do zrozumienia, że nigdy specjalnie mu na niej nie zależało, albo że zorganizował już sobie kogoś na jej miejsce. Wszystko jedno. Teraz nie miało to już żadnego znaczenia.

Jeden, dwa, a może trzy drinki i zrobili to, co obojgu wydawało się naturalne i co doskonale znali. Tak jak za starych, dobrych czasów, ostatni raz. Jego ciemnoniebieskie oczy o głębokim, świdrującym spojrzeniu fascynowały ją i przyciągały. Rozkoszowała się komfortem jego ramion i dotykiem skóry. Ten ciemnowłosy, mroczny mężczyzna pokazał jej szczyty rozkoszy, wysyłając jej

duszę do nieba, by tańczyła pośród gwiazd, a jednocześnie rzucił ją na głębię rozpaczy, skąd błagała o najmniejszy choćby odruch miłości, za który gotowa była okazać niewypowiedzianą wdzięczność. Mężczyzna, za którym poszłaby na koniec świata i za którego gotowa była dostawać po łapach. Byli ulepieni z tej samej gliny. Doświadczenia i okoliczności życiowe łączyły ich do tego stopnia, że ich związek wykraczał daleko poza fizyczne zauroczenie. Był głęboki, a równocześnie niszczący. Prawie nie potrafiła wskazać różnicy między pragnieniem mężczyzny, który tak bardzo wpłynął na jej życie, a potrzebą zażywania substancji, której dostarczał. Ten mężczyzna i ta substancja byli ze sobą nierozdzielnie złączeni. Jedno wiedziała na pewno: że na zawsze pozostanie miłością jej życia.

Tanya splukała umywalkę, spuściła wodę w toalecie i przeszła do pokoju. Wyjrzała przez okno i po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, czy rzeczywiście dałoby się dopłynąć wpraw do samej Kanady. Chciałaby się tam znaleźć. Co wiedziała o tym kraju? Że jedzą tam dużo syropu klonowego, że żyją tam duże niedźwiedzie i że są ogromne góry. Jak przez mgłę zdawało jej się też, że mówią tam po francusku. To prawda? Zaśmiała się. Czy można to sobie wyobrazić? Dopłynąć do samej Kanady, a potem nie umieć odezwać się po francusku?

Pościeliła łóżko. Naciągnęła prześcieradło i wygładziła fałdki na kołdrze. Poprawiła poduszki, ładnie układając je w stos. Miękki koc położyła w nogach łóżka, tak jak najbardziej lubiła. Była to niezwykła przyjemność – wskoczyć do tak pościelonego łóżka.

– *Bonjour!*

Zaśmiała się, sprawdzając, jak obce słowo zabrzmiało w jej ustach, po czym podeszła do lustra nad kominkiem i powiedziała:

– *Bonjour*, jestem Tanya, panie góralu. Czy mogłabym dostać trochę syropu klonowego, *s'il vous plaît*?

Słyszając własne słowa, roześmiała się jeszcze bardziej. Chichotała aż do łez. Kto by pomyślał? Stara, głupia Tanya Wilson, gdyby tylko dopłynęła do Kandy, potrafiłaby odezwać się po francusku do konnego policjanta, który powitałby ją na plaży z ręcznikiem. To dopiero, nie do pomyslenia.

Zgasła lampkę przy łóżku i otworzyła okno. Tylko trochę, żeby przewietrzyć pokój. Umyła zęby i wytarła twarz ręcznikiem, który następnie starannie odwiesiła na haczyk. Oparła czoło o chłodną szybę. Nie mogła oderwać wzroku od rozciągającego się przed nią morza – szerokiego, niekończącego się czarnego koca. Dotknęła łożyczek lawendy wyszytych na zaslonach. Delektowała się ich wypukłością pod opuszkami palców.



– Idziesz na spacer? – zapytał Tom, kiedy mijała kuchnię.

Skinęła głową.

– Cóż, cudowny dziś dzień. No i przynajmniej nie musisz spieszyć się na obiad. Ile wsunęłaś tych naleśników? Gdzie to się w tobie wszystko mieści? – Pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Dzięki, że mnie nauczyłeś robić lazanie, Tom. Niezła mi wyszła, co?

Roześmiał się.

– Cała przyjemność po mojej stronie, kochana. Tak między nami, to obawiałem się, czy nie stracę pracy z powodu tych lazani, ale nie. Wyszła ci super. Jesteś urodzonym kucharzem!

Z Prospect House na plażę, w dół urwiska, prowadziła stroma, niemal pionowa ścieżka. Niczym potężny wąż wiała się w dół stromego zbocza, zakręcając, wydawałoby się, bez żadnej logiki. Jej bieg wytyczały przegnile, na wpół ukryte pod ziemią stopnie, a wzdłuż brzegów rosły gęste kępy traw o ostrych liściach. Na tej trawie łatwo można skrócić nogę. Adidasy Tanyi miały gładkie podeszwy i ślizgały się na kamkach. Potknęła się, zachwiała i dopiero po chwili odzyskała równowagę. Zdjęła buty i wzięła je do prawej ręki, jakby chciała ochronić je przed dalszymi niedogodnościami tego marszu. Nagle wyobraźnia podsunęła jej obraz, jak stacza się z urwiska, bezładnie wymachując nogami i rękami. W jej pokręconym życiu, w którym nic nigdy nie odbywało się zgodnie z planem, nie byłoby to dziwne. A ukryty w kieszeni liścik równie dobrze nadawałby się na taką okazję.

Kiedy ścieżka zrobiła się nieco bardziej płaska, chwiejne kroki Tanyi zamieniły się w długie susy. Na plaży nie było nikogo. Ostatnie metry pokonała z szerokim uśmiechem na twarzy. Przesycony solą wiaterek rozwiewał jej grzywkę i uderzał w pierś.

Zrzuciła z ramion sweter i równiutko go złożyła – rękawami i szwami do siebie – a potem odłożyła na piasek. Następnie zdjęła dzinsy, które starannie ułożyła na swetrze. Rozpięła stanik. Ramiączka osunęły się po jej chudych rękach. Na koniec zdjęła majtki i przestąpiła przez nie. Wszystkie ubrania tworzyły niewielki stosik. Wyglądały jak przygotowane do prania.



Na wierzchu położyła klucze do pokoju i do drzwi wejściowych. Tuż pod nimi kremową kopertę, którą przekreśliła tak, by nie dało się jej przeoczyć. To wszystko. Zwróciła twarz ku niebu. Chłonęła promienie słońca przesywające dziś śródziemnomorskie w kolorycie niebo. Ich nieziemskie ciepło na nagiej skórze było niezapomnianym wrażeniem.

Tanya podeszła do linii wody i nagle zatrzymała się, wykrzywiając twarz z bólu. W białą

podeszwę stopy wbił jej się cienki, szklany odłamek. Nie był wygładzony przez fale jak szkło, które długo leży w wodzie, ale ostry i szpiczasty. Uniosła stopę, oparła ją na kolanie drugiej nogi, chwyciła odłamek palcami i wyszarpnęła go z ciała. Po gołej nodze popłynęła kropla gęstej, czerwonej krwi. Tanya nie próbowała jej tamować. W porównaniu z tym, co miało się stać, skaleczenie było niczym. W zasadzie nie wiedziała nawet, po co zwracała sobie głowę wyjmowaniem tego odłamka ze stopy. Sekunda bólu mniej czy więcej nie miała żadnego znaczenia w konfrontacji z szeroko zakrojonym planem.

Ruszyła naprzód w stronę wilgotnego piachu, który woda barwiła na kolor mocnej herbaty i wymywała w nim dołki pełne morskiej piany oraz drobnych robaków i krabów.

Tanya szła z lekkim wahaniem. Woda omywająca jej nagą skórę wydawała się potwornie lodowata. Nigdy dotąd nie wchodziła do morza. Oczekiwała cieplejszej kąpieli. Najpierw stawiała małe, niepewne kroczki. Dopiero gdy zanurzyła się po kolana, nabrała odwagi i ruszyła szybciej.

Pozwalała głaskać się słonym językom drobnych fal. Odwróciła się twarzą do brzegu i tyłem przesuwiała dalej, aż woda sięgnęła powyżej ramion. Szczękała zębami, a jej ręce i nogi trzęsły się w niekontrolowany sposób. Organizm próbował przeciwstawić się skutkom dojmującego zimna.

Podniosła wzrok na wierzchołek klifu. Ostatnie spojrzenie na Prospect House. Jedyne miejsce, gdzie była szczęśliwa, w którym czuła się potrzebna i akceptowana. Przypomniła sobie lśniącą łazienkę, komfort czystego, białego łóżka i ciepłego koca, otulającego ramiona w chłodne noce. Na myśl, że mogłaby zostać poproszona o opuszczenie tego miejsca, bolało ją serce. Namieszała i zdawała sobie z tego sprawę. To było do przewidzenia. Zawsze musiała namieszać. Tak jakby została zaprogramowana na samozagładę.

Przypomniła sobie Boże Narodzenie z czasów dzieciństwa. Dostała wtedy elektroniczną maskotkę – Furby'ego. W jej domu prezenty zdarzały się wyjątkowo rzadko, więc tym bardziej uwielbiała puszystą zabawkę, która, śpiewając, otwierała oczka i buzię. Kochała ją ponad wszystko, co w życiu miała. Nie mogła uwierzyć, że ktoś taki jak ona otrzymał równie wspaniały prezent. Śpiewała z Furby'm, głaskała go, spała z nim i wciąż przytulała. Aż pewnej nocy matka, będąc w podłym nastroju po pijackiej kłótni ze swym facetem, zagroziła, że zdepcze Furby'ego, jeśli „się wreszcie do cholery nie zamknie!”. Myśl, że na jej oczach mogłoby dojść do zniszczenia ukochanej zabawki, była dla dziewczynki nie do zniesienia do tego stopnia, że już chwilę później wyniosła Furby'ego na zimną, wilgotną noc i sama go zdeptała. Ze łzami w oczach wyrzuciła połamanego zwierzaka do śmietnika na podwórku. Znacznie łatwiej było pogodzić się z jego stratą, niż żyć w wiecznym strachu, że w każdej chwili może spotkać go coś złego.

Tanya wiedziała, że życie w Prospect House jest tak dobre, że marzenie o lepszym byłoby grzechem. Widocznie ona należy do tych, którym nie jest pisane własne mieszkanie, praca, wyjazd do Kanady ani nawet ten wypasiony ekspres do kawy, taki jak w pubie. Przynajmniej nigdy nie

zostanie odłączona od dziecka, nie zazna bólu związanego z koniecznością wyboru między nim a nalogiem. Nie będzie musiała się zastanawiać, kto nakarmi i wykąpie jej syna lub córkę, podczas gdy ona, nieprzytomna po kolejnej dawce, wybierze ramiona mężczyzny, który dostarcza jej truciznę. Dom na klifie prezentował się fantastycznie. Nie mogła marzyć o piękniejszym ostatnim widoku. Równie dobrze mógł nim być poplamiony sufit, tapeta odklejająca się od wilgotnej ściany ubikacji lub obrzydliwie brudne cegły jakiegoś odludnego zaułka. Ten widok był lepszy, o wiele lepszy. Czowała satysfakcję, że wreszcie coś od niej zależało, że sama podjęła decyzję. Że sprawowała kontrolę.

Położyła pomarszczoną od wody dłoń na swym płaskim brzuchu i zaczęła masować go okrężnymi ruchami. Nie była sama. Nigdy już nie będzie sama. Już zawsze będzie miała spokój, a jej mały sekret – bezpieczny i skulony – na zawsze pozostanie przy niej.

„Nigdy nie będziesz bać się wody” – powiedziała w myśli, aby dosłyszał je mały załazek człowieka, poczęty z miłością i rozwijający się w jej wnętrzu. Poczula się znacznie lepiej.

Ciało Tanyi odrętwiało z potwornego zimna. W całości pokryło się gęsią skórą. Jej delikatne włosy unosiły się za nią na wodzie niczym pomarańczowe wodorosty. Nie odrywając wzroku od Prospect House na szczycie klifu, zrobiła dwa zdecydowane kroki w tył. Miękki piasek, który dotąd czuła pod stopami, ustąpił miejsca próżni i zaczęła zanurzać się coraz głębiej i głębiej. Jak syrena, którą sobie tyle razy wyobrażała.

Lodowata woda powoli wypełniała jej drogi oddechowe. W pierwszym odruchu dziewczyna chciała zamknąć usta i złapać się za nos, ale gdy tylko się odprężyła, gęsta, słona woda wpłynęła do środka i wypełniła każdy zakamarek jej płuc. Kiedy mózg zarejestrował, że odruch wymiotny nie ma sensu, ogarnął ją cudowny spokój. Jaśniało nad nią punktowe światelko. Uśmiechnęła się. A potem powoli zamknęła oczy, by wyjść naprzeciw błogiemu spoczynkowi i ucieczce.



Kate wjechała na podjazd i zauważyła czającego się przy tylnym wejściu Toma. Wyraźnie podenerwowany mężczyzna przekładał z ręki do ręki kraciatą ścierekę.

– No świetnie, co tym razem? Następnym dramacie? Błagam, byle nie narkotyki – odezwała się do lusterka wstecznego z nadzieją, że tym razem chodzi o katastrofę typu „zabrakło marchewki”. Obawiała się jednak, że kroi się coś grubszego. Być może Janeece miała rację i Kate się starzeje. W szybkim tempie.

Wygramoliła się z jeeпа z koszem pełnym zakupów w jednej ręce i miejscową gazetą w drugiej.

– Tom, coś się stało?

– Nie, nic takiego, Kate.

Mimo udzielonej odpowiedzi nie przestawał miętosić ścierki. Wskazywało to na wręcz przeciwny stan rzeczy.

– No to dobrze. Czyli żadna katastrofa nie wydarzyła się podczas mojej nieobecności?

– Nie, nie, nic takiego. Tylko masz gościa.

– Dobra, już idę.

Sądząc po niespokojnym zachowaniu Toma, mogła to być niezapowiedziana, nowa podopieczna. Już kiedyś się zdarzyło, że z powodu problemów komunikacyjnych i złego funkcjonowania poczty w Prospect House bez uprzedzenia zjawiła się nowa mieszkanka. Nie grało to jednak większej roli – i tak sobie poradzą, przecież zawsze sobie radzili. Miejsca mieli mnóstwo, wystarczyła więc filiżanka gorącej herbaty i parę miłych słów, by opanować sytuację. A może to niezapowiedziana kontrola z opieki społecznej? Cóż, w takim razie scenariusz będzie trochę mniej przyjemny. Na samą myśl o tym Kate zwiesiła głowę, opadły jej skrzydła. Dlaczego akurat dziś, w taki piękny dzień? Nie chodziło o to, że miała coś do ukrycia. Wręcz przeciwnie, prowadziła politykę otwartych drzwi, ale oznaczało to po prostu męczący dzień, wypełniony czasochłonnymi czynnościami. No i zawsze wolałaby mieć trochę większy porządek w papierach.

Weszła do kuchni z optymistycznym okrzykiem:

– Dzień dobry!

I stanęła jak wryta.

Gazeta wypadła jej na podłogę, a dłoń bezwiednie uniosła się do ust. Serce zaczęło walić w takim tempie, że przez chwilę myślała, że zasłabnie. Przy stole siedział jej syn.

Tom postawił na stole kubek herbaty – identyczny jak ten, który wcześniej podał Dominicowi, po czym natychmiast zniknął.

– Dzień dobry.

– O mój Boże. Och, Dom!

Kate podeszła i położyła mu rękę na plecach, a drugą objęła i przytuliła jego głowę. Jej uścisk był niepewny, delikatny – z jednej strony nie wiedziała, jak zostanie przyjęta, z drugiej natomiast poważnie obawiała się, że zjawa może zniknąć. Wyobrażała sobie tę scenę tyle razy, że równie dobrze mogła rozgrywać się tylko w jej głowie. Tak jednak nie było. Dominic – namacalny i prawdziwy – siedział w jej kuchni.

Wciągnęła jego zapach, dobrze znany i odurzający.

– Och, Dom, nie mogę w to uwierzyć! To naprawdę ty? To niesamowite, tak długo czekałam...

Jak ja za tobą tęskniłam!

Ten nieporadny okrzyk nie mógł oczywiście oddać siły jej uczuć. Żadnymi słowami nie dało się bowiem opisać, ile kosztowała ją rozłąka z dziećmi. Wszystkie słowa zdawały się zbyt banalne, za mało wyraziste, nieadekwatne.

– Uduśisz mnie.

– Och, przepraszam, kochanie.

Kate usiadła przy stole naprzeciwko swego dziecka.

Przyjrzała się siedzącemu przed nią mężczyźnie. Miał na sobie dzinsy i grubą, białą, bawełnianą koszulę. Wyglądał naprawdę imponująco. Jego umięśnione przedramiona pokrywał gąszcz gęstych, ciemnych włosów. Zmrużyła oczy. Przywołała obraz chudych chłopięcych rączek oblepionych papierowymi tatużami ze Spidermanem, które dołączano do opakowań gumy do żucia. Przed oczami stały jej patykowate, piegowate ramiona bez śladu mięśni, wystające zza szerokich rękawów pasiastej koszulki. Kiedy to było? Dziesięć lat temu? Nie, dwadzieścia. Mój Boże, gdzie się podział ten czas? Kate ze zdumieniem stwierdziła, że ciało dawnego nastolatka stało się pełne, włosy, w porównaniu z tymi, które zapamiętała, zgęstniały i ściemniały, a wszelka kanciastość zniknęła.

Choć zmiany fizyczne były ogromne, uwagę Kate przyciągnęło przede wszystkim to, że syn przekroczył, pewnie już jakiś czas temu, granicę między beztróskim nastolatkiem a znużonym codziennymi troskami mężczyzną. Jego oczy nie chłonęły już świata z powolną fascynacją, lecz zerkały na niego ukradkowo, jakby z wahaniem. Noga mu drgała, gdy wybijał piętą sobie tylko znany rytm, bębniąc przy tym palcami w stół. Był wyraźnie podenerwowany. Mówił nieco zbyt szybko i trochę zgryźliwie. Przypominał zwierzątko, które wycofało się do kąta i zastygło, gotowe do ataku.

– Nie mogę uwierzyć, że cię widzę, Dom, naprawdę. Tyle chciałabym ci powiedzieć, ale zupełnie nie wiem, od czego zacząć. To beznadziejne, bo ćwiczyłam to w głowie bez przerwy, począwszy od dnia, kiedy cię ostatnio widziałam. O Boże, jak ja się cieszę. Ile masz czasu, Dom? Kiedy musisz wracać?

Strach przed tym, że zaraz znowu się rozstaną, kradł cenne chwile spotkania.

– Mam gotowe pokoje, moglibyśmy dłużej pogadać. Jesteś głodny? Skąd się tu wzięłeś?

Przyjechałeś samochodem? Czuję się dosłownie jak dziecko! Jestem taka podekscytowana! A co u Lydii?

Słowa wydobywały się z niej z prędkością karabinu maszynowego.

– Nie, na dłużej nie mogę zostać, ale dzięki. U Lydii świetnie. Zrobiła się z niej niczego sobie artystka. Jej prace dostają dobre recenzje, zresztą w pełni na nie zasługują. Jest bardzo zdolna.

Kate była załamana, słysząc jak się do niej zwracał – beznamiętnie, jak do obcej osoby. W jego odpowiedzi nie było ani trochę ciepła. O siostrze wypowiadał się tonem opiekuńczym, ale zdawał się

sztydzić z zainteresowania Kate jej sprawami, jakby chciał powiedzieć: „Co to właściwie ma wspólnego z tobą?”. Kate postanowiła nie zdradzać, że była na wystawie, widziała prace Lydii i też uważa, że z całą pewnością zasługują one na dobre recenzje.

– A co u ciebie, Dom? Czym się zajmujesz? Wciąż pracujesz z Lukiem i Gerrym?

– Tak. Prowadzimy firmę, zajmujemy się nieruchomościami. Kupno i sprzedaż, ale też odnawianie, projektowanie wnętrza i tak dalej. Całkiem niezłe nam idzie.

– Och, to fantastycznie! Dom, pewnie uznasz to, co powiem za wyświechtane, ale strasznie urosłeś. Świetnie wyglądasz. Jesteś taki piękny, jesteś naprawdę bardzo przystojny. Zawsze wiedziałam, że taki będziesz. Masz dziewczynę?

Udzielił niejasnej odpowiedzi. Przed oczami stanęła mu twarz dziewczyny, którą ostatnio, bez powodzenia, próbował zdobyć. Zresztą jaka kobieta chciałaby z nim być, znając jego historię? Nie miał zamiaru zwierzać się matce. Zamiast tego powiódł spojrzeniem po pomieszczeniu, w którym siedzieli.

Kate spodziewała się, że jej pierwsze spotkanie z dziećmi może tak wyglądać, ale ta świadomość wcale nie pomagała. Najbardziej na świecie chciała go mocno przytulić.

– Nie jestem w stanie opisać, jak bardzo się cieszę, że cię widzę.

Zignorował jej słowa.

– Ładnie tu. Ciekawy masz dom...

Kate skinęła głową. Nie chciała mówić o domu.

– Dominicu, potwornie za tobą tęskniłam.

– Cóż, przecież wiedziałas, gdzie jestem. Jeśli tak strasznie tęskniłaś...

Nie spuszczała z niego wzroku.

– Kochanie, to niesprawiedliwe. Bardzo wyraźnie daliście do zrozumienia, że nie życzyście sobie mnie widywać. Uszanowałam to. Uznałam, że kiedy będziecie gotowi, sami przyjedziecie.

Dominic się zaśmiał. Jego śmiech zabrzmiał bardzo nieszczerze i na moment przypomniał jej Marka.

– Oczywiście. Mądra, stara matka. Twoja domorośla psychologia opłaciła się, jak widać. Bo oto jestem. Kiedyś powiedziałaś, że zawsze będę mógł z tobą porozmawiać, że zawsze mnie wysłuchasz. Mówiłaś, że na tym polega twoja rola.

Kate uśmiechnęła się. Rzeczywiście tak mówiła.

– No więc kiepsko się z niej wywiązałaś. Jestem na ciebie, mamo, mocno wkurzony!

Jego głos zabrzmiał jak głos małego, rozszuszczonego chłopca. Kate ścisnęło się serce.

Przypomniała sobie, że tym samym tonem protestował przeciwko narzuconej przez nią porze chodzenia spać i jedzeniu brukselki. Ale nazywał ją mamą! Och, jak jej tego brakowało.

– Dom, za długo byliśmy rozdzieleni. Nie chcę teraz wszystkiego popsuć kłótnią.

– A może nie liczy się tylko to, czego ty chcesz? Może są jeszcze rzeczy, których ja chcę, których ja potrzebuję?

– Jakie to są rzeczy? Powiedz mi, o co chodzi, a zrobię wszystko, żeby ci pomóc. Tak bardzo cię kocham. Nie chcę patrzeć, jak cierpisz.

– Cierpię? – powtórzył, przysłaniając otwartą dłońią usta, i znów tłumiąc niestosowny śmiech. – Jezu, ty nie masz pojęcia o cierpieniu.

– Och, Dom, myślę, że mam coś więcej niż samo pojęcie na ten temat.

Przelknęła słowa, które cisnęły jej się na język. „Twój ojciec był potworem. Nie masz zielonego pojęcia, w jaki sposób żyłam. Przez dwadzieścia lat mnie torturował, ale znosiłam to dla ciebie i dla Lydii”. Zachowała je jednak dla siebie. Nie chciała obciążać go jeszcze bardziej.

– Nie spodziewam się, że mnie zrozumiesz, Dom. Zdaję sobie sprawę, na co cię naraziłam.

– Czyżby, mam? – znowu jej przerwał. – Naprawdę wiesz, na co mnie naraziłaś? Na co naraziłaś Lydię?

Kate spuściła wzrok. Oczekiwała lawiny zarzutów, wiedziała, że ten moment prędzej czy później nadejdzie. Czekala na niego od dziesięciu lat.

– Mountbriers to był cały mój świat. Miałem tam przyjaciół, wszyscy byliśmy jak jedna rodzina. Uwielbiałem należeć do ich grona. Byłem taki dumny, że co dzień wkładam mundurek i przechodzę pod kamiennym łukiem. Czułem się wyróżniony. To było dla mnie wszystkim. Ciężko pracowałem. Szło mi dobrze i miałem przed sobą świetną przyszłość, zresztą ty sama mnie o tym przekonywałaś. Ale kłamałaś, prawda? Ty miałaś inne plany, jeśli chodzi o moją przyszłość, a właściwie o naszą przyszłość, o przyszłość nas wszystkich. Ja nie odszedłem tak, jak inne dzieciaki. Nie zdobyłem stypendium do innej szkoły. Moim rodzicom nie skończyła się kasa i nie wysłali mnie do publicznej rejonówki. Były dzieciaki, którym się to przytrafiło i co z tego, dalej czuły się częścią Mountbriers – jeśli tylko chciały. Ale ja – nie. Nie mogłem utrzymywać kontaktów z kolegami, nie mogłem wpadać na weekendy, nie mogłem nawet dokończyć cholernego semestru!

– Dom, ja...

– Nie. Daj mi skończyć. Policja godzinami przesłuchiwała mnie i Lyd, wiedziałaś o tym? Trzymali nas oddzielnie, w różnych pokojach pełnych obcych ludzi. Wypytywali, czy tata kiedykolwiek mnie dotknął, skrzywdził. Wyobrażasz sobie? W głowie mi się dosłownie popieprzyło, i to kompletnie. W jednej chwili jestem na grillu ze znajomymi, a w drugiej cały mój świat staje na głowie, żeby za chwilę runąć. Pojawia się jakiś obcy facet i pyta, czy tata kiedykolwiek...

Dominic wziął głęboki wdech, aby trochę ochłonąć i powstrzymać łzy frustracji, które cisnęły mu się do oczu. Jeszcze nie skończył.

– Tata nigdy nie tknął palcem ani mnie, ani Lydii. Nigdy by tego nie zrobił. Był świetnym tatą, niezależnie od tego, czy go lubiałaś, czy nie. Był świetny i ja go kochałem. Był zabawny,

inteligentny, mądry i miałem nadzieję, że kiedy się ożenię i będę miał dzieci, stanę się dokładnie taki sam! Fajne, co? Wyobraź sobie takie marzenie...

– Dominicu, mogę sobie wyobrazić...

Nie dał jej dokończyć. Nie pozwolił jej odpowiedzieć, dopóki sam nie wyrzucił z siebie wszystkiego.

– Nie mogliśmy niczego wziąć z domu. Niczego. Wiedziałaś o tym? Zabrali mi komputer, zdjęcia, telefon, ubrania, wszystko. Wszystko, co miałem, co znałem; ze wszystkiego nas odarli. Mój dom stał się nagle miejscem zbrodni. A tą zbrodnią było morderstwo – nie jakaś tam kradzież czy napaść, tylko morderstwo. Mój ojciec został zadźgany, i to nie przez jakiegoś bezmiennego napastnika, ale przez moją matkę. Przez ciebie! Straciłem szkołę, przyjaciół, wszystkie swoje rzeczy, dom, rodziców, wszystko! Straciłem całe swoje cholerne życie. Wyobrażasz sobie? I co gorsza, nie zrobił tego jakiś obcy człowiek. To zrobiła moja własna, cholerna matka! Ty mi to wszystko odebrałaś! Nam!

Łzy popłynęły mu teraz swobodnie, a Kate poczuła dziwną ulgę, jakby jego płacz oznaczał katharsis.

Sięgnęła ponad stołem. Choć dzieliły ich tylko centymetry, dla obojga były to kilometry i długie lata. Ujęła dużą, męską dłoń syna i wsunęła ją między swoje. Czuła, jak jego palce zwijają się, by dopasować się do kształtu jej dłoni. Niewielki akt o wielkim znaczeniu.

Siedzieli w ciszy, aż łzy przestały płynąć po policzkach Dominica, a jego oddech się uspokoił. Mieli przed sobą całe, długie życie.

Kiedy się odezwał, jego głos zabrzmiał już spokojniej.

– Ty nam to zrobiłaś, mamó. Nie winię za to tylko ciebie, ale ciebie i tatę. Obydwoje kłamaliście. Z naszego życia, z całego naszego dzieciństwa, zrobiliście jedno wielkie kłamstwo.

Kate przypomniała sobie bolesne słowa Lydii usłyszane przez telefon zza oceanu, z odległości tysięcy kilometrów. „Całe moje życie, ludzie, którym ufalam – to wszystko było oszustwem”.

Dominic jeszcze nie skończył.

– Myślę o wszystkich porankach, kiedy siedzieliśmy przy śniadaniu, tata żartował, dogadywał, a ty uśmiechając się, smażyłaś ten cholerny bekon. Gdy zaledwie godzinę wcześniej... Kto był lepszym kłamcą, mamó? Nie jestem pewien. Wiem, że tata to zaczął, był dla ciebie koszmarny. Ale ty to skończyłaś i nie potrafisz zdecydować, co według mnie było gorsze. Dla ciebie wszystko gra, teraz jesteś Kate Gavier. Ja nie mogę tak zrobić. Nie mogę zmienić się w Kate Gavier. Jestem skazany na bycie Dominikiem Brookerem. Przedstawiam się ludziom z nazwiska i patrzę, jak kombinują, jak próbują sobie przypomnieć, skąd je znają... a potem szeroko otwierają oczy i zaczynają mnie kojarzyć. Ach tak, Brooker. Potomek tyrana Marka i psychopatki Kathryn. I ty pytasz, czy mam dziewczynę? Jak sądzisz? Co bym jej powiedział, gdyby doszło do rozmowy

o „zapoznaniu się z rodzicami”? To byłby cholernie kiepski pomysł, nie?

– Przepraszam, Dom. – Odpowiedź Kate była nieadekwatna, automatyczna.

– A potem zniknęłaś. Najpierw w więzieniu, a później tu, żeby zanurzyć się w problemach innych ludzi, żeby nie musieć rozwiązywać naszych. Zupełnie jakbyśmy się już nie liczyli, jakbyśmy byli nie dość ważni.

– Dom, zawsze się liczyliście. Zawsze tylko wy naprawdę się liczyliście. To dla was wciąż żyję. Kocham ciebie i Lydię bardziej, niż jesteś w stanie to sobie wyobrazić, bardziej, niż kiedykolwiek sobie wyobrazisz. I nie ukrywałam się przed wami! Czekałam na was. W każdej minucie co dnia, z każdym oddechem myślałam tylko o tym, w jaki sposób mogłabym się z wami spotkać lub skontaktować, żeby nie przysparzać wam jeszcze więcej bólu...

Znowu jej przerwał.

– Myślę o tamtej nocy, mamó. Dużo o niej myślę. Wolałbym tyle nie myśleć. Byliśmy w pokoju obok. Dzielili nas tylko jedna cholerna ściana! Leżałem parę metrów od tego, co się działo. A ty byłaś taka radosna. Pamiętam, bo tak właśnie brzmiał twój głos. Powiedziałem to policji, a przecież tata był przez cały czas na łóżku... Założę się, że chciał, abym mu pomógł, na pewno czuł się opuszczony i przerażony. Zastanawiam się czasem, mamó, czy mnie wołał. Czy chciał, żebym mu pomógł? Nie mogę uwierzyć, że smacznie spałem za ścianą, leżałem tam, myśląc o grillu i o Emily Grant, podczas gdy ty...

– Och, kochanie. Dom. Nie mów tak. Nie ma sensu. To cię tylko zniszczy.

– Coś ty? Naprawdę? – rzucił szyderczo przez zaciśnięte usta. – Po tym wszystkim już nigdy dobrze nie spałem. Leżę i nasłuchuję, czy na pewno nikt nie potrzebuje mojej pomocy, na wypadek gdyby tata potrzebował mojej pomocy...

Kate potarła zamknięte oczy.

– Przepraszam cię, Dom. Naprawdę bardzo, bardzo mi przykro z powodu wszystkich cierpień, jakie wam zadałam. Pewnego dnia porozmawiamy o strachu, samotności i moich pobudkach, ale nie dziś. Nie dziś, Dom. To ważne, żebyś wiedział, że zawsze, zawsze stawiam na pierwszym miejscu wasze dobro. Ja...

Nie dane jej było dokończyć.

Otwarte z rozmachem drzwi kuchenne łupnęły o ścianę. Oboje podskoczyli na krzesłach i odwrócili się w stronę hałasu.

W wejściu, z ręką ciężko opartą o futrynę, stał Rodney Morris. Jego ciało nie przywykło do prędkości, z jaką adrenalina przygnała go na wzgórze z dołu, z plaży. Był mokry od potu, twarz miał purpurową i ciężko dyszał. Drugą ręką, przyciśniętą do piersi, przytrzymał coś, co wydawało się jakimś ubraniem. Z palca zwisały mu klucze.

Kate wypuściła dłoń syna i pozwoliła jej opaść na stół. Wstała z krzesła.

– Rodney! O co chodzi? Co się stało?

Mężczyzna powoli unosił głowę, aż jego wypełnione łzami oczy napotkały jej wzrok.

– Tanya... – wyjąkał.

Podał Kate otwartą kremową kopertę, którą dotąd mocno ścisnął w garści.

Kate oplótła go ramieniem i poprowadziła w stronę krzesła. Nieprzyjemna atmosfera, która zwykle towarzyszyła ich spotkaniom, w obliczu niebezpieczeństwa pierzchnęła.

Wysunęła z koperty kartkę papieru i pospiesznie przebiegła wzrokiem słowa Tanyi.

– Gdzie ona jest, Rodney?! – krzyknęła. – Już za późno?!

Rodney powoli kiwał się na krzesle i mamrotał coś niezrozumiale.

– O nie, Boże, błagam, nie! – zawyła Kate na pograniczu hysterii.

– Taka piękna... młoda... – powtarzał Rodney przez łzy.

Kate wciąż od nowa odczytywała liścik Tanyi. Nie mogła oderwać wzroku od krótkiego, składającego się z dziesięciu linijek tekstu. Za wszelką cenę próbowała zrozumieć jego znaczenie. Łapała powietrze haustami. Pierś rozrywał jej ciężki, gwałtowny ból. Podniosła wzrok, szukając twarzy syna w nadziei, że znajdzie w niej otuchę i pocieszenie. Dominica już jednak nie było.

Rozdział 11

Dziesięć lat wcześniej

Podczas procesu Kathryn czuła się jak pod wodą. Nie potrafiła rozróżnić dnia i nocy, godziny zlewały się ze sobą i zamazywały, przerywane okazjonalnymi drzemkami i mdłym jedzeniem, które po wzięciu do ust przypominało drewno. Słowa miały wypaczone znaczenie, a kolory i dźwięki były przytłumione. Myślała, że tak czuje się człowiek w stanie nieważkości. Ze wszystkich ludzi, którzy na nią spoglądali, potrafiła rozróżnić tylko Lydię i Dominica. Tylko ich postaci były charakterystyczne i rozpoznawalne. Ich twarze, wyrażające smutek ludzi otumanionych ciężkimi przejściami, miały pusty wyraz.

Kiedy słuchała monotonnych głosów, rozkładających na części pierwsze i poddających szczegółowej analizie jej życie, zdawało jej się, że to wszystko dotyczy kogoś innego. Czuła się dziwnie odłączona od procedur, niezdolna w pełni pojąć ich sens i znaczenie. Czasem na miejscu dla świadków stawali ludzie, których rozpoznawała. Jak przez mgłę pamiętała Judith, która, kładąc tłustą dłoń na Biblii, spojrzała na nią wilkiem.

Dla Kathryn wszystkie fakty były najzupełniej jasne. Mark przez długi czas ją krzywdził i pewnego dnia, sprowokowana do granic wytrzymałości, nie zapanowała nad sobą i zabiła go. Nie dodać, nic ująć. Nie posunęłaby się jednak tak daleko, by nazwać swój czyn usprawiedliwionym, i zdawała sobie sprawę, że zarówno drobiazgowo badanie, jak i debata sądowa nie wpłyną na jej

sytuację. Zrobiła, co zrobiła. Zgodnie z jej przypuszczeniami, składająca się z dwunastu osób – kobiet i mężczyzn – ława przysięgłych uznała ją za winną popełnionego czynu. Wyrok, który zapadł, był jednak sprawiedliwy. Osiem lat więzienia. Pod warunkiem nienagannego zachowania kara może zostać skrócona do pięciu lat. Kathryn wiedziała, że to uzasadnione. Dwanaście przypadkowo wybranych osób uznało, że czyny Marka wobec niej były nieludzkie. Była wdzięczna przynajmniej za to.



Kate – już nie Kathryn – leżała na twardym więziennym łóżku i próbowała oswoić się z nowym domem. Czuła ulgę, że kara wreszcie się rozpoczęła, bo przypominała bieg maratoński – im prędzej wystartujesz, tym prędzej znajdziesz się na mecie.

Więzienie dla kobiet w Marlham zbudowane było wokół atrium otoczonego metalowymi podestami i ściankami z pleksi. Wzdłuż boków atrium na każdym piętrze znajdowały się drzwi do cel. W środku było brzydko i głośno. Nawet najłżejsze dotknięcie żelaznej barierki powodowało głośny, rozchodzący się echem brzęk – jak kichnięcie w pustym kościele. W budynku początkowo miało mieścić się sanatorium, ale ostatecznie został zaadaptowany na potrzeby więzienia. Dziś rozrósł się znacznie, a urozmaicały go dziwne przybudówki z czerwonej cegły.

Cele jednak były znacznie brzydsze, niż mogłyby na to wskazywać pomieszczenia i tereny wspólne. Kate nie oczekiwała luksusów, ale spodziewała się czegoś w rodzaju serialu *Odsiadka*. Tymczasem więzienie przypominało raczej schronisko młodzieżowe – funkcjonalne, choć skromnie urządzone.

Małenkie prostokątne okienko znajdowało się wysoko na ścianie. Zbrojona szyba z hartowanego szkła nie dawała się otwierać, ale i tak, na wszelki wypadek, została zabezpieczona czterema metalowymi prętami. Kate nawet nie próbowała wyobrazić sobie świata za tym oknem. Tak było łatwiej. Myślała po prostu, że tam, na zewnątrz, znajduje się jej stare życie, natomiast nowe czeka na nią w przyszłości. A na razie znajduje się w okresie przejściowym. W czymś na kształt stanu zawieszania.

Bardzo chciała, by dzieci wiedziały, że u niej wszystko dobrze, że w więzieniu nie jest tak koszmarnie, jak mogły sobie wyobrazić. Mieszkała w jednoosobowej celi, ciepłej i całkiem wygodnej. Mogło być znacznie gorzej. W przeciwieństwie do wielu nowych więźniarek Kate nie tęskniła za swoim starym łóżkiem. Wręcz przeciwnie, w nowym otoczeniu czuła się bezpiecznie

i przytulnie. Pojedyncze łóżko było dla niej nie lada pocieszeniem.

Rozmyślania przerwała jej tęga strażniczka, która podeszła do celi i otworzyła drzwi na oścież. Kate nie pojmowała jeszcze więziennych procedur – te drzwi zaledwie kilka minut wcześniej zostały zamknięte.

– Wyskakuj z łóżka – zaordynowała strażniczka tonem przyjaznej prośby, nie rozkazu.

Kate ześlizgnęła się z łóżka i wsunęła stopy w kaptcie bez pięt, na gumowej podeszwie, które jej przydzielono.

Strażniczka ruszyła przodem, otwierając za pomocą kluczy i karty dostępu kolejne przejścia między korytarzami. Minęły kilka skrzyżowań, aż wreszcie znalazły się w szarej, zimnej łazience. Pod sufitem wisiała goła żarówka dająca mętne, ciemnawe światło. Pomieszczenie przypominało małą klatkę. Na popękanej umywalce rozchodziły się w stronę odpływu rdzawe zacieki. Panowała tu wilgotna, zatechła atmosfera.

– Możesz wziąć prysznic, Kate.

Kate uśmiechnęła się do strażniczki.

– Dziękuję. Cieszę się. Ile mam czasu?

Strażniczka odpowiedziała przyjaźnie:

– Ile chcesz, kochana.

– Naprawdę?

Kobieta skinęła głową.

– Nic się dzisiaj specjalnego nie dzieje, nie spiesz się.

Kate powtarzała sobie w głowie jej słowa. „Ile chcesz, kochana”.

Nie mogła w to uwierzyć. Te słowa brzmiały jak muzyka.

Weszła do jednej z czterech identycznych kabin prysznicowych. Zwróciła uwagę na charakterystyczny zapach mleczarni, wyczuwalny w publicznych przebieralniach i łaźniach. Puściła wodę z kranu i roześmiała się prosto w jej strumień. Śmiech szybko zmienił się w płacz. Były to jednak łzy ulgi, nie smutku. Przysięgła sobie wcześniej, że nie uroń ani jednej łzy z powodu Marka i tego, co mu wyrządziła. Nigdy. Niespiesznie namydliła skórę i umyła szamponem włosy – aż dwa razy! Jeszcze długo po tym, jak skończyła się myć, stała w kabinie prysznicowej pod strumieniem ciepłej wody. Z samej radości, że może to robić bez ograniczeń.

Potem zamknęła oczy i próbowała zaszeregować nowe doznanie. Właśnie się dowiedziała, jak bierze się prysznic bez walącego w dzikim strachu serca, bez mentalnego zegarka w głowie, bez wyliczania w duchu czekających ją obowiązków, bez drżenia rąk nakładających w pośpiechu szampon pod strumieniem zbyt gorącej wody.

Zachichotała. Choć za drzwiami pilnowała jej strażniczka, choć za chwilę pójdzie do celi, w której zamkną ją na noc, Kate wiedziała, że po raz pierwszy od dwudziestu lat tej nocy zostanie

wyzwolona ze swego prywatnego piekla.

– Jak tam, lepiej? – zapytała strażniczka, kiedy Kate wyłoniła się z drzwi łazienki.

– Och tak, znacznie lepiej.



Godzinę później zaczęły jednak płynąć łzy. Szlochy dochodzące z jej celi doskonale było słychać na całym korytarzu. W odpowiedzi z sąsiednich cel rozległo się kilka okrzyków typu: „Zamknij się, do cholery!”. Ale trafiały się też współczujące komentarze.

Pełniąca dyżur strażniczka ociągała się na końcu korytarza. Trudne pierwsze noce nowo przybyłych więźniarek nie były dla niej nowością. Po dramatycznych przeżyciach i emocjach sali sądowej przychodził czas, w którym zdawały sobie sprawę, że w taki właśnie sposób upłyną kolejne lata ich życia. Czekala. Kate niewątpliwie cierpiała. Strażniczka dobrze znała się na ludzkich charakterach. Wystarczyło, że poobserwowała Kate przez parę godzin, a wiedziała już, że ta kobieta nie będzie sprawiać kłopotów.

– Gasimy światła, moje panie! – krzyknęła i po kolei zaczęła przekręcać włączniki przy wejściach do cel. – I bardzo proszę trochę ciszej!

Po odgłosach dochodzących z celi Kate odgadła, że kobieta próbuje stłumić łkanie poduszką.

W godzinę później robiła kolejny obchód, by sprawdzić, czy wszystkie światła pogasły, a więźniarki znajdują się na swoich miejscach. Kate siedziała na brzegu łóżka. Włosy spadały jej na twarz.

– Jak tam? – szepnęła.

– Dobrze, dziękuję – odparła Kate i uśmiechnęła się do postaci-cienia. Choć już nie płakała, wstrząsał nią bezgłośny szloch. Jej oddech stracił swój naturalny rytm. Z trudem wypowiadała słowa, które nikiły między spazmatycznymi szarpnięciami. Przypominała małe dziecko, które po ataku płaczu nie może dojść do siebie ani normalnie mówić. – Tak naprawdę...

– Tak, Kate?

Dość często zdarzało się, że o tej porze, w środku nocy, więźniarki zaczynały rozmowy lub zgłaszały jakieś prośby.

– Zastanawiałam się, czy mogłaby mi pani w czymś pomóc.

– O co chodzi?

Ton strażniczki od razu stał się surowy, kobieta przygotowała się na atak słowny lub

niedorzeczną prośbę. Jedno i drugie było normą na wieczornych dyżurach.

Kate uniosła lewą dłoń na wysokość zakratowanego okienka w drzwiach.

– Muszę zdjąć obrączkę. Prawnik kazał mi ją mieć na palcu przez cały proces, ale teraz jest już po wszystkim. Nienawidzę nosić tej obrączki, naprawdę, ale nie potrafię jej zdjąć. Siedziałam tu i próbowałam, lecz nie mogę sobie poradzić. Nie chcę spędzić ani jednej nocy więcej z obrączką na palcu. Ani jednej!

Kate z pełną determinacją próbowała pozbyć się symbolu swego cierpienia. Młoda dziewczyna, której nałożono na palec ten złoty krążek, była pełna nadziei i pasji życia. Kobieta w średnim wieku, która za wszelką cenę usiłowała ściągnąć go z serdecznego palca lewej ręki, miała dłonie opuchnięte od ciężkiej pracy i maltretowania. Czuła się tak, jakby w środku nocy zakradł się do niej złodziej czasu i wymazał z jej życia całe dekady. Co za okrutna sztuczka. Gorszej nie można chyba wymyślić.

Do oczu napłynęły jej gorące łzy.

– Naprawdę nie chcę już mieć tego na palcu. Proszę...

Strażniczka po raz pierwszy i ostatni była świadkiem takiej odsłony uczuć u Kate. Poruszona, postanowiła jej pomóc. Parę minut później wróciła z miską ciepłej wody i kostką mydła. Otworzyła drzwi i wręczyła je wciąż jeszcze roztrzęsionej kobiecie.

– Bardzo dziękuję. Jestem naprawdę wdzięczna. – Kate uśmiechnęła się przez łzy.

Z zacięciem przystąpiła do działania. Namydliła skórę, zaczęła kręcić obrączką i szarpać tak mocno, że na palcu pojawiła się krew. Ogarnęła ją jeszcze większa furia – znowu namydliła palec i próbowała zdjąć obrączkę. Udało jej się to dopiero za trzecim razem, tylko dzięki temu, że uparcie ignorowała bolesną opuchliznę utrudniającą wykonanie zadania. Wrzuciła obrączkę do wody razem z mydłem i przyglądała się wgłębieniu, które metal pozostawił na jej palcu.

– Jak pani sądzi, kiedy to zniknie? – zapytała, kiedy strażniczka pojawiła się znowu.

– Nie wiem. Może za kilka miesięcy?

Kate skinęła głową. Parę miesięcy była w stanie poczekać.

– Co mam z nią zrobić? – Strażniczka wyłowiła z miski lśniąca złotą obrączkę i chwyciła ją palcami.

Kate machnęła ręką w kierunku okna.

– Wszystko mi jedno. Cokolwiek. Może ją pani wyrzucić.

Wypowiedziała to z taką nonszalancją, jakby kwestia dotyczyła mydła, a nie wartościowego przedmiotu. Dla potwierdzenia kiwnęła jeszcze głową, po czym znów zajęła się swoim palcem, zginając go, rozprostowując i podziwiając obnażoną skórę.

Wsunęła się między szyćwne, wykrochmalone prześcieradła i pomyślała, że nareszcie jest wolna. Z tą myślą zapadła w głęboki, spokojny sen – sen nowej jakości, o którego istnieniu zupełnie

zapomniała.

Kiedy rano obudziły ją promienie słońca, przefiltrowane przez więzienne kraty i igrające na szarym więziennym kocu, na jej twarzy pojawił się uśmiech, a w sercu zapanował spokój.

Rozpromieniła się. Poczula się wolna.

Rozdział 12

Dziś

W domu panowała niezwykła cisza. Natasha i Kate siedziały przy kominku na dwóch przeciwległych końcach kanapy. Żadna nie miała ani apetytu, ani energii. Mijał kolejny trudny dzień tego niezwykle ciężkiego miesiąca. Obie były skoncentrowane na cierpieniu, wyczerpane ciągłym smutkiem, a organizacja pogrzebu pochłonęła wszystkie ich siły. Teraz miały czas na spokojną zadumę – moment, by złapać oddech, który uwiązał im w gardłach tego dnia, kiedy Tanya odebrała sobie życie.

Kate odtworzyła w myśli pogrzeb. Może podświadomie sądziła, że jeśli się z nim oswoi, choć częściowo zmniejszy ból związany z całym wydarzeniem. Kiedy przybyły z Natashą na miejsce, mały kościółek w Permmarin po samo sklepienie wypełniała ponura, głośnie muzyka organowa. O wiele za mroczna jak na taką młodą osobę, pomyślała Kate. Powinni raczej zagrać coś lekkiego, pogodniejszego.

We wszystkich ławkach panował ścisk. Była Janeece z mężem Nickiem i mnóstwo znajomych osób. Kate rozpoznała sklepikarzy, dostawców, z których usług korzystała w Prospect House, a także znanych z widzenia, na przykład z pubu, mieszkańców. W tylnych ławkach siedzieli znajomi Tanyi z Londynu. Pewnie był wśród nich jej dawny chłopak, może to ten z kręconymi włosami i ciemnoniebieskimi oczami. Kate uśmiechnęła się do niego. Chciała dodać mu otuchy w tym

smutnym dniu i całkowicie obcym otoczeniu. W imieniu Tanyi cieszyła się, że przyjechali, zwłaszcza że podróż bez samochodu nie należała ani do tanich, ani do wygodnych. Chłopak uśmiechnął się do niej z zażenowaniem, chowając jednocześnie ręce w kieszeniach skórzanej kurtki – jedynej czarnej części garderoby, jaką miał w posiadaniu. Co chwilę rzucał Kate ukradkowe spojrzenia. Był ciekaw, ile wiedziała. Czy wiedziała, że ta urocza dziewczyna oberwała za niego, choć na to nie zasłużyła?

Matka Tanyi odmówiła udziału w pogrzebie, argumentując, że „najlepiej jeśli mnie nie będzie”. Najlepiej dla kogo, zastanawiała się Kate. Jak na ironię, kobieta miała pewnie rację, bo ani ona, ani Natasha nie były w stanie zagwarantować, że kiedy się pojawi, zdołają zachować się w sposób cywilizowany. Były zbyt zmęczone, by podjąć jeszcze i to wyzwanie.

Wydatki związane z pogrzebem pokrył Rodney. Zapewne był to rodzaj przeprosin. Trochę spóźnionych, uważała Kate. Jak to on powiedział? „Jeśli chodzi o Tanyę, to moja ciekawość została całkowicie zaspokojona”. Łajdak.

Ku sklepieniu świątyni płynęły tymczasem pełne żalu myśli wielu osób. Rodney żałował, że nie wybrał się na plażę trochę wcześniej. Może udałoby mu się udaremnić jej zamiary. Natasha nie mogła pogodzić się z tym, że nie naciskała bardziej na Tanyę w czasie zajęć plastycznych. Odkryła już, że dziewczyna jest wyjątkowo bezbronna. Gdyby tylko sięgnęła głębiej, na pewno odkryłaby jej plan i zdołała zapobiec jego realizacji.

Ciało Tanyi nie zostało odnalezione. Kate uważała, że to nawet dobrze, bo dzięki temu wszyscy zapamiętają piegowatą, uśmiechniętą buzię. Pusta trumna stała na podwyższeniu przed ołtarzem.

Kate rozmyślała o dniu, w którym Tanya przybyła do Pernmarin.

„...okazało się, że gdyby płynąć cały czas przed siebie, pierwszym krajem, do którego by się dotarło, byłaby Kanada.

– Ta koło Ameryki? Robisz sobie jaja?

– Nie, nie, to prawda. Gdybyś popłynęła aż do przeciwległej plaży, to pojawiłby się tam jakiś kanadyjski policjant konny i podał ci ręcznik. Wyobrażasz sobie?

– Nie umiem pływać.

– Chciałabyś się nauczyć?

– Nie”.

Odpowiedź Tanyi była głośna i jednoznaczna.

Wróciła myślami do ostatnich dni przed śmiercią dziewczyny. Za bardzo spuściła ją z oka? Czy przeciwnie, była wobec niej zbyt stanowcza? Mogła to rozegrać inaczej – zamiast reprimendy, zaproponować wsparcie, okazać zrozumienie. Ież by dała, żeby mieć ją z powrotem. Choćby niedostępną, niezależną, niepokorną. Ale mieć ją z powrotem...

Podniosła wzrok ku witrażom. Promienie słońca, przefiltrowane przez uśmiechnięte postaci świętych z szeroko rozłożonymi ramionami, rzucały na żałobników zielononiebieski blask.

Fragmenty ostatniego listu Tanyi wciąż od nowa rozbrzmiewały w głowie Kate:

Zawsze uszyszko psułam, Kate, i przepraszam, że ciebie też zawiudłam. Życie dalej beze mnie. Nikt na świecie nie będzie tęsknić za Tanyą Wilson – bo kim ona w ogóle była?

Kiedy zebrani po cichu odmawiali dobrze znane słowa modlitwy, Kate wyszeptwała w przestrzeń:

– Ja. Ja będę tęsknić za Tanyą Wilson. Zawsze będę za tobą tęsknić.



Kate potrząsnęła głową, by zmasać ten obraz. Chciałaby już przestać myśleć o pogrzebie. Wołała zachować w pamięci postać dziewczyny o płomiennorudych włosach i psotnej minie, a nie smutną uroczystość podsumowującą jej życiową porażkę.

Nieoczekiwanie ciszę przeszły jej słowa:

– Zamykam Prospect House, Tash. Nie chcę tu już dłużej być.

Natasha milczała przez chwilę, po czym powiedziała:

– Myślę, Kate, że za wcześnie na taką decyzję. Potrzebujesz czasu, by ochłonąć. Zobacysz, jak będziesz się czuła, kiedy wszystko się ułoży. Wróci do normy.

– Do normy? Nie sądzę, by cokolwiek kiedykolwiek wróciło do normy, niezależnie od tego, czym ona w ogóle jest. Nie wiem nawet, czy tego chcę. Właściwie już postanowiłam i ta decyzja była dla mnie zaskakująco łatwa, wiesz? Myślałam, że będę potrafiła pomóc, wnieść coś dobrego, ale nie potrafię... nie udało mi się... Gdyby mi się udało, Tanya byłaby tu z nami. Nic tego nie zmieni.

– To nie tak, Kate. Zrozumiesz to z czasem, kiedy się uspokoisz. Pomogłaś wielu dziewczynom. Większość z nich dziś rozkwita. Dzięki tobie, dzięki nam zmieniło się ich życie. Nie zapominaj o tym.

Kate utkwiała wzrok w kubku świeżo zaparzonej herbaty, który trzymała w dłoniach. Nieustanne popijanie gorącej herbaty było jedyną rzeczą, która pozwalała jej opanować nieprzerwany wewnętrzny dygot.

– Wciąż myślę, że powinnam była inaczej rozegrać sprawę tych narkotyków. Może zachowałam się zbyt agresywnie lub zbyt lekceważąco. Gdybym tylko wykazała choć trochę więcej zrozumienia... Wszystko dlatego, że czułam się zmęczona, a w głowie szumiało mi jeszcze od przeżyć na wystawie. Nawet dokładnie nie pamiętam, co jej wtedy powiedziałam, ale żałuję, że nie zachowałam się inaczej. Tanya potrzebowała mojej pomocy. A ja wtargnęłam do jej pokoju i uderzyłam z grubej rury. Może gdybym...

Natasha uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Po pierwsze, Kate, ty nie potrafiłaś uderzyć z grubej rury, nawet gdyby od tego zależało twoje życie. Po drugie, dziewczyna trzymała w twoim domu kokainę, a to już poważna sprawa. Co innego mogłaś zrobić? Udawać, że nic się nie stało? Oczywiście, że nie. Nie sposób było przejść nad tym do porządku dziennego. Nie możesz się winić. Pewnie, że będziesz za nią tęsknić, oplakiwać ją, ale błagam, przestań się zadrezczać. Nic ci to nie pomoże, a jej nie zwróci życia.

– Myślisz, Tash, że o tym nie wiem?

– Jasne, że wiesz, ale moim obowiązkiem jest uświadomić ci, że Tanya miała masę problemów, zanim w ogóle pojawiła się w naszym życiu. Problemów, których ani ja, ani ty nie jesteśmy w stanie sobie nawet wyobrazić, zwłaszcza że do pełnego obrazu jej sytuacji brakowało nam wielu elementów. Nigdy jedna rzecz nie popycha człowieka do takiego kroku. Zwykle coś w nim stopniowo narasta. Dziewczyna mogła podjąć tę decyzję dawno temu. Jeszcze zanim nas poznała.

– Wiem, że to, co mówisz brzmi logicznie, ale przecież Tanya robiła postępy. Była tu szczęśliwa. Jestem tego pewna.

– Tak. Wydawała się szczęśliwa. Ale dopiero zaczynałyśmy leciutko naciskać na jej pancierz, a sama wiesz, że często to, co na zewnątrz, nie odzwierciedla wcale tego, co w środku.

Kate przypomniała sobie siebie w Mountbriers. Jej radosny uśmiech i wyprostowane plecy wystarczyły, by wszyscy myśleli, że czuje się świetnie. Ciągnęła dalej, jakby słowa przyjaciółki wcale nie zostały wypowiedziane.

– Myślę, że Dom miał rację. Jestem ukrywającym się na zadupiu domorosłym psychologiem. To nic dobrego. Po prostu nie chcę tu dłużej być.

– Czytałaś list od Stacey? Jeżeli inaczej nie da się do ciebie przemówić, to zobacz chociaż, co dla niej zrobiłaś. Wróciła do domu. Jest na drodze do normalności, i to ty tego dokonałaś, nikt inny!

– A może i tak by wróciła. Może tylko mącę tam, gdzie nie trzeba.

– Spójrz, jak daleko zaszłaś, Kate. Spójrz, jak inne jest dziś twoje życie.

– No jest inne, rzeczywiście. Ostatnio czuję się tak, jakbym trafiła z koleжки w wesołym miasteczku prosto na zatłoczone rondo w godzinach szczytu. Mam dosyć.

Natasha potrząsnęła głową. Nigdy dotąd nie widziała przyjaciółki tak przybitej.

– A może byś się dokądś wybrała? Może zmiana miejsca pomoże ci złapać lepszą perspektywę?

– Jak myślisz, Tash, jakiej jeszcze potrzebuję perspektywy? Właśnie odbył się pogrzeb Tanyi, na którym pochowaliśmy pustą trumnę symbolizującą jej bezsensowne życie. A ona chciała mieć tylko ekspres do kawy. niewiele, prawda?

Natychmiast pożałowała, że podniosła głos.

– Przepraszam, że na ciebie krzyczę.

– Wiem, kochana. W porządku. Możesz krzyczeć, ile chcesz. Pomyślałam tylko, że może powinnaś na jakiś czas wyrwać się stąd. Może odwiedziłaśbyś Simona? Od jakiegoś czasu mówiłaś

przecież, że chętnie zobaczyłabyś ich nowy budynek.

– Nie. To ostatnie miejsce, do którego chciałybym jechać. Wolę nie przywoływać myśli i intencji, z którymi zaczynałam. Poczulałabym się jeszcze gorzej.

– Cóż. Ja w każdym razie wyjeżdżam, Kate. Jadę na miesiąc nad jeziora, wędrować i malować. Zatrzymam się po drodze u Fran. Może pogadamy o tym, jak wrócić? Tylko proszę, nie podejmuj przedtem żadnych decyzji. Myślę, że obie potrzebujemy trochę czasu.

– U Fran... – Kate przygryzła wargi. Wypowiedziana najzwyczajszym na świecie głosem uwaga, że Natasha zobaczy się z jej dziećmi, bynajmniej jej nie pocieszyła. Przeciwnie, była jak sztylet przesywający jej serce... Moje dzieci – pomyślała.

Skinęła głową, tylko po to, by zadowolić przyjaciółkę. Nie wierzyła, że za cztery tygodnie spojrzy na to wszystko inaczej.

– Dobrze, Tash, poczekamy miesiąc, ale myślę, że to nic nie zmieni.

– Dolać ci herbaty? – Natasha po raz piąty tego wieczoru uniosła pusty kubek przyjaciółki.

Kate skinęła głową. Tak, dolać mi herbaty...



Tom z łoskotem ciągnął swą małą walizkę po ścieżce. Nie był zadowolony z tego, że wyjeżdża i szczerze to okazywał.

– Jesteś pewna, że nie chcesz, abym tu co dzień wpadał i robił ci obiad, Kate? Nie miałbym nic przeciwko temu. I tak będę na miejscu. Prawdę mówiąc, czuję się bardzo niepotrzebny.

– To bardzo miło z twojej strony, Tom, ale urlop to urlop. Korzystaj z niego! Masz cały miesiąc dla siebie! Zrób coś fajnego! Pojedź gdzieś!

– Czuję się winny, że dostaję pieniądze, a nie pracuję.

– Nie czuj się winny, bo twój urlop straci sens. Nie będziesz miał z niego przyjemności.

– Myślałem, żeby odwiedzić siostrę w Bodmin, spędzić trochę czasu z nią i jej dziećmi. Oczywiście, jeśli na pewno nie będziesz mnie potrzebować.

– Tom, oddaj mi klucze. To jedyny sposób, żebyś tu nie przychodził i nie karmił mnie na siłę lazanie.

Niechętnie oddał klucze szefowej.

– Dobrze. A teraz idź. Żebym nie musiała zmieniać zamków.

Ociągając się, Tom zniknął na podjeździe. Kate została sama. Zamknęła drzwi, zatrzasnęła

zamek, po czym zasłoniła żaluzje i zasłony w salonie. Chciała być sama, i to w ciemnościach. Chciała zwinąć się w kłębek i uciec od całego świata, przynajmniej na trochę.

Zerknęła na zegar na kominku. Tash przed chwilą musiała dotrzeć do Franceski po drodze do Lake District. Pewnie rozmawia teraz z Lydią – może o sztuce, a może po prostu o tym, co słychać. Poczula bolesne ukłucie zazdrości. Jak widać, życie może być cholernie niesprawiedliwe.

Koło północy coś ją nagle obudziło. Nie wiedziała, czy to sen, czy jawa, ale usłyszała głos męża. Tak wyraźnie, jakby stał tuż obok.

– Witaj, Kathryn.

Podskoczyła, a jednocześnie głośno krzyknęła. Uderzyła głową o ramę łóżka. Jednocześnie czuła, że jej ciało pokrywa się cienką, zimną warstwą potu. Zaśmiała się z ulgą i pomasaowała głowę. To był tylko zły sen. Ułożyła się z powrotem w pościeli i okryła po szyję kołdrą. Mimo że w pokoju było ciepło, dygotała. Wciąż miał nad nią władzę.

Około trzeciej przebudziła się znowu. Poduszka była mokra od wylanych przez sen łez. Oczy miała zapuchnięte, a gardło suche. Nie wiedziała, dlaczego szlocha, ale uczucie to wydawało się przerażająco znajome. Przypominało o niezliczonych porankach spędzonych w domu dyrektora Mountbriers. Tam często budziła się zalana łzami. Oplakiwała kolejną noc swojego życia, którą zmuszona była przetrwać, i nadchodzący dzień, któremu zmuszona była stawić czoła. Jednocześnie nie odklejała od twarzy uśmiechu i dzielnie wychodziła na dwór, dźwigając codzienny koszyk prania.

Uznała, że szklanecka whisky pomoże jej zapaść w spokojny sen. Wiedziała, że Tom trzyma butelkę w szpiżarce na ukrytej półce. Udawała, że o niej nie wie. Podobnie jak o jego popołudniowych drzemkach w samochodzie. Kochany Tom.

Kate nalala sobie sporo i z drinkiem w ręku poszła na kanapę. Alkohol smakował obrzydliwie. Dawała czasem radę przełknąć kieliszek czy dwa słabego wina, ale to było zupełnie co innego. Małymi łyżkami popijała dalej i, ku swojemu zdziwieniu, już po pierwszej szklance smak zrobił się znośny. Trunek stopniowo rozgrzewał jej gardło i koł wewnątrz ból. Dawał chwilowe wytchnienie, którego tak bardzo teraz potrzebowała. Głowa opadła jej do przodu. Kiedy znowu otworzyła oczy, na krześle naprzeciwko siedział Mark.

– Witaj, Kathryn.

Usłyszała charakterystyczny, dobitny głos męża. Nie sposób go było pomylić z żadnym innym. Miał na sobie ciemnoszary garnitur, wykrochmaloną białą koszulę i bładoniebieski krawat.

Siedział z nogą założoną na nogę. Jedna wąska nogawka spodni podciągnęła się, odsłaniając bładoniebieską jedwabną skarpetkę. Splótł palce dłoni tak, że tworzyły piramidę i oparł je na piersi. Był opalony. Wyglądał na wypoczętego i szczęśliwego. Uśmiechał się. Jej nozdrza wychwyciły dobrze znany zapach jego wody kolońskiej Floris No. 89. Zaczęła nierównomiernie oddychać. Drżała. Zamknęła oczy w nadziei, że kiedy znów je otworzy, zjawa zniknie. Nie zniknęła.

– Nie chcesz ze mną rozmawiać, Kathryn?

– Idź sobie, przecież już cię nie ma!

– Kathryn Brooker, czyżbym niczego cię nie nauczył? Gdzie się podziały twoje maniery? Dobre wychowanie wymaga, by rozmawiać z gościem, który cię odwiedził. Nieważne, czy przyszedł zaproszony, czy nie.

– Nie mogę z tobą rozmawiać, bo już cię nie ma!

– Czy na pewno? Więc na kogo patrzysz, głuptasie? Kto właśnie siedzi w twoim salonie?

– Nie chcę z tobą rozmawiać! Nie chcę już nigdy z tobą rozmawiać!

– Ach, słodka Kathryn, przecież właśnie ze mną rozmawiasz!

– Teraz mam na imię Kate.

Wiedziała, że jej głos jest trochę bełkotliwy. Zaśmiał się krótko.

– Doprawdy, kochanie? Od jak dawna masz na imię Kate?

Zastanowiła się nad tym pytaniem.

Mówił dalej nieznośnym sprzeciwu, beznamiętnym głosem.

– Nie, kochanie. Nigdy nie będziesz Kate. Nigdy nie będziesz nią naprawdę. I w głębi serca wiesz o tym, prawda, Kathryn?

– Jestem Kate, nie Kathryn, a ciebie już nie ma, Mark. Nie możesz mnie dłużej krzywdzić!

Potrząsała głową w nieustającej nadziei, że obraz, który miała przed oczami, kiedyś się rozwieje.

Mark zaśmiał się cicho i pochylił do przodu.

– Sama w to nie wierzysz, prawda? – zapytał bardzo cicho, prawie szeptem.

– Wierzę! To prawda. Już nigdy mnie nie skrzywdzisz. Jestem wolna, Mark.

– Och, Kathryn. Jak ty to powiedziałaś? „Osiągnę wszystko, co myślałam, że mogłabym w życiu osiągnąć”. I co? Osiągnęłaś to, kochanie? Stałaś się tym wszystkim, czym myślałaś, że się staniesz? Czy przypuszczałaś, że będziesz stara, samotna i bez dzieci? Tak właśnie sądziłaś? A jeśli chodzi o krzywdzenie cię, to doskonale wiesz, że wciąż cię krzywdzę. Dzień w dzień, mimo wszystkich twych odważnych słów. Żeby o mnie zapomnieć, nie wystarczy chodzić na okrągło w dżinsach i przestać ścielić łóżko! Kiedy spoglądasz w lustro, zaglądam ci przez ramię, zanim zaśnieś, oddycham tuż przy tobie, a na dodatek dzieci nienawidzą cię właśnie przeze mnie! Straciłaś je, Kathryn. Wiesz o tym, prawda?

Jej szloch był głośny i niepomamowany.

– Nieprawda! To kłamstwo. To moje dzieci, więc nie mogą mnie nienawidzić!

– W takim razie gdzie one są, Kathryn? Gdzie teraz są? Dlaczego nie odpowiedziały na żaden z twoich żalonych listów? Tak trudno im podnieść słuchawkę i zadzwonić? Dlaczego nigdy cię nie odwiedziły? Dlaczego teraz cię nie odwiedzają?

Potrząsnęła głową.

– Nie wiem, dlaczego i nie wiem, gdzie są.

– I wciąż zdumiewa mnie Lydi. Zawsze myślałem, że znajdziesz w niej sojusznika, zwłaszcza że wasze doświadczenia nie różniły się aż tak bardzo.

– Jej życie i moje nigdy nie były podobne!

– Do prawdy?

Mark podniósł brew. Uśmiechnął się szerzej.

– Pomyśl o tym, Kathryn. Pomyśl logicznie.

– Mark, jeśli ją tknąłeś, to przysięgam...

– Że co, kochanie? Co mi zrobisz? Zabijesz mnie?

Roześmiał się w głos.

– Zostałam z tobą tylko dlatego, żeby dzieci były bezpieczne, więc jeśli nie były...

– No właśnie, kochanie – to oznaczałoby, że wszystko poszło na marne. Strasznie to ironiczne, prawda? Och, Kathryn, zapłaciłaś naprawdę wysoką cenę. Czy było warto, *amor vitae meae*?

Kate osunęła się na podłogę. Po jej twarzy ciekły strumienie łez.

– NIE! – wrzasnęła. – Nie było warto! Chcę odzyskać dzieci! Chcę dzieci i natychmiast wróciłabym do starego życia, gdyby to oznaczało powrót do nich. NIE było warto, Mark! Wygrałeś! Jesteś zadowolony? Wygrałeś!

Gardło bolało ją od krzyku. Leżała na podłodze między kanapą a stolikiem do kawy. Zasnęła tam, gdzie leżała.



Kate zajęła się sprzątaniami po wczorajszej nocy. Odkurzyła dywan, wytrzepała poduszki i ułożyła je na swoich miejscach. Nie kontrolowała drżenia prawej ręki, kiedy wypisywała czeki w biurze. Wszystkie rachunki były opłacone na bieżąco. Skreśliła jeszcze parę słów, pozaklejała koperty i gotowe. Nastawiła zmywarkę. Wyczyściła toalety. Podlała kwiaty. Złożyła pranie. Pościeliła łóżko.

Zamknęła za sobą drzwi wejściowe, na policzkach poczuła ciepło porannego słońca. Od zawsze była to jej ulubiona pora dnia. Gdy ścieżka biegła już po płaskim terenie, a kamienie ustąpiły miejsca piaskowi, niepewne kroki Kate zamieniły się w długie susy. Ostatnich parę metrów przebiegła z uśmiechem na twarzy. Nasycona solą morską bryza rozwiewała jej grzywkę i uderzała w pierś.

Kate zdjęła koszulkę i złożyła równo – rękawami i szwami do siebie. Położyła ją na piasku. Następnie zsunęła dżinsy i starannie umieściła je na koszulce. Rozpięła stanik, którego ramiączka opadły na jej umięśnione ramiona. W końcu zsunęła majtki i przestąpiła przez nie. Wszystkie ubrania tworzyły niewielki stosik. Wyglądały jak przygotowane do prania. Skończyła.

Drobne kamyczki i muszelki kłuły ją w czułe podeszwy stóp. Nie zrobiła jednak nic, by zmniejszyć dyskomfort. Wyszła z założenia, że nie ma to żadnego znaczenia w porównaniu z wyzwaniem, które za chwilę podejmie. Co znaczy trwający sekundę lub dwie ból stopy w porównaniu z wiecznością? Przebiegła dłońmi po tylnej części ud. Znała gorszy ból. „Dzień dobry, pani Bedmaker.... Dobry wieczór, pani Bedmaker... pani Bedmaker... pani Bedmaker...”. Nigdy nie wymazała z pamięci dudniącego wspomnienia tego przezwiska. Towarzystwo jej zawsze. Zawsze.

Ruszyła naprzód, w stronę wilgotnego piachu, który woda barwiła na kolor mocnej herbaty i wymywała w nim dołki pełne morskiej piany oraz drobnych robaków i krabów.

Kroczyła ostrożnie. Woda omywająca jej nagą skórę wydawała się porażająco lodowata. Była znacznie zimniejsza niż zwykle o tej porze roku. Myślami przeniosła się na chwilę nad Morze Karaibskie, którego ciepłe wody tyle lat temu pieściły jej skórę pod gorącymi promieniami słońca. Pamiętała, jak rzucała się w kojące fale i jak jej napięte mięśnie rozluźniały się pod wpływem ciepła. Pamiętała taniec w deszczu i zielone pióra na głowie. Pamiętała, jak trzymał ją w ramionach piękny mężczyzna i tylko ręcznik rozdzielał ich ciała. Pamiętała pełen miłości i obietnicy pocałunek. To był cudowny dzień.



Mężczyzna zawrócił na krętej drodze, walcząc z nieposłusznym drążkiem zmiany biegów wynajętego samochodu, który głośno protestował, zgrzytając i jęcząc. Zjechał do zatoczki na wąskiej szosie, by przepuścić solidnego jeeпа z przyczepą kempingową. Jego towarzyszką skrzywiła się i pisnęła, zamykając oczy, by nie patrzeć na mrozące krew w żyłach manewry. Mężczyzna głośno wypuścił powietrze. Do tutejszych dróg trzeba było się trochę przyzwyczaić. Po chwili oboje zaczęli się śmiać w poczuciu ulgi.



Kate kroczyła dalej w morze. Pozwalała obmywać się słonym językom drobnych fal. Odwróciła się twarzą do brzegu i tyłem przesuwiała się dalej, aż woda zakryła jej ramiona. Zęby szczękały z zimna, a ręce i nogi trzęsły się w niekontrolowany sposób. To organizm próbował przeciwstawić się skutkom dojmującego zimna.



Mężczyzna zajechał przed dom. Byli na miejscu. Pękate torby i w połowie rozmrożona zapiekanka pasterska zostały szybko wydobyte z niewielkiego bagażnika i zaniezione pod drzwi.

Dziewczyna osłoniła oczy przed słońcem i spojrzała na ocean.

– Po prostu muszę to namalować!

Mężczyzna otoczył ją ramieniem.

– Denerwujesz się?

Skinęła głową i przygryzła górną wargę.

– Ja też – odparł.



Kate podniosła wzrok na wierzchołek klifu. Ostatnie spojrzenie na Prospect House. Jedyne miejsce, w którym była szczęśliwa, gdzie czuła się potrzebna i akceptowana. Dobrze wiedziała, że poniosła porażkę. Mark miał rację. Wygrał. Nigdy nie zdoła uwolnić się od wspomnień zadanych przez niego krzywd. Blizny były zbyt głębokie, a ból czaił się tuż pod powierzchnią. Ktoś taki jak ona nigdy nie zazna spokoju. Była złamana. Nie potrafiła wyobrazić sobie życia bez dzieci. W głębi

duszy zawsze to wiedziała. Wolala wycofać się na zawsze, niż pogodzić z taką perspektywą.

Dom na klifie prezentował się fantastycznie. Trudno było marzyć o piękniejszym ostatnim widoku. A mógł przecież przedstawiać co innego – wykrzywioną w złym uśmiechu twarz Marka, spodnią stronę poduszki w Mountbriers, odbicie jej twarzy, na której maluje się błaganie. Ten widok był o wiele lepszy. Czują satysfakcję, że wreszcie jej los znajdował się w jej rękach, nie w jego. Że sprawowała nad nim kontrolę.

Ciało odrętwiało z potwornego zimna. W całości pokryło się gęsią skórką. Jej jedwabiste włosy unosiły się za nią na wodzie niczym brunatne wodorosty. Nie spuszczać wzroku z linii brzegu, postąpiła dwa zdecydowane kroki w tył. Miękki piach pod jej stopami ustąpił miejsca próżni. Przebierała teraz nogami w wodzie. Przygotowywała się, by zejść w głębinę.

Kiedy lodowata woda zaczęła się nad nią zamykać, Kate ogarnął cudowny spokój. Na myśl o czekającej ją ucieczce i błogim spoczynku uśmiechała się. Jeszcze tylko chwila... Jeszcze się przygotowuje.

Powiodła wzrokiem po piasku. Zobaczyła dzieci. Maluchy o grubiułkich brzuszka i pulchnych, płaskich stopach. Biegają po plaży z małymi, czerwonymi wiaderkami pełnymi wody, która wychlapuje się na boki, więc kiedy dopadają wreszcie zamku z piasku, nie pozostaje im już nic do wylania. Zaśmiała się i zamknęła oczy. Kiedy znów je otworzyła, dzieci miały dziewięć i dziesięć lat. Lydia – olśniewająca w za dużych, żółtych okularach przeciwsłonecznych i pierwszym bikini – leży na ręczniku i udaje dorosłą. Dominic zakrada się do niej cichaczem z garścią mokrych wodorostów, które za chwilę wylądują na jej gołym brzuchu.

Wszystkie bezcenne wspomnienia odejąd razem z nią. W pewnym sensie jej życie było porażką, ale Kate ze stuprocentową pewnością wiedziała, że chętnie przeżyłaby je znowu po to, by móc raz jeszcze doświadczyć słodkiej radości, płynącej z bycia matką dwóch wyjątkowych istot. Dzieci na zawsze pozostaną jej największym osiągnięciem, jej spuścizną i nikt – nawet Mark – jej tego nie odbierze.

Kate wzięła głęboki wdech i przygotowała się do zanurzenia. Przez zmrużone powieki ostatni raz spojrzała na brzeg. Powoli wypuszczała powietrze. Mrugała, by ostrzej widzieć przez zlepione słońcą wodą rzęsy. Jeszcze jedno wspomnienie, tyle że wraz z nim nadeszło nieco inne uczucie... Dzieci wyglądały na starsze i choć Kate przeskubała wszystkie zakamarki pamięci, nie natrafiła w niej na tę scenę. To nie wspomnienie, to coś w rodzaju przecucia. Oto i one, wreszcie dorosłe. Dominic – wysoki, w białej koszuli z rozpiętym kołnierzykiem, obejmował ramieniem Lydię. Oboje krzyczeli, machali. Przyszli się pożegnać? Z wysiłkiem starała się rozróżnić ich słowa, ale głowę wypełniał jej tylko melodyjny głos Simona: „Chciałbym, żebyś spróbowała zapamiętać, że nadzieja może przybrać różną postać: pojęcia, miejsca lub człowieka”.

Lydia i Dominic stali na brzegu. To nie wspomnienie. Byli tam naprawdę. W końcu przyjechali.

Stali ramię w ramię na skraju wody i niespokojnie czekali. Co ona do licha wyprawia? Trzymali w rękach jej zwinięte ubranie i szeroko otwartymi ramionami zachęcali do wyjścia na brzeg.

– Pospiesz się! Są tu tacy, co strasznie chcą się napić herbaty! – zawołał w jej kierunku Dom. Kate uśmiechnęła się i zaczęła szlochać prosto w fale.

Albo ludzi – pomyślała. Czasem nadzieja przybiera postać ludzi.

Kate zaczęła płynąć do brzegu. Ku nadziei, która przez cały czas w niej była, ku przyszłości z dziećmi. Wiedziała, że jest wolna. Nareszcie bez strachu będzie mogła opowiedzieć dzieciom historię pani Bedmaker.

– Jestem Kate! – krzyknęła. – Kate!

A jednak wygrała.

Zła kobieta

Spis treści

Tytuł oryginału
WHAT HAVE I DONE

Redakcja
Urszula Hollanek

Korekta
Beata Kołodziejska
Jadwiga Piller

Projekt okładki
Magdalena Antoniuk

Zdjęcie na okładce
William King / Getty Images

Copyright © Amanda Prowse, 2013
Translation copyright © 2013, by Katarzyna Roslan
Copyright © Wielka Litera Sp. z o.o., Warszawa 2013

Wielka Litera Sp. z o.o.
ul. Kosiarzy 37/53,
02-953 Warszawa

ISBN 978-83-63387-87-7



Odwiedź
nas na



Plik ePub przygotowała firma eLib.pl
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa
e-mail: kontakt@elib.pl
www.eLib.pl